



Tess Stimson



Łańcuch niewierności

Rozdział 1

ELLA

Często się zastanawiałam, czy skłonność do zdrady przenosi się w genach, jak niebieskie oczy lub wiewiórczy zgryz. Jestem niewierna, bo jest to zapisane w moim DNA?

Jesteśmy tylko wypadkową genetycznych kodów paskowych. Ta myśl podoba się tkwiącemu we mnie naukowcowi. Spójrzmy: o, tutaj, między genem rudych włosów a genem skłonności do nadmiaru - w biodrach, w życiu, co kto woli - leży sobie gen niewierności. Biologiczne uzasadnienie faktu, że tak jak nie zmniejszę swojej stopy, tak nie mogę być wierna, choćbym nawet bardzo się starała.

Obok porusza się William. Wyciąga rękę do moich piersi i brodawki od razu twardnieją pod jego dotykiem. Jego sztywniejący penis wbija się w moje biodro. Uśmiecham się. Po ośmiu latach nie kochamy się za często, ale kiedy już to robimy, wykorzystujemy każdą chwilę do końca.

Przewraca się na plecy i pociąga mnie za sobą; krzywię się lekko, kiedy we mnie wchodzi. Nie wie, że zeszłej nocy dwa razy kochałam się z Jacksonem.

Kiedy zaczyna się we mnie poruszać, chwytam się mocno wezglowia łóżka, a moje piersi podrygują kusząco nad jego twarzą. Zaciska usta na brodawce, między nogami czuję jego węzowe ruchy. Przytrzymuję się mocniej oparcia. William to ten bardziej egoistyczny kochanek. Nauczyłam się domagać od niego swojej przyjemności. Jackson jest o wiele uważniejszy, zawsze poszukuje nowych sposobów sprawienia mi rozkoszy, panuje nad sobą i czeka, aż osiągnę orgazm, i to czasem wielokrotny.

Odsuwam myśli o Jacksonie. Wbrew powszechnej opinii kobiety całkiem nieźle umieją zdradzać. Muszą tylko nauczyć się myśleć jak mężczyźni.

Moja łechtaczka ociera się o kość łonową Williama i zaczyna we mnie narastać znajome ciepło. Jego zęby muskają moje piersi, szybkie, zachłanne ukąszenia. Sięgam między jego uda, delikatnie dotykam ich wewnętrznej strony i

jąder. On porusza się we mnie, uderza w punkt G, aż nieruchomieję, smakując chwilę jak w wesołym miasteczku, gdy kolejka właśnie osiągnęła najwyższy punkt toru i zaraz zacznie pędzić w dół. Orgazm przepływa przeze mnie wszechobejmującymi, niemal bolesnymi falami.

Znajduję maleńki wrażliwy punkcik poniżej jąder i naciskam tak długo, aż odpływa w rozkosz. Drugą ręką sięgam po bzycający telefon.

Tylko dwoje ludzi może pisać do mnie o tej porze. Jackson albo...

- Cholera! - Staczam się z Williama i sięgam po ubranie. Wciska głowę w poduszkę.

- Niech to. Myślałem, że dziś nie masz dyżuru.

- Nagła sprawa. - Zapinam stanik i po omacku szukam pod łóżkiem majtek. - Wrócę tak szybko, jak się da.

- Nie mogli z tym poczekać, aż skończę?

Daję sobie spokój z majtkami, naciągam wąską szarą spódnicę, po czym wsuwam stopy w czerwone pantofle na niebotycznych obcasach. Nie mogę znaleźć topazowego kolczyka. Nie cierpię gubić ich pojedynczo. Zapinając białą jedwabną bluzkę, nachylam się i całuję Williama w kłujący policzek. Cały pachnie mną.

- Miłych walentynek.

- Jesteś mi coś winna - mruczy.

- Nie tobie jednemu.

Piętnaście minut później, kiedy winda pracowicie pnie się na oddział położniczy, uwalniam obolałe stopy z morderczych szpilek. Do mojej zdradzieckiej podwójnej spirali musiał się przykleić jeszcze jeden nieszkodliwy mały genom, tłumaczący niekontrolowany pociąg do ładnych butów. Jak inaczej wyjaśnić zakup pary upragnionych szpilek Giny numer 6 (ostatnie, jakie zostały, i niestety nie rozciągnęły się w trakcie chodzenia, co obiecywała ekspedientka na prowizji), skoro całe moje dorosłe życie noszę siódemkę?

Moja matka zawsze nosiła eleganckie buty. Nawet po tym, jak francuscy komornicy wyeksmitowali nas z małego *appartement* przy Rue du Temple, bo

ojciec przestał opłacać czynsz, jej stopom (w przeciwieństwie do reputacji) nic nie można było zarzucić. Choćbyśmy miały potem głodować, tak jak nie potrafiła sobie odmówić tatusia, tak nie umiała się oprzeć nowej parze czółenek w groszki z odkrytymi palcami.

Jedyną córkę ukształtowała na własne podobieństwo.

Drzwi windy otwierają się i kuśtykam w stronę sali porodowej, nieprzyjemnie świadoma niedostatków odzienia pod spódnicą. Lucy to moja najlepsza przyjaciółka i kocham ją nad życie, ale mam wielką nadzieję, że nie ma dziś dyżuru. Przywykłam do kazań matki - w końcu przemawia z perspektywy własnych błędów - ale z Lucy jesteśmy *les soeurs sous la peau*, odkąd jako studentki medycyny w Oksfordzie skrzyżowałyśmy podczas sekcji skalpele nad w połowie rozkrojonym ciałem. To do niej chodzę po receptę na xanax, ilekroć muszę gdzieś lecieć.

Z drugiej strony, jeśli mąż porzuca cię dla nastoletniej choreografki (nie spierajmy się o szczegóły, gdy ma się trzydzieści sześć lat, jak my, dwudziestotrzylatka to podlotek), tłumaczy to fakt, że zdrady innych opatrujesz zjadliwymi uwagami, zamiast porozumiewawczo się uśmiechnąć.

Kiedy docieram na oddział, dzwoni komórka. Zerkam przez szybę, stwierdzam, że moja pacjentka chyba wciąż jest w ambulansie tkwiącym gdzieś w korku na Fulham Road, i odbieram telefon.

- Jackson - mówię. - Mam pacjentkę.
- Jesteś w pracy?
- Przecież wiesz, że mam dyżur.

Jednym z przywilejów zawodu lekarza (jeśli pominąć padające na przyjęciach urocze propozycje obcych ludzi, nie bardzo przejmujących się niuansami towarzyskimi i moją neonatologiczną specjalizacją, żebym w łazience dla gości zbadała ich tarczycę albo hemoroidy) jest możliwość uzasadnionego przebywania w nocy poza domem. Jako konsultant pediatryczny na oddziale intensywnej opieki neonatologicznej Szpitala Księżnej Eugonii jestem zobowiązana do sześciu dyżurów nocnych każdego miesiąca. Mój mąż żyje w przekonaniu, że siedmiu.

- Masz pięć minut - mówię do Jacksona.

- Co innego mówiłaś ostatniej nocy - ironizuje, przeciągając sylaby w sposób typowy dla Południowca mimo prawie dziesięcioletniego pobytu w Anglii.

Nie dlatego mam romans, że życie erotyczne z mężem rozczarowuje mnie lub kochamy się za rzadko. Wręcz przeciwnie, jest oddanym kochankiem. Chociaż potrafię podać mnóstwo wiarygodnych wyjaśnień swojej niewierności, nie jestem pewna, czy choć jedno z nich naprawdę mnie usprawiedliwia.

Narzucam biały kitel.

- O co chodzi?

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Teraz? Nie można z tym poczekać? Waha się.

- Właśnie znalazłem na eBayu niezły indyjski motor. Licytacja kończy się o północy i chciałem to z tobą omówić.

Odnoszę nieodparte wrażenie, że chciał powiedzieć zupełnie coś innego.

- Motor?

- Oj, El, dobrze wiesz, że od dawna chcę mieć motocykl. Mógłbym o wiele szybciej dojeżdżać do pracy. Ty masz dobrze - dodaje z cieniem irytacji w głosie - szpital jest niedaleko. Nie spędzasz w korkach dwóch godzin dziennie.

- Jestem pewna, że DuCane nadal...

- Na litość boską, Ella! Ile razy będziemy to wałkować?

- Nikt cię nie zmusza, żebyś zbierał kasę na ich pigułki - mówię krótko. -

Dobrze wiemy, że to zgraja niemoralnych handlarzy prochami, na których piekło już czeka. Ale ich program badawczy to co innego...

- Od kiedy to badania komórek pierwotnych są w porządku?

- Jackson, jestem lekarzem, co chcesz usłyszeć?

- Nie musisz zostawiać sumienia za drzwiami, kiedy wkładasz kitel - odpowiada gorzko - tylko swoje wymyślne buty.

Szkoda, że to nieprawda.

- Nie rozumiem, co ma do tego moje sumienie...

- Myślałem, że jesteś od ratowania dzieci, a nie mordowania ich.

- Neonatologia nie ma nic wspólnego z tymi badaniami - mówię dotknięta - a poza tym od kiedy to majstrowanie przy zygotach jest równoznaczne z kluciem dzieci widłami?

- Miałem głupią nadzieję, że może trochę się przejmiesz.

- A ja, że potrafisz myśleć jak człowiek dorosły.

Podteksty płyną w eter. Oboje wiemy, że chodzi o coś innego.

Przekładam telefon do drugiego ucha, z trudem panując nad irytacją. To nie pora wypominać mu próby złamania naszej umowy. Umówiliśmy się na starcie: żadnych dzieci. Zdaje się, że temat nie zniknie tak prędko, myślę ze złością.

- Słuchaj, chciałam tylko powiedzieć...

- Wiem, co chciałaś, Ella.

To jedna z cech, które zawsze podziwiałam u Jacksona (zwłaszcza że mnie jej brakuje): nieugięta, staromodna spójność poglądów. Utalentowany zdobywca funduszy, czarujący, szczery i elokwentny, ma ten dar ujmującego przekonywania, który mógłby go zaprowadzić do Białego Domu, gdyby tylko miał jakieś ambicje polityczne (choć jego nieuleczalna uczciwość nie mogła mu się, rzecz jasna, tutaj przysłużyć). Łowcy głów, pracujący dla różnych prestiżowych organizacji pozarządowych, oferowali mu w ciągu ostatnich kilku lat sześciocyfrowe zarobki i Nielimitowane wydatki reprezentacyjne, byle tylko poprowadził dla nich ich akcje pozyskiwania funduszy lub stanął na czele nowego biura. Wszyscy odeszli z kwitkiem, ale dopiero po tym, jak Jackson namówił ich do wsparcia niezłymi sumkami One World, dobroczynnego stowarzyszenia nawiedzonych wegetariańsko-ekologicznych radykałów, dla którego pracował.

To jedna z rzeczy, które nieodmiennie irytują mnie w moim mężu: sztywne poczucie honoru Południowca. Nie to nie. Koniec. Kropka.

Wkładam telefon między policzek a ramię, żeby zapiąć kitel i ukryć pod nim kusą spódnicę. Z wyzywającymi czerwonymi pantoflami niewiele da się zrobić.

- Jeśli się zdecydowałeś, to bierz go.

- Potraktuj to jako spóźniony prezent urodzinowy. Przymykam oczy, nagle owładnięta wyrzutami sumienia.

- Och, Jackson, przepraszam.

- Nie mówmy o tym.

- Byłam taka zajęta, w szpitalu mamy za mało ludzi.

- Powiedziałem, nie mówmy o tym.

Cisza się przedłuża. Jak mogłam zapomnieć o jego urodzinach? W końcu to walentynki, można by pomyśleć, że będę w stanie zapamiętać taką datę.

Jackson znów pokasłuje.

- Jak twoje przeziębienie? - pytam szybko przepraszającym tonem.

- Mówiąc szczerze, czuję się trochę niewyraźnie. Chyba rośnie mi temperatura.

Powstrzymuję uśmiech. To nadzwyczajne, w jak różny sposób ten sam wirus atakuje system immunologiczny kobiety i mężczyzny. Powinnam napisać o tym artykuł: „Wirus, który u samicy gatunku powoduje pociąganie nosem, napotykając chromosom Y samca, wywołuje objawy poważnej infekcji górnych dróg oddechowych...”

- Jackson, posłuchaj, wybierzemy się gdzieś w weekend, obiecuję. Jakoś się tu wykręcę...

- Jasne.

- Wybierz coś. Na co masz ochotę?

- Na cokolwiek.

- Tak czy owak, będzie znacznie przyjemniej, jeśli przedtem wyzdrowiejesz. -
Potem, po części by uciszyć sumienie, a po części, bo to wciąż prawda, mimo Williama i całej reszty, dodaję: - Kocham cię.

- Ja ciebie bardziej.

Ta sekwencja to nasze zaklęcie, jedno z tych, które powstają podczas paru pierwszych miesięcy bycia razem, a których później, gdy sprawy zaczynają iść nie

tak, chwytasz się jak kamizelki ratunkowej, z mieszanką wiary w cuda, nadziei i strachu.

To także streszczenie naszego małżeństwa w pięciu słowach.

Poznaliśmy się jedenaście lat temu w Ameryce tej jednej nocy, kiedy byłam wystarczająco zmęczona, wystarczająco bezbronna i - bądźmy szczerzy - wystarczająco pijana, by w moim starannie pielęgnowanym cynizmie powstała szczelina, przez którą Jacksonowi udało się wśliznąć.

Straciłam dziewictwo w wieku dziewiętnastu lat (z moim trzydziestoczteroletnim nauczycielem tenisa; ten banał zażenował mnie bardziej niż fakt, że zostaliśmy przyłapani in flagranti przez moją babcię, która tylko pokiwała głową z cichym triumfem kogoś, komu życie przyznało rację). Od tamtego czasu wszystkich mężczyzn, z którymi umawiałam się na randki, łączyło jedno: byli absolutnie nieosiągalni i to mi właśnie odpowiadało.

Zdawałam sobie sprawę, że moje zachowanie nie całkiem mieści się w kategoriach normalności; ale jednocześnie liczyłam, że gdy spotkam tego właściwego mężczyznę, wszystko się ułoży.

Kiedy Jackson Garrett wkroczył do baru przy Bourbon Street, we francuskiej dzielnicy Nowego Orleanu, i skierował się prosto do Lucy i do mnie, jakbyśmy cały wieczór czekały właśnie na niego, nie nastąpiło *coup de foudre*. Miłość na pewno nie miała z tym nic wspólnego.

Jackson był - jest - najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam. Ma ten typowo amerykański, zniewalający, połyskujący bielą zębów uśmiech filmowego gwiazdora i karnację, która wydaje się złota nawet w samym środku angielskiej zimy. Oczy w kolorze turkusów Tiffany'ego, z nieprzyzwoicie długimi rzęsami i błyskiem, który sprawia, że mrówki zaczynają spacerować po skórze, a ubrania jakoś same się rozpinają. I usta tak ruchliwe i wrażliwe, że nie masz wyboru, musisz odrzucić słynną brytyjską rezerwę i zażądać, by cię całowały. No chodź, to moje urodziny, co z tobą, jesteś nieśmiały?

Kiedy już wypłynęliśmy na powierzchnię zaczerpnąć powietrza, złapałam zapalniczkę i, szukając papierosów, czekałam, kiedy weźmie na cel Lucy. Jak wszyscy faceci. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę jej krągłości, doskonałą cerę i długie do pasa włosy o barwie starego złota; kiedy ją poznałam na pierwszym roku, poważnie rozważałam, czy nie dołączyć do klubu Safony. Uniwersalne prawo przyciągania, które sprawia, że ludzie wiążą się z partnerami o podobnym stopniu atrakcyjności do swojego, plus minus jeden punkt (o ile pieniądze lub władza nie zaburzają tego równania), plasowało Jacksona zdecydowanie w jej lidze, nie w mojej.

Ale on, pochylając ciemnoblond głowę w moją stronę, wymruczał mi do ucha z oddechem słodkim od rumu:

- Zawsze wiedziałem, że wy, kolonialisci, nie gracie czysto. Ostrzegam, łatwo kapituluję.

- To chyba kwestia fortyfikacji.

- Ale też ducha oporu.

- Południowy klimat - zadumałam się - ma to do siebie, że chyba żadna z tych rzeczy nie ostaje się zbyt długo.

Pachniał skórą, mydłem i mokrymi po deszczu sosnami. W okolicach majtek poczułam motylki.

Wyjął z moich palców niezapalonego papierosa i poprowadził w kierunku drzwi.

- Proponuję to rozważyć w innym miejscu.

To będzie najwyżej krótki wakacyjny wybryk, przyjechałyśmy do Nowego Orleanu z Karoliny Północnej tylko na weekend. Chciałyśmy doświadczyć atmosfery Wielkiego Luzu, tego „przyjedź, jak stoisz, i tak wyjedziesz odmieniony”. Zanim - orzekła Lucy - wrócimy do domu w Londynie i tak ciasno pozwijamy się w swoich skorupach, że głowy od tyłka nie odróżnisz.

Więc kiedy Lucy wspaniałomyślnie zwolniła mnie machnięciem ręki, poszłam do jego mieszkania i spałam z nim (och, co za hańba!) od razu pierwszej nocy, bez nudnych gier w rodzaju: żadnych dotyków poniżej pasa przed piątą randką.

Następnego ranka przy śniadaniu - kreolskie pączki, placki ze świeżymi owocami i cynamonowe *sopaipillas*; dobry Boże, ten facet umiał gotować! - wymieniliśmy parę osobistych szczegółów, jak choćby nasze imiona, zaniedbanych poprzedniego wieczoru na rzecz gorącego seksu. Jackson zajmował się organizowaniem funduszy dla Uniwersytetu Tulane w Nowym Orleanie. Kiedy powiedziałam mu, że studiuje medycynę na Uniwersytecie Duke, niemal rozlał swoją (mocną, czarną) kawę.

- A niech mnie. Właśnie dostałem w Duke pracę. Przeprowadzam się za parę tygodni.

Wciąż rozkosznie obolała po nocnych zmaganiach uznałam, że Jackson będzie doskonałym kochankiem plastrem (dopiero co zakończyłam krótki i nieszczęśliwy flirt z żonatym profesorem historii, ale nie roztrząsajmy tego): przelotny uzdrawiający związek pomoże mi posklejać serce złamane po romantycznym niewypale. W ostateczności Jackson będzie kimś, przy kim można się zaczepić w oczekiwaniu na Tego Jedyne. Nie miał być, jak sam w swoim czasie mnie ostrzegał, mężczyzną, za którego wyjdę.

Nieodłączną cechą wszystkich związków jest nierówność; już jako dzieciak zrozumiałam, że większą władzę ma ten, kto kocha mniej.

Dorastając, nieraz się zastanawiałam, czemu matka wydaje się nieustannie czekać na coś, co nigdy miało nie przyjść. Płacząc w moją poduszkę, gdy słuchałam, jak po drugiej stronie ściany matka noc w noc szlocha w swoją, przyrzekałam sobie, że nie skończę tak jak ona. Nie będę czekała siedemnaście lat na czarusia wiarołomcę, który nigdy nie zostawi dla mnie żony, zrobi mi dziecko i nie da mu nawet swojego nazwiska, a gdy będę miała czterdzieści sześć lat, umrze i zostawi mnie we wciąż obcym kraju z dziewięcioletnią córką na utrzymaniu i bez żadnych środków do życia.

Wyrzucone po przedwczesnej śmierci *mon pere* na ulicę, przez trzy tygodnie spałyśmy z matką na tylnym siedzeniu jej antycznego zielonego peugeota, żywiąc się czerstwymi bagietkami i przejrzałym serem, dopóki nie przyznała się do porażki

i nie zebrała na odwagę, by wrócić do domu w Northamptonshire. Jej ojciec umarł, nigdy jej nie wybaczywszy. Jej matka nigdy nie mówiła o mnie inaczej niż francuski bękart. Wtedy wydawało mi się to nawet całkiem sensowne.

Przez następnych dziewięć lat patrzyłam, jak moja matka zebrze o ochłapy aprobaty u tej starej jędzy, rozpaczliwie usiłując odpokutować jeden akt nieposłuszeństwa (do dziś nie rozumiem, jak w ogóle zdobyła się na odwagę, by uciec do Paryża). Gapiłam się w popstrzone plamkami stare lustro na swoją twarz z nieciekawą masą rudych loków i oczyma w kolorze cienkiej herbaty - tak różną od jej, więc najwyraźniej podobną do niego - i nie mogłam się nadziwić, co takiego widziała w moim ojcu, że uznała go wartym takiej niedoli.

Gdy tylko stuknęła mi osiemnastka, uciekłam do Oksfordu, przyrzekając sobie, że cokolwiek by się działo, nigdy w niczym nie będę zależna od faceta: ani jeśli chodzi o pieniądze, ani o miłość.

Jackson miał wszelkie cechy toksycznego kawalera: czarujący, seksowny i wolny jak ptak, powinien złamać mi serce. Ale od samego początku i wbrew rozsądkowi (nawet z ciekącym nosem miał prawie dziesiątkę w dziesięciostopniowej skali; ja w dniu własnego ślubu, z makijażem od artystów z „Vogue'a”, będę się cieszyć, gdy uciulam siedem) zawsze wiedziałam, że to ja mam władzę.

Nic wielkiego się nie zdarzyło, tylko tysiące drobnych uprzejmości. Wypełnił sypialnię zapachem jaśminu, bo wspomniałam, że go lubię. Nie spał całą noc, przepytując mnie przed egzaminem, nie obrażał się nigdy, gdy wrzeszczałam na niego w zdenerwowaniu lub z czystej złości. Kiedy zachciało mi się nart w Kolorado, był szczęśliwy, że może mnie tam zabrać, choć zimna nie cierpiał z całą żarliwością Południowca, który nigdy nie doświadczył porannego przymrozku. Nie szczęśliwy dla świętego spokoju, lecz szczęśliwy jak dziecko w wigilijny wieczór. Być ze mną - to mu wystarczało. Cokolwiek proponowałam, uśmiechał się tym łagodnym uśmiechem wywołującym zmarszczki w kącikach błękitnych oczu i odpowiadał, że jeśli mnie to pasuje, to jemu też.

Nasz beztroski romans z zaskakującym sukcesem łączył karnawał z codziennym życiem. Byliśmy całkiem różnymi ludźmi, ale rozumieliśmy się.

Oboje wiedzieliśmy, jak to jest stracić rodzica w młodym wieku (w przypadku Jacksona oboje: jego rodzice zginęli w pożarze hotelu, kiedy miał jedenaście lat, i był wychowywany przez o sześć lat starszego brata Coopera). Oboje musieliśmy szybko dorosnąć i choć nasze reakcje na świadomość kruchości życia były odmienne - on chciał żyć dniem dzisiejszym, ja mieć pod kontrolą jutrzejszy - oboje zdawaliśmy sobie sprawę z chaosu, który kryje się tuż pod jego powierzchnią. Oboje kochaliśmy jazz i bluesa, Gregory'ego Pecka i architekturę baroku, a choć dla Jacksona spokojne wędrowki po górach stanowiły prawie takie samo wyzwanie, jak dla mnie wspinanie się po nich, dreszcze przyjemności wywoływały w nas obojgu spływy tratwą po górskich rzekach i kajakowanie. Tęskniłam wprawdzie za jasnymi światłami Londynu, ale w tych pierwszych dniach oboje byliśmy najszcześliwsi z dala od zgiełku, zaszyci gdzieś w drewnianej chałupce, za towarzystwo mając tylko nieszkodliwego czarnego niedźwiedzia.

Oczywiście kochałam Jacksona; nie sposób było go nie kochać. Dawał hojnie i niczego w zamian nie żądał (rozmowy o dzieciach przyszły dużo później). Zawsze miał dla mnie czas, był moim powiernikiem i towarzyszem, najdroższym przyjacielem.

Potrzebowałam go też z wielu powodów, ale najbardziej jako przeciwwagę fatalnego pociągu, jaki czułam do mężczyzn, którzy nie dawali się podporządkować, których nie obchodziło, czy czuję się bezpieczna. Facetów jak mój ojciec, którzy wciągali w wir i zatapiali.

Wszyscy zawieramy małżeństwa po części ze strachu: przed samotnością, przed tym, że umrzemy niekochani. Trzy miesiące po naszym poznaniu się poprosiłam Jacksona, żeby się ze mną ożenił, wiedząc, że choćby nawet miał jakieś obiekcje, nie zdobędzie się na odmowę. Poprosiłam, bo obawiałam się tego, co mogę zrobić, jeśli go nie poproszę.

Lucy podnosi na mnie wzrok z nad stanowiska pielęgniarek, gdzie przerzuca opasłą teczkę.

- Fajne buty.

Uśmiecha się smutno, a ja odpowiadam uśmiechem, czując ulgę z powodu tego nieoczekiwanego rozładowania napięcia. Wręcza mi teczkę.

- Przykro mi, że musiałam cię ściągnąć. To Anna Shore.

Cholera. Anna to jedna z tych pacjentek oddziału położniczego, które zapadły Lucy w serce: trzydzieści dziewięć lat i sześć poronień, w tym dwa nieprzyjemnie późno, w dziewiętnastym i dwudziestym tygodniu. Ta ciąża to jej ostatnia szansa na własne dziecko; Anna i jej mąż Dean już zdecydowali, że jeśli ta próba się nie powiedzie, nie będą po raz kolejny przechodzić przez ten męczący cykl nadziei i rozpacz.

- Przypomnij mi, który to tydzień?

- Dwudziesty trzeci. A dokładnie: dwadzieścia dwa i sześć dni.

- Cholera.

Przerzucam notatki, próbując na ich podstawie ustalić, jak rozwinięte jest dziecko. Polityką szpitala jest nie ratować dzieci poniżej dwudziestego trzeciego tygodnia ciąży; urodzone na granicy możliwości utrzymania się przy życiu mają - nawet przy naszej interwencji - minimalne szanse. Jestem wdzięczna Lucy, że mnie wezwała. Przypadek Anny nie należy do tych, które spokojnie mogłabym powierzyć starszemu lekarzowi dyżurnemu, a William jakoś to przeżyje.

- Słuchaj, Ella - mówi Lucy ostrożnie. - Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam. To był szok tak wpaść na was oboje. Powiedz Williamowi, że bardzo go przepraszam za ten sok z marchwi. Zapłacę za pralnię...

- Zapomnijmy o tym. Dobrze, że to nie była gorąca kawa.

- Bo wiesz, że ja bardzo lubię Jacksona, a przy tej sprawie z Lawrence'em...

- Zgodził się na poradnię?

Odnoszę wrażenie, że kurczy się w sobie, że nagle skóra wisi na niej luźno.

- Wystąpił o rozwód.

- Och, Lucy, kochanie. Tak mi przykro.

- Kurczę, Ella. Nie pocieszaj mnie, bo się całkiem rozkleję. - Opanowuje się z wyraźnym wysiłkiem. - Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale martwię się o ciebie. Jackson to taki dobry człowiek. Możecie być razem naprawdę szczęśliwi. Nie chcę, żeby ta historia z Williamem kiedyś rąbnęła cię między oczy.

- Zdaję sobie sprawę, że nabałagałam, ale...

- Osiem lat, Ella!

- No dobrze. Trochę się przeciągnęło. Ale przecież nie widzimy się często. - Zamykam teczkę. - Lucy, przecież wiesz, co się za tym kryje. Chodzi o ciebie i Lawrence'a, a nie...

- Kochasz go?

- Jacksona czy Williama?

- Obojętne! - wykrzykuje rozwścieczona.

- To nie takie proste. Życie nie jest czarno-białe...

- A właśnie, że pewne rzeczy są. - Patrzy na mnie ostro. - Mogłaś igrać z ogniem, kiedy byłyśmy studentkami, ale teraz jest inaczej. Teraz jest prawdziwe życie. Gdy spotkałaś Jacksona, myślałam, że w końcu pozbędziesz się tego gryzącego cię robaka. Widocznie się myliłam.

Zastanawiam się, jak to sensownie wyjaśnić. Kiedy w wieku dwudziestu pięciu lat wychodziłam za Jacksona, miałam szczerzy zamiar być mu zawsze wierna. Sądziłam, że wystarczy, że chcę go kochać. Ale nie minął nawet rok i odkryłam, że dostawanie tego, czego się pragnie, nie jest takie cudowne, jak się ludziom wydaje. Jackson nigdy, ale to nigdy nie powiedział mi „nie”, szybko jednak zdałam sobie sprawę, że pozwala mi robić wszystko po swojemu nie tyle z miłości, ile z chęci pozbycia się odpowiedzialności. Poślubiłam emocjonalne dziecko; a czemu miałabym pragnąć dziecka, skoro już matkowałam swojemu mężowi?

Miałam nadzieję, że powrót do Londynu, mojego stałego miejsca zamieszkania, jakimś cudem nada nowy impuls naszym stosunkom. Ale wtedy, niecały tydzień po naszej trzeciej rocznicy ślubu, poznałam Williama.

Nie był ani tak przystojny, ani tak czarujący jak Jackson. O dwanaście lat starszy, twardy, cyniczny, czujący potrzebę kontroli seksista, stanowił całkowite przeciwieństwo mojego męża. I miał to coś, czego brakowało Jacksonowi.

Czułam się, jakby przejechał mnie pociąg. Seksualna chemia była oczywista, ale chodziło nie tylko o to. Spotkanie Williama uświadomiło mi, jak bardzo oszukiwałam nie tyle Jacksona, ile samą siebie, wybierając bezpieczne wyjście i wychodząc za niego. Z Williamem przepoczwarzałam się w osobę, jaką zawsze chciałam być: pewną siebie, atrakcyjną, zmysłową. Stanowił dla mnie wyzwanie; bycie z nim było jak balansowanie na linie - przerażające i podniecające zarazem. Jeden zły ruch i mogę go stracić; albo, co gorsza, zakochać się.

Nigdy nie myślałam o porzuceniu Jacksona. Wyszłam za niego, żeby uchronić się przed facetami w rodzaju Williama Ashfielda. I bardzo lubiłam swojego męża. Nic z tego wszystkiego nie było jego winą. Ale nie mogłam znieść myśli o spędzeniu reszty życia bez doświadczania uczuć silniejszych od sympatii.

William chciał tego samego, co ja: uciezki. Możliwości zagrania w „jak mogłoby być” bez ryzykowania tego, co jest.

Nie wiem, co się dzieje, ale chyba zaraz się rozpłaczę. Mrugam wściekle, zaskoczona i wstrząśnięta. Nigdy nie przynoszę spraw osobistych do pracy.

- Przepraszam, Ella. Nie chciałam cię zdenerwować...

- Nie zdenerwowałaś. To mój problem, nie twój.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robić.

- Można tak założyć, po ośmiu latach.

- W życiu nie spotkałam osoby bardziej opanowanej od ciebie - mówi Lucy. -

Ale nawet ty nie spodziewaj się, że możesz prowadzić dwa odrębne życia, które nigdy nie będą kolidowały ze sobą, choćby tylko w twojej głowie. Chcesz czy nie, uczucia wcześniej czy później wypłyną na powierzchnię.

Lucy to moja najbliższa przyjaciółka, ale nie wie, o czym mówi. Wszystko jest w absolutnym porządku. Moje życie jest perfekcyjnie zorganizowane. Jackson nigdy się nie dowie; nic złego się nie stanie. Wszystko jest pod kontrolą.

Podskakuję na astmatyczny odgłos wiktoriańskiej windy. Moja uwaga od razu szczęśliwie skupia się na pacjentce. „Uciekasz w pracę i nazywasz to altruizmem”, powiedział kiedyś Jackson w jednym z nielicznych przyływów złości. „Dla mnie to jest tchórzostwo”.

Personel medyczny wytacza z windy szpitalne łóżko. Rozgorączkowany mąż Anny Shore usiłuje trzymać ją za rękę, kiedy kawalkada posuwa się naprzód. Za nimi kroczy Richard Angel, naczelny szpitalny liczygrosz - zwany, bez śladu ironii, Aniołem Śmierci. Jego rzadkie blond włosy są obcięte tak fatalnie, że niemal niechlujnie. Bez przerwy strzela palcami, irytujący nerwowy tik.

- Cholera - mruczy Lucy. - Miałam cię ostrzec.

- Jeśli można coś powiedzieć... - zaczyna Angel.

Lucy znika w prywatnym gabinecie, żeby zbadać Annę, a Angel i ja patrzymy na siebie wilkiem znad kontuaru pielęgniarek. Dokucza mi świadomość braku majtek.

Kiedy Lucy wraca, rozpoznanie ma wypisane na twarzy.

- Lekarstwa nie działają, Ella. Zaczęła rodzić. Obiecałam, że z nią porozmawiasz i wyjaśnisz, co będzie się działo dalej.

Jasne. To ja zawsze muszę przekazywać złe wiadomości. Lucy jest za piękna, by to robić. Ja, piegowata, z ohydnyimi imbirowymi kędziorami i nosem Depardieu, mam wygląd stosowny do tragedii.

Gdy wchodzę do pokoju Anny i siadam na krawędzi łóżka, zalewa mnie fala smutku. To nie strach w jej oczach mnie powala, lecz nieustająca nadzieja.

- Anno - mówię łagodnie - próbowaliśmy powstrzymać akcję porodową, ale się nie udało. Twoja córka urodzi się w ciągu około godziny. Daliśmy jej steroidy, żeby przygotować jej płuca, ale mamy mało czasu. Ona jest maleńka, Anno. Waży najwyżej pół kilograma. Zdajesz sobie sprawę, jak to niewiele?

- Pół torebki cukru - szepcze Anna.

- Jest właśnie taka maleńka, kochanie. Niecałe dwadzieścia trzy tygodnie.

Powiem ci teraz, co to oznacza, a ty będziesz dzielna. Postarasz się?

Spogląda na męża, a potem kiwa głową, zaciskając palce na mojej dłoni.

- Tracimy dwie trzecie dzieci w czasie tak przedwczesnych porodów. Po prostu nie wytrzymują tego, ich płuca nie są wystarczająco silne. Jeśli zdołają przeżyć poród, trzeba im pomóc oddychać. Podajemy środek zwany surfaktantem, który zapobiega sklejeniu się ich płuc i ułatwia oddychanie...

- A uszkodzenie mózgu? - pyta z obawą Dean.

- Kiedy dziecko rodzi się tak wcześnie, jest wysokie ryzyko, że dostanie krwawienia śródczaszkowego.

- Jak wysokie?

- Przy tak małych dzieciach jeden na troje niemowlaków. Anna zamyka oczy i odwraca głowę.

Boże, za każdym razem jest tak samo trudno.

- Anno, to nie oznacza, że dziecko będzie miało uszkodzony mózg. Tak źle kończy się tylko w małym procencie przypadków...

- Chwileczkę. Co znaczy: „tak źle się kończy”? - przerywa Dean. - O czym mówimy?

- O niepełnosprawności ruchowej, kłopotach w szkole, tego rodzaju sprawach.

- A kiedy będziecie wiedzieć, czy będzie normalna?

- Trudno powiedzieć w przypadku takiego maleństwa. Przykro mi, wiem, że nie jest państwu łatwo. - Przerywam; czuję ucisk w sercu, gdy szukam właściwych słów, by im pomóc. - Czasem, gdy dziecko jest takie maleńkie, lepiej pozwolić mu odejść. Interwencja może być bardzo traumatyczna i dla was, i dla dziecka, a kiedy perspektywy są tak niepewne...

- Nie obchodzi mnie, że nie będzie doskonała! - krzyczy Anna. - Nie obchodzi mnie, nawet jeśli resztę życia będziemy musieli spędzić, opiekując się nią!

Dean przetyka ślinę.

- A jeśli jej się uda? Co dalej, doktor Stuart?

- Mówcie mi Ella - proszę. - Słuchaj, Dean, nie chcę was okłamywać. Jest mnóstwo przeszkód, którym takie maleństwo musi stawić czoło, ale nie ma sensu

straszyć was teraz wyliczanką. Skupmy się na tym, co jest tutaj i teraz, a nie na tym, co może się okazać później. Chciałabym, żebyście dobrze zrozumieli, co się będzie działo, gdy zacznie się poród, bo mogę nie mieć czasu na wyjaśnianie tego w trakcie. Możecie być zmuszeni szybko podejmować bardzo trudne decyzje.

Dean kiwa głową i zaciska szczęki, usiłując powstrzymać łzy. Jezu, dlaczego ludzie chcą być rodzicami i narażają się na takie przejścia? Posiadanie dziecka to jak zgoda na to, by przez resztę życia nasze serce biegało poza naszym ciałem.

- Jeśli będziecie chcieli nas zatrzymać w którymś momencie resuscytacji, powiedzcie - dodaję łagodnie. - Nikt nic złego o was nie pomyśli.

Spod zamkniętych powiek Anny płyną łzy.

- Nie obchodzi mnie, co będziecie robić. Tylko się nie poddawajcie. Proszę.

Następnych czterdzieści minut spędzam, przygotowując się z zespołem neonatologicznym, dotkliwie świadoma, że w tym samym szpitalu inny zespół szykuje się do aborcji dziecka o tydzień starszego niż to, które my chcemy uratować. Wiem, że jest duże prawdopodobieństwo, iż córka Anny umrze. Miałam do czynienia z tysiącem równie tragicznych przypadków. Czemu akurat tym tak bardzo się przejmuję?

Kiedy Lucy wzywa mnie do sali porodowej, mijam Richarda Angela. Zerka na moje szkarłatne szpilki i już otwiera usta, ale w porę się powstrzymuje.

- Co ty tu jeszcze robisz? - pytam. - Nie czeka na ciebie w domu walentynka? Biegnie, by za mną nadażyć, jego palce strzelają jak u kościotrupa.

- Nowa polityka. Oczekuję, że będę informowany o wszystkich przypadkach granicznych.

- Granicznych?

- Zna pani zasady, doktor Stuart. To jak najbardziej sensowne...

- Chwileczkę. Czyżbym przegapiła twój dyplom szkoły medycznej? - syczę. -

Od kiedy masz kwalifikacje, by określać zdolność utrzymania się przy życiu? Tylko małe dzieci zamierzasz spuszczać z wodą czy planujesz też odbycie rundki po salach geriatrycznych i powyciąganie wtyczek?

Wygląda, jakby chciał mnie uderzyć. Patrzę, jak walczy, by nie stracić panowania nad sobą, i nie przejmuję się zbytnio, że właśnie zrobiłam sobie niebezpiecznego wroga.

- Ktoś musi być odpowiedzialny za koszty funkcjonowania szpitala, doktor Stuart. Jeśli pani oddział wyda za dużo, będziemy musieli ciąć gdzie indziej. Jeden dzień na OIOM-ie kosztuje tyle, co...

- Oczekujesz, że będę stała i przypatrywała się, jak to dziecko umiera?

- Ten płód - poprawia - jest za mały, by przeżyć.

- Ustalmy fakty. Jest dziesięć po dwunastej - mówię ostro - co oznacza, że od dziesięciu minut to dziecko ma dwadzieścia trzy tygodnie. Zgarnęło wielką wygraną. Strzał w życie. A teraz proszę mi wybaczyć, czeka na mnie pacjentka.

Powinnam się cieszyć. Angel miał po swojej stronie zarówno prawdopodobieństwo, jak i statystyki. Jednakże wbrew oczekiwaniom córeczka Anny i Deana - słusznie nazwana Hope - skwapliwie skorzystała z oferowanej jej szansy. Następne cztery miesiące spędzi na OIOM-ie, z tuzinem przewodów wgryzających się w maleńkie ciało; miną tygodnie, nim zacznie sama oddychać, ale żyje. Skan mózgu nie wykazał żadnych odchyłeń od normy, choć czeka nas długa droga, zanim będzie można przestać się martwić. Ryzyko infekcji u takiego maleństwa jest wysokie. Na razie wszystko jest dobrze.

Ale zwykła w takich razach euforia nie nadchodzi. Parę minut po czwartej wchodzę cicho do mieszkania Williama, zupełnie bez nastroju. Dręczy mnie jakiś dziwny niepokój. Po raz pierwszy od lat mam ochotę na papierosa.

Nalewam sobie szklankę wody z kranu, dodaję cztery kostki lodu - dzięki ci, Ameryko - i przez ciemny hol idę na palcach w stronę sypialni, krzywiąc się jak nastolatka, gdy lód stuka o szklankę. Przez dłuższą chwilę stoję w otwartych drzwiach, oparta o futrynę. Śpiący William, z twarzą wolną od maski cynizmu, nie wygląda na swoje czterdzieści osiem lat. Nie jest przystojny w potocznym rozumieniu tego słowa, rysy ma zbyt nieregularne. Prawą szczękę przecina ponad siedmiocentymetrowa blizna, skutek wypadku podczas wspinaczki w wieku

jedenastu lat. Wciąż zacina ją podczas golenia; to jeden z powodów, dla których nosi stylową brodę - już siwiejącą, zauważam, podobnie jak przydługie włosy. Ma ciężką, lwią grzywę, a kiedy się uśmiecha, żółtobrazowe oczy lśnią miedzianym blaskiem. Gdy jest zły, ciemnieją do barwy ziaren kawy. Nie sposób się domyślić siły jego uroku ani seksualnej energii, dopóki nie jest się ich podmiotem.

Nie jestem w nim zakochana. Od początku wiedziałam, że nie mogę sobie na to pozwolić - zwłaszcza po Cyprze. Rozwód z Beth nie wchodził w grę, a biorąc pod uwagę jej kłopoty, nigdy bym go nawet nie chciała. Nie było go w naszej umowie.

Nagle znużona, wypijam do końca wodę i zrzucam ubranie, idąc do łazienki umyć zęby. Widzę, że o kilka dni za wcześnie zaczął mi się okres; porywam z torby z przyborami do mycia kryzysowy tampon i notuję w myślach, żeby jutro - a właściwie już dzisiaj - kupić w kiosku na rogu nowe opakowanie.

Kiedy wślizguję się do łóżka i kładę obok Williama, jest wpół do piątej, za późno, żeby podjąć to, co przerwaliśmy. Za pół godziny dzwoni jego budzik; choć William jest właścicielem świetnie prosperującej agencji PR, zatrudniającej ponad czterdzieści osób, zawsze przychodzi do biura pierwszy i wychodzi ostatni. Gdybym ja poślubiła Beth, pewnie robiłabym tak samo. Mam dużo szczęścia, bo wyszłam za mężczyznę, którego przynajmniej mogę szanować.

Słowa Lucy zapadły we mnie głębiej, niż chciałabym przyznać. Po raz pierwszy od dawna pozwalałam sobie na rozważania, jak by to było musieć żyć bez Jacksona. Trochę mnie dziwi, że aż tak bardzo bym tego nie chciała. Wiem, że zasłużyłam na to, by go stracić. Zawsze kontrolowałam swoje uczucia do Williama, pilnowałam, by nasz związek zajmował w moim sercu i umyśle wydzielone miejsce; nigdy bym nie zostawiła Jacksona. Ale marnym byłoby dla niego pocieszeniem, gdyby się dowiedział o moim romansie. Ta wiedza złamałaby mu serce; a to z kolei złamałoby moje.

Uświadamiam sobie, że nieznanome uczucie czające się gdzieś w moim wnętrzu to wstyd. Nie taką żoną chciałam kiedyś być. Zawiodłam męża; nie tylko

okłamywałam go, odmówiłam mu także jedynej rzeczy, o jaką mnie kiedykolwiek prosił. Czy dziecko to naprawdę taki zły pomysł?

Gdy dzwoni moja komórka, William się porusza. Sięgam po telefon i widzę na wyświetlaczu numer szpitala. Serce we mnie zamiera. Kiedy wychodziłam z OIOM-u, stan Hope wydawał się stabilny...

Ale po drugiej stronie linii jest oddział wypadkowy, nie OIOM. Gdy parę minut później kończę rozmowę, nie jestem już żoną, ani wiarołomną, ani jakąkolwiek inną.

Jestem wdową.

8 marca 1997 roku

Chapel Hill Road

Durham

Karolina Północna 27707

Drogi Cooperze!

Żyję jeszcze, wbrew temu, co pewnie sobie myślisz! Przepraszam, że tyle czasu się nie odzywałem, ale to były szalone miesiące. Byłoby łatwiej, gdybyś był w sieci. Kiedy się podłączysz, będziesz mógł dostawać te sprytne elektroniczne listy, nazywają je e-mailami, może słyszałeś?

Tak czy owak, jestem z powrotem w Kraju Smoły; zawsze mówiłeś, że długo bez gór nie wytrzymam! Zadzwoiłbym do Ciebie przed wyjazdem z Nowego Orkanu, ale wszystko działało się tak szybko, że nie zdążyłem. W moim nowym mieszkaniu nie mam jeszcze telefonu, a gospodarzowi się z tym nie śpieszy, więc podejrzewam, że ten list musi Ci chwilowo wystarczyć.

Rzecz w tym, że poznałem dziewczynę. Nazywa się Ella Stuart i jest najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu. Jest Angielką (ten cudowny akcent!) i jest lekarzem - no, prawie, uczy się na lekarza, tutaj, w Duke.

Czuję, że wszystko zaczyna Ci się układać, pewnie kręcisz głową i zastanawiasz się, w jakie kłopoty Twój braciszek wpakował się tym razem, ale to zupełnie nie tak. Ta dziewczyna naprawdę ma w sobie coś; gdy ją poznasz, zrozumiesz, o czym mówię.

No więc było tak: kilka tygodni temu, w pierwszą noc karnawału, przekroczyłem Słynne Drzwi (pamiętasz, zabrałem Cię tam, gdy ostatnio byłeś w Easy; zaczął Cię ten transwestyta) i ledwie wszedłem, zobaczyłem ją. Nie sposób jej nie zauważyć, Coop, z tymi długimi, czerwonymi jak zachodzące słońce włosami i ogromnymi złotymi oczami, które przywodzą mi na myśl mrożoną herbatę Lolly. Rozmawiała z przyjaciółką, ale właśnie wtedy odwróciła się i napotkała moje spojrzenie. Coś we mnie zaskoczyło, jakby jakaś zapadka wskoczyła na właściwe miejsce. Nie mogłem odwrócić od niej wzroku. W jej twarzy, choć niby taka wygadana, kryją się nieufność i smutek jednocześnie. Dobrze to ukrywa, ale one tam są. Na pozór twarda, tak naprawdę jest słodka jak miód.

No więc stoję tam, próbując wymyślić jakąś inteligentną odzywkę, a ona podchodzi i całuje mnie! Przysięgam, jeszcze dziesięć minut później czułem mrowienie w palcach. Jak to się mówi? Coup de foudre czy jakoś tak. Kiedy wiesz, że życie już nigdy nie będzie takie, jak było.

Założę się, że zaśmiewasz się teraz do łez na ganku za domem i nie możesz się nadziwić, że Twój brat skończył jak głupiec, robiąc maślane oczy do jakiejś dziewczyny. Ale to nie jest nawet połowa całej historii, więc lepiej nalej sobie szklaneczkę.

Następnego dnia powiedziała mi, że studiuje w Duke, a ja jej na to, że właśnie dostałem tam pracę. Nie pytaj, co mnie do tego skłoniło, Coop, nie umiałbym ci tego wyjaśnić; wiedziałem tylko, że nie mogę pozwolić jej się wymknąć. W rezultacie trzy ostatnie tygodnie spędziłem, przywołując na pomoc wszelkie możliwe znajomości, i jakieś dwa dni temu zaproponowano mi pracę na Wydziale Nauk o Ziemi i Oceanach. Zaczynam od poniedziałku! Płacę gorzej niż w Tulane, ale podoba mi się

pomysł pracy dla środowiska, mam dość zbierania kapitałów. Więc złożyłem wymówienie i wczoraj przyjechałem tutaj.

Teraz siedzę sobie w wynajętym mieszkaniu, bez żadnego mebla poza łóżkiem i krzesłem, i zastanawiam się, czy nie zrobiłem z siebie największego głupca od czasu, kiedy stary Allen przyłapał mnie z Blair w tartaku.

Bo szczerze mówiąc, Coop, całkiem straciłem głowę dla Elli, a nie wiem, czy ona jest do mnie przekonana, i kompletnie nie mam pojęcia, co robić. Wiem, że mnie lubi, ale jestem niemal pewien, że naszą randkę uznała za weekendowy wyglup. Jak mam dobić interesu, brachu? Raz jest gorąca, raz zimna; w jednej chwili klei się do mnie, a w następnej czuję się prawie wykopany za drzwi. Chyba musiał ją kiedyś oszukać jakiś facet, z tych, co to nie splamią się przyzwoitością, a mnie tę jedną rzecz trzeba przyznać - mówię to, co myślę, i robię to, co mówię. Jeśli uda mi się zdobyć jej zaufanie, nigdy nie dam jej powodu, żeby tego żałowała.

Myślę, że to wszystko jest rezultatem prawa karmy, odplatą za serca, które zламаłem wcześniej. Nie mogę się doczekać, kiedy Ty i Lolly poznacie Ellę. To ta jedyna, Coop. Widzę nas, jak siedzimy na huśtawce w starym miejscu taty nad jeziorem, oglądamy zachód słońca nad górami, patrzymy, jak rosną nasze dzieci. Nie mogę tego zmarnować, Bracie.

Teraz już kończę, bo muszę rozpakować parę paczek, zanim ona przyjdzie. Może uda mi się znaleźć jaśmin - powiedziała, że kocha ten zapach, zupełnie jak mama. Och, jak ja tęsknię za mamą.

Odpisz szybko, ucałuj ode mnie Lolly i rozejrzyj się w końcu za komputerem!

Jackson

Rozdział 2

William

Boże Wszechmogący, ten biedny sukinsyn miał zaledwie czterdzieści jeden lat, o siedem lat mniej ode mnie. I, jeśli wierzyć Elli, był typem pieprzonego sportowca: dzień w dzień rower, a w weekendy jogging wzdłuż Tamizy. Ciągłe czyta się o takich nieszczęśnikach ze świrem na punkcie zdrowia, co to w spodenkach do biegania odwalają gdzieś kitę. Rzeczywiście istne okazy zdrowia (jeśli pominąć smutny fakt, że już nie żyją); ale on nie od biegania dostał tego zawału. Cholerny wirus.

Kurczę, to daje do myślenia. Taki pech może się przytrafić każdemu, choćby ja mogę być następny. Ella mówi, że tego się nie da złapać, że to jedna z tych dziwacznych infekcji, co biorą się znikąd, ale powiedzmy sobie jasno - ona jest pediatrą, nie immunologiem...

- Panie Ashfield, wszystko w porządku? Wzdrygam się.

- Przepraszam, Carolyn, trochę odpłynąłem.

Moja asystentka sprawdza coś w notatniku, brodawki jej sterczą od chłodu klimatyzacji.

- Joe oczekuje decyzji w sprawie oferty Brunswicka. Powiedziałam mu, że wciąż czeka pan na wiadomość od Nataszy i że skontaktujemy się w przyszłym tygodniu. Nie był zachwycony, ale jakoś to przeżyje.

- Dobrze. Czy Sky dała nam już odpowiedź w sprawie wywiadu z Malinche?

- Wciąż czekamy. Ma pan chyba z tuzin wiadomości od Andammona, są naprawdę napaleni...

- Nie interesuje mnie to. Jeśli zaczniemy reprezentować żony futbolistów, nasi najlepsi klienci wydepczą autostradę spod naszych drzwi. Powiedz im, że na razie nikogo więcej nie bierzemy, i daj im numer Clifforda.

Patrząc, jak unosi swój zgrabny tyłeczek i wychodzi z pokoju, po czym obracam krzesło w stronę okna na całą ścianę, ledwo dostrzegając oszalamiającą

panoramę Canary Wharf. Zabawne, najpierw latami się na coś haruje, a potem prawie tego nie zauważa.

Nie mogę przestać myśleć o mężu Elli. To dość dziwne, zważywszy na fakt, że choć przez osiem lat regularnie posuwałem jego żonę, jemu nie poświęciłem ani jednej myśli, dopóki tydzień temu nie zameldował się w kostnicy.

Nie jestem z tego, kurwa, dumny; stukanie cudzej żony to nie przelewki. Gdyby Jackson pokapował się, co się dzieje, miałby słuszne prawo powiesić mnie za jaja. Na swoją obronę mam tylko tyle, że nie chciałem rozbijać tego małżeństwa. Może gdyby nie Beth, gdyby nie była w takim stanie...

Tak czy owak, od samego początku oboje wiedzieliśmy, że rozwód nie wchodzi w grę. A po Cyprze tym bardziej; Ella nie zgodziłaby się na nic innego.

No, ale to w moim łóżku była, kiedy się dowiedziała, że jej mąż kopnął w kalendarz. Nie moja wina, a czuję się z tego powodu trochę jak kutas.

Teraz, rzecz jasna, myśli, że gdyby była przy nim, sprawy potoczyłyby się inaczej, że może dostrzegłaby objawy - chociaż na mój rozum, problem w tym, że żadnych nie było.

Nigdy wcześniej nie widziałem Elli w takim stanie. Ona nie ma wyrzutów sumienia, trapiących nas, zwykłych śmiertelników; nigdy też nie wątpi w siebie, co jest bardzo seksowne i bardzo wygodne, zwłaszcza dla lekarza - gdyby w nieskończoność roztrząsał każdą krytyczną decyzję, już dawno by zbzikował. Ale w końcu każdego to dopada.... Nawet cyniczną, piękną Ellę.

Przecieram twarz dłonią, próbując opanować narastające zmęczenie. Ostatnio nie sypiam dobrze, bo Beth czuje się nie najlepiej. Trzymam się nadziei, że tylko tęskni za chłopcami i nie jesteśmy znów na równi pochyłej, ale na razie mam w domu dużo obowiązków. No i Cate wkroczyła w trudny wiek. Relacje między matką a dorastającą córką nigdy nie są łatwe, nawet w zwykłych okolicznościach.

A teraz Ella. Trudno powiedzieć, jak to się dalej potoczy. Ni z tego, ni z owego została sama. Znowu do wzięcia, po tylu latach.

Oby nie wpadł jej do głowy jakiś pomysł na nasz temat. Wydaje się, że dochodzi do siebie, ale nigdy nic nie wiadomo. Sam raz czy dwa przyłapałem się na zabawie w „co by było, gdyby?” Jednym słowem, śmierć Jacksona rozsypała worek z kłopotami...

Dzwoni komórka.

- Cate - mówię z radością. Siedemnastoletnia córka rzadko sprawia mi przyjemność, dzwoniąc z własnej woli. - Właśnie o tobie...

- Tato - przerywa mi - przyjedź do domu. Szybko.

Kiedy otwieram frontowe drzwi, dom jest chłodny i cichy. Rzucam teczkę na stół w holu i biegnę do kuchni. W piecyku stoją zwęglone resztki potrawy z wołowiny, którą wstawiłem tam dziś o szóstej rano. Walę pięścią w ścianę. Cholera, Beth! Może nie najlepiej radzę sobie w kuchni, ale wstałem dziś z pierwszym pierdnięciem wróbla, żeby po ciemku skrobać pieprzoną marchew! Prosiłem tylko, żebyś w południe wyjęła brytfankę. Czy to naprawdę tak dużo?

Wrzucam przypalone naczynia do zlewu i puszczam gorącą wodę, z trudem utrzymując nerwy na wodzy. To nie jej wina, nie jej wina. Ale na Boga, moja też nie!

Drzwi do pokoju Cate są zamknięte. Po korytarzu niesie się dudnienie muzyki. Już podnoszę rękę, by zapukać, ale rozmyślam się. Cate to rozumne dziecko, lecz przecież jeszcze dziecko. Powinna szaleć za gwiazdoram pop i ciuchami i myśleć o egzaminach, zamiast pomagać mi trzymać cały ten bajzel w kupie, podczas gdy jej matka rozpada się na kawałki, raniąc nas odłamkami.

Idę do naszej sypialni. Beth siedzi na krawędzi rozbabranego łóżka w bezkształtnej flanelowej koszuli nocnej i huśta na bosej stopie laczek kąpielowy. Chyba nie poruszyła się, odkąd rano wyszedłem.

Ogarniają mnie złe przeczucia. Nie widziałem jej w takim stanie od lat, na pewno nie od czasów, kiedy Sam był mały. Mówię do niej, ale nie odpowiada. Kucam i powtarzam jej imię. Nawet mrugnięciem oka nie zdradza, że mnie usłyszała.

- Beth, kochanie, nie rób mi tego. Chociaż spróbuj. - Delikatnie ujmuję ją za podbródek i zwracam jej twarz w swoją stronę. Mruga gwałtownie, jakbym zaświecił jej w oczy latarką. - Kochanie, wiem, że tam jesteś. Nie pozwolę ci się poddać.

Błękitne oczy są bez wyrazu, lecz wciąż przytomne, zauważam z ulgą.

- No, kochanie, rusz się. Wiem, że tęsknisz za chłopcami, ale oni wrócą, gdy tylko skończy się semestr. Sam ma przepustkę na najbliższy weekend, a Ben za parę tygodni przyjedzie z Oksfordu.

- Chcę umrzeć - odpowiada moja żona. Wspaniale. No cóż, przynajmniej może mówić.

- Wiesz, że to nieprawda.

- Nie chcę się dłużej tak czuć. Chcę, żeby to się wreszcie skończyło. Chcę przestać istnieć.

- To nie jest wyjście, Beth. Mnie też jest ciężko. Ale uporamy się z tym, jak zawsze. Może powinniśmy odwiedzić doktora Stone'a i wziąć kolejną receptę. Zwiększyć dawkę.

Wstaję i włączam nocną lampkę. Potem zaciągam kotary, które rozsuwałem rano.

- Nie chcę żadnych lekarstw.

Ja tam bym chciał. Najlepiej te, które Ben uprawia po kryjomu przy jabłoni, między krzakami pomidorów, żeby nie zdradziły go charakterystyczne liście.

- Beth, kochanie, chyba widzisz, że tak dalej być nie może. Spójrz na siebie: od ponad dwunastu godzin nie ruszyłaś się z miejsca. Nie chciało ci się ubrać ani wyjąć obiadu z pieca, nie wspominając już o zajęciu się Cate. Kochanie, nawet sobą nie jesteś się w stanie zająć.

Wciąż ładna twarz Beth jest nieruchoma jak maska. Nie mam pojęcia, co - jeśli cokolwiek - przedostaje się do jej głowy. Nie cierpię, kiedy się tak zamyka.

Opanowuję nagłą chęć wytrząśnięcia z niej odpowiedzi. To nie jej wina. Muszę to sobie stale powtarzać.

- Słuchaj, jeśli będzie trzeba, zmienimy lekarstwo. Wezmę parę dni wolnego i wyjedziemy na trochę, zrobimy wszystko, co konieczne...

- Naprawdę nie rozumiesz?! - wykrzykuje nagle. - Tu nie chodzi o chłopców. Tu chodzi o mnie. O to, jak się czuję. Proponując wyjazd nad morze, nie pocieszysz mnie ani nie wyciągniesz z tego stanu. Nie rozumiesz, że dałabym wszystko, żeby się zmienić?

Uderza się pięścią w udo i jeszcze bardziej podnosi głos.

- Wolę umrzeć, niż obudzić się jutro i znów czuć się tak samo. Jedyne powód, dla którego wciąż tu jestem, to to, że za bardzo się boję, aby wreszcie to zakończyć.

Ukrywa twarz w dłoniach. Już chce otoczyć ją ramionami i pocieszyć, ale nagle przychodzi mi na myśl Ella, która od ośmiu lat jest moją liną ratunkową. Silna, nieustraszone Ella, powalona w ułamku sekundy przez śmierć męża. Czym byłaby dla mnie śmierć Beth? Świadomością, że nagle wszystko tracę?

Strach przeradza się w gniew.

- Może dla ciebie śmierć jest lepsza, ale co będzie z tymi, których zostawisz? - mówię. - Z Benem, Cate i Samem? Co ze mną?

- Będzie wam lepiej beze mnie.

Nie zaprzeczam. Przez dwadzieścia jeden lat ugłaskiwałem moją pełną problemów żonę i znosiłem wszystko. Może nie dotrzymałem w całości przysięgi małżeńskiej - Boże, wybac mi - ale wytrwałem w tym, co naprawdę się liczy: że pozostanie moją żoną w zdrowiu i chorobie. Nawet kiedy całkiem z nią źle i nie pamięta, jak się nazywa. Kochałem ją tak mocno, jak umiałem, i najlepiej, jak umiałem, Zdarzały się skoki w bok - przecież jestem tylko człowiekiem - ale nie poważnego, nie przed Ellą. A ona od razu jasno powiedziała, że nie zostawi męża, więc problem rozwodu zniknął raz na zawsze.

Teraz jednak źródło współczucia wyschło. Jestem zmęczony troską o Beth, mam dość jej depresji, bierności i tego ciągłego poczucia nieszczęścia.

- Pozbieraj się - rzucam ostro i wychodzę z pokoju.

Wszystko zaczęło się po narodzinach Cate. Beth zawsze była spięta, ale przypisywałem to jej duszy artystki - poznaliśmy się na studenckiej wystawie jej prac, gdzie wystawiał obrazy również mój kuzyn. Nie pamiętam, jak nawiązaliśmy rozmowę. Beth oczywiście nie skończyła studiów. Przyłożył się do tego Ben, gdzieś w połowie ostatniego roku.

Miała dwadzieścia lat, była ode mnie siedem lat młodsza i ładna w ten niewinny sposób dziewczyny z sąsiedztwa. Roztaczała trochę staroświecką aurę; długie jasne włosy upinała w luźny kok opadający na ramiona i nosiła opaskę, a ubierała się w kaszmirowe kompleciki i perły - raczej jak debiutantka niż głodująca artystka - ale najbardziej mnie ujęła bezbronność w jasnoniebieskich oczach. Wydawała się krucha, skrzywdzona, wymagająca naprawy. Szukałem projektu naukowego, no i została nim Beth.

Pieprzyła się jak królik. Nigdy nie spotkałem kobiety, która częściej chciałaby seksu. Kręciło mnie to, bo przez minionych dziesięć lat nieraz otarłem się o bankructwo z powodu wystawnych obiadów i kwiatów, jakimi wabiłem dziewczyny do łóżka. Teraz ta pozornie nieśmiała angielska różyczka prawie zdzierała ze mnie ubranie, ilekroć stawałem w drzwiach.

Założyłem naiwnie, że jakoś się zabezpiecza. Dopiero kiedy o dwa miesiące spóźniał jej się okres, powiedziała mi, że przestała brać pigułki, bo ją od nich mdliło. Oczywiście zaproponowałem, że się z nią ożenię. Chciałem dopiec tej suce, mojej matce, która nigdy nie lubiła Beth.

Na naszym ślubie wszyscy zgodnie twierdzili, że stanowimy piękną parę. Wprawdzie nie byłem w siódmym niebie, ale dobrze nam się żyło, seks był częsty, choć nieco mdły. Nigdy nie kryłem, że zamierzam się ustatkować ze zwykłą miłą dziewczyną, która chętnie zajmie się domowym ogniskiem, kiedy będę zarabiał na chleb. Nie chciałem żadnej cwanej karierowiczki; jak na jedno życie miałem dość chwytających za jaja samic alfa. Nie miałem zamiaru skończyć jak mój biedny pieprzony tatuś.

Ledwie zdążyliśmy wytrząsnąć z włosów confetti, zacząłem sobie zdawać sprawę, że to, co brałem za zgodny charakter, w rzeczywistości było biernością; że przyzwolenie Beth na wszystko poza seksem mniej wynikało z chęci sprawienia mi przyjemności, a bardziej z tego, że wszystko jej jedno. Zawsze, w każdej sprawie.

Wybrałem pierwszy dom, który kupiliśmy, meble, które do niego wstawiliśmy, nawet poduszki na cholerną sofę. Mówiłem sobie, że to hormony - wiadomo że kobiety w ciąży są pogodne i niewzruszenie spokojne. Chyba nic w tym złego, prawda? Lepsze niż ciskanie talerzami i domaganie się ogłoszenia listy kochanek.

To przyszło, kiedy urodził się Ben, cztery miesiące po naszym ślubie. Biedny mały musiał nieraz się zastanawiać, czy nie przyszedł na świat w Bejrucie. Przez pierwszych kilka miesięcy jego życia ciągle wrzeszczeliśmy na siebie. Beth zalewała się łzami, jeśli kupiłem pełne mleko zamiast chudego. Omal nie złamała mi nosa, gdy zapomniałem nagrać odcinek *Casualty*, kiedy była na zakupach. Rozbiliśmy więcej talerzy niż niejedna grecka restauracja.

Ale w przerwach między kłótniami pieprzyliśmy się do nieprzytomności. A gdy Beth (nie dziwota) stwierdziła, że znów jest w ciąży - Ben miał zaledwie dziewięć tygodni - sytuacja się uspokoiła. Powróciwszy do swej pogodnej natury, Beth siadała w ogrodzie i godzinami kołysała Bena w wózku, głaszcząc swój duży brzuch, widocznie zadowolona z zanurzenia się w macierzyństwie i gospodarstwie domowym.

Kiedy urodziła się Cate, spałem się w sobie, szykując się do wojny powietrznej na talerze, ale nic takiego się nie wydarzyło. Zamiast tego Beth popadła w stan apatycznego cierpienia. Wracałem do domu i zastawałem ją nad zlewem, z rękami w wodzie, policzkami mokrymi od łez, niezdolną powiedzieć, o co właściwie chodzi.

Wkrótce stało się jasne, nawet dla tak niedoświadczonego młodego człowieka jak ja, że to nie była zwykła depresja poporodowa. Nie jadła, nie spała; jej nastrój wahał się między chęcią urwania mi głowy a niemal katatonią.

- Ona tonie, William - ostrzegła mnie teściowa, kiedy Cate miała jakieś cztery tygodnie. - Wiem, że robisz, co możesz, ale Beth potrzebuje profesjonalnej pomocy. Z siedzenia i czekania, aż samo jej się polepszy, nic dobrego nie wyniknie. Beth nigdy nie radziła sobie najlepiej z życiem. Musisz się nią zająć.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Próbowałem trochę mniej czasu spędzać w pracy, ale dopiero rozwijałem moją świeżo opierzoną firmę i nie mogłem sobie pozwolić na siedzenie w domu i pilnowanie dzieci, podczas gdy moja żona zapadała w śpiączkę, wpatrując się w ekran telewizora. Udało mi się posłać Bena i Cate na dwa przedpołudnia w tygodniu do żłobka w miejscowym centrum parafialnym i zatrudniłem sprzątaczkę, na którą mogliśmy sobie raz w tygodniu pozwolić. Ostatnim razem Beth w końcu doszła do siebie; jeśli uda nam się przetrwać jeszcze chwilę, pewnie i tym razem wszystko się jakoś ułoży.

Sześć tygodni później przyjechałem do domu i w progu zastałem policję. Zdarzył się wypadek - Beth pobiegła do rzeźnika, zostawiwszy dzieci w fotelikach, samochód zaparkowała na wzniesieniu, nie zaciągnęła hamulca ręcznego...

- To cud, że nikt nie został poważnie ranny - powiedział mi młody policjant w drodze do szpitala. - Samochód pańskiej żony przeciął cztery pasy ruchu na A22, uderzył w ogrodzenie i zakończył jazdę w pokoju dziennym starszej pani.

Dziękowałem Bogu, że jedyną ofiarą została stara papużka falista, która w tym zamieszaniu wydostała się jakoś z klatki i pożarł ją kot sąsiadów, a na dobranoc uściskałem dzieci nieco mocniej niż zwykle.

- Naprawdę nie chciałam, żeby im się coś stało, William - powiedziała Beth żałośnie wieczorem tego samego dnia. - Ale Cate nie chciała przestać płakać, a potem Ben też zaczął krzyczeć... Nie mogłam tego wytrzymać, chciałam tylko, żeby przestali...

Przerażony jej wyznaniem, następnego dnia zaprowadziłem żonę do psychiatry, który Zdiagnozował poważną depresję poporodową i zaczął ją leczyć antydepresantami.

Kiedy Beth zaczęła mówić o sobie jako o Maryi Dziewicy i o trzeciej nad ranem, w ramach przygotowań do drugiego przyjścia, wzięła się do sprzątania strychu, zmienił jej lekarstwa na antypsychotyczne. Odpowiedziała budową kurhanu w ogrodzie na tyłach domu.

Zaprowadziłem ją znów do lekarza.

- Chyba trzeba będzie pomyśleć o elektrowstrząsach - oznajmił ponuro.

Myśl o podłączeniu żony do prądu odrzucała mnie, więc powiedziałem mu, gdzie ma sobie wsadzić tę terapię w stylu Frankensteina. Przez następny tydzień na zmianę z Clarą pilnowaliśmy Beth, na wypadek gdyby coś jeszcze kombinowała z dziećmi, i podawaliśmy jej leki w jedzeniu, bo odkryliśmy, że szachruje.

Aż któregoś ranka teściowa zadzwoniła do mnie do pracy i powiedziała, że przyłapała Beth na karmieniu na siłę czteromiesięcznej Cate solą kuchenną, żeby ją „oczyścić”. Niechętnie, ale zgodziłem się na wstrząsy.

Przez dwa miesiące trzy razy w tygodniu woziłem żonę do prywatnej kliniki zdrowia psychicznego, godzinę drogi od domu, a Clara i Eithne, najlepsza przyjaciółka Beth, zajmowały się dziećmi. Czekałem na zewnątrz w samochodzie z wielką komórką i podczas gdy żonę znieczulali, przyczepiali jej elektrody do głowy i doprowadzali prądem do drgawek, usiłowałem utrzymać moją tonącą firmę na powierzchni. Beth wychodziła stamtąd tak splątana, że nie wiedziała nawet, jak się nazywa. Wiozłem ją z powrotem do domu i kładłem do łóżka, wdzięczny, że dzieci są tak małe, że nie powinny zapamiętać obłąkanej, bełkoczącej kobiety, która nie zważając na porę dnia czy nocy, błąka się po domu w szlafroku.

To wszystko było jak żywcem wyjęte z filmu grozy, ale terapia przynosiła rezultaty. Po paru tygodniach Beth zaczęło się polepszać; zanim Cate skończyła pół roku, niemal wróciła do siebie, choć w wersji bardzo przygaszonej.

Terapia zrujnowała ogromne połacie jej pamięci - nie pamiętała, jak się poznaliśmy ani jak rodziła Bena czy Cate. Miało to swoje dobre strony, bo, dzięki Bogu, zapomniała też, że uwielbiała EastEndersów. Ale stała się zapominalska, a jej

pewność siebie, której zawsze jej brakowało, zmalała do tego stopnia, że rozpływała się we łzach na samą myśl o wejściu do pokoju z obcymi ludźmi.

Wahania nastroju łagodziły podawane na przemian antydepresanty i środki na uspokojenie. Zdarzało jej się narzekać na utratę zdolności odczuwania - „Zupełnie jakby moje uczucia odrętwiały, William. Nie czuję ani szczęścia, ani smutku, zupełnie nic” - ale ilekroć próbowała odstawić leki, depresja wracała.

Na nieszczęście leki stłumiły również libido Beth. Nie tylko nie miała już ochoty na seks; po prostu go odmówiła.

Na nasze małżeństwo wpłynęło to katastrofalnie. Nie mogłem się porozumieć z żoną ani w zaciszu sypialni, ani poza nią; gdyby nie dzieci, to słowo daję, nie wiem, czybym został.

Kiedy Cate i Ben mieli trzy i cztery lata, wróciłem z podróży służbowej do Dublina (z ładniutką brunetką, asystentką, która nie dałaby rady stukać w klawiaturę więcej niż jednym palcem, nawet gdyby chodziło o jej życie; ale bądźmy wyrozumiali, wtedy nie uprawialiśmy z Beth seksu już od dwu i pół roku) i zastałem moją żonę biegającą na golasa po pobliskim parku i rozdającą przechodniom pięćofuntowe banknoty.

- Przynajmniej teraz już wiemy, gdzie tkwi problem - zauważył lekarz, stwierdzając psychozę maniakalno-depresyjną i wypisując receptę na lit. - To powinno jej pomóc wrócić do siebie. Dziwię się, że nie wpadliśmy na to wcześniej, ale może być tak, że impuls choroby dała depresja poporodowa. A lekarstwa, które wtedy brała, zamaskowały ją. Pewnie przed pierwszą ciążą nie zauważył pan żadnych tendencji maniakalnych?

- Na przykład czego?

- Nierozważnych zachowań, nadmiaru energii, lekkomyślnego wydawania pieniędzy, tego typu rzeczy.

- Ten opis pasuje do dziewięćdziesięciu procent moich byłych dziewczyn, ale nie do Beth. Chociaż, kiedy teraz o tym myślę, zdarzało jej się malować całymi

nocami. Potrafiła namalować cały obraz za jednym posiedzeniem, ale to chyba zwykły sposób pracy artystów. A poza tym nic...

- Nienormalnie wysokie libido? - zapytał doktor, skrobiąc coś w notatniku.

- Tak - przyznałem.

Lit pomógł Beth opanować wahania nastroju, nie robiąc z niej jednocześnie zombie. Stopniowo zaczęła związywać porwane nitki swego życia. W sypialni sprawy też uległy poprawie, chociaż do seksu dochodziło tylko za moją namową; jej dziki entuzjazm najwyraźniej zniknął na dobre. Czasem płakała bez powodu albo rzucała się z nadmiernym zapałem na nowe projekty (dom był zaśmiecony niedokończonymi gobelinami i bezkształtnymi glinianymi garnkami), ale summa summarum, ktoś, kto nie widział jej podczas najgorszych dni, nie zgadłby, że coś jest nie tak. Byłem pewny, że Ben i Cate nie zachowają w pamięci matki w stanie gorszym niż obecny.

Niestety, kiedy Cate miała dziewięć, a Ben dziesięć lat, Beth znów zaszła w ciążę.

Gdy w dwudziestym dziewiątym tygodniu zaczęła przedwcześnie rodzić, martwiłem się przede wszystkim o nią, nie o dziecko. W czasie ciąży ograniczono Beth lit, ale nie wyeliminowano go ze względu na ryzyko nawrotu. Po odkryciu zawodności cholemych greckich prezerwatyw (kupionych podczas wakacji na Rodos) myślałem tylko o tym, czy poród wywoła kolejny epizod psychotyczny.

Dopiero kiedy zaprowadzono nas na porodówkę i uderzająco piękna lekarka - blondynka z przyciągającym uwagę biustem - wyjaśniła nam możliwe komplikacje, ogarnął mnie potworny strach, że mój syn może umrzeć, nim zawita na ten świat.

- Podjęłam niezbędne środki ostrożności i poprosiłam o asystę neonatologa - wyjaśniała lekarka. - To jeden z najlepszych. Pański syn będzie w dobrych rękach, proszę mi wierzyć.

I tak poznałem Elle.

- Jestem mężatką - powiedziała.

- A ja mam żonę.

- Jestem szczęśliwą mężatką - podkreśliła. - Nie zamierzam zostawiać męża.

- Ja jestem... żonaty - skrzywiłem się - i zapewniam cię, że nie zamierzam zostawiać żony.

- W takim razie - spytała Ella - co tutaj robimy?

- Jeśli muszę to wyjaśniać, to popełniłem drugi poważny błąd w moim życiu.

W jej złotych oczach igrało rozbawienie, a szalone rude włosy sterczały na wszystkie strony jak sprężynki. Kipiała w niej z trudem opanowywana energia, od czubków długich, delikatnych palców, wystukujących teraz szybki rytm paczuszką cukru o blat z formiki, po cienkie jak brzytwa noski dziwacznych czerwonych botków na wysokich obcasach (nie takiego obuwia człowiek się spodziewa poniżej lekarskiego kitla). Nie była piękna - miała szeroki nos i piegi - ale bardziej pociągającej kobiety w życiu nie spotkałem.

Wysoka, prawie metr osiemdziesiąt, z wklęsłościami i wypukłościami we właściwych miejscach. Pełne usta, odsłaniające w uśmiechu białe, równe zęby - gdyby nie przerwa między górnymi jedynekami, myślałbym, że są robione. Ale to jej spojrzenie kręciło mnie najbardziej. Ta kobieta wiedziała, czego chce, i nie bała się wyciągnąć po to ręki.

Chemia między nami zaczęła działać od pierwszego dnia. Kiedy tak zerkaliśmy na siebie ponad inkubatorem Sama, oboje wiedzieliśmy, że gdy tylko wypiszą go ze szpitala i tym samym zniknie konflikt pacjent - lekarz (Ella bardzo troszczyła się o karierę), wylądujemy w łóżku. Jeśli nie w jej, to w moim.

Sześć tygodni później odebrałem Sama, zawiozłem do domu, pospiesznie cmoknąłem Beth w policzek, zawróciłem i pojechałem prosto do szpitala, gdzie czekała na mnie Ella.

Wstała i zarzuciła na ramię dużą skórzaną torbę.

- Zastanawiałam się - powiedziała, kładąc na spodeczku cztery funtowe monety - co tutaj robimy.

Wyszedłem za nią ze szpitalnej kafejki, wsiadłem do czarnej taksówki, którą przywołała - stając na środku ulicy i podnosząc rękę w autokratycznym geście, nie

zwracając uwagi na pisk hamulców oraz towarzyszące mu wiązanki przekleństw - i usiadłem tak, by móc się jej przyglądać, dopóki nie zajedziemy tam, gdzie postanowiła nas zawieźć.

Ella położyła torbę na okrytych cynamonowym zamszem kolanach i zaczęła w niej grzebać.

- Twoja żona nigdy nie pojawiła się na oddziale. Dlaczego?

- Beth ma problemy. Depresje poporodowe, dwubiegunowa choroba afektywna...

- Wiem, czytałam w jej karcie. Ale leczy się?

- Jasne. Podczas poprzedniego nawrotu o mało nie pozabijała dzieciaków, więc teraz od razu po porodzie napakowali ją lekami. Zupełnie traci kontakt z rzeczywistością po tych lekach, dlatego nie odwiedzała Sama, ale to lepsze niż...

No, wreszcie znalazłam. - Rzuciła na moje kolana małe foliowe opakowanie. - Chyba nie są przeterminowane, ale nie zawadzi sprawdzić.

- Kondomy?

- No cóż. Lubię dzieci, ale bez przesady.

- Mogę mieć wytrysk, ale bez nasienia, jeśli tym się martwisz. Gdy okazało się, że Beth znów jest w ciąży, przeciąłem sobie nasieniowody.

- Wszystko jedno.

- Nawet nie pozwoliłaś mi dokończyć kawy...

Ella spojrzała mi w oczy, ujęła moją dłoń i wsunęła pod spódnicę. Jej mocne, nagie uda rozchyliły się i opuszkami palców dotknąłem kędzierzawych pukli.

Kurczę, ona nie ma majtek!

- Czyżbyś chciał mnie zatrudnić jako niańkę, Williamie? Na co czekasz, na referencje?

Taksówka zatrzymała się przy Hyde Parku. Kiedy Ella płaciła kierowcy, ja z ptakiem niemal rozsadzającym spodnie wygramoliłem się z auta na słabe wrześnie słońce. Bez słowa pociągnęła mnie w cień kasztanowca, który właśnie zaczynał gubić liście. Parę metrów dalej kobieta z dwójką małych dzieci karmiła

kaczki. Nieopodal przebiegł młody mężczyzna, gubiąc na chwilę rytm, gdy chodnik przecięła para nastolatków na deskach.

Ella oparła się o drzewo, rozpięła mi spodnie i podniosła spódnice. Chwyciłem ją ręką za pośladki, ocierając kostki dłoni o ostrą korę. Drugą ręką nałożyłem kondom i wsunąłem ptaka w jej śliską, lepłą wilgotność. Za mną zadudniły kopyta, kiedy gdzieś niedaleko przejechał jeździec.

Zanurzyłem twarz w jej włosach, wciągając zapach morskiej wody, paczuli i jodły i, nie zwracając sobie głowy rozpinaniem guzików, rozdarłem fioletową bluzkę. Nie nosiła biustonosza. Jej brodawki były twarde jak kasztany u moich stóp.

- Ella, zaraz będę...

- Za późno - wysapała, wstrząsana drzeniem. - Ja już tam jestem. Gdy później mijaliśmy emerytów i turystów, spytałem:

- Powtórzmy to czy to była jednorazowa przyjemność?

- A co byś wolał?

Przystanąłem i patrzyłem na wioślarzy na jeziorze Serpentine. Do tej pory miewałem jedynie krótkie przygody z kobietami, do których nic nie czułem; żadna nie trwała dłużej niż kilka tygodni. Raz czy dwa sprawy trochę się pokomplikowały; pewna blondynka, moja asystentka, która wyglądała - zgodnie zresztą ze stanem faktycznym - jakby nigdy nie miała dość, zaczęła się nawet pojawiać w kawalerce w Bayswater, którą kupiłem jakieś dwa lata po urodzeniu Cate, żeby po długich wieczorach spędzanych z klientami nie tłuc się do domu. Ceniłem sobie niezobowiązujący seks, kalanie własnego gniazda coraz bardziej mnie niepokoiło i drżałem na myśl, że wcześniej czy później jeden z tych wygimnastykowanych króliczków okaże się zmiją w przebraniu.

Najwyraźniej zabierałem się do rzeczy od niewłaściwej strony. Samotna kobieta zawsze będzie chciała, żebym zostawił żonę, czego nie zamierzam robić. Ale mężatka, szczęśliwa mężatka, która ma do stracenia tyle samo, co ja... którą rajcuje seks w parku, która nie boi się przejawiać inicjatywy i która jasno powiedziała, że też nie chce wstrząsów w swojej małżeńskiej łodzi.

Kobieta, która w blasku słońca i wśród tłumu ludzi podniosła moją rękę do ust i spróbowała swoich soków na moich palcach.

Usiedliśmy koło kiosku z lodami przy stoliku z kutego żelaza i nad następną filiżanką kawy ustalaliśmy zasady. Nie ma mowy o rozwodzie żadnej ze stron, to już wiedzieliśmy. Niczego, co mogłoby nas wydać, zero telefonów do domu, a na komórkę jedynie w razie wyższej konieczności (przez osiem lat nie było żadnego); ostrożne e-maile, tylko na konta służbowe i rzadko; żadnych osobistych podarunków ani wspólnych zdjęć. Zgodziliśmy się spotykać nie częściej niż raz w miesiącu, żeby ograniczyć ryzyko wzbudzenia podejrzeń u naszych współmałżonków i by uniknąć nadmiernego zaangażowania w życie partnera lub oplotenia się wokół niego. Gdyby któreś chciało kiedyś odejść, nie będzie ani żadnych pytań, ani powrotów.

W innych czasach Ella byłaby idealną kurtyzaną. Inteligentna, dowcipna, utalentowana i powolna. Wyśmienita partnerka w łóżku i poza nim. Zawsze uprzejma, zawsze opanowana: żadnych żądań, kłótni ani komedianckich wybryków. Poza jedną małą wpadką na Cyprze - szybko naprawioną i bez powtórek - umowa działała perfekcyjnie.

Nie pytałem Elli o jej małżeństwo; ona nie pytała o moje. Datę jej urodzin poznałem tylko dlatego, że rezerwowałem lot na Cypr. Wiedziałem, jaki rozmiar biustonosza nosi i że ma alergię na truskawki, ale nie miałem pojęcia, co naprawdę nią kieruje, i było mi z tym dobrze. Wystarczy, że przed jedną kobietą musiałem udawać, że interesują mnie jej relacje z matką. Byłbym idiotą, gdybym chciał udawać coś przed dwiema.

Mieliśmy doskonały układ. A teraz Jackson musiał umrzeć i go spieprzyć.

Kiedy schodzę na dół, Cate stoi przed kuchenką, grzejąc pupę i czekając, aż zagotuje się woda w czajniku. Dan, jej chłopak, obejmuje ją w talii, a palce zagrzebał głęboko w tylnej kieszeni jej dżinsów. Mam ochotę rąbnąć go pięścią między oczy.

Cate, śliczna blondynka o niebieskich oczach, pierwszego chłopaka miała w wieku czternastu lat. Odkąd się urodziła, żartowałem - tyle że nie było to śmieszne - że zapisałem ją do rumuńskiego klasztoru, i że każdy chłopak, który zaprosi ją na randkę, będzie miał najpierw ze mną do czynienia. Małżeństwo albo łopata, powiem mu. Jak coś wykręcisz z moją córką, kopiesz własny grób.

Pokazałem jej obrazek na etykiecie taniego czerwonego wina, które czasem pijała Beth.

- Popatrz, kim zostaniesz, kiedy dorośniesz.

- Zakonnicą - kiwała poważnie głową.

Mimo to jakoś nigdy poważnie nie zastanowiłem się, co poczuję, gdy w końcu przyprowadzi do domu chłopaka, jak wściekły będę na widok męskiej ręki owiniętej wokół jej talii. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że tymi pięknymi oczami będzie kiedyś wpatrywała się w innego faceta, odwracając się za nim jak słonecznik za słońcem, a mnie ledwie raczy obdarować przelotnym spojrzeniem.

- Jak się ma twoja żona, Williamie? - pyta Dan z troską.

Dan ma dwadzieścia trzy lata. Najwyraźniej jest za stary, żeby zwracać się do mnie per pan. Za stary, żeby wsadzać rękę do kieszeni džinsów mojej siedemnastoletniej córki.

Że też dałem się Cate omamić i pozwoliłem mu zaprojektować nowe logo firmy.

- Jest zmęczona - mówię zwięźle. - Wyśpi się i rano wszystko będzie dobrze.

- Tato, powinna się zobaczyć z doktorem Stone'em. - Cate odrywa się od Dana i zaczyna się krzątać przy herbacie. - Od Gwiazdki jest z nią coraz gorzej. Powinna znów zmienić leki.

Dan całuje Cate w czubek głowy. Wiem, że chce się pieprzyć z moją córką. Jeśli już tego nie zrobił.

Gdy do kuchni wkracza Cynamon, Cate klęka i zanurza twarz w jedwabistej sierści psa.

- Masz ochotę na trochę przypalonej potrawki? - pyta. - Tata zerwał się w środku nocy i zrobił ją specjalnie dla ciebie, wiesz, Cynamonie?

- Muszę lecieć - mówi Dan. - Obiecałem, że pomogę przy urządzaniu wystawy. Te rzeźby bywają cholernie ciężkie.

- Zobaczymy się w piątek?

- Nie mogę, Cate. Muszę wziąć pierwszy rok na zajęcia rysunku, pamiętasz? Doliczy mi się do punktów. Może w sobotę. Zadzwoń.

Cate markotnie wzrusza ramionami.

Wychodząc, Dan chwytając nad jej głową moje spojrzenie i uśmiecha się, jakby chciał powiedzieć: „Ach, te kobiety!” Ale Cate to nie kobieta, tylko moja córka. Nie chcę, żeby jakiś napalony nauczyciel rysunku w wytartych dżinsach i obcisłej koszulce z napisem: „To kraj bobrów” wywracał do mnie oczyma, jakbyśmy byli parą kumpli: „Te ptaszyny od razu chcą cię uwiązać, ale przecież facet musi się wyszumieć, no nie?” Co on sobie myśli, że kim, u diabła, jest? Niech tylko spróbuje ją tknąć, a...

- Tato, na miłość boską - rzuca ostro Cate, wstając. - Trzymaj się planu. Prosiłam, żebyś zaniósł mamie herbatę.

- Przepraszam Kit-Cat - mierzwię jej włosy. - Miałem ciężki dzień. Odsuwa moja rękę.

- Daj spokój, tato. Dzwonię po pizzę, okej? W lodówce kompletna pustka. Powiedziałeś, że zrobisz zakupy.

- Pizza będzie super. Po zakupy pojedę w weekend.

- Koniecznie. Dzwonił Ben, przyjeżdża w sobotę i po drodze zabiera Sama. Wiesz, jak się zawsze w domu opycha. Mówi, że jedzenie w kampusie jest jeszcze gorsze niż w szkole. Jeśli nie kupisz burgerów i chipsów, będzie...

- Już powiedziałem, że zrobię zakupy - przerywam jej poirytowany. - Zamów tę pizzę, a ja spróbuję namówić twoją matkę do zejścia na dół. Nie sądzę, żeby dziś coś jadła.

- Trudno byłoby jej coś znaleźć - odburkuje Cate i wychodzi.

Niosę Beth herbatę, prostując po drodze krzywo wiszący obraz. Tylko tego mi teraz brakuje. Ella wbiła sobie do głowy rozsypanie prochów Jacksona gdzieś w Kalifornii, Karolinie czy skąd tam on pochodzi, a to oznacza, że zobaczę ją dopiero za parę tygodni. Jeśli w ogóle. Nie wiadomo, co postanowi w naszej sprawie, kiedy szok już minie i wszystko do niej dotrze.

Cate ma rację: trzeba zabrać Beth do doktora Stone'a. Przez minione lata wszyscy poznaliśmy już instrukcję obsługi choroby. Jeśli nie zdusi się tego w zarodku, Beth znów wpadnie w depresję, a potem - co jest chyba jeszcze gorsze - wahadełko wychyli się w drugą stronę. Ogarnie ją nienaturalny przypływ energii, będzie biegać po domu, gorączkowo porządkując, malując i czyszcząc, dopóki jak samolot nie zaryje nosem w ziemię. Gdy ostatnim razem miała epizod manii, wynajęła helikopter w mojej spółce Amex za drobne czterdzieści dziewięć tysięcy funtów. Całe szczęście, że okazali się wyrozumiali.

- Beth? - wołam, rozglądając się po pustej sypialni.

Stawiam herbatę na nocnym stoliku. Drzwi łazienki są zamknięte i słyszę odgłos lejącej się wody. Może czuje się lepiej, skoro bierze prysznic.

Wtedy na podłodze dostrzegam pustą fiolkę po walium. - Beth? - naciskam klamkę. - Beth?

Chryste, ona chyba nie... Dobry Boże, nie znowu, nie na moim dyżurze, Boże, nie...

Drzwi ustępują za trzecim pchnięciem, rozsypując się pod moim ciężarem w drzazgi.

Z początku wydaje mi się, że łazienka jest pusta. Wanna jest pełna po brzegi, kran z gorącą wodą odkręcony; brodzę po zalanej podłodze, żeby go zakręcić, klnę, gdy omal nie wywijam orła na czarno-białych kafelkach.

Widzę ją, ale jeszcze przez chwilę nie rozumiem.

Moja żona leży na dnie wanny, prawie pół metra pod wodą. Patrząc w jej nieruchome niebieskie oczy i od razu wiem, że nie żyje.

Rozdział 3

Beth

Nie jestem ofiarą. Doktor Stone wciąż mi to powtarza. Nie jestem ofiarą. Jestem pacjentką. Jeśli ktoś jest tu ofiarą, to William. Wiem, że go kocham; więcej, jestem pewna, że kocham go bardziej niż on mnie. Problem polega na tym, że przez większość czasu tego nie odczuwam. I tym samym nie okazuję.

To te lekarstwa. Rzadko czuję już cokolwiek.

- Wychodzę, Beth. Dasz sobie radę, prawda kochanie? Nic. Nawet już nie boli.

- Cate cały dzień będzie się uczyć u Dana, ale twoja matka powiedziała, że wpadnie przed południem zobaczyć, jak sobie radzisz. Wstawiłem do pieca potrawkę z wołowiny i cynaderek. Musisz ją tylko około południa wyjąć.

Gdybym mogła wybierać: spędzić kolejne czterdzieści jeden lat w tej ponurej, pozerającej duszę pustce, pozbawiona wszelkich uczuć, czy nie być w ogóle...

- Muszę się zbierać. Zobaczymy się później. Nie zapomnij o...

Zwijam się na łóżku w ciasny kłębek i wpatruję w ciemne zimowe niebo rozświetlające się gdzieś szarością. Zapomniałam mnóstwo rzeczy przez lekarstwa i elektrowstrząsy, ale wciąż pamiętam najdrobniejsze szczegóły naszego pierwszego spotkania, przewijają się przede mną niczym fotoreportaż z „My Guy”. Tweed mojej spódnicy, ciepły i gryzący w talii, oczko w nowiutkich rajstopach, abstrakcyjny gwasz na papierusie, który wieszałam, gdy do sali wystawowej wszedł on. Mogę powtórzyć całą naszą rozmowę, kiedy William podszedł, by przytrzymać obraz i podtrzymać mnie. Słowo po słowie.

Od razu zrozumiałam, że to dla niego zachowałam cnotę. Czasem chciałabym mieć go z kim porównać, ale właściwie po co? Co dobrego by to dało? Gdyby był gorszy w łóżku (choć nie bardzo wiem, co znaczy gorszy - przeliczać to na orgazmy? minuty gry wstępnej? poznać po filiżance herbaty podanej przez niego po?), to czy już zawsze nie czułabym się zawiedziona, jak wtedy, kiedy idzie się drugiego dnia na wyprzedaż u Marksa i Spencera tylko po to, by odkryć, że

wszystkie ładne kolory już zniknęły i do wyboru zostały tylko muliste brązy i zielenie? A gdyby był lepszy, na co mogłaby się przydać ta wiedza? Tylko bym żałowała, że marnowałam czas z jakimiś nieudacznikami.

Był taki cudowny. Płonełam, kiedy byliśmy razem w łóżku, cokolwiek teraz można myśleć. To jego twarde, umięśnione ciało; nigdy wcześniej nie widziałam nagiego mężczyzny. Gdy był we mnie, przestawałam czuć się samotna - tylko wtedy.

- Mamo! Nie słyszysz, jak cię wołam? Grzanki już całkiem ci wystygły.

Cate wsadza głowę przez drzwi i tkwi tak, bujając się na klamce, jakby bała się wejść do pokoju.

Ludzie tak reagują na depresję. Czytałam raz wiersz - „nie nosisz dzwonka, lecz to ty, trędowaty dzisiejszych dni”. Traktują mnie, jakbym sama sprowadziła to na siebie przez jakiś defekt charakteru. Ale cokolwiek zrobiłam, nie zasłużyłam na taką karę. Nie życzę tego najgorszemu wrogowi; żyję w ciągłym strachu, że przekazałam to moim dzieciom, tak jak mój ojciec mnie. Gdybym wcześniej wiedziała o chorobie, w ogóle bym się na nie nie zdecydowała. Oczywiście nikt nie wiedział, że tata jest chory. Był tylko krzykliwym restauratorem, żyjącym ze wszystkimi na przyjacielskiej stopie i przepijającym - dopóki matka go nie rzuciła, a on nie znalazł Boga (i Lillian) - większą część zysków.

- Cały Hektor - mówili ludzie, taki już ma charakter.

Obserwowałam Cate, gdy dorastała, uważniej niż chłopców; zawsze skądś wiedziałam, że im to nie grozi. Poza tym chłopców łatwiej kochać, prawda? Mniejsza rywalizacja. Nie dostrzegłam u mojej córki żadnych objawów, ale u mnie też nikt ich nie dostrzegał, wszyscy myśleli, że jestem twórcza i mam artystyczną duszę; a potem urodziła się Cate i...

- Mamo, nie gap się tak na mnie, dostaję od tego bzika.

Cate bliższy jest ojciec, wielbi ziemię, po której on stąpa. Niech będzie. Ja też nienawidziłam matki.

- W porządku, mamó, nie odzywaj się, to nie. Wychodzę do Dana, wrócę po południu. Nie zapomnij o potrawce taty, bo obrazi się na całą piaskownicę, jak to on.

Za szybą wiruje kilka płatków śniegu. Szaro na dworze, szaro w mieszkaniu. O tej porze roku zawsze jest niedoświetlone. To niemożliwe, żeby luty był najkrótszym miesiącem. Wydaje się trwać co najmniej rok.

Jakiś czas później budzi mnie pukanie do frontowych drzwi, na dworze już pada. Ostry głos matki przedziera się przez otwór na listy. Zawijam się w kołdrę, jej ochronna miękkość spowija mnie jak zbroja.

Clara zrujnowała mój ślub, tak jak rujnuje wszystko. Nawet wybór imienia dla mnie był aktem czystej złośliwości. Luisa i Georgia dla moich sióstr i jedna nudna sylaba dla średniej córki. Beth. Nie Bethany czy Elizabeth, które można zdrabniać na tyle rozmaitych sposobów: stylowa Liz, wspaniała Eliza. Tylko Beth, jak jedna z sióstr w *Małych kobietkach*. Ta spokojna, nudna i myszowata, która w końcu umiera.

Tak bardzo chciałam wyjść za Williama, że w tygodniach poprzedzających ślub radość aż mnie rozpierała. Nic nie mogło przyćmić tego dnia, nawet moja matka i ta ohydna nylonowa suknia w stylu empire, którą wybrała, chcąc ukryć mój stan. (Jak to ujęła Clara: Z jakiego innego powodu ktoś miałby się ze mną żenić? Ale nawet ona nie wpadła na to, że taka głupia gęś jak ja mogła zrobić coś tak sprytnego celowo. Tak naprawdę wcale mnie nie zna). Oczywiście kreacja matki panny młodej była olśniewająca. Przepiękna suknia w rozmiarze sześć od Jean Muir, ze złotego jedwabiu, z przezroczystymi rękawami i małymi jedwabnymi guziczkami na boku, spowijała jej biodra.

Tydzień po tym, gdy mi ją pokazała, dowiedziałam się, że nowa żona mojego ojca przyjdzie w takiej samej kreacji, tylko o cztery rozmiary większej. Lillian już ją przerobiła, by dopasować do figury, więc wymiana nie wchodziła w grę.

Chora ze strachu, powiedziałam o tym mojej matce.

- Nie szkodzi - rzekła łaskawie. - Kupię sobie inną. W końcu to twój specjalny dzień.

Kilka dni później pojawiła się z jeszcze piękniejszą kreacją od Chanel.

- Oddałaś tamtą suknię? - spytałam, kiedy wirowała przed lustrem.

- Czy oddałam? Oczywiście, że nie.

- Ale ona jest taka strojna. Gdzie zamierzasz ją nosić?

- Och, coś wymyślę - odparła Clara, uśmiechając się tajemniczo.

Pojawiła się w niej na obiedzie próbnym, dzień przed naszym ślubem. Biedna Lillian przepłakała całą noc, świadoma, że nazajutrz nie będzie mogła włożyć swojej. Matka siedziała dumnie u szczytu stołu i sprawiała wrażenie bardzo z siebie zadowolonej.

Zimą tak wcześnie się ściemnia. Czwarta po południu, ja wciąż zawinięta w koldrę, a szklane kwadraty za moimi plecami z szarości powoli przechodzą w czerń. Czuję zapach spalenizny. Już wieki temu powinnam zejść na dół i wyjąć z pieca potrawkę, ale nie chciało mi się.

Drzwi sypialni wydają głuchy dźwięk, uderzając w ścianę.

- Mamo! Wciąż jesteś w łóżku! Babcia dzwoniła na komórkę i powiedziała, że nie otworzyłaś jej drzwi. Na miłość boską, dzwonię do taty!

Gdybym mogła usnąć któregoś dnia i już się nie obudzić. Nie jestem wystarczająco odważna, żeby popełnić samobójstwo - za dużo w tym planowania, a dla dzieci byłaby to katastrofa - ale gdyby ktoś zrobił to za mnie, przyszedł i po prostu pstryknął wyłącznik...

Wszyscy sądzą, że z własnej woli okopałam się w nieszczęściu i użalaniu nad sobą. Gdybym dostawała funta za każdym razem, kiedy słyszę, że mam się pozbierać...

Ponownie budzi mnie pojawienie się Williama na schodach; rozpoznałabym jego kroki wszędzie. W końcu zmuszam się i siadam. Wiem, że nie będzie zadowolony, że Cate wezwała go do domu. Powinnam była ją powstrzymać.

- Beth!

Pomyślicie, że pozwalałam mężowi kochać się ze mną, nawet gdy nie byłam w nastroju. Ale nie wiecie, jak to jest. Nie potraficie sobie wyobrazić, co czuję. Albo raczej - czego nie czuję. Nie mogłam tego znieść: tyle obejmowania, całowania i obmacywania, a ja nic nie czuję. No, nie dosłownie. Zakończenia moich nerwów nie obumarły. Ale nie sprawia mi to przyjemności. Co z kolei zabija przyjemność Williama. Tego nie cierpiałam najbardziej. Tej troski w jego oczach, tej determinacji, żeby robić to jeszcze lepiej, żeby to naprawić. A potem irytacji, szybko skrywanej, ale nie dość szybko. Żałosne.

- Beth, kochanie, nie rób mi tego. Chociaż spróbuj. - Klęczy przede mną i odwraca moją głowę w swoją stronę, tak że światło z holu wpada w moje źrenice. - Kochanie, wiem, że tam jesteś. Nie pozwolę ci się poddać.

Łatwo mu mówić.

- No, kochanie, rusz się. Wiem, że tęsknisz za chłopcami, ale oni wrócą, gdy tylko skończy się semestr. Sam ma przepustkę na najbliższy weekend, a Ben za parę tygodni przyjedzie z Oksfordu.

Pewnie, że tęsknię za chłopcami, zwłaszcza za Samem; ma dopiero osiem lat. Nie chciałam, by szedł do szkoły z internatem, ale William uznał, że to mu dobrze zrobi, więc dyskusja nie bardzo miała sens.

Czy on nie widzi, ile mnie kosztuje robienie rzeczy, które innym wydają się oczywiste? Jasne, że nie chcę jeść, to tylko przedłuża agonię. Ubiorę się, zejdem na dół i zajmę czymś normalnym, a da to tylko tyle, że znów będę musiała wejść na górę, rozebrać się i położyć do łóżka, w którym i tak nie zasnę, a następnego dnia znów wstać i powtarzać wszystko od początku. Wszystko będzie dokładnie tak samo.

Gdyby tak podczas mojego snu w Ziemię mogła rąbnąć jakaś kometa. Żadnego bólu, bałaganu, rodziny, która musiałaby zbierać odłamki. Chcę, żeby to wszystko się skończyło, chcę umrzeć...

- Wiesz, że to nieprawda.

Nie zdawałam sobie sprawy, że mówię na głos.

- Nie chcę się dłużej tak czuć - mamroczę. - Chcę, żeby to się wreszcie skończyło. Chcę przestać istnieć.

- To nie jest wyjście, Beth. Mnie też jest ciężko. Ale uporamy się z tym, jak zawsze. Może powinniśmy odwiedzić doktora Stone'a i wziąć kolejną receptę. Zwiększyć dawkę.

Przeklęte pigułki! Pigułki, żebym nie wlatywała za wysoko i nie opadała za nisko, pigułki na spanie, pigułki zapobiegające paranoi, pigułki, żeby od tych wszystkich stabilizatorów nastroju, które łykam, nie wypadły mi włosy. Potrząśnij mną - wiem, że William ma na to ochotę - a zacznę grzechotać.

- Nie chcę żadnych lekarstw.

- Beth, kochanie, chyba widzisz, że tak dalej być nie może. Spójrz na siebie: od ponad dwunastu godzin nie ruszyłaś się z miejsca. Nie chciało ci się ubrać ani wyjąć obiadu z pieca, nie wspominając już o zajęciu się Cate. Kochanie, nawet sobą nie jesteś się w stanie zająć.

Celowo nie odpowiadam, wiedząc, że to go wkurza. Wzdycha ciężko.

- Słuchaj, jeśli będzie trzeba, zmienimy lekarstwo. Wezmę parę dni wolnego i wyjedziemy na trochę, zrobimy wszystko, co konieczne...

- Naprawdę nie rozumiesz?! - krzyczę wybita ze swojej ciszy. - Tu nie chodzi o chłopców. Tu chodzi o mnie. O to, jak się czuję. Proponując wyjazd nad morze, nie pocieszysz mnie ani nie wyciągniesz z tego stanu.

Dlaczego on tego nie rozumie? Dlaczego?

- Nie rozumiesz, że dałabym wszystko, żeby się zmienić? Wolę umrzeć, niż obudzić się jutro i znów czuć się tak samo. Jedyne powód, dla którego wciąż tu jestem, to to, że za bardzo się boję, aby wreszcie to zakończyć.

- Może dla ciebie śmierć jest lepsza, ale co będzie z tymi, których zostawisz? - krzyczy. - Z Benem, Cate i Samem? Co ze mną?

- Będzie wam lepiej beze mnie.

- Pozbieraj się - rzuca i wypada z pokoju.

Jestem zdumiona. William nigdy na mnie nie krzyczał. Zawsze uspokajał, tolerował i próbował rozumieć. Jego troska była prawie równie trudna do zniesienia, jak obojętność. To wielka przyjemność być potraktowaną normalnie, skrzyczaną. Łzy przestały płynąć tak nagle, jak zaczęły.

Kiedy wstaję i idę do łazienki, ze skotłowanej pościeli spada na podłogę pokryty okruchami talerz i fiolka po walium. Może po kąpieli poczuję się lepiej. A jeśli nie, to przynajmniej będę czysta.

Wanna napełnia się wodą, a ja ściagam nocną koszulę i przyglądam się beznamiętnie własnemu odbiciu. Ostatnio trochę schudłam, ale nie poprawiło to mojego wyglądu. Przypominam bezkształtny, wypełniony mięsem worek. Blond włosy są obcięte w dokładnie tym samym bezpłciowym stylu, jaki wybrała dla mnie matka, gdy miałam sześć lat. Gdybym zmieniła uczesanie, nie przestałaby marudzić. Wyglądam w tej fryzurze jak z pokolenia Clary, epoki kuchennych fartuszków i bawełnianych podpasek na specjalnym podtrzymującym pasku.

Mam obwisłe piersi, policzki, brzuch, cała obwisłam. Wyglądam tak, jak się czuję: zużyta i bezwartościowa. I nikomu niepotrzebna. Nie winiłabym Williama, gdyby miał romans. Lata minęły, odkąd sypialiśmy razem. Musiałby być święty, żeby całkiem wyrzec się seksu.

Wchodzę do wanny. Woda jest ledwo ciepła, więc zostawiam kran z gorącą wodą jeszcze na chwilę odkręcony. Uwielbiam się zanurzać, świat zewnętrzny ulega wtedy stłumieniu i odpływa gdzieś daleko. W dzieciństwie byłam dobrą pływaczką. Nauczyciel wuefu chciał, żebym zapisała się do szkolnego kółka płetwonurków, ale Clara uznała, że nie poradzę sobie z nerwami. Moje siostry miały zwyczaj mierzyć, jak długo potrafię wstrzymać oddech pod wodą. Wytrzymałam dwa razy dłużej niż...

Nagle nade mną pojawia się William, z twarzą zniekształconą przez warstwę wody. Opijam się jej, gdy chwyta mnie za ramiona, wykrzykując moje imię. Łomoczę o starą żeliwną wannę, kiedy niezgrabnie mnie z niej wyciąga.

- Na Boga, Beth, co ty wyprawiasz?! Zostań ze mną, Beth, nie umieraj, nie umieraj, proszę...

Rzęcę na brzoskwiniowej łazienkowej macie niczym wyrzucona na brzeg ryba. William chce zmierzyć mi puls, ale odpycham jego dłonie.

- William - udaje mi się wydyszeć, gdy w końcu odzyskuję oddech.

- Co ty wyprawiasz?

I jak tu się nie śmiać? Gdy tylko próbowałam to wyjaśnić, wybuchałam na nowo. Histeryczny śmiech pewnie nie bardzo mi się przysłużył, ale przynajmniej dopóki się śmiałam, nie musiałam brnąć w szczegóły. Zresztą i tak by mi nie uwierzył. W końcu jestem - jak by to ujął Ben - notowana.

- Ratusz mnie - mówię trzy dni później Eithne, mojej najlepszej przyjaciółce. - Jestem na cenzurowanym. Matka właśnie pilnuje brzytwy.

Eithne parska w słuchawkę.

- Godzina w jej towarzystwie u każdego wywołałaby myśli samobójcze.

- To naprawdę zabawne. Wczoraj wieczorem Cate dała mi plastikowy nóż, mówiąc, że wszystkie inne są w zmywarce. A przecież nie jestem wariatką, mam tylko depresję. Chociaż - dodaję - najgorszy okres mam już chyba za sobą. Całe to przedstawienie dało mi niezłego kopa, od miesiąca nie byłam w tak dobrym nastroju.

- Beth, kochanie, nie chcę cię deprymować, ale czy aby w nie za dobrym? Sama wiesz, jak się czasem nakręcasz...

- To nie mania - odpowiadam zirytowana - tylko radość z nadejścia wiosny. No, Eithne, proszę, ciebie przepuszczą przez barykadę. Chcę pójść do mojej pracowni, zobaczyć, czy jeszcze stoi. Pomyślałam sobie, że później może nawet trochę popracuję.

- No dobra, widzę, że się nie wywinę. Zaraz będę, właśnie skończyłam lutować jajogłowego. Ale jeśli Clara zacznie mnie prześwietlać, nie ręczę za konsekwencje.

Krażę nerwowo po sypialni, starając się omijać sterty ubrań, które jak szalona posortowałam na kupki: te do zatrzymania, tamte do wyrzucenia, a jeszcze inne dla szkoły Cate na wiosenną aukcję. Pokój pachnie świeżą farbą, choć nie jestem pewna, czy ta zieleń mi się podoba. Ale prymulkowa żółć też nie była najlepsza - miejscami widać, że nie dałam jej wyschnąć, pomieszała się z zieloną, niebezpiecznie przypominając wymiociny. William raczej nie będzie zachwycony po powrocie do domu. Lubił tę tapetę od Colefax & Fowler. Może powinnam się trzymać tego pierwszego pomysłu z...

Gdy dobiega do mnie chrzęst antycznej pomarańczowej 2CV-ki Eithne na zwirowanym podjeździe, frunę na dół. W kuchni, w szarym wełnianym spodniem i ze sznurem pereł na szyi, trzyma straż Clara.

- Moja droga, niebieski z zielonym... - zaczyna z naganą. Spoglądam w dół.

- Granatowy to w zasadzie nie niebieski. A te spodnie są takie wygodne...

Rzuca mi spojrzenie, które przez lata wyćwiczyła do perfekcji, będące połączeniem rozczarowania i rezygnacji: no cóż, los obarczył ją taką córką, ale dzielnie poniesie swój krzyż i zrobi, co w jej mocy. Wracam na górę i przebieram się w płócienne spodnie, których nie cierpi. Nim zejść na dół, Eithne zdąży zaparkować; przy niej Clara nie ośmieli się mnie czepiać.

Moja córka mniej się przejmuje dobrymi manierami niż jej babka.

- Na Boga, mamó, wyglądasz jak czyściciel szyb! - wykrzykuje, gdy pojawia się na schodach.

Obie zwracają ku mnie współczujące niebieskie oczy. Znow uderza mnie ich podobieństwo. Wszystkie trzy mamy taką samą jasną karnację i blond włosy - Clara już lekko posiwiała, a Cate zdecydowanie za mocno potraktowane henną, zauważam - ale ja jestem zupełnie inna. Brak mi wiary we własne siły, na której moja matka i córka opierają się jak na skale. Wszystko, co dobre, samo wpada im w ręce, bo uważają, że im się należy. Ja nie oczekuję niczego i nigdy się nie rozczarowuję.

Do kuchni wchodzi Eithne.

- Schodź, Beth, wcale nie musisz się przebierać.

- Ale...

- Nie chrzań.

Niewyparzony język Eithne to dla matki zniewaga. Sięga dłonią do szyi i zaczyna bawić się perłami (trzecie pokolenie: ponoć dar królowej Wiktorii dla jej babci).

- Najpierw wyjdziemy za ogrodzenie - szepcze Eithne, wypychając mnie przez tylne drzwi - a za kolczastym drutem w nogi!

Eithne to pokrewna dusza. Sięga pamięcią w tę samą zamierzchłą przeszłość, co ja. Rozumie, jak to jest wstać po coś z fotela i w połowie drogi kompletnie zapomnieć po co. Nieobcy jest jej wysiłek, z jakim prostuję plecy, gdy się schyle, by podnieść coś z podłogi. Eithne ma czterdzieści jeden lat i wie, co to zawodność.

Wie też, jak to jest, kiedy cały świat uważa cię za wariatkę.

Poznałyśmy się, gdy byłam na pierwszym roku studiów w St. Martins - zauważyliście, że tuż po dwudziestce przestaje się zdobywać prawdziwych przyjaciół? Potem to już tylko matki przyjaciół naszych dzieci i żony kolegów męża albo naszych, jeśli mamy szczęście pracować. Przyjaciół, na których możesz liczyć w trudnych chwilach, na przykład gdy rzuci cię mąż albo gdy nie masz komu powierzyć opieki nad dziećmi, przestajesz zdobywać wcześniej, niżbyś się spodziewała.

Nie miałyśmy wielu wspólnych zajęć, bo ja wzięłam ścieżkę 2D - rysowanie i malowanie, a Eithne 3D - rzeźba i instalacje. Kiedy chwilę się nad tym zastanowić, ten wybór nieźle nas podsumowuje: w porównaniu z Eithne jestem raczej przyziemna. Ale w akademiku sąsiadowałyśmy ze sobą i chociaż żadna z nas nie bardzo pasowała do reszty towarzystwa, pasowałyśmy do siebie. Ja ubierałam się jak na herbatkę u królowej, a Eithne - mimo że z szopą ciemnych włosów (ciemnych z natury, lecz na pierwszym roku różowych), w tych kaftanach, kolczykach, wysoka i smukła, wyglądała na typową studentkę akademii sztuk pięknych - wcale nie była taka odważna, za jaką chciała uchodzić. Jak była pokiereszowana emocjonalnie, odkryłam dopiero na drugim roku, kiedy jej namiętny romans z dobrze

zapowiadającym się aktorem Kitem Westbrookiem skończył się dość paskudnie, gdy któregoś ranka zastała go w łóżku ze swoim bratem. To ja wezwałam karetkę i trzymałam Eithne za rękę, kiedy płukali jej żołądek, a ona rozpaczała, że nie pozwolono jej umrzeć.

Rozpacz przenicowała ją na wskroś.

Kiedy wyszła ze szpitala, była jeszcze bardziej twarda i błyskotliwa, lecz, chociaż romansowała jak najęta, już nigdy nie pozwoliła nikomu się do siebie zbliżyć. Całą energię poświęciła sztuce i zanim ukończyła studia, każdy, kto cokolwiek znaczył, wiedział, kim jest Eithne Brompton.

Wierci się niespokojnie, gdy walczę z zamkiem od drzwi mojej pracowni, przerobionej szopy na tyłach ogrodu, lodowatej w zimie i dusznej latem. Nie byłam tu od miesięcy. Gdy w końcu udaje mi się otworzyć drzwi, Eithne wchodzi pierwsza. Staje jak wryta przed wielkim płótnem pokrywającym prawie całą ścianę, monotypem w czerniach, purpurach i szarościach.

- O kurczę. Niezły. Czuję się jak Alicja spadająca w dół króliczej nory.

Porywa ze stojaka pastel w węglu i oleju, otrzepuje go, wzbijając przy tym chmurę kurzu, i przechyla głowę (w tych dniach śliwkową).

- Ten też ma coś w sobie. I ten. Cholera, ale ich naprodukowałaś od ostatniego razu.

- Niektóre są jeszcze nieskończone...

Obraca się, pobrzękując srebrnymi bransoletkami.

- Słuchaj, Beth, a może zorganizowałabym ci wystawę? Parę osób jest mi winnych przysługę, nie będzie trudno urządzić mały pokaz...

- Nie mogę.

- Dlaczego nie? Masz wystarczająco dużo prac, powinnaś je pokazać. I uwolnić się od Williama. On robi z ciebie cholerną inwalidkę.

- Wcale nie. Nie poradziłabym sobie bez niego. Zrozum, Eithne, ja naprawdę go potrzebuję.

- A on potrzebuje twojej bezradności. Odkładam płótna z powrotem na stojak.

- Nie rozumiesz.

- Tak, Beth, nie rozumiem, czemu ukrywasz swoje prace w zatęchłej szopie, skoro mogłabyś błyszczeć wśród londyńskich artystów. Teraz, kiedy Sam poszedł już do szkoły, masz czas...

- Cate wciąż mnie potrzebuje.

- Nigdy nie znałam siedemnastolatki, która mniej potrzebowałaby matczynej opieki. O wilku mowa - rzuca, gdy w drzwiach staje moja córka.

Cate, czując respekt dla Eithne, która budzi strach (czasami nawet we mnie) i zdobyła prestiżową Turner Prize, mówi:

- Nie chcę przeszkadzać, ale czy mogę spróbować cię o coś spytać?

- Spróbować? A czym to się różni od pytania?

Cate się rumieni. To podłe z mojej strony, ale jej zakłopotanie sprawia mi satysfakcję. Zawsze jest taka pewna siebie.

Moja córka krzyżuje ręce na piersiach i pochyła głowę, a długie blond włosy opadają jej na twarz.

- Cate! - wołam, gdy sweterek z kapturem podjeżdża przy tym gościu w górę. - Co ty masz w pepku?

- Nosi ten kolczyk od roku - mówi Eithne. - Gdzieś ty była?

- Ojciec się wścieknie.

- Tylko jak mu powiesz - rzuca gniewnie Cate.

Wydaje jej się, że buntem dowiedzie swoich racji. Nie, żebym była zazdrosna. Próbuję tylko uchronić ją przed światem, który nie traktuje buntowników z pobłażaniem. Ugnij kark i nie podskakuj. Naucz się.

Chciałabym mieć jej odwagę.

Eithne chwyta za dagerotyp, nad którym pracowałam ostatniego lata.

- O co chciałaś spytać, Cate?

- No cóż... wiosną zawsze jest coś jakby festyn... Festyn - poprawia się. - To już za kilka tygodni, a moja klasa ma zorganizować aukcję na cele dobroczynne. Pomyślałam sobie, że może podarowałybyś nam coś, no wiesz, jakieś dzieło sztuki

na tę aukcję. Cel jest naprawdę szczytny, zbieramy pieniądze dla tej organizacji ekologicznej One World, która...

- Wiem, co to za jedni - przerywa zimno Eithne. - Parę lat temu zaprojektowałam dla nich nagrody Zielonej Sceny. Kogo przysyłają?

- Nikogo. Przychodził taki facet, ale wykitował, biedaczysko,

- Caitlin!

Eithne marszczy czoło.

- Jackson Garrett? Czytałam o jego śmierci w ich biuletynie. Spotkałam go parę razy, całkiem miły facet. Amerykanin ożeniony z lekarką. Był w naszym wieku, Beth.

- Tak mi przykro. Jego biedna żona...

- To mogłabyś coś nam podarować? - przerywa mi Cate. Eithne wzrusza ramionami.

- Czemu nie? Wyszukam coś i przyniosę.

- Może wpadnę na ten festyn - rzucam pogodnie.

Cate się krzywi.

- Świetny pomysł. Chyba po to, żeby zrujnować mi reputację.

- Cate...

Drzwi zatraskują się przed moim nosem.

Kiedy Eithne odjeżdża, czuję nagły przypływ energii. Otwieram okiennice i ślęcę do zmroku nad niedokończonymi płótnami. Przez całą noc w mojej głowie kotłują się obrazy i pomysły; zrywam się o świcie i biegnę do pracowni.

Następnych dziesięć dni spędzam na malowaniu, ogarnięta pragnieniem przelania zamętu w mojej głowie na płótno, zanim furka do twórczości znów się zatrzaśnie. Nie śpiam i prawie nic nie jem. Najwyraźniej nie potrzebuję już pigulek; depresja wreszcie minęła, dzięki Bogu, więc przestałam je zażywać. To na pewno nie faza maniackalna, mam po prostu dobre dni. William próbuje mnie skłonić do odpoczynku, ale gdy protestuję stanowczo, bo mój umysł płonie, zostawia mnie w spokoju.

- Zaczekamy, aż się wypali - mówi. - Nie martw się Beth, będę na ciebie czekał.

Zamawiam nowe farby i nowe płótna, a kiedy wpadam na pomysł robienia czarno-białych zdjęć na szkle, by potem na nich malować, kupuję na kartę kredytową profesjonalny aparat Nikona za tysiące funtów. Podczas pracy ze słodkim pigmentem kawowym nagle zachciewa mi się belgijskiej czekolady. Nie myśląc wiele, zamawiam bombonierkę kurierem z Brukseli. William nie będzie miał nic przeciwko temu. Eithne ma rację: jestem dobra, a to, co robię teraz, to jedna z moich najlepszych prac. Powinnam się zgodzić, by zorganizowała mi wystawę. Czemu, u diabła, jestem taka niepewna siebie? Przed powrotem na uczelnię powstrzymał mnie wyłącznie strach przed poddaniem się ocenie, a przecież byłam jedną z najlepszych studentek, jakie kiedykolwiek mieli. Może teraz powinnam skończyć studia, choćby po to, by dowieść... właściwie sama nie wiem, czego miałabym dowieść.

Wkrótce pracownia zapełnia się płótnami, co uświadamia mi, że jest za mała. Potrzebuję ogromnej, jasnej przestrzeni, cztery razy większej od mojego ciasnego studia. Nasz ogród jest na tyle duży, że zmieści się przybudówka. Chociaż równie dobrze można rozwalić tę starą szopę i postawić coś nowego. Jeśli już coś robić, to porządnie. Tak, potrzebna mi duża, otwarta pracownia. Jeśli pozbedziemy się szklarni Williama, miejsca będzie mnóstwo, a ze szklarni i tak nie ma żadnego pożytku. Oczywiście trzeba będzie przesunąć garaż, bo przeszkadza, a ja potrzebuję światła, dużo naturalnego światła...

Kiedy umawiam się z architektem i wyjaśniam mu, czego oczekuję i że pieniądze nie stanowią problemu, odnosi się do sytuacji ze zrozumieniem.

Kilka dni później ślęczę nad planami i rozważam różne możliwości. Trudno nie przyznać racji Murrayowi, kiedy mówi, że nie powinnam koncentrować się na bieżących potrzebach, ale myśleć przyszłościowo. W takim kontekście katedralne sklepienie i odrębne studio fotograficzne to czysta oszczędność.

Nie ma potrzeby kłopotać tym wszystkim Williama, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego nie najlepszy humor. Nigdy wcześniej nie był taki rozdrażniony.

Najpierw wściekł się z powodu spychacza (biedny Murray, bardzo go to zmartwiło, tyle pracy poszło na marne), a potem zadzwonili do niego z pracy i wybiegł bez pożegnania, co jest zupełnie nie w jego stylu.

Równie dobrze możemy poczekać, aż skończą całość, a w tej sytuacji pięćdziesiąt procent zaliczki wydaje się uzasadnione. Sam jeszcze przez parę lat nie będzie potrzebował pieniędzy na college, a potem go spłacę z dziesięciokrotną nawiązką - kropla w oceanie w porównaniu z wpływami ze sprzedaży moich dzieł.

Wpadam do domu w wyśmienitym humorze i obejmuję krzątającą się przy kuchni córkę, próbując nie zauważać, jak wzdryga się na mój dotyk.

- Kochanie, mam fantastyczny pomysł! Muszę pojechać jutro do Brighton i popatrzeć na morze, żeby zapamiętać ten kolor. Nic innego nie działa, muszę tam jechać. Pojedziesz ze mną, Cate? Spędzimy miło czas i...

- Nie mogę, mam. Wkrótce mam egzaminy i nie mogę się tak po prostu urwać.

Wygląda marnie, biedactwo. Za dużo pracuje. Pewnie, że egzaminy są ważne, ale czasem trzeba sobie odpuścić i trochę się rozerwać!

- Pamiętam, że masz egzaminy, kochanie - uspokajam ją. - Pomyślałam tylko, że przydałaby ci się przerwa. Spędzamy ze sobą tak mało czasu, serduszko, a twoja głupia stara szkoła nie zawali się do przyszłego tygodnia...

- Nie chcę jechać do cholernego Brighton i oglądać morza - rzuca, myjąc dłonie pod kranem. - Nie mam pięciu lat, tylko siedemnaście i muszę się uczyć!

- No dobrze, kochanie. Po prostu pomyślałam, że byłoby miło, gdybyś się trochę odprężyła...

- Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, to zadzwoń do Eithne i zapytaj o to dzieło, które obiecała nam podarować! Aukcja jest w sobotę, więc jeśli się nie pokaże, to chyba się powieszę!

- Na pewno przyjdzie...

- Och, nieważne! Idę do Clem.

Nie mam pojęcia, co w nią ostatnio wstąpiło. Przecież dobry humor nie opuszczał jej całymi tygodniami. To chyba przez te egzaminy. Dzwonię do Eithne w sprawie aukcji.

- O Chryste! - jęczy. - Obiecałam, nie da się ukryć. Ale jestem w samym środku czegoś i naprawdę nie mogę przerwać. Czy jeśli wyślę tę cholerną statuetkę taksówką, dostarczysz ją do szkoły?

Odpowiadam, że tak, bo czuję, że tym razem naprawdę mogę.

Nie spodziewałam się, że wywołają mnie na scenę, bym zaprezentowała to cholerne dzieło. Ale w sobotę mam fantastyczny nastrój, więc wspinam się na podium z dziełem, które podarowała Eithne, subtelną (i raczej ciężką) abstrakcyjną statuetką z brązu, wysoką na dobre pół metra. Poza zdawkowymi oklaskami nikt nie zwraca na mnie większej uwagi. Nawet Cate, która szepcze zaciekle z Danem.

Prowadząca licytację daje z siebie wszystko.

- Eithne Brompton - oznajmia. - Na pewno znajdą się chętni! Zapraszam wszystkich, pamiętajmy, na jaki to cel! Kto pierwszy da więcej niż tysiąc funtów?

Tłum wspina się na palce. Nie to, że nie mają pieniędzy (w końcu czesne za szkołę Cate to teraz jakieś dwadzieścia tysięcy funtów rocznie); ale to nie ten typ ludzi, którzy cenią sztukę. Chcą kupić ładny obrazek, najlepiej z czymś rozpoznawalnym, jakimś drzewem na wzgórzu albo krową na łące. Coś, co będzie pasowało do nowych zasłon.

- W takim razie pięćset.

Trzeba ich jakoś pobudzić, wprawić we właściwy nastrój, wymyślić coś, co każe im usiąść i przyciągnie ich zainteresowanie. Jasne! Czemu od razu na to nie wpadłam? Do tej pory zawsze działało.

Odstawiam statuetkę i pochylam się nad mikrofonem.

- Podejdźcie państwo. To jest Eithne Brompton. Zdajecie sobie sprawę, ile warte są jej dzieła na rynku? Ma zamówienia na najbliższe dwa lata.

Chwytam spojrzenie Cate i puszczam do niej oko.

Po czym rozpinam guziki mojej schludnej szmizjerki, ściągam biustonosz i pończochy i zanim ktokolwiek ma szansę się połapać, co się dzieje, przecinam na golasa boisko.

Na chwilę zapada pełna zdumienia cisza. Po czym rozlega się entuzjastyczny aplauz, nie jestem jeszcze nawet w połowie drogi do pawilonu sportowego, a statuetka Eithne osiąga cenę czterech tysięcy. Cate na pewno będzie zachwycona, widząc, ile kasy zebrałyśmy na jej ulubioną organizację.

Zaczynam sobie uświadamiać, że mamy dopiero marzec i niezbyt wysoką temperaturę, kiedy ktoś narzuca na mnie płaszcz i ściąga mnie z widoku za ścianę pawilonu.

- Dan, bardzo ci dziękuję, zaczynałam już trochę marznąć. Ale chyba się opłaciło? Słyszałeś licytację, fantastycznie, prawda? Oczywiście teraz żaden ze mnie obiekt do podziwiania, właściwie chyba nieźle można się przestraszyć, ale myślę, że udało mi się wprawić ludzi w odpowiedni nastrój, podgrzać nieco atmosferę... robiłyśmy z Eithne takie rzeczy w St. Martin, szkoda że nie widziałeś, jak jednego roku na edynburskim Fringe...

Wtedy Dan mnie ucisza.

Nie jego pocałunek przeraża mnie najbardziej, choć jest taki ciepły, pachnący dymem i rozkoszny - w końcu nie od dziś wiadomo, że najlepszym sposobem na zamknięcie kobiecych ust jest zajęcie ich czymś innym - ale fakt, że z namiętnością, jakiej nie czułam od dwudziestu lat, całuję plecy chłopaka własnej córki.

Rozdział 4

Cate

No, Cate, wyluzuj - mruczy Dan. - Nie zamierzam cię do niczego zmuszać.

- Wiem, ale...

Delikatnie gładzi mnie po policzku wierzchem dłoni i całuje delikatnie w usta; mogłabym to robić bez końca.

Nagle czuję, jak jego dłoń wędruje po mojej łydce; szybko zaciskam kolana, żeby nie strzeliło mu coś do głowy.

- Daj spokój, wszystko jest dobrze. Moich studentów jeszcze długo nie będzie.

Obsypuje moją szyję delikatnymi pocałunkami; trochę to łaskocze i zaczynam chichotać.

- Daj się unieść fali, kochanie, gdy tylko będziesz chciała, żebym przestał, powiesz: nie, i przestanę.

Jego dłonie błądzą po moich piersiach, w górę i w dół, w górę i w dół, i chociaż mam na sobie stanik, bluzkę i gruby wełniany sweter, brodawki twardnieją, a między udami czuję wilgotne ciepło.

- Jesteś taka piękna, Cate - mówi Dan stłumionym głosem. - Pozwolisz mi na siebie popatrzeć? Nic nie będę robił, przysięgam. Chcę tylko popatrzeć. Pozwól mi rozpiąć bluzkę, proszę. Tylko tyle, obiecuję.

- Nie pozwalam.

- Chyba się nie boisz?

- Nie!

- To chociaż zdejmij sweter. Tyle chyba możesz zrobić?

Czemu mu powiedziałam, że jestem dziewicą? To jak pokazać bykowi czerwoną płachtę. Teraz jeszcze bardziej chce się dobrać do moich rajstop. To wszystko wina mamy i taty. Najpierw wysyłają mnie do szkoły dla dziewcząt, a potem na dodatek Bena do szkoły z internatem. Co za pożytek z brata, skoro wszyscy jego napaleni koleśki są jakieś pięćset kilometrów stąd? Tata wcale nie

żartował, kiedy mówił, że wyśle mnie do rumuńskiego klasztoru. Żadna różnica. Jak mam zdobyć jakieś doświadczenie, jeśli nigdy nie spotykam żadnych chłopaków?

W odruchu buntu ściągam obiema rękami pancerz swetra i czuję się niespodziewanie seksownie i dorośle, gdy widzę, jak oczy Dana ciemnieją i oblizuje zeschnięte wargi. Usiłuję przepchać sweter przez ramiona, a on mi pomaga, jego ręce dotykają i głaszczą bardziej, niż sytuacja tego wymaga, i jakoś w tym czasie udaje mu się rozpiąć bluzkę, bo ja na pewno nie zostawiłabym tylu niezapiętych guzików.

- Boże, Cate, zobacz, co ty mi robisz.

Ujmuje moją dłoń i kładzie ją tam. Nie do wiary, jaki twardy ten wzgórek w dżinsach. To znaczy całkiem twardy, jak kość albo coś. Uciskam go leciutko, tak tylko, żeby poczuć, a Dan zamyka oczy i jęczy.

- Nie masz pojęcia, Cate, jaka jesteś seksowna. Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Rozpinam jeszcze jeden guzik bluzki, żeby sprawdzić, jaki to wywrze efekt. Przełyka ciężko, pociera dłonią o policzek. Ale mam nad nim władzę, no totalny odjazd!

Wypróbuję na nim to spojrzenie, którego nauczyła mnie moja najlepsza przyjaciółka Fleur, i śmiało odpinam jeszcze jeden guzik. Jak to dobrze, że włożyłam ten nowy różowy stanik Miss Selfridge. Wprawdzie nie planowałam pokazywania go Danowi, ale i nie postanowiłam, że go nie pokażę. O rety, co by to było, gdybym miała na sobie te specjalne majtki na czas okresu; co prawda nie jest to aż takie ważne, bo i nie zamierzam pozwolić mu zejść poniżej pasa, ale zawsze. Chyba nikt nie czułby się seksownie w majtkach na okres.

Gdy oczy Dana wędrują w dół i górę po moim ciele, zaczynam czuć ucisk w żołądku. Szkoda, że mam na sobie ten szkolny mundurek. Pewnie sobie myśli, że dzieciak ze mnie. W końcu ma dwadzieścia trzy lata, jego studenci są ode mnie starsi.

Popycha mnie lekko na sofę, kładzie się na mnie i zaczyna ugniatać moje piersi. Całkiem to przyjemne, ale powstrzymuję go, gdy próbuje je wyłuskać ze stanika. Między udami czuję coś jakby ból, a kiedy rozchyła je kolanem, przyciskam do niego biodra. Miłe uczucie, jak filiżanka gorącej czekolady w chłodny dzień.

Zrobiło się trochę za ciepło, więc nie protestuję zbyt, gdy Dan ściąga mi z ramion bluzkę. Spódniczka jakimś sposobem podjechała do góry, zwijając się w obwarzanek wokół mojej talii, a kiedy Dan przyciąga mnie bliżej i jego ręce wędrują po moich plecach, gołą nogą otaczam jego biodro. Hm, ależ to przyjemne. Ale muszę go zaraz powstrzymać, sprawy nie mogą zajść za daleko. Jeszcze moment i każę mu przestać.

Podpiera się na łokciu i wpatruje we mnie tak intensywnie, że prawie go nie poznaję. Potem zanurza głowę między moje piersi, a ja uświadamiam sobie z przerażeniem, że stanik gdzieś zniknął, a usta Dana błędzą po moich brodawkach. Jestem goła od pasa w górę, jego ręka błędzi między moimi udami, o rety, jak mi dobrze, muszę go powstrzymać, ale tak mi bosko...

- Dan...

Wsuwa palce za brzeżek moich fig i głaszcze mnie tam, on mnie tam dotyka! To o wiele przyjemniejsze, niż kiedy sama to robię, robi mi się tak ciepło i mokro, i błogo...

- Dan, nie...

Gdy ssie moje brodawki, czuję jakby przepływ energii tam na dole, och, tak mi wściekle przyjemnie, ale muszę, muszę go powstrzymać...

Nagle odchyła się i rozpina dzinsy. Rzucam krótkie spojrzenie na tę rzecz, czerwoną, nabrzmiałą i naprawdę wielką, i nagle wszystkie przyjemne odczucia znikają, jakby ktoś wylał na mnie wiadro zimnej wody. Podrywam się z sofy, obciągam spódniczkę i podnoszę z podłogi sweter.

- Nie mogę, Dan. Przepraszam, po prostu...

- Cate, nie bój się, będę delikatny, nic cię nie zaboli.

Podnoszę z podłogi stanik i przyciskam do piersi.

- Przykro mi, Dan - mamroczę z płonącymi policzkami. - Muszę iść do domu. Mama będzie się niepokoić.

Podrywa się na nogi, a ta rzecz wciąż wystaje z jego džinsów. Jest purpurowa i wygląda groźnie. Nie mogę oderwać od niej oczu.

- Żarty sobie ze mnie stroisz? Rozpалasz mnie i uciekasz. Nie jestem robotem, Cate! - Jego twarz tężeje, a on odwraca się i zapina spodnie. - To nie działa jak kran, Cate, nie da się tak po prostu odkręcić i zakręcić, nawet jeśli ty tak możesz!

- Nie chciałam...

- Chryste! Tak to jest umawiać się na randki z dziećmiakami!

- Dan, to nie w porządku...

- A zabawiać się jak cholerna kokietka to w porządku? Masz pojęcie, jak mnie teraz bolą jądra?

Z tego wszystkiego zaczynam płakać. Dan bierze głęboki oddech i przeczesuje dłonią włosy.

- Przepraszam - mówi, gdy żałośnie pociągam nosem. - Nie powinienem na ciebie naciskać, to oczywiście moja wina. Nie chciałem cię zmuszać do czegoś, na co nie jesteś gotowa.

Podaje mi bluzkę, czeka, aż się odwrócę i ją włożę, po czym bierze mnie w ramiona i delikatnie głaszcząc po plecach.

- Musisz być ostrożniejsza, Cate. Jestem porządnym facetem i gdy się mnie prosi, żebym przestał, to przestaję. Ale są tacy, którzy uważają, że jak się już coś zaczęło, to trzeba skończyć.

- Przepraszam, naprawdę nie chciałam...

- Tak, wiem, już wszystko dobrze. Dostaję czkawkę.

- Ale chyba mnie nie rzucisz?

- Bo nie chciałaś się ze mną przespać? - Odsuwa mnie od siebie i poważnieje.

- Za kogo ty mnie uważasz? Zależy mi na tobie, Cate. Jesteś piękna, zabawna i kompletnie zwariowana. Uwielbiam z tobą być. A poza tym - wyszczerza zęby w uśmiechu - potrzebuję cię. Kto lepiej od ciebie utrzyma mnie na drodze cnoty?

Kiedy wracam do domu, jestem tak zawstydzona, że marzę, by ziemia się rozstąpiła i pochłoneła mnie w swoich czeluściach. Nie chodzi mi o zachowanie cnoty dla księcia Williama czy coś w tym stylu. W zasadzie chciałabym mieć to już za sobą i zapomnieć o tym - oczywiście nie w dosłownym sensie, ale odfajkować tę pozycję na liście. Stracić cnotę - zrobione.

Więc czemu robię z tego takie wielkie halo? W końcu Dan jest naprawdę miły i ma dwadzieścia trzy lata, więc przynajmniej on wie, z czym to się je. Fleur ma rację, jest naprawdę odpowiedni na ten pierwszy raz.

Szkoda, że zeszłego lata wróciła do Francji. Tęsknię za nią. Była taka fajna, no i знаła te wszystkie supermiejsca, po których można się powłóczyć po szkole. I w dodatku nie uważała mnie za smutaskę tylko dlatego, że zakuwam, żeby się dostać na NYU, Uniwersytet Nowojorski, i zostać dziennikarką. Reszta dziewczyn w szkole zajmuje się tylko tym, żeby schudnąć do rozmiaru zero.

W ubiegłym roku zrezygnowałam dla Lenta z czekolady, jak wszystkie, ale moja najlepsza kumpela Clem przestała jeść wszystko, co zawiera cukier. Wszystko. A prawie w każdym jedzeniu jest trochę cukru, no nie? Więc ona zaczęła jeść tylko selery i sałatę, a cała klasa zaczęła ją naśladować. To jak jakiś cholerny wirus. W szkole nie mówi się o niczym innym, tylko o dietach. Dziewczyny mdleją po kątach. Drużyna pływacka poszła się bujać, bo wszystkie przestały pływać w obawie o przyrost mięśni. Na przerwie dziewczyny siadają wokół mnie i gapią się, jak jem jabłko, zwykłe jabłko! Tak się wgapiają w moje usta, że prawie dostaję szczękościsku. Wszystkie zaczytują się w tych kretyńskich ilustrowanych szmatławcach pełnych zdjęć wychudzonych gwiazd i w kółko gadają, co która jadła i o ile schudła.

Co prawda większość po kilku tygodniach się poddała, ale kilka dalej się w tym ćwiczy. Clem założyła nawet specjalny blog dla anorektyczek na stronie Facebooka, ale pani Buchanan, nasza wychowawczyni, namierzyła go i kazała zlikwidować.

Dan nazywa je dziewczynami ze Świętego Chudzielca. Mówi, że faceci nie lubią ani chudych dziewczyn, ani kobiet, które mają bzika na punkcie swojej wagi. Twierdzi, że starsze kobiety bywają naprawdę seksowne właśnie dzięki temu, że przestają tak się przejmować swoim wyglądem. Taa, akurat. Budzą się któregoś ranka i myślą: „O, stuknęła mi trzydziestka, od tej pory mam wszystko w nosie”. Kosmiczna bzdura.

Powinnam przestać tyle myśleć i w końcu się z nim przespać. Mieć to już z głowy.

Tata nie cierpi Dana. Za każdym razem, gdy się pojawia, przeświewa go tym swoim rentgenowskim spojrzeniem. Takim w stylu: „Mam nadzieję, że twoje intencje są czyste, młody człowieku, bo jak nie, to pokroję cię na kawałki i rzucę rybkom na pożarcie”.

Całą wieczność namawiałam tatę, żeby pozwolił Danowi zaprojektować nowe logo dla firmy. Dan się pokazał, wiedział wszystko, co trzeba o Ashfield PR, więc w końcu tata się poddał. Mógłby przestać zachowywać się jak wiktoriański ojciec rodziny, bo na dłuższą metę to jest naprawdę wkurzające.

Myślę, że mama w gruncie rzeczy jest podobna, chociaż z nią to trudno powiedzieć. Kiedy zachowuje się jak zombie, to nawet się do człowieka nie odezwie; można wrzasnąć „Pali się!” albo „Właśnie wbiłam sobie siekierę w stopę!”, a ona tylko siedzi na łóżku, patrzy i nawet się nie ruszy. A gdy przemienia się w to zwariowane dziwadło, maluje całe noce, trajkocze z prędkością podświetlaną i wyczynia różne dziwaczne rzeczy, na przykład zeszłego lata rozwalila naszą cieplarnię i zbudowała otwartą scenę dla tego głupiego tryptyku, który akurat malowała. Na szczęście tego dnia, kiedy zjawili się ludzie od burzenia, wróciłam do domu wcześniej, bo inaczej rozebraliby pół domu. Chciałabym móc czasem z nią pogadać. Clem to ma dobrze. Jej mama jest taka normalna. Można jej opowiadać o szkole, chłopakach i różnych takich, a ona naprawdę słucha.

Ale to dzięki mamie poznałam Dana. Parę miesięcy temu obiecała pójść na otwarcie nowej wystawy Eithne w Londynie, kiedy jednak przyszło co do czego, nie

chciała nawet słyszeć o tym, że ma tam jechać sama. Tata był zbyt zajęty, jak zwykle, więc zaciągnęła mnie, co w końcu nie było takie głupie, bo pokazały się tam różne sławy, następnego dnia trąbili o tym w gazetach i wszyscy w szkole byli pod wrażeniem. Ciem nawet poprosiła mnie o autograf; czasem ta dziewczyna naprawdę mnie martwi.

No więc jesteśmy w tej ogromnej sali, zostawiam mamę na chwilę, żeby coś przekąsić i wypić lampkę wina, a kiedy wracam, ona paple w najlepsze z jakimś facetem o sztuce czy czymś tam. Kurczę, ale przystojniaczek - myślę sobie i obdarzam go najlepszym ze swoich uśmiechów, a ten dalej coś marudzi o ekspresjonizmie, indywidualizmie czy czymś tam, aż w końcu odciągam mamę, bo już nie mogę dłużej tego słuchać.

Jakiś tydzień później siedzę sobie w ferie w domu - mama poszła na gwiazdkowe zakupy - a tu na schodach pojawia się Śliczny Chłoptaş! Musiał sobie zadać mnóstwo trudu, żeby mnie znaleźć, więc nie mogłam mu kazać tak siedzieć. Jak nie pozwalało mu się głądzić o sztuce, był nawet całkiem interesujący. Tak czy owak, zapytałam go, czy chciałby przyjść na nasze noworoczne przyjęcie, a on od razu się zgodził. Bingo!

Żeby tylko Eithne przysłała nam tę statuetkę, bo inaczej będę spalona.

Otwieram furtkę i wlokę się po podjeździe. Mam tyle roboty. Nie trzeba było chodzić do Dana. Teraz będę musiała ślęczeć całą noc, żeby skończyć ten głupi esej o amerykańskiej rewolucji.

Cynamon wita mnie w kuchni. Przytulam się do niego, rzucam torbę na stół i nastawiam czajnik. Powinniśmy mieć elektryczny, jak wszyscy. Nie cierpię tego starego gówna.

Nerwy mam napięte jak postronki. Boli mnie głowa i wszystko. To chyba ZNP, czy coś. fezu, nie cierpię być kobietą!

Mama wpada przez tylne drzwi i aż podskakuję, wylewając sobie na rękę gorącą wodę.

- Kochanie, mam fantastyczny pomysł! Muszę pojechać jutro do Brighton i popatrzeć na morze, żeby zapamiętać ten kolor. Nic innego nie działa, muszę tam jechać.

Biega za mną po kuchni, uciekając jej, niemal przydeptuję psa.

- Pojedziesz ze mną, Cate? Spędzimy miło czas i...

- Nie mogę, mam. Wkrótce mam egzaminy i nie mogę się tak po prostu urwać.

- Pamiętam, że masz egzaminy, kochanie - uspokaja mnie. - Pomyślałam tylko, że przydałaby ci się przerwa. Spędzamy ze sobą tak mało czasu, serduszko, a twoja głupia stara szkoła nie zawali się do przyszłego tygodnia.

No nie, jakby myślała, że wciąż jestem w przedszkolu. Niewiele brakowało, a dziś po południu kochałabym się ze swoim chłopakiem na jego sofie! Czemu mnie o to nie zapyta?

- Nie rozumiesz, mam - mówię, podchodząc do zlewu i wkładając sparzoną rękę pod zimną wodę. - Nie chcę jechać do cholernego Brighton i oglądać morza. Nie mam pięciu lat, tylko siedemnaście i muszę się uczyć!

- No dobrze, kochanie. Po prostu pomyślałam, że byłoby miło, gdybyś się trochę odprężyła...

Nagle robię się tak zła, że mam ochotę wrzeszczeć. Czemu ona choć przez moment nie może być normalna? Zawsze musi być taka?

- Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, to zadzwoń do Eithne i zapytaj o to dzieło, które obiecała nam podarować! - wrzeszczę. - Aukcja jest w sobotę, więc jeśli się nie pokaże, to chyba się powieszę!

Wygląda na zdziwioną.

- Na pewno przyjdzie...

- Och, nieważne! Idę do Clem.

Chwytam torbę i wypadam na zewnątrz. Prawie nic nie widzę, bo łzy zalewają mi oczy. Czuję się, jakbym wszędzie była obca - w szkole, w domu, z Danem.

Chciałabym móc się zająć własnymi sprawami i nie musieć odpowiadać za wszystkich.

Idę do Clem skrótem, uliczką biegnącą na tyłach dworca. Biegnę truchtem w ciemności, widząc w każdym cieniu gwałcicieli i morderców. Szkoda, że nie zabrałam Cynamona. Zanim docieram do parkingu i skręcam w ulicę Clem, serce wali mi jak młotem. Zwalniam, kiedy w jednym z tych obrzydliwych samochodów z napędem na cztery koła, zaparkowanym niedaleko wejścia na perony, widzę migdalącą się parkę (tata też kupił taki rok temu, więc naszą planetę chyba ma w nosie). Przynajmniej jakaś żywa dusza w razie, gdyby miał na mnie napaść jakiś drab z siekierą. O rety! Oni chyba zamierzają pójść na całość.

Nagle odskakują od siebie, kobieta otwiera drzwi i do środka wpada światło. Wydaje mi się znajoma. Ma fryzurę, jakiej nie zapomina się szybko, coś w rodzaju przerdzewiałych sprężyn od łóżka. O kurczę! To ta lekarka, która leczyła Sama, kiedy był mały. Chodził do niej na coroczne badania, dopóki nie skończył pięciu lat, a mnie za każdym razem ciągnęli razem z nim.

Oczywiście od razu rozpoznaję też tatę.

- Chryste! - mamrocze Dan. - Jesteś pewna?

- Jasne, że jestem, w końcu znam go chyba wystarczająco długo.

- Ale może jednak się mylisz, może ją tylko podwoził...

- Podwoził? Hm, to, co widziałam, wskazywało raczej na pełną ekstazę.

- To pewnie jakiś niewinny...

- Słuchaj, nic mi się nie przywidziało, rozumiesz? Mój ojciec wpychał język do gardła innej kobiety i nie było to sztuczne oddychanie.

- Powiesz mamie?

Patrzę, jak moja matka chwieje się na scenie pod ciężarem tej głupiej statuetki Eithne. Zwykle nie cierpi takich przedstawień, ale dla Eithne zrobi wszystko.

Zupełnie, jakby ta hippisowska lesba miała nad nią jakąś dziwną władzę...

Powiedzieć matce? Dopiero by się namieszało. Mama pewnie znów zrobiłaby jakieś głupstwo, żeby go zatrzymać.

- Jasne, że nie - odpowiadam. - Chcesz, żeby znów jej odbiło i pocięła sobie nadgarstki pumeksem?

- To co zamierzasz zrobić?

Jakbym miała pojęcie. To takie poplątane. Powinnam być wściekła na ojca - i jestem - ale właściwie nie mogę go winić. No bo mama to kompletny kłębek nerwów. I jest taka nudna. Nigdy jej się nic nie chce, cały czas tylko siedzi, popłakuje i użala się nad sobą. No dobrze, czasem wpada w manię, maluje i robi inne cuda, jak przez ostatni tydzień czy dwa, ale potem i tak nic dalej z tym nie robi. Nigdzie tego nie pokazuje. Eithne mówi, że byłaby z niej fantastyczna artystka, gdyby tylko chciała, ale ona nie chce, bo zaraz potem znów wpada w depresję, staje się bezradna i nieszczęśliwa. Wiem, że jest chora, ale czy nie mogłaby choć trochę się postarać?

Nigdy sobie nie poradzi, jeśli ojciec odejdzie. Co oznacza, że ja będę musiała się nią zajmować.

Pani Buchanan pokazuje na scenie statuetkę.

- Eithne Brompton - mówi bez entuzjazmu.

- Będzie mogła mówić o szczęściu, jak dostanie piątala - szepcze Dan.

- Wszystko mi jedno - szuram butami po trawie. - Durna aukcja. Pani Buchanan poddaje się.

- W takim razie pięćset.

- Chodźmy, Dan. To takie żałosne. Zupełnie nie rozumiem, po co chciałeś tu przyjść. Chodźmy już - błagam.

- Nie możemy. Obiecałem twojemu ojcu, że odwiozę twoją mamę do domu.

- No tak, o podwożeniu to on wie chyba wszystko.

- Podejdźcie państwo. To jest Eithne Brompton. Zdajecie sobie sprawę, ile warte są jej dzieła na rynku? Ma zamówienia na najbliższe dwa lata.

Tuż za mną dwie dziewczyny chichoczą.

- Fajnie, mamusiu - mruczę, zamykając oczy. - Po prostu super. Akurat teraz postanowiłaś wyjść ze swojej skorupy.

- Cate... - zaczyna Dan.

W tym momencie matka zrzuca wszystkie ciuchy i na oczach mojej klasy, moich nauczycieli i chłopaka biegnie naga przez boisko, wymachując rękami.

Dan szybko ściąga płaszcz i pędzi za nią. Nie chce mi się biec. Moje oczy pozostają suche i zimne, kiedy przedzieram się przez podniecony brzęczący tłum do wyjścia.

Nigdy jej tego nie wybaczę. Nigdy, nigdy, nigdy.

Czuję się tak upokorzona, że gdyby nie to, że nie chcę sprawiać jej satysfakcji, najchętniej bym umarła. Jak ona mogła mi to zrobić? Jak ja teraz pokażę się w szkole? Dzięki Bogu, jest przerwa wielkanocna, więc będę mogła zamknąć się w pokoju z Cynamonem. Nie mam ochoty nikogo oglądać, nawet Dana. Nienawidzę jej. Zrujnowała mi życie. Jedynym plusem tej sytuacji jest to, że schudłam całe trzy kilogramy, ale skoro i tak całe życie zamierzam spędzić z dala od świata, nie cieszy mnie to szczególnie.

Odkąd sięgam pamięcią, zawsze musiałam traktować ją pobłaźliwie. Jest chora. To nie jej wina. Nie wie, co robi. A kiedy siedzi cały dzień, gapiąc się przez okno, i nie chce jej się nawet ubrać, tata mówi: „To te lekarstwa”. To nie jej wina.

Ale tata ucieka do biura. To nie on musi wycierać podłogę w kuchni, bo mama zostawiła na osiem godzin odkręcony kran. To nie on musi przemalowywać moją sypialnię, bo mama pod wpływem chwili pomalowała ją na wściekły pomarańczowy. To nie on musi odkładać kieszonkowe przez trzy miesiące, żeby kupić dziennikarską torbę Billingtona tylko po to, żeby chwilę potem mama na haju oddała ją Armii Zbawienia.

I to nie on wrócił wtedy do domu i ją znalazł.

Zastanawiam się, jaka ona jest. Ta jego przyjaciółka. Zawsze wydawała się okej, ale to było, zanim się dowiedziałam, że bzyka się z moim ojcem. Jak ona może z nim romansować, skoro wie, że on ma dzieci? Nic ją to nie obchodzi?

A jeśli on nas dla niej zostawi? Będzie miał z nią dzieciaka, nową rodzinę i zapomni o nas? Mama całkiem się posypie. Gdyby jego kochanka wiedziała, jak

bardzo go potrzebujemy, zostawiłaby go w spokoju i poszukała sobie kogoś innego. To przecież lekarka od dzieci. Chyba nie może być taką zimną suką?

Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Nietrudno ją znaleźć. Wciąż pracuje w tym samym szpitalu, tylko zmieniła gabinet. Niecała godzina drogi z domu, tata ma wygodnie.

Jedno nie ulega wątpliwości, ta kobieta ma *cojones*. Nawet nie wygląda na specjalnie zdziwioną, kiedy widzi mnie w swoim gabinecie.

- Jesteś Caitlin, prawda?

- Cate.

- Cate - potakuje. - No cóż, wejdz.

Idę za doktor Ellą Stuart do jasnego pokoju, który przypomina mi nowy gabinet tatusia, tyle że bez tego ładnego widoku. Jej fantazyjne szklane biurko jest zavalone stosami formularzy i papierów, kubkami po kawie i książkami. Dwa monitory tworzą na środku jaskółczy ogon, podobne do otwartej podpartej książki. Ściany wypełnione są półkami, na których stoją opasłe tomszcza w skórzanej oprawie.

Żadnych fotografii.

Doktor Stuart wskazuje mi gąbczaste szare krzesło z mojej strony biurka, ale sama przysiadła tylko na krawędzi blatu.

- O czym chcesz ze mną porozmawiać? - pyta.

- O tacie - odpowiadam.

Rozpuszcza swoje długie włosy, zbiera je ponownie, tym razem nieco ciaśniej, i spina.

- O co dokładnie chcesz...

- Niech pani nie udaje, że nie wie, o czym mówię. Widziałam was w zeszłym tygodniu w samochodzie zaparkowanym przy dworcu. Całowaliście się - oskarżam.

Przez dłuższą chwilę tylko na siebie patrzymy.

- Kiedy widziałam cię ostatnio, miałaś trzynaście lat - mówi w końcu. - Byłaś zła. Chyba musiałaś zrezygnować z koncertu czy czegoś w tym guście, żeby przyjść tu ze swoim małym bratem...

- Czternaście. Już wtedy sypiała pani z moim ojcem?

- Wciąż jesteś zła - zauważa.

- To jak, sypiała pani?

Majstruje przy półce z książkami, prostując grzbiety. Wydaje się szczuplejsza niż kiedyś i jakaś taka blada, jakby była chora albo coś. Otrząsam się. Kurczę jeszcze chwila, a zacznę się użalać nad tą krową.

- Jak się tu dostałaś? - pyta.

- Pociągiem. Metrem. A dalej na piechotę. Znalezienie szpitala nie wymaga specjalnego zachodu. Już nie jestem dzieckiem. Wciąż nie odpowiedziała pani na moje pytanie...

- A co dokładnie chcesz usłyszeć?

Chcę usłyszeć, że przepraszasz, że przestaniesz. Chcę usłyszeć obietnicę, że nie ukradniesz mi ojca. Zamiast tego pytam:

- Kocha go pani?

- To chyba nie twój interes - odpowiada cicho.

- To mój ojciec. Ożenił się z moją mamą. Myślę, że to jednak mój interes...

- Nie, to tylko oznacza, że to twoi rodzice.

- Nie jest pani nic a nic przykro? - pytam wkurzona.

- Z jakiego powodu?

- Romansuje pani z moim ojcem! Jak pani może tak sobie siedzieć i udawać, że to nic nie znaczy? Jest pani... rozbijaczką małżeństw!

Odchyła się do tyłu i splata dłonie. Ma na sobie absolutnie bezbłędne kozaki, z czekoladowo-pomarańczowo-cynamonowego zamszu, na małych obcasikach.

- Nie rozbiłam twojej rodziny. Nigdy bym tego nie zrobiła.

- A co będzie, jak dowie się moja mama?

- Powiesz jej?

Czemu wszyscy mnie o to pytają?

- Nie będę musiała, jeśli nie przestanie pani migdalić się z moim ojcem, gdzie popadnie. Przecież byliście prawie na tyłach naszego ogrodu. Każdy mógł was tam zobaczyć.

- Przepraszam za to - mówi. - Nie powinnam tam jechać. Miałam zły...
Nieważne. To się już nie powtórzy.

Nerwowo przekręca obrączkę na palcu. Dopiero teraz ją zauważam.

- Jest pani mężatką! - wykrzykuje. - Czy pani mąż wie?

- Nie żyje - odpowiada cicho.

- Och, tak mi przykro. Nie wiedziałam.

- Skąd miałabyś wiedzieć? - Wciska dłonie głęboko w kieszenie białego fartucha. - Umarł równo miesiąc temu. I nie, nie wiedział.

- Czy on był stary?

- Nie. Choć może tobie mógłby się taki wydawać. Miał czterdzieści jeden lat...
czterdzieści dwa - poprawia się. - Ciągle zapominam, że to stało się w jego urodziny.

- Miał wypadek?

- Wirus zaatakował jego serce. To jeden z tych rzadkich przypadków. Raz na milion. Nikt nie mógł się spodziewać...

- Ma pani dzieci?

Pochyliła głowę. Przez chwilę wydaje się niewiele starsza niż ja albo Clem.

- Nie. On chciał dzieci, ale ja nie.

- Pewnie teraz jest pani z tego zadowolona.

- Niespecjalnie.

Nie bardzo wiem, co jeszcze powiedzieć. To wszystko nie do końca potoczyło się tak, jak chciałam. Miałam jakąś mglistą nadzieję, że kiedy mnie zobaczy, będzie tak zakłopotana i wstrząśnięta, że załamie się i obieca nie spotykać się więcej z tatą. Spodziewałam się, że może trochę powalczy, czy nawet trochę popłacze, ale w końcu uzna, że zabawa się skończyła, i spokojnie odejdzie.

Dopiero co umarł jej mąż. Kurczę. A ona jest taka spokojna, odpowiada sensownie i nie traktuje mnie jak głupiej smarkuli. Wydaje się prawie - no cóż, prawie miła.

Szybko zadaję pytanie, nim całkiem stracę werwę.

- Zamierzacie być z tatą razem?

- Tego się boisz? - Czerwieni się. - Nie, nie zamierzam odejść z Willem, twoim tatą. Nie rozbijam rodzin. Zdaję sobie sprawę, jak to może zabrzmieć, ale kochałam męża. I nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić...

- Nie obchodzi pani to, że on okłamuje moją matkę? - pytam. - Przecież panią też może oszukiwać, może mieć tabuny innych dziewczyn.

- O mnie też można to powiedzieć - mówi z wymuszonym uśmiechem.

Boże, ona wygląda okropnie. Ręce jej się trzęsą.

- Doktor Stuart, czy pani dobrze się czuje? Brak jej tchu.

- Możesz podać mi trochę wody?...

Na biurku stoi zamknięta butelka wody mineralnej. Odkręcam zakrętkę i podaję jej. Chwyta powietrze jak po biegu; zaczyna mnie to wszystko przerażać.

- Doktor Stuart? Czy mam kogoś sprowadzić?

- Och, Cate, tak mi przykro - udaje jej się wykrztusić.

Upada miękko jak gumowa lalka. Próbuję ją złapać, ale to wszystko dzieje się za szybko. Gdy jej głowa uderza o róg szklanego biurka, rozlega się przerażający głuchy łoskot.

- Ella! Ella! Nic się pani nie stało?!

Nie rusza się. Przykucam i delikatnie odwracam jej głowę w swoją stronę. Boże, ile tu krwi! Żołądek wywraca mi się na drugą stronę. Powtarzam jej imię, ale nie odpowiada. Jest okropnie blada. Nie potrafię nawet stwierdzić, czy oddycha.

Otwieram drzwi na korytarz i krzyczę z całych sił.

Rozdział 5

Ella

Nie boję się latać. Ale katastrofy - owszem. „W razie niebezpieczeństwa kobiety muszą zdjąć buty na wysokich obcasach” - tylko mężczyzna mógł wymyślić taką instrukcję. A gdybym tak właśnie miała na nogach moje ukochane pantofle Manola? Może pozwoliliby mi je nieść; kobiety znoszą po pochylniach swoje dzieci, więc kto wie...

Niespodziewany przypływ wyzwolonej strachem adrenaliny omal nie wyrzucił mnie z siedzenia.

Oddycham głęboko i staram się skupić na stewardesie demonstrującej na sobie zapinanie kamizelki ratunkowej. Jasne, że jestem smutna. Właśnie zmarł mój mąż. W tych okolicznościach chyba nawet Polyannie niełatwo byłoby wprowadzić się w wakacyjny nastrój.

Samolot rusza z miejsca; klamka zapadła. Przebiega mnie fala gorąca i oblewam się potem. Próbuje manipulować nawiewem powietrza, ale nie na wiele się to zdaje.

- Proszę pani? - stewardesa klepie mnie po ramieniu. - Przepraszam, ale na czas startu trzeba to włożyć do bagażnika na górze.

- Nie ma problemu. Będę ją trzymać.

- Przykro mi, proszę pani, ale obawiam się, że to niemożliwe. Proszę mi to dać...

Dusi mnie w piersiach. W żołądku mdłości i strach zbijają się w wielką grudę. Pasażer z lewej wierci się irytująco. Ma ze trzydzieści kilo nadwagi; uda tak potężne, że podłokietniki chyba nie dadzą się opuścić. Fałdy tłuszczu przelewają się na moje siedzenie. Jestem otoczona, zamknięta w pułapce. To nie w porządku - mogę się założyć, że jemu nie kazali dopłacać za nadbagaż. Nie moja wina, nie potrafiłam się zdecydować, co ze sobą zabrać. Rano spędziłam dobrych dwadzieścia

minut, lejąc łzy na podłogę garderoby, niezdolna wybrać: grafitowe spodnie czy czarne. Koniec końców, uznałam, że najprościej będzie zapakować wszystko.

Przepływa przez mnie kolejna fala adrenaliny. Ręce mnie mrowią, jakby ktoś wbijał w nie igły. Zaczynam się naprawdę bać. Dobry Boże, czy to atak serca? Czy tak właśnie czuł się Jackson?

Stewardesa wyciąga ręce.

- Naprawdę muszę to zabrać.
- Nie! Będę ją trzymać!
- Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić.
- Będę trzymać! - krzyczę. - Trzymać!

Stewardesa nerwowo wycofuje się do przejścia. Samolot się rozpędza, a ja po omacku walczę z pasami. Nie mogę oddychać. Muszę się stąd wydostać, muszę się wydostać z tego samolotu...

Chłodna dłoń sięga nad przejściem i obejmuje moją.

- Wszystko będzie dobrze - mówi uspokajająco kobiecy głos. - Za szybko pani oddycha, hiperwentyluje się pani. Proszę oddychać wolniej. Wdech nosem, wydech ustami, wdech nosem, wydech ustami. Powoli. Wdech nosem, wydech ustami...

Hiperwentylacja. Tak, wiem, co to takiego. Kartka ze studenckich notatek dryfuje mi przed oczyma: Hiperwentylacja (inaczej *hyperpnoe*) to stan polegający na oddychaniu szybciej lub głębiej, niż potrzeba, wskutek czego zawartość dwutlenku węgla we krwi spada poniżej normy...

Uczucie duszności powoli ustępuje. Przez dłuższą chwilę nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa.

- Miała pani atak paniki, moja droga - łagodnie mówi kobieta. - Miewałam je przez jakiś czas po śmierci matki. Człowiek czuje się strasznie, ale w rzeczywistości to całkiem niegroźne.

Wyszarpuję dłoń.

- Nie miewam ataków paniki.

- Czasami przychodzą zupełnie niespodziewanie, zwłaszcza w sytuacji stresu lub nadmiernego niepokoju. Każdego to może spotkać. Nie ma się czego wstydzić.

- To pewnie z powodu wysokości. Teraz czuję się już dobrze.

Sama widzę, że ledwie zaczęliśmy się wznosić. Nadchodzi steward.

- Pani Stuart - mówi z naciskiem - naprawdę nie możemy pozwolić, by pani stwarzała zagrożenie dla siebie i innych pasażerów. Trzeba chować bagaż podręczny na czas...

- To mój mąż - rzucam. - Słucham?

W zgięciu łokcia trzymam drewnianą kasetkę. Przed oczy mojej duszy napływa rozśloneczone wspomnienie: Jackson idzie poboczem zakurzonej drogi gdzieś w Paragwaju i targuje się z mniej więcej ośmioletnim chłopcem. Śmieje się, bo wie, że bez względu na to, ile w końcu zapłaci, i tak będzie to z dziesięć razy więcej, niż ta nieporęczna drewniana kasetka jest warta.

- I jak, u diabła, zabierzemy ją do domu - zapytałam go.

- Coś wymyślimy - odparł beztrząskowo. - To w końcu część zabawy.

- To prochy mojego męża - odpowiadam stewardowi, czerpiąc ponurą satysfakcję z jego totalnego zaskoczenia. - Zabieram go do domu.

Chociaż nigdy nie spotkałam brata Jacksona, rozpoznaję go natychmiast. Ma te same rysy: oczy błękitne jak karaibskie morze, pełne usta, kwadratowa szczęka. O ile jednak uroda Jacksona była czymś więcej niż sumą tych cech, w przypadku jego brata jest poniekąd odwrotnie.

Wyraz twarzy ma kamienny i zniechęcający; głębokie bruzdy między brwiami i wokół ust sugerują, że to raczej jego charakter niż reakcja na moją osobę. Kiedy się przedstawiam, kiwa głową bez uśmiechu, a potem odwraca się na pięcie i kieruje w stronę wyjścia, pozwalając mi samej pchać wózek bagażowy. Najwyraźniej Jackson zagarnął cały przydział wdzięku na rodzinę, myślę ze złością.

Idę za Cooperem do wyjścia z parkingu. Gdy zatrzymuje się przed sfatygowanym dwudrzwiowym ffordem pikapem, mam ochotę jęknąć. Samochód wygląda, jakby przed chwilą miał za pasażerów stado ubłoconych hipopotamów.

Wspina się na fotel kierowcy, nie troszcząc się, jak zdołam wrzucić ciężką walizkę na brudne siedzenie, a gdy widzi, że nie daję sobie rady, niechętnie wychodzi.

- Dziękuję - sapie, kiedy wrzuca walizkę przez klapę z tyłu samochodu.

Nie zwraca na mnie uwagi i znów wsiada do auta. To by było na tyle w kwestii sławnych manier Południowców. Nie do wiary, jak bardzo Jackson różnił się od brata.

Cooper kieruje pikapa na ruchliwą autostradę międzystanową. Zostawia otwarte okno, więc w szumie powietrza żadna rozmowa nie wchodzi w grę. Włosy smagają mnie po twarzy, wpadają do oczu i ust. Mijają nas cztery sznury wielkich amerykańskich samochodów, wyrzucających z siebie kłęby szarego dymu - jedną z rzeczy, które Jackson naprawdę polubił w Anglii (oprócz Maltesers i piętrowych autobusów), były nasze małe poręczne samochodziki. Wzdrygam się, kiedy wiatr owiewa moje ramiona. Włączam ogrzewanie, ale Cooper natychmiast wyciąga rękę i wyłącza je. Jeśli to ma być jego sposób na zdobywanie przyjaciół i zjednywanie sobie ludzi, nic dziwnego, że nigdy się nie ożenił. Moszczę się na twardym siedzeniu, ściągam poły kurtki i zamykam oczy. Cooper prowadzi tak samo agresywnie, jak się zachowuje, ale jestem zbyt zmęczona i nieszczęśliwa, żeby się tym przejmować. Przez ostatnie dwa tygodnie specjalnie brałam w szpitalu podwójne dyżury: praca to jedyna rzecz, która mi teraz pomaga. Nawet w te dni, kiedy nie miałam akurat dyżuru, coś ciągnęło mnie do ciepła OIOM-u dla noworodków. Całe godziny spędzałam pochylona nad inkubatorem Hope, modląc się, żeby nie przestawała walczyć. To biedne maleństwo poruszyło we mnie coś, co - gdybym wciąż wierzyła w Boga - nazwałabym duszą. Zupełnie jakbym, próbując uratować mu życie, uczyniła je w jakimś stopniu częścią mojego.

Skreca mnie w żołądku. Siedzę tu obok mojego szwagra i jestem dosłownie chora z poczucia winy. William twierdzi, że powinnam przestać się obwiniać o śmierć Jacksona, ale jak to zrobić? Gdybym zamiast z Williamem, była w domu, zauważyłabym, że dzieje się coś złego. Gdyby...

Gdyby co, Ella? Gdyby znalazł się w szpitalu na czas? Gdybyś mogła się z nim pożegnać? Gdybyś nie spędziła ostatnich ośmiu lat, oszukując go?

- To on? - pyta zniecierpliwiona Cooper, wskazując kasetkę na moich kolanach.

Wzdrygam się na dźwięk jego głosu. Ma takie gorzkie brzmienie. Czy wystarczyło mu na mnie popatrzeć, by domyślił się, jaką kobietę poślubił jego brat?

Kiwam głową. Cooper zaciska szczęki, ale też nic nie mówi.

Po godzinie zjeżdżamy z międzystanówki i zapuszczamy się w coraz węższe i gorsze drogi, z których ostatnia nie jest nawet utwardzona. Pikap podskakuje na głębokich koleinach i dziurach, a ja pokrywam się warstewkami kurzu wpadającego przez otwarte okno. Wiecznozielone dęby, owinięte szarymi zwojami hiszpańskiego mchu, tworzą długi ciemny tunel. Powietrze stoi nieruchomo. Wilgotny zapach błota i próchnicy przenika mnie do kości. Nieraz zastanawiałam się, dlaczego Jackson nigdy nie znalazł czasu, by zaprosić mnie do domu. Teraz zaczynam rozumieć.

Cooper skręca w zarośniętą drogę biegnącą wzdłuż oblażącego z farby drewnianego płotu. Wkrótce zatrzymuje się przed nieoczekiwanie dużą i dobrze utrzymaną staroświecką rezydencją, jakby żywcem wyjętą z *Przeminęło z wiatrem*. Z oddali dobiega rzenie koni. Spodziewałam się ponurego, budzącego grozę koszmaru, a tu jest po prostu pięknie.

Wychyłam się przez okno pikapa, próbując wyobrazić sobie dzieciństwo Jacksona: sześciolatek przysiadający na balustradzie, nastolatek całujący się na ganku z pierwszą miłością; jedenastolatek wierzący się w sztywnym żałobnym garniturze, z przylizanymi włosami, starający się dorównać dzielnemu starszemu bratu i nie płakać, gdy chowają jego rodziców.

Cooper bierze z samochodu moją walizkę i idzie w stronę domu. Gramolę się z kabiny, niezdarnie trzymając nieporęczną kasetkę.

W przestronnym holu, u stóp szerokich zakreconych schodów, oczekuje mnie niska czarna kobieta, gdzieś między sześćdziesiątką a siedemdziesiątką, z rękami złożonymi na wykrochmalonym białym fartuszk. Żadnego śladu Coopera ani mojej walizki.

- Panienska Ella - mówi ciepło z boleśnie znajomym południowym akcentem. - Jestem Lolly. Panienska musi być bardzo zmęczona po takiej długiej podróży. Zaprowadzę panienskę do pokoju, żeby mogła się odświeżyć przez obiadem.

- Tak miło wreszcie cię poznać, Lolly. Jackson tyle mi o tobie opowiadał... Jej spojrzenie zatrzymuje się na kasetce.

- Och, panienko Ello. Nie mogę uwierzyć, że odszedł.

- Ja też - szepczę.

- To był taki silny chłopiec. Cały dzień mógł biegać po dworze, a kiedy wracał do domu, energia jeszcze w nim buzowała. Wciąż trzymały się go psoty; w łóżku ciągle znajdowałam żaby, robale i różne inne paskudztwa. Jednego razu znalazł w jutowym worku zaskrońca... - Brązowe oczy Lolly napęniają się łzami i przeciera je wierzchem dłoni. - Ale ja tu paplam jak stara głupia kobieta, a panienska musi padać z nóg. Chodźmy. Cooper dał paniencie niebieski pokój na końcu korytarza. W łazience są świeże ręczniki, a gdyby panienska czegoś potrzebowała, proszę mnie zawołać.

Idę za nią na górę, do jasnego wysokiego pokoju. Para francuskich okien naprzeciwko wejścia prowadzi na mały taras. Pośrodku pokoju stoi staroświeckie łoże z brązu, otulone pajęczyną zwisającej siatki na moskity. Wypolerowana dębowa podłoga połyskuje złotawo.

Ostrożnie stawiam prochy Jacksona na drewnianej komodzie, obok szczotek do włosów o srebrnych rączkach i ręcznego lusterka z wygrawerowanymi inicjałami, zbyt zatartymi, by móc je odczytać. Przy łóżku leży dywanik w tym samym odcieniu spłowiałego błękitu, co tapety. Stoi na nim pod dziwnym kątem walizka, zupełnie jakby ktoś cisnął ją tam spod drzwi. Znajac Coopera, pewnie tak właśnie zrobił.

Klękam na podłodze i kładę walizkę, żeby ją otworzyć.

- Nie przejmuj się Cooperem - mówi Lolly. - Bywa trochę prostacki, ale taki już jest. To dla niego straszny cios. Kochał Jacksona jak własnego syna. Jej oczy wędrują w stronę kasetki na komodzie. - Gdy zginęli ich rodzice, wszystko

poświęcił, żeby go wychować. Wiesz, że na miesiąc przed tym pożarem Cooper dostał stypendium w Juilliard? Wrócił wtedy do domu taki szczęśliwy. Miał wielki talent. Jeszcze teraz, gdy siada do pianina, nawet ściany zamieniają się w słuch.

Omam nie otwieram ust ze zdziwienia.

- Jackson nigdy o tym nie wspominał.

- Bo on nic nie wiedział. Cooper nie chciał, żeby chłopiec rósł w poczuciu winy. Nigdy ani słowem nie wspomniał o Juilliard. Bóg jeden wie, ile musiało go to kosztować.

- Nigdy się nie ożenił?

- Była jedna dziewczyna. - Lilly wzdycha. - Ale Jackson był jeszcze mały, a ona nie chciała się pakować w jego wychowanie. Po tym zdarzeniu Cooper raz na zawsze porzucił myśl o założeniu własnej rodziny. Jackson mu wystarczał.

Mówi, że obiad będzie o wpół do siódmej, i zostawia mnie, bym mogła się rozpakować. Nie trwa to długo; większość ubrań zostawiam w walizce, spędzę tu przecież tylko kilka dni. Tyle, ile trzeba, by rozrzucić prochy Jacksona i się pożegnać.

Gdy kończę, rzucam tęskne spojrzenie na łóżko. Marzę o wślizgnięciu się pod wykrochmaloną pościel, ale wiem, że jeśli teraz ulegnę, z powodu różnicy czasu już o trzeciej w nocy będę na nogach.

Ochlapuję więc twarz zimną wodą i przeczesuję palcami włosy, po podróży poskręcane jeszcze bardziej niż zwykle. Od jazdy tą ciężarówką dla bydła, która w dzisiejszych czasach uchodzi za samochód ekonomiczny, bolą mnie wszystkie mięśnie.

Z dołu dobiegają dźwięki pianina. Przystaję u szczytu schodów poruszona muzyką, a świat wlewa się we mnie jak światło. Rozpacz Coopera znajduje ujście w przepełnionych smutkiem dźwiękach wypływających spod jego palców. Serce rozsadza mi ból. Kochałam Jacksona tak mocno, jak umiałam, ale więzy krwi to coś innego. Wiele razy patrzyłam na pogrążonych w żałobie rodziców i wiem, że stratę dziecka przeżywają głęboko, jakby ktoś krajał im serce. Tak samo Cooper opłakuje

brata. Słuchając jego gry, czuję się dziwnie zakłopotana, jakbym stała się bezprawnym świadkiem czyjejś żałoby.

Schodzę na dół, otwieram cicho frontowe drzwi i wychodzę do ogrodu.

- To tutaj? - pytam, gdy Cooper zatrzymuje samochód.

Kiwa głową. Podczas trzygodzinnej jazdy do Smoky Mountains wymieniliśmy może raptem ze trzy słowa, więc nie spodziewam się ożywionej konwersacji.

Otwieram drzwi pikapa i sięgam po prochy Jacksona. Cooper nie rusza się z miejsca.

- Nie idziesz? - pytam zdziwiona. Milczy, patrząc gdzieś przed siebie.

Niespodziewanie uświadamiam sobie, że gdyby Cooper nie prostował przed młodszym bratem ścieżek życia, taki właśnie mógłby się stać Jackson: wypalony, cyniczny, zamknięty w sobie. Zastanawiam się, jak wyglądałby Cooper, gdyby się uśmiechnął.

Zostawiam go w samochodzie i przysłaniam oczy, patrząc w górę ścieżki, którą muszę się wspiąć. Och Jackson, nie byłbyś sobą, gdybyś nie wybrał tej na ponad sto metrów wysokiej, prawie pionowej ściany.

- Jeśli wyzionę ducha na tej zapomnianej przez Boga wyspie - oznajmił radośnie przy śniadaniu którejs deszczowej niedzieli, niedługo po naszej przeprowadzce do Londynu - nie waż się chować mnie na jednym z tych ponurych tutejszych cmentarzysk. Masz mnie zabrać do domu i rozsypać moje prochy z Chimney Rock.

- Chimney co?

Zanurzył w moim kubku z kawą łyżkę upačkaną płatkami zbożowymi i wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy trzepnęłam go po ręce.

- Chimney Rock. To taka skała, która wygląda jak komin...

- Zachowuj się tak dalej, a spuszczę twoje prochy w toalecie.

- Uwielbiam sposób, w jaki wypowiadasz wyrazy. To takie angielskie, tak jak czerwone autobusy i Marmite, i...

- Gadasz jak nawiedzony turysta.

- Jestem nawiedzonym turystą. Chimney Rock, brytyjska ignorantko, leży na skraju Blue Ridge Smoky Mountains w Karolinie Północnej, w najpiękniejszym zakątku naszej matki ziemi. Przy dobrej widoczności z wierzchołka roztacza się panorama na kilkaset kilometrów. Aż dziwne, że podczas studiów w Duke nigdy cię tam nie zaniósł.

- Mam lęk wysokości - wyznałam. - Od gór się trzymam z daleka, te wąziutkie przejścia po grzbietach i strome zbocza to nie dla mnie.

Teraz wpatruję się w wysoką skalną ścianę i czuję się chora. Na szczęście nie muszę się pakować w uprząż do wspinaczki, bo w ścianie wykuto kręte schodki. Ale co sto metrów, to sto metrów. Ledwie wspiełam się na pierwsze półpięterko, już dopadł mnie lęk wysokości.

Boże, naprawdę nie wiem, jak tego dokonam.

Skoncentruj się. Jedna stopa za drugą. Nie patrz w dół, a wszystko będzie dobrze. Jeśli te schodki wytrzymują wagę przeciętnego Amerykanina, pod tobą też raczej się nie zarwą.

Kurczowo trzymając się poręczy, wspinam się powoli przez dwadzieścia minut i wreszcie zdyszana wchodzę na sam szczyt. Tworzy coś w rodzaju platformy, więc od razu czuję się trochę lepiej. A platformę zamyka solidny kawał skały, nie jakaś krucha barierka...

O kurczę! To wcale nie wierzchołek. Przede mną kolejne drabinki - Jezu przenajśłodszy - jakiś pleciony mostek jak z *Indiany Jonesa*. Ktoś tu sobie stroi ze mnie żarty.

Opadam na ławkę. No, Jackson, trzeba ci przyznać, że śmiejesz się ostatni.

William stwierdził, że oszalałam, żeby tu jechać z prochami męża. Przecież tam w górze wiedzą, jak mało dla niego robiłam, kiedy jeszcze żył. Może to rzeczywiście bez sensu robić sobie tyle kłopotu teraz. Ale cóż - pewnie zabrzmiałoby jak wyznanie w talk-show - potrzebuję jakiegoś ostatecznego gestu. Jeśli zrobię tę ostatnią rzecz, może będę mogła ruszyć do przodu.

Wstaję, wspinam się po ostatniej linii schodków i przystaję, gdy docieram do mostka. Dno doliny jest jakieś trzysta metrów niżej.

Mogę zrobić tylko jedno. Kiedy wiatr wieje ci w oczy, zamknij je i idź do celu.

Gdy jestem po drugiej stronie, osuwam się na skałę. I tak zostaję. Żadna siła nie zmusi mnie, bym się zbliżyła do tej lichej balustradki na samej krawędzi. Leżę na wąskiej półce nie większej od mojej kuchni. Nawet nie jest płaska. W każdej chwili mogę się stoczyć w dół.

Ściskam mocniej kasetkę, a serce bije mi jak oszalałe. Oblewa mnie lepki pot. Nie ruszę się stąd. Nie dam rady tego zrobić.

Czyjaś ręka chwyta mnie za łokieć i stawia na nogi.

Łagodnie, ale pewnie Cooper prowadzi mnie w stronę balustrady. Niebieska mgiełka, od której Smoky Mountains wzięły swoją nazwę, zmiękcza i zamazuje krajobraz. Srebrzysta wstążka rzeki przedziera się zakolami za horyzont. Powietrze tu czystsze i świeższe niż gdziekolwiek. Jackson miał rację: to najpiękniejszy zakątek na naszej matce ziemi.

Razem z jego bratem otwieramy kasetkę. Lekki wiaterek porywa prochy, spływają kaskadą w dół jak wodospad.

Cooper odwraca się do mnie, ma załzawione oczy. Uświadamiam sobie, że ja też płaczę.

Bierze mnie za rękę i przeprowadza przez mostek.

Jak na początek marca wieczór jest nadspodziewanie ciepły. Otwieram francuskie okno i wychodzę na balkon; w wiecznozielonych dębach szeleści wietrzyk, kołysząc girlandami hiszpańskiego mchu. Napiera na mnie czarna, bezgwiezdna noc. Po cieniutkim rąbku księżycy przemykają chmury. Nie ma tu świateł ulicznych ani neonów. Tylko ciemność i uderzenia wiatru.

Oparta o balustradę, sączę wieczorną szklaneczkę burgunda. Jutro rano wyjadę, wrócę do Londynu, szarego w każdym sensie tego słowa, i pierwszy raz w życiu będę naprawdę sama.

Dopóki Jackson żył, nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele miejsca zajmował w moim życiu. Jego spokojna, dająca poczucie bezpieczeństwa obecność, była opoką, na której zbudowałam domek z kart. To tylko kwestia czasu, kiedy bez niego się rozpadnie.

Mogłabym sobie wmawiać, że serce mi pękło, ale byłoby to tylko przykrywaniem zdrady stosami kłamstwa. Są ludzie, których śmierć napawa żalem, i są tacy, których śmierć oznacza koniec wszystkiego, biblijną ciemność spowijającą ziemię. Ich odejście przenika nas wibrującym jękiem, podobnym do przenikliwego zawodzenia zagubionej duszy. Choć trudno się do tego przyznać, śmierć Jacksona nie była dla mnie stratą tego drugiego rodzaju.

Moje oczy przyzwyczajają się do ciemności i w odległym końcu trawnika widzę małe jezioro, nad którym właśnie nurkuje sowa.

Śmierć męża boli mnie bardziej, niżbym się spodziewała, ale nie rozpaczam tak jak Cooper. Straciłam Jacksona, myślę, Williama też stracę?

Nasz romans trwał, bo był doskonale wyważony. Oboje mieliśmy tyle samo do stracenia, siły były wyrównane. Teraz nie jestem już równoprawnym partnerem, nagle stałam się ubogą krewną: tą Drugą Kobieta.

Może William nie jest tego świadomy, ale jednym z powodów mojej atrakcyjności w jego oczach była nieosiągalność. Nigdy nie musiałam jej udawać, bo z Jacksonem u boku byłam niedostępna. Ale teraz jest inaczej. William pewnie boi się jak diabli i jest gotów uciec gdzie pieprz rośnie. Trudno mieć mu to za złe; gdyby rzucił Beth, postąpiłabym dokładnie tak samo.

Lucy uważa, że jestem bezwstydna (wadą najlepszych przyjaciół jest to, że znają nas aż za dobrze), ale to nie do końca prawda. Gdyby William nie zaczął romansu ze mną, byłaby inna kobieta, może taka, która ślubną obrączkę Beth chciałaby widzieć na swoim palcu i zrobiłaby wszystko, żeby to osiągnąć. To nie w moim stylu. Ja obiecałam sobie, że nigdy nie zabiorę męża innej kobiecie.

Nic łatwiejszego, jeśli pokusa nie istnieje. Ale brutalna prawda jest taka, że byłam zbyt wielkim tchórzem, aby zostawić Jacksona.

Teraz, kiedy odszedł, moje zasady moralne stały się znacznie mniej sztywne.

Przez moment wyobrażam sobie wspólne życie z Williamem. Przebudzenia u jego boku każdego ranka, leniwe weekendy z przeglądaniem prasy, weekendową wycieczkę Eurostarem do Paryża... Teraz, kiedy jestem wdową (wciąż nie mogę się przyzwyczać do tego słowa; kojarzy mi się z greckimi starownikami w czerni zbierającymi oliwki), muszę tyle rzeczy robić samotnie. Chyba że...

Czego ty chcesz, Ella? Czego naprawdę pragniesz?

Po raz pierwszy w życiu nie potrafię uczciwie odpowiedzieć na to pytanie.

Z zamyślenia wyrывa mnie jakiś hałas w pokoju. Upuszczam pustą szklanekę po burbonie i instynktownie zakrywam nagość dłońmi.

W drzwiach stoi Cooper. Nie jestem tym szczególnie zdumiona. Od czasu wycieczki do Chimney Rock dwa dni temu atmosfera między nami uległa pewnej zmianie.

Kiedy ja wchodzę do pokoju, on wychodzi. Nie rozmawiamy ze sobą, nie licząc krótkiej wymiany paru banałów podczas posiłków. Ale ilekroć na niego patrzę, widzę Jacksona. I za każdym razem, kiedy on patrzy na mnie, mam wrażenie, że przenika w głąb mojej duszy.

Pragnę tego mężczyzny w sposób, który nic nie ma wspólnego z tym, kim jest on i kim jestem ja, za to bardzo dużo z żądzą, ucieczką, złością, burbonem i potrzebą poczucia, że jestem żyjącym, oddychającym ciałem, a nie kupką szarego popiołu rozsypanego na zboczach.

Opuszczam ręce i pozwalam, by jego oczy wędrowały po moim ciele. Brodawki moich piersi twardnieją na wpadającym przez okno chłodnym wietrze.

Nie wiem, jak nazwać to, co dostrzegam w jego oczach, kiedy idzie przez pokój. Ale zupełnie mnie to nie obchodzi. Stąпам nad rozbitą szklanką po burbonie i rozdieram jego dzinsową koszulkę. Popycha mnie gwałtownie na łóżko, rozpina i zrzuca dzinsy. Chwilę później jest we mnie; a ja jestem już mokra. Wbijam paznokcie w jego plecy, przyciągając go mocniej, głębiej. Gryzie mnie w ramię; jego stwardniałe palce szorują po moich piersiach; nasze ciała ślizgają się, mokre od

potu. Wezglowie łóżka uderza rytmicznie w ścianę, gdy Cooper wbija się we mnie. Dochodzimy razem w eksplozji żalu i gorąca.

Opada na mnie. Wyślizguję się spod niego, zdyszana i zarazem dziwnie spokojna.

Cooper wstaje, wciąga džinsy i idzie do drzwi. Nagle zatrzymuje się i odwraca. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie powie, że mnie kocha.

- Zawsze zastanawiałem się, jaką kobietę poślubił mój brat - mówi zimno. - Teraz już wiem.

Jeszcze nigdy nie czułam się tak upokorzona i wściekła. Co za skurwysyn. Pieprzy się z żoną swojego brata tylko po to, żeby udowodnić, że ona to zrobi? A już myślałam, że to ja jestem pokręcona.

Nieraz żałowałam, że uprawiam seks z niewłaściwych powodów, ale jeszcze nigdy nie poczułam się tak zbrukana jak teraz.

Kompletnie roztrzęsiona, przed lotem zapominam wziąć xanax. Osiem godzin później, zmęczona i przygnębiona, dostaję ataku paniki. Stoję na środku hali przylotów w Gatwick i kurczowo ściskam walizkę, niezdolna zrobić kroku, a strach rośnie we mnie niczym nuklearny grzyb. Wokół klatki piersiowej zaciska się gorąca obręcz. Lotnisko staje się nagle duszną pułapką. Zewsząd napierają ludzie, popychają mnie z każdej strony. Upuszczam walizkę i staram się zaczerpnąć powietrza, szarpię ubranie na piersiach, desperacko walcząc o oddech.

Jakimś cudem udaje mi się opanować strach. Otwieram torbę, nie bacząc na dokumenty i klucze, wysypuję jej zawartość na podłogę, chwytam telefon i po raz pierwszy od ośmiu lat dzwonię do domu Williama.

Kiedy spotyka się ze mną na podmiejskim dworcu, gdzie kazał mi przyjechać, ma kamienną twarz. Bez słowa bierze walizkę i prowadzi mnie do samochodu. Ulga, jaką czuję na jego widok, po chwili gaśnie, bo ogarnia mnie nowy lęk.

Nie chcę być sama.

- Przepraszam - mówię, kiedy wsiadamy do samochodu.

- Nie dzwoń do mnie do domu - mówi z naciskiem. - Proszę, nie rób tego nigdy więcej.

Odwracam się w jego stronę, a pas bezpieczeństwa wrzyna mi się w ramię.

- Dzięki za herbatę i współczucie.

- Daj spokój, Ella. Znasz reguły.

- Raz na osiem lat można chyba za...

- Obok mnie w kuchni była moja żona! - krzyczy. Jego brak jakiegokolwiek współczucia jest zatrważający.

- Właśnie przeleciałam pół świata i z powrotem, żeby rozsypać prochy mojego męża ze szczytu góry, i w chwili słabości pomyślałam, że na twój widok poczuję się trochę lepiej! Najwyraźniej się myliłam!

Wyglądam przez okno na źle oświetlony parking, by nie zobaczył łez, które napływały mi do oczu. Cholera, co jest ze mną nie tak? Bez żadnego powodu wyciągam go z domu w środku nocy. Nic dziwnego, że jest zły. Muszę wziąć się w garść. Przecież nie chcę, żeby przez takie bzdury oddalił się ode mnie. Skończę, dzieląc pokój z jego żoną w domu wariatów.

- Ella...

- Przepraszam. Nie powinnam była dzwonić.

- Ella, nie jest tak, że mnie nie obchodzisz. Wiesz, że nie. Ale w domu mam teraz bardzo trudną sytuację. - Pociera twarz. - Beth jest właśnie w fazie maniackalnej, nie sposób przewidzieć, co zrobi...

Na stację za nami wtacza się pociąg, zagłuszając na chwilę jego słowa.

- ...Kiedy przyjechałem do domu, jacyś cholerni budowlańcy właśnie przymierzali się do zrównania z ziemią garażu - mówi William. - Jeden Bóg wie, co jeszcze tym razem strzeli jej do głowy. Powinienem być bardziej czujny, ale przez tę ofertę przejęcia jestem tak skołowany, że spuściłem ją z oczu.

- James Noble? - pytam, wdzięczna za możliwość zmiany tematu.

- Łajdak. Nie po to budowałem firmę od zera, żeby teraz dać się wycyckać jakiemuś szulerowi, bo akurat ma na to chętkę.

William od ponad roku bronił się przed przyjaznymi i nie całkiem przyjaznymi próbami przejęcia przez firmę Noble'a. Pół roku temu po prostu mógł mu kazać się odpieprzyć. Ale w ostatnich miesiącach firma straciła paru kluczowych klientów i stała się łatwym kąskiem. William stara się niczego po sobie nie pokazywać, ale ta sprawa zżera go od środka.

Odpinam pas, strzepuję z jego koszuli grudkę zeschniętego błota, nie zastanawiając się, skąd się tam mogła wziąć, i wdycham znajomy drzewno-cytrynowy zapach. Stęskniłam się za nim i muszę mu przypomnieć, dlaczego on tęskni za mną.

Wsuwam dłoń między jego uda. Gdy przyciąga mnie do siebie i całuje namiętnie, przez krótką chwilę żałuję, że nie miałam jak wziąć prysznic. Przenika mnie fala gorąca. Cooper to było tylko zaspokojenie fizycznej potrzeby, ale William znaczy wiele więcej...

Zastygam. O wiele więcej? Jacksona nie ma już na straży. Na pewno wiesz, co robisz?

Atak paniki powraca bez ostrzeżenia. Ciemność jeszcze wzmaga jego napięcie. Samochód nagle staje się duszny. Odpycham Williama i próbuję namacać klamkę. Gdy chwyta mnie za nadgarstek, wyszarpuję rękę, nie zważając na ból.

- Ella, co się dzieje? O co chodzi tym razem? Ella!

Otwieram drzwi i zapala się światło. Rześkie powietrze ożywia mnie, od razu czuję się lepiej. Wystawiam nogi na zewnątrz, kładę dłonie na kolanach i oddycham głęboko w sposób, jaki pokazała mi kobieta w samolocie. Wdech nosem, wydech ustami.

Gdzieś w oddali wydziera się kot. Ktoś biegnie szybko przez ciemny park. Para nastolatków toczy puszkę po peronie. Bicie mojego serca powoli wraca do normy.

William na pewno ma dość łez i hysterii w domu - ostatnia rzecz, jakiej mu trzeba, to dodatkowa porcja tych atrakcji ode mnie. Muszę uporządkować relację z nim, a potem zastanowię się, co dalej.

Tyle że nie chcę być sama.

Zatrząskuję drzwi i wkładam w uśmiech cały czar dawnej Elli.

- Pojedźmy do mnie - mówię.

- Ella?

Leżę na plecach, unosząc się w ciepłym oceanie. Łagodna fala wyrzuca mnie na bielutką plażę, po czym ponownie unosi w morze. Jestem kępką wodorostów, dryfującym kawałkiem drewna, na łasce wiatru i pływów. Słona woda ochlapuje moją twarz, słońce nagrzewa skórę. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam się tak odprężona i spokojna.

- Ella? Czy ty mnie słyszysz?

Na twarzy znów czuję wodę, lecz tym razem zimną. Coś mnie szarpie i ciągnie na dno. Zaczynam się dławić. Słońce grzeje tak mocno, że niemal parzy. O Boże, to boli, boli...

- Nie ruszaj się - mówi czyjś głos prosto w moje ucho.

Mam wrażenie, jakby jakiś olbrzym wciskał mi paluchy w oczy. Ich otwarcie wymaga ogromnego wysiłku.

- Lucy? Miałam jakiś wypadek?

- Upadłaś i rozcięłaś sobie głowę o kant biurka. Na jakieś pięć minut straciłaś przytomność. Pamiętasz, jak to się stało?

- Co tu się dzieje?

Świeci mi w oczy punktową latarką.

- Mdłości? Podwójne widzenie? Uchylam głowę przed ostrym światłem.

- Czuję, jakby w mojej głowie pracował młot pneumatyczny, ale nic poza tym.

Co się stało?

- A co pamiętasz?

- Lot z Karoliny Północnej i spotkanie z Williamem na dworcu... Mieliliśmy wypadek samochodowy?! - Siadam wyprostowana jak struna, a pokój wiruje dziko wokół mnie. - Co z Williamem, wszystko w porządku? Och, Boże, powiedz, że nic mu nie jest...

Lucy marszczy czoło.

- Ella, to było tydzień temu. Nie miałaś żadnego wypadku, poza tym tutaj, w szpitalu...

- Tydzień?

- Nie pamiętasz nic z dzisiejszego dnia? Rano miałyśmy obchód, Hope ma się świetnie, robi ogromne postępy, a potem kłóciłaś się z Angelem o likwidację łóżek na OIOM-ie.

Kręcę głową i od razu tego żałuję, bo pokój zaczyna wirować na nowo.

- Potem poszłaś do swojego gabinetu zająć się papierkową robotą. Gina powiedziała, że ktoś na ciebie czekał. Jakaś dziewczyna, blondynka. Była z tobą, gdy to się stało. Rozmawiałyście, ty zemdliałaś w połowie zdania i upadając, uderzyłaś głową o biurko. Dziewczyna wrzeszczała jak opętana, zupełnie jakby kogoś zamordowano.

- Cate - szepczę.

- Pamiętasz?

W mojej głowie przewija się film: córka Williama, atak paniki, jej pytanie: „Ma pani dzieci?” i moją instynktowną odpowiedź, pierwszą odpowiedź z głębi trzewi: „Gdybym dała Jacksonowi dziecko, którego tak pragnął, nie byłabym teraz sama”.

Nie powiedziałam Lucy ani o atakach paniki, ani o innych niepokojących objawach. Od tygodni prawie nie jem, w nocy budzę się po kilka razy, mam uderzenia adrenaliny, serce mi wali, czuję, jak duszący ciężar uciska mi piersi. Jestem tak wyczerpana, że ledwo chodzę. Patrząc w lustro i nie rozpoznaję samej siebie.

Zawsze miałam pełną kontrolę nad swoim życiem. Nigdy, z żadnego powodu, nie byłam zdenerwowana czy niespokojna. Egzaminy końcowe zdałam śpiewająco. Jak coś takiego mogło mi się przytrafić?

- Teraz sobie przypominam - mówię z wysiłkiem. - Nie wszystko, ale przynajmniej te momenty, które wspomniałaś.

- Resztę też sobie przypomnisz. To rozcięcie wymaga założenia kilku szwów.

- Lucy wciąga rękawiczki i otwiera przybornik. - Masz szczęście, że nie straciłaś oka. Musisz zacząć się właściwie odżywiać - dodaje rozeźlona. - Spójrz na siebie, przez ostatnie tygodnie zrzuciłaś chyba z siedem kilogramów. Nic dziwnego, że zemdliałaś.

Krzywię się, kiedy dezynfekuje mi czoło.

- Ta dziewczyna, to była Cate - mówię - córka Williama... Auu! Uważaj, jak szujesz, Lucy!

- Przepraszam. Co ona, na Boga, tutaj robiła?

- Dowiedziała się o nas. Myślę, że chciała mnie zniechęcić. Chociaż... - waham się. Jej wrogość nie wydawała się autentyczna; zupełnie jakbym nie ja była jej przedmiotem. Przyjście tutaj i staniecie ze mną twarzą w twarz wymagało od Cate nie lada odwagi. Wolałabym, żeby tego nie zrobiła, ale muszę przyznać, że zaimponowała mi. - Nie jestem pewna, czego chciała. Chyba sama nie bardzo wiedziała.

- I co teraz?

Przez chwilę myślę o Cooperze i tej pierwotnej, brutalnej żądzy, która nas połączyła.

- Nie mam pojęcia - wzdycham.

- Zamierzasz mu powiedzieć?

Powinien wiedzieć, że jego córka wie o nas, ale obiecałam Cate, że nic nie powiem, i choć to brzmi głupio, nie chcę jej zawieść. Och, Boże, jestem już taka zmęczona tymi kłamstwami.

Świadomość, że William ma rodzinę, to jedno; spotkanie z jego nastoletnią córką, ból i zakłopotanie w jej oczach - to zupełnie coś innego. Może udawać twardą sztukę i trzymać stronę ojca, ale matkę też kocha, czy przyznaje to przed sobą, czy nie. Czy powinnam dalej to ciągnąć, skoro Cate o nas wie?

Ale jak zniosę kolejną stratę, stratę Williama?

- Słuchaj, Lucy, dzięki, że poskładałaś mnie do kupy, ale muszę iść. Jeżeli nie skończę tej papierkowej roboty dla Angela, zamknij pół szpitala.

- Nie wygłupiaj się, Ella! Dopiero co straciłaś przytomność! Nawet nie myśl o powrocie do biura. A do domu pojedziesz taksówką. Nie zamierzam dopuścić, żebyś błąkała się otumaniona po stacjach metra, pytając ludzi, jak się nazywasz. Poza tym - dodaje, ściągając rękawiczki - Richard zrozumie. Nie jest taki straszny, jak go malują.

- Richard?

- Jeśli dać mu szansę, okazuje się całkiem w porządku - mamrocze niepewnie.

- Myślałam, że to ja miałam wstrząs - mówię, mrużąc oczy. Lucy wyraźnie unika mojego spojrzenia.

- Zamówię ci taksówkę

Dzisiejszy dzień jest z lekka surrealistyczny. Najpierw zjawia się Cate, a teraz Lucy bierze w obronę Anioła Śmierci. Może obudziłam się w jakimś równoległym wszechświecie, gdzie to wszystko ma jakiś sens?

Pozwalam zapakować się do taksówki i podaję kierowcy adres Williama. Pół godziny później wchodzę do jego mieszkania; dał mi klucze lata temu, ale oczywiście nigdy nie pokazałam się tu nieproszona. Mieszkanie tonie w ciemnościach; najwyraźniej William jest jeszcze w pracy. Dzięki mojej małej katastrofie pojawiłam się godzinę przed czasem.

Nie zapalając światła, rzucam się na sofę. Czoło pulsuje mi z bólu. Nie takie miałam plany na dzisiejszy wieczór. Chciałam być zabawna i seksowna. Chciałam przypomnieć Williamowi dawną Elle, zatrzeć to neurotyczne wrażenie, jakie sprawiałam przez kilka ostatnich tygodni. Siedzenie tutaj z głową w zwojach gazy było ostatnią pozycją na liście moich pragnień...

Coś kłuje mnie w plecy. Sięgam pod poduszkę i wyciągam pilota, ale wciąż coś mnie uwiera...

Na moich kolanach łąduje jedwabny gorset z fiszbinami, cały w koronkach. Bardzo seksowna i bardzo droga baskinka, o co najmniej dwa numery na mnie za mała.

Ten gorset na pewno nie należy do jego żony.

24 października 2000 roku

Felden Street

Fullham

Londyn SW6

Drogi Cooperze!

Nie masz pojęcia, jak ucieszył mnie Twój list. Myślałem, że już zawsze będziesz na mnie wściekły. Szkoda, że nie pogodziliśmy się, zanim opuściłem Stany, było mi strasznie przykro, że nie mogłem się z Tobą pożegnać. Ale żadne moce nie przeszkodzą mi w przyjeździe na Święto Dziękczynienia, więc lepiej powiedz Lolly, żeby już wzięła się do pieczenia! Wszystko bym dał za kawałek jej cudownego ciasta.

Nie powinienem był mówić rzeczy, które powiedziałem, i bardzo mi głupio. Ale przecież wiesz, że to tylko takie gadanie. Byłeś najlepszym bratem pod słońcem i mnóstwo Ci zawdzięczam. Lecz Ella jest moją żoną i kocham ją. Bardzo mnie boli, że dwoje ludzi, których kocham najbardziej na świecie, nie może się polubić.

Ona wciąż się dopytuje, kiedy Cię pozna, a mnie kończą się już wymówki. Szkoda, że nie chcesz nawet dać jej szansy. Nie rozumiem, co masz przeciwko Elli, skoro nawet jej nie poznałeś. Nie jest taka, jak myślisz, Coop. Jest dobrą żoną. Wiem, że zawsze uważałeś, że kobieta powinna siedzieć w domu i troszczyć się o swojego mężczyznę, tak jak mama, ale gdybyś zobaczył ją, jak opowiada o swoich dzieciach ze szpitala, zmieniłbyś zdanie. To, czym się zajmuje, jest naprawdę ważne. Przyznaję, że nieraz chciałbym, żeby miała dla mnie więcej czasu, ale te maleństwa potrzebują jej nie mniej niż ja.

To nie w porządku, że obwiniasz ją o naszą przeprowadzkę do Londynu - to był mój pomysł. Miałem nadzieję, że mieszkając w swoim rodzinnym mieście, wcześniej czy później będzie chciała mieć prawdziwą rodzinę.

Zawsze mówiła, że nie chce mieć dzieci, ale jestem pewien, że w głębi duszy wcale tak nie myśli. Po prostu musi poczuć się zadomowiona i bezpieczna, to wszystko. Po tym, co przytrafiło się jej matce, nie można jej winić. Potrzebuje dużo uczucia, jak płochliwa klacz. Pamiętasz jak oswajałem Star, ile czasu mi to zajęło? A ile upadków zaliczyłem, zanim mi się udało! Lolly bez przerwy wcierała we mnie jakieś maści, jak nie na jedne potłuczenia, to na inne.

Jackson Junior - jak Ci się podoba ten szalony pomysł? Założę się, że nigdy nie myślałeś, że Twój zwariowany brat będzie z tęsknotą wyglądał chwili, gdy będzie mógł zmieniać pieluszki.

Nie twierdzę, że nasze pożycie jest usłane różami. Mamy problemy, jak wszyscy. Ella sama ciężko pracuje i mnie też zawsze namawia do pięcia się w górę. A znasz mnie, dla mnie praca nigdy nie była najważniejsza. Nie zaprzeczam więc, że Ella czasem wkurza mnie do bólu. Nie żyje mi się z nią łatwo, ale bez niej nie mogę żyć, Coop.

Czemu nie przyjedziesz i nie pobędziesz u nas trochę, żeby ją lepiej poznać? Londyn jest zdumiewający, przede wszystkim zaś tak zatłoczony, że ledwie się daje oddychać w tym tłumie.

I te ich samochody! Po prostu je uwielbiam. Nasz dom jest taki mały, że stojąc w miejscu, mogę dotknąć przeciwległych ścian kuchni, ale mieszkamy w przeuroczej okolicy i poznałem już mnóstwo bardzo ciekawych ludzi. Ella mówi, że powinienem przestać sprowadzać do domu te „przybłądy”, ale jak można zdobyć przyjaciół, nie rozmawiając z ludźmi? Dziś już nikt nie ma dla nikogo czasu. Tego mi brakuje, kiedy myślę o domu. Można spędzić w gronie sąsiadów cały dzień, po prostu pozwalając mu mijać, i nikt nie weźmie człowiekowi tego za złe.

Chyba lepiej, żebym już skończył, jeśli ten list ma dotrzeć do Ciebie przed Gwiazdką. Tutaj trzeba znaleźć skrzynkę pocztową, nikt nie odbiera poczty z domu

jak w dobrych starych Stanach. Jest tu mnóstwo rzeczy, do których trzeba się przyzwyczaić. Czy słyszałeś kiedyś o czymś, co się nazywa marmite? Smakuje jak obtoczone w soli gówienko, wygląda jak smoła, a Brytyjczycy żyć bez tego nie mogą! Na samą myśl o marmite dostaję mdłości. Za to biszkopty Lolly i sos żurawinowy mógłbym jeść codziennie!

Ucałuj ją ode mnie i powiedz, że lada dzień zjawię się w domu.

Jackson

Rozdział 6

William

Carolyn nie pożałowała mi dziś swoich wdzięków. Rany, co za spódniczka! Centymetr krótsza, a widziałbym pepek.

Wyprowadzam samochód z parkingu przy dworcu i stoję w korku, bębniąc palcami w kierownicę, bo trafiłem akurat na godziny szczytu. Carolyn to miła i bystra dziewczyna, ale jest niewiele starsza od Cate. Ma nie więcej niż dwadzieścia cztery lata. Świetne ciało, między jej cyckami można by się zagubić na tydzień, ale niedoświadczona panienka to nie dla mnie. Lubię kobiety, które wiedzą, czego chcą, i potrafią to powiedzieć. No i nie boją się odrobiny perwersji. Carolyn nie jest z tych, co pozwolą sobie włożyć w drugą dziurkę albo spuścić się na twarz, za porządna na takie rzeczy.

Boże, tęsknię za Ellą. Pomijając oczywiste powody, lubię jej towarzystwo. Nikt nie umie tak mnie rozbawić jak ona. Teraz, kiedy Beth maluje jak Tigger na prochach, Ben domaga się kolejnych dwóch patyków na rachunki w uczelnianym barze (co on tam pije? cholerne francuskie wino?), Cate robi cielece oczy do tego swojego Dana, a James Noble chwytą mnie za gardło, przydałoby mi się parę chwil wytchnienia. Gdyby Beth wiedziała, jak niewiele brakuje, żeby cały ten nasz domek z kart się rozsypał...

Wciskam hamulec, bo do ruchu włącza się cysterna z cementem. Gdzie, u diabła, podziwia się Ella, kiedy jej potrzebuję? Tylko ona mnie rozumie. Nie mam pojęcia, czemu uparła się, że sama rozsypie prochy tego biedaka. Nie mogła wysłać ich kurierem?

No dobra, chyba przeholowałem, wycofuję to. Tak czy owak, jest już w domu, to najważniejsze. Przy odrobinie szczęścia zobaczymy się w najbliższy weekend.

Skrećam na naszą drogę. Muszę być ostrożny, jeśli nie chcę, żeby sytuacja wymknęła mi się spod kontroli. Teraz, kiedy Ella już nie musi opowiadać się mężowi, mógłbym widywać się z nią częściej. To kusząca perspektywa, nie chcę jednak wywołać katastrofy w domu. Gdybym zaczął chodzić na spotkania biznesowe co tydzień zamiast co miesiąc, Beth mogłaby zacząć zadawać pytania...

A to co, u diabła?

Zostawiam samochód z włączonym silnikiem i biegnę po podjeździe, a jedwabny krawat łopocze mi wokół szyi. Buldożer właśnie podnosi szczęki, zaraz zmiecie z powierzchni ziemi nasz garaż. Krzycząc i machając rękami, podbiegam tak blisko szczęk spychacza, na ile pozwala mi odwaga.

Przed oczyma przelatuje mi całe życie. Między innymi przypominam sobie, czemu nie oddzwaniał do matki. Pecyna błota spada z kosza buldożera na klapę mojej marynarki. Zamykam oczy, przygotowując się na chrzęst zgniatanego metalu, szkła, cegieł, a może i ciała.

- Zejdz z drogi, kolego! - krzyczy operator. - Mogłeś zostać ranny.

- Beth! - wrzeszczę, kiedy pięć minut później wpadam do kuchni.

Ani widu mojej żony. Za to pełno oznak ostatniego okresu jej manii: w zlewku walają się upačkane pędzle, wypełnione białą cieczą dzbanki są porozstawiane na parapetach, a na piecu zostawiła do wyschnięcia z pół tuzina wysmarowanych farbą szklanych płytek. Żadnego śladu obiadu, prania, zakupów ani nawet filtrów do kawy, co zauważam, gdy chcę założyć świeży.

- Beth!

Otwiera z hukiem drzwi, pomagając sobie biodrem, ręce ma pełne sprzętu fotograficznego.

- Jestem, Williamie. Nie musisz krzyczeć.

- Boże miłosierny. Haruję osiemdziesiąt godzin tydzień w tydzień, żebyśmy mieli dach nad głową. Chyba się nie dziwisz, że chciałbym go zastać na miejscu po powrocie z pracy?

Rozpromienia się.

- Spotkałeś Murraya?

- Jeśli masz na myśli tego sadystycznego łajdaka, który właśnie się przymierzał do rozwalenia domu, a w ramach zapłaty zażądał mojego pierworodnego, to tak - mówię ponuro.

- Ty głuptasie. - Odkłada sprzęt i odgarnia włosy z twarzy. - Muszę rozbudować pracownię, a ponieważ zabroniłeś mi przesunąć cieplarnię... no cóż, tak naprawdę wcale nie potrzebujemy tego garażu...

- Nie potrzebujemy?! - wrzeszczy. - A niby gdzie mam trzymać samochód?

- Nie mam pojęcia. Nie każ mi rozwiązywać wszystkich problemów. Czy po drodze z dworca widziałeś Cate? Powinna już wrócić od Dana. Chciałam ją zapytać o Brighton.

To, co Beth maluje, ma jeszcze mniej sensu niż zwykle. Zupełnie jakby wejść w świat z obrazów Salvadora Dali.

Dzwoni moja komórka. Sięgam po nią do kieszeni, a gdy widzę na wyświetlaczu numer Elli, mam ochotę wrzucić ją do najbliższej stojącego dzbanka. Ella jeszcze nigdy nie zadzwoniła do mnie do domu.

- Nie odbierzesz? - pyta Beth.

- To klient. Sprawa poufna.

- Nie ma sprawy. Rozumiem. Gdybyś mnie potrzebował, będę w pracowni.

Czekam, aż oddali się na bezpieczną odległość.

- Ella? Wróciłaś? Coś nie tak?

- Zabierz mnie stąd, William. Możesz przyjechać? Proszę...

- Przyjadę - odpowiadam zaniepokojony. - Tylko powiedz, gdzie jesteś.

Kiedy ją w końcu znajduję, siedzi na peronie na walizce jak sierotka Marysia. Prawie jej nie poznaję. Schudła, twarz ma szarą, a oczy podkrążone ze zmęczenia. Wygląda, jakby obudziła się w kraju, którego nie zna, i choćby nie wiadomo, jak się starała, nie mogła odzyskać orientacji. Do tej pory zawsze była niezłomnie pewna siebie.

- Przepraszam - mówi, gdy wsiadamy do samochodu.

Włączam silnik, ale nie ruszam. Jestem kompletnie wyprowadzony z równowagi, a niepokój nadaje memu głosowi ton ostrzejszy, niżbym chciał.

- Nie dzwoń do mnie do domu - mówię. - Proszę, nie rób tego nigdy więcej.

- Dzięki za herbatę i współczucie - odpowiada.

- Daj spokój, Ella. Znasz reguły.

- Raz na osiem lat można chyba za...

Takich przejawów słabości nigdy bym się po niej nie spodziewał. Po Beth tak, ale nie po Elli. Jej nieoczekiwana kruchość porusza mnie bardziej, niż się do tego przyznaję.

- Obok mnie w kuchni była moja żona! - krzyczę.

- Właśnie przeleciałam pół świata i z powrotem, żeby rozsypać prochy mojego męża ze szczytu góry, i w chwili słabości pomyślałam, że na twój widok poczuję się trochę lepiej! Najwyraźniej się myliłam!

Odwraca się do mnie plecami. Psiakrew. Jakbym nie dość miał histeryzujących neurotyczek w domu.

Tłumaczę sobie, że właśnie straciła męża. Jak ja bym się czuł, gdyby umarła Beth?

- Ella...

- Przepraszam. Nie powinnam była dzwonić.

- Ella, nie jest tak, że mnie nie obchodzisz. Wiesz, że nie. Ale w domu mam teraz bardzo trudną sytuację. Beth jest właśnie w fazie maniakalnej, nie sposób przewidzieć, co zrobi. Dniami i nocami nie śpi i maluje, zamawia płótna za tysiące

funtów i kto wie, co jeszcze, a moje konta już i tak świecą pustkami po spłaceniu pożyczek studenckich Bena. Siedzimy w długach po uszy, szkołę Sama opłacam już tylko z kredytu. Jakby tego było mało, dziś odkryłem, że wydała fortunę na architekta, żeby zbudować nową pracownię. Kiedy przyjechałem do domu, jacyś cholerni budowlańcy właśnie przymierzali się do zrównania z ziemią garażu. - Ze znużeniem przecieram dłonią twarz. - Jeden Bóg wie, co jeszcze tym razem strzeli jej do głowy. Powinienem być bardziej czujny, ale przez tę ofertę przejęcia jestem tak skołowany, że spuściłem ją z oczu.

Podnosi wzrok, wyraźnie zaniepokojona. Chciałbym, żeby Beth wykazała czasem choć połowę tej troski.

- James Noble? - pyta.

- Łajdak. Nie po to budowałem firmę od zera, żeby teraz dać się wycyckać jakiemuś szulerowi, bo akurat ma na to chętkę.

Ella odpina pas i jej dłoń sięga między moje uda. Całuję ją. Po locie pachnie trochę nieświeżo, ale, o dziwo, podnieca mnie to jeszcze bardziej. Mam ochotę się z nią pieprzyć właśnie tutaj, na parkingu przydworcowym. To już osiem lat, a ona kręci mnie jak za pierwszym...

Nagle sztywnieje w moich ramionach, wyszarpuje się i chwyta za klamkę. Próbuje ją powstrzymać, lecz wyrывa dłoń.

- Ella, co się dzieje? O co chodzi tym razem? Ella!

Powiew chłodnego powietrza studzi moje zapały, mój ptak kurczy się do rozmiaru mysikrólika. Ella siedzi na krawędzi fotela, głowę trzyma między kolanami i oddycha miarowo, jakby miała zamiar rodzić. W przyćmionym świetle jej twarz wygląda zielonkawo. Mam nadzieję, że nie zarzyga wszystkiego wokół.

Zastanawiam się, czy wyprowadzić ją na świeże powietrze, czy zabrać gdzieś na kawę. Może zjadła coś nieświeżego w samolocie. Czasem nachodzi mnie myśl, że dwie kobiety w moim życiu to podwójna dawka hormonów.

Uświadamiam też sobie, że na razie, nie ma mowy o bzykaniu!

- Pojedźmy do mnie - szepcze Ella. Nie trzeba mnie dwa razy prosić.

- Ależ to było dobre - sapię dwie godziny później.

- Nawet nie wiesz jak - zgadza się Ella. Siada na łóżku i stawia nogi na podłodze. - Przepraszam za wcześniej - dodaje ze skruchą, zwijając niesforne rude włosy w ciasny węzeł. - Żałoba jest znacznie bardziej skomplikowana, niż myślałam. Pobyt w jego rodzinnym domu kompletnie wytrącił mnie z równowagi. - Wzdraga się. - Za dużo duchów.

Już wcześniej zauważyłem, że w mieszkaniu nie ma ani jednego zdjęcia Jacksona; żadnego śladu, że ten człowiek kiedyś tu mieszkał. Nie ma roweru w holu, kurtki na poręczy. Żadnych trofeów wędkarskich na ścianach ani pism motoryzacyjnych na stoliku. Jakby Jackson nigdy nie istniał. Zastanawiam się, co z tym wszystkim zrobiła.

Rankiem Ella wstaje przede mną i robi w kuchni kawę. Z uśmiechem podaje mi parujący kubek; znowu w swojej dawnej postaci, odnotowuję z ulgą.

- Przepraszam, William, ale muszę lecieć - mówi. - Właśnie przyjęli kobietę w dwudziestym szóstym tygodniu ciąży. Ma zespół przedpadaczkowy i wszystko wskazuje na to, że trzeba będzie przyspieszyć poród. - Porywa klucze z patery na owoce. - Wychodząc, Zatrzaśnij drzwi.

- Masz wolny weekend? - pytam.

- Niestety nie. Do końca przyszłego tygodnia mam podwójne dyżury. Ale będę wolna w ten piątek.

Cholera. Już powiedziałem Beth, że w sobotę muszę być w Londynie. Jeżeli teraz to odwołam, zaciągnie mnie na cholerny szkolny festyn Cate.

- Jeśli w ten weekend będziesz w mieście - mówi do mnie kilka godzin później Carolyn - mógłbyś pójść ze mną na koncert. To naprawdę niezła kapela. Śpiewa w niej mój przyjaciel. Myśli o karierze solowej, ale doradziłam mu, żeby wcześniej porozmawiał z tobą. Przyjeżdżają w sobotę z Manchesteru. Może znalazłbyś czas na drinka z nami. Oczywiście jeśli będziesz w Londynie. Nie chciałabym, żebyś specjalnie przyjeżdżał.

Nie podnoszę wzroku. Dane za ostatni kwartał nie są przyjemną lekturą. Malinche Lyon i hotele Equinox to jedyne pozycje przynoszące zyski. Ten sukinsyn Noble w ostatnich miesiącach odebrał mi dwóch najlepszych agentów. Nic dziwnego, że firma traci.

- Co to za kapela? - pytam.

- WdLuv2Meet. Nie wiem, czy...

- A jak się nazywa twój kumpel?

- Davy Kirkland. Chodziliśmy razem do szkoły...

Cholera! Cały pokój Cate jest wytapetowany plakatami tego dzieciaka. Skrzyżujcie Robbiego Williamsa z Bradem Pittem, dodajcie trochę młodego Paula McCartneya i już macie Davy'ego Kirklanda. Kapela nie jest zła, ujdzie jako boysband, ale trzej pozostali kolesie tylko przeszkadzają Kirklandowi się rozwinąć. Kiedy się od nich wyzwoli, pofrunie na sam szczyt.

Dzięki Ci Boże.

Mam ochotę wycałować Carolyn. Przyniosła mi Kirklanda jak na tacy. Muszę ją zaprosić w jakieś supermiejsce, żeby to uczcić.

Potrzebowałem jakiejś dobrej wieści po całym tym szambie, które zdarzyło się w weekend. Co, u diabła, opętało Beth, żeby urządzać striptiz i biegać na golasa po boisku?

Od soboty Cate nie wychodzi ze swojego pokoju. Nie chce też rozmawiać z matką, która całe zdarzenie traktuje w kategoriach dobrego żartu. Dzięki Bogu, jest przerwa wielkanocna. Może zanim trzeba będzie wracać do szkoły, cała awantura przycichnie. Czasem mam dziką ochotę zamordować Beth.

Idę do swojego mieszkania, przeskakując po dwa stopnie naraz. Kiedy otwieram drzwi, stwierdzam ze zdziwieniem, że tonie w ciemnościach. Dziwne, Ella mówiła, że będzie tu około wpół do ósmej, a już po ósmej...

- Boże najświętszy, Ella! Co ty wyprawiasz? Czemu siedzisz po ciemku?

Chcesz mnie przyprawić o atak serca?

Krzywi się. Kurczę, nie najlepiej dobrane słowa, biorąc pod uwagę sytuację.

- Przepraszam za spóźnienie. Spotkanie się przeciągnęło. - Rzucam kurtkę na oparcie krzesła i nalewam sobie szkockiej. - Pozwól mi wziąć krótki prysznic, zaraz wrócę...

Przerywam. Ella siedzi na sofie nienaturalnie prosto: dłonie na kolanach, botki o wąskich noskach w odcieniu butelkowej zieleni złączone grzecznie razem, jak na herbatce u królowej. Nie zdjęła żakietu. Włączam lampę i dostrzegam opatrunek na prawej skroni.

- O Boże! Co ci się stało?

Unika mojego dotyku. Pierwszy raz widzę chłód na jej twarzy.

- Ella, kochanie, wszystko w porządku?

- Miałam nadzieję, że ty mi odpowiesz na to pytanie.

- Przepraszam, ale chyba nie rozumiem.

- Nie udawaj - mówi sucho. Trzyma koronkowy czarny gorset i czeka.

Rozumiem, że powinienem coś powiedzieć, ale pojęcia nie mam, o co chodzi.

Ella wzdycha z udawanym spokojem.

- To nie jest mój gorset, Williamie. Znalazłam go pod oparciem sofy.

- A czyj jest?

- Brawo, prosto do sedna.

- Pewnie Beth...

- Daj spokój. Oboje wiemy, że to nie gorset twojej żony.

- Mój też nie - odpowiadam zwięźle. - Kto wie, ile tu przeleżał. Ben zatrzymał się tu w zeszłym miesiącu; pewnie zostawiła go któraś z jego przyjaciółek. Wciąż nie rozumiem...

- Rzecz w tym, Williamie - mówi Ella z uśmiechem - że zawsze najbardziej ze wszystkiego nie znosiłam kłamstwa. Ja musiałam kłamać Jacksonowi, gdzie i z kim byłam, a ty okłamujesz Beth przy okazji każdego naszego spotkania. Okłamuję przyjaciół, bo ukrywam przed nimi całe obszary życia i nie mają o nich pojęcia. Jakoś to wszystko znosiłam, bo wierzyłam, że przynajmniej my nie okłamujemy się nawzajem.

Więc tu jest pies pogrzebany.

- Moment Ella, chodzi ci... Myślisz, że kogoś mam? Uśmiecha się szerzej.

- Wiem, że tak. Co za ironia losu.

- Ależ to śmieszne! - wybucham. - To oczywista bzdura.

- Czemu oczywista? Nigdy nie umawialiśmy się na wyłączność.

- Ponieważ zawsze sądziłem, że to się rozumie samo przez się! Czy naprawdę myślisz, że co dzień sprowadzam tu inną dziewczynę? Za kogo ty mnie masz?

- Za męża, który okłamuje żonę - mówi zimno.

Jestem zaskoczony. Czy Ella nie wie, czym nasz związek, czym ona jest dla mnie? Jak może myśleć, że mam kogoś innego?

- Och, nie rób takiej miny, ja nie jestem lepsza - śmieje się. - Nie jesteśmy Romeem i Julią. Zawsze wiedzieliśmy, o co w tym chodzi. Jeśli poznałeś kogoś...

- Ależ nie, to kompletna bzdura.

- Możesz się widywać, z kim chcesz, ja tylko... Przychodzi mi do głowy nieprzyjemna myśl.

- Ella, czy ty próbujesz mi coś powiedzieć? Uśmiecha się słodko.

- Niby co?

- Czy ty... czy ty kogoś?... - Miałbyś coś przeciwko?

Czy miałbym coś przeciwko? Jasne, że tak. Zawsze dręczyła mnie świadomość, że ona i Jackson w łóżku, ale przecież nie mogłem jej prosić, by przestała spełniać obowiązki małżeńskie. Na myśl, że mogłaby się kochać z kimś innym, mam ochotę udusić tego sukinsyna jego własnymi jajami.

- Sama powiedziałaś, że to wolny związek - mówię twardo.

- Jak najbardziej.

- Więc nie będziesz zazdrosna, gdy pojawi się ktoś inny? Patrzy mi prosto w oczy.

- Ani trochę.

- To dobrze.

- Tak, dobrze. Biorę moją szkocką.

- A tak z czystej ciekawości. Spałaś z kimś?

- Z nikim ważnym.

Mało nie dławie się drinkiem. Nie spodziewałem się, że potwierdzi! Mam ochotę walnąć pięścią w ścianę. Zmuszam się do uśmiechu.

- I nadal...

- To było jednorazowe.

Wstaję i nalewam sobie drugą porcję. Ręce mi się trzęsą z powstrzymanej furii. Nie mam pojęcia, co zrobić z tą informacją. Zazdrość zre mnie jak kwas. Teraz, kiedy Jackson odszedł, faceci będą się do niej zlatywać jak pszczoły do miodu. Chryste! A ja będę musiał to znosić. Przecież nie mogę jej zaproponować niczego na stałe. Nie mogę zostawić Beth. Nie chcę. Naprawdę.

Ironia polega na tym, że od ponad ośmiu lat sypiam tylko z Ellą. Inaczej niż inni cudzołóżnicy nie uprawiam seksu z własną żoną.

Podwija pod siebie stopy.

- A więc - zaczyna tonem pogawędki - czyj w takim razie jest ten gorset?

Właścicielka na pewno chciałaby go odzyskać.

- Powiedziałem ci już, nie mam... O, cholera!

- William?

Wyciągam zza sofy śmieszny plecaczek. Rozpoznałbym go wszędzie. Jakimś cudem zdobyła klucz do mieszkania, przysłała tu - bez mojej wiedzy - z tym pieprzonym hippisem i paradowała przed nim w czarnej bieliźnie. Zabiję go, poderżnę mu to cholerne gardło...

- Cate - domyśla się Ella.

Łomoczę w drzwi sypialni córki.

- Cate! Telefon!

Nie odpowiada. Chwytam za klamkę. Zamknięte.

- Cate! - dobijam się. - To z Paryża. Wyjdiesz i odbierzesz, czy mam...

Drzwi się otwierają.

- Nie musisz wrzeszczeć - mówi nadęta. Bierze telefon i czeka. Rozumiem.

- Przekaż rodzicom Fleur pozdrowienia ode mnie.

Drzwi zatraskują się przed moim nosem. Urocze. Te wykwintne maniery kosztują mnie dwadzieścia kawałków rocznie.

Ciężko schodzę po schodach, niemal rozdeptując psa, i zastanawiam się, z czym teraz wyskoczy moja córka. Ta jej przyjaciółka zawsze zwiastowała jakieś kłopoty. Zakumplowały się, gdy ojciec Fleur został przeniesiony do Ambasady Francuskiej w Londynie, i chodziły przez parę lat do tej samej szkoły. Cate była zdruzgotana, kiedy ostatniego lata rodzina Fleur wróciła do Paryża. Ja natomiast przyjąłem to z ulgą. Ta cała Fleur ma zdecydowanie zły wpływ na moją córkę. Za duża z niej spryciara. I to jej niepokojące spojrzenie: zdecydowanie zbyt dojrzałe jak na siedemnastolatkę.

W pewien sposób przypomina mi Ellę. To pewnie ta francuskość.

Wyciągam z lodówki dwa steki, kładę je poza zasięgiem Cynamona i wstawiam do środka butelkę białego wina, by je schłodzić. Beth ma dziś swoje zajęcia artystyczne, Ben randkę ze swoją oksfordzką laseczką, a Sam jest na szkolnej wycieczce, więc będę z Cate sam. Dzięki Bogu, etap weganizmu ma już za sobą - niewiele z tego, co ma się ochotę zrobić z tofu, jest legalnych.

Może dzisiejszy wieczór to dobry moment na małą pogawędkę ojca z córką. Nie powinienem tego odkładać, minął tydzień, a ja wciąż nie zagadnałem jej o ten cholerny czarny gorset - Beth powiedziała, że się tym zajmie, ale Cate jest także moją córką. Chcę, by wiedziała, że może mi wszystko powiedzieć.

Nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jakiej chciałbym wysłuchać.

Tylne drzwi otwierają się szeroko i do kuchni wraz z podmuchem zimnego powietrza wpada Beth. Ma zaczerwienioną twarz, jakby przed chwilą biegła.

- Och! William! Jesteś w domu. Wpadłam tylko na chwilę coś przekąsić i zaraz pędzę na zajęcia. Chyba ci wspominałam, że dziś wychodzę?

Potakuję krótko.

- Nie masz nic przeciw temu, prawda, kochanie? Oczywiście nie muszę tam iść, ale nie lubią, jak opuszczamy zajęcia, a ja obiecałam...

- Pewnie, że nie mam - odpowiadam zirytowany. - Przecież sam niedawno mówiłem, że dobrze ci zrobi, jak pobędziesz trochę wśród ludzi. - Przystaję rozbijać steki i obrzucam ją podejrzliwym spojrzeniem.

Wygląda na podekscytowaną. - Mam nadzieję Beth, że zażywasz lekarstwa. Nie chcemy powtórki...

- Tak, tak, daj już spokój.

Sięgam po pieprz. Beth krąży wokół kuchenki, bawiąc się nerwowo bransoletką. Chyba zmieniła zdanie co do wyjścia. Nie ma problemu. Jakoś uda mi się wyczarować jeden stek więcej.

- Williamie - wyznaje nagle - zaprosiłam na niedzielny lunch twoją matkę. Moje dłonie nieruchomieją.

- To niedziela wielkanocna, Williamie, a ona w środę kończy osiemdziesiąt lat. Nie możecie się boczyć na siebie w nieskończoność. Dwadzieścia lat wystarczy. Pomyślałam, że to dobry moment, żebyście wreszcie się pogodzili, a ponieważ Ben i Sam jutro też będą w domu...

- Co zrobiłaś?

- Wiedziałam, że jeśli cię zapytam, na pewno się nie zgodzisz - mówi prędko.

- Daj spokój, kochanie, wiem, że jej nie znosisz, ale moja matka to też nie sam miód, a mnie się udaje...

- To zupełnie co innego!

- To prawda, ale nie rozumiem, jak ty...

- Twoja matka nie zabiła twojego ojca! Beth wzdraga się, ale nie kapituluje.

- Twoja też nie, William.

- Nie było cię tam - rzucam.

- To twoja matka - mówi Beth.

Bywają momenty, kiedy nienawidzę swojej żony.

- Odwołaj to.

- Nie mogę, to byłoby...

- Powiedziałem, odwołaj.

- Proszę cię, Williamie, jeśli coś jej się stanie, a wy wciąż się nie...

- Nie spóźnisz się na zajęcia? - przerywam jej.

Otwiera usta, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale się powstrzymuje. Odwracam się, zaciskam dłonie na poręczy pieca, aż bieleją mi kostki, i chwilę później słyszę trzaśnięcie drzwi.

Dwadzieścia lat, a ja wciąż czuję w nozdrzach metaliczny zapach świeżej krwi.

To się stało na kilka miesięcy przed poznaniem Beth. Tata już od trzech lat nie pracował - jedna z ofiar zwycięstwa Thatcher nad związkami zawodowymi górników. Był notariuszem w małym miasteczku w Nottinghamshire, prowadził skromne życie, spisując testamenty i rozsądzając drobne lokalne spory; ale kiedy górnicy zostali już bez niczego i nie mieli o co walczyć, firma, którą budował przez czterdzieści lat, upadła niemal z dnia na dzień.

To go zniszczyło. Przez tydzień postarzał się o dwadzieścia lat. I chyba uznał, że jego życie już się skończyło; pozbawione celu i nadziei.

Przez trzy kolejne lata całe dni siedział w ulubionym fotelu i patrzył przed siebie. Nauczyłem się prowadzić z nim rozmowy w formie monologu, co potem okazało się bardzo użyteczne.

Matka, której agencja pośrednictwa nieruchomości szła od sukcesu do sukcesu, gdy ruszył rynek budowy pod wynajem, ciągle drwiła z jego upadku i poniżała go przy każdej okazji. Bezużyteczny. Beznadziejny. Bezwartościowy. Że też musiałam cię poślubić. Zawsze wiedziałam, że do niczego nie dojdiesz. Wiedział, że ona nie odpuści. Nie odpuści mu do końca życia.

Ojciec zadzwonił rankiem w dniu swoich sześćdziesiątych piątych urodzin. Od razu zrozumiałem, że to pożegnanie. Wiedziałem, ale nic nie mogłem poradzić.

Kiedy powiedział, że mnie kocha, i odłożył słuchawkę, wskoczyłem do samochodu i gnałem, jakby goniły mnie wszystkie piekielne sfory. Mieszkałem wtedy o dziesięć minut drogi od nich. Prawie zdążyłem. Prawie mi się udało.

Strzał usłyszałem, gdy wjeżdżałem na podjazd.

Nie zdawałem sobie sprawy, ile krwi mieści się w ludzkiej czaszce, dopóki nie zobaczyłem krwi ojca rozprysniętej na podłodze, ścianach, suficie, drzwiach i oknach rodzinnego domu.

- Tato? Usmażysz te steki czy mam je dać Cynamonowi? Podskakuję i z odrazą spoglądam na krwisty kawałek mięsa.

- Zmieniłem zdanie - mówię. - Co powiesz na chińszczyznę? Cate tylko wzrusza ramionami.

- Znajdź mi jakieś danie na wynos, to zamówię. Mięso możesz dać psu, tylko nie mów nic matce. Czego chciała Fleur?

- Nic szczególnego.

Stoi w drzwiach, obracając bransoletkę ze sznurka, *doppelgänger* swojej matki.

- Tato, czy możemy porozmawiać, ale tak, żebyś się nie wściekał? Boże! Ona jest w ciąży!

- Nie jestem w ciąży, tato, jeśli o tym myślisz - rzuca Cate. - To coś poważnego.

- Świetnie. Słucham cię.

- Chodzi o to, że niedługo muszę złożyć podanie na studia, a my nie mieliśmy jeszcze okazji...

- Wiesz już, co chcesz robić? Proponuję zacząć od zupy ostro-kwaśnej, a potem może siekana wołowina z warzywami...

Wrywa mi menu.

- Tato, czemu to robisz? - krzyczy. - Zawsze, gdy próbuję z tobą o tym porozmawiać, zachowujesz się, jakby to się miało nigdy nie wydarzyć! Nie mam już dwunastu lat!

- Wiem - wzdycham.

- Słuchaj, tato - mówi błagalnym tonem. - Nie chcę z tobą walczyć, ale nie dajesz mi wyboru. Czasem mam wrażenie, że tu nie można oddychać. Musisz dać mi trochę swobody.

Przysuwam sobie krzesło i opadam na nie ciężko.

- Dobrze, Cate, porozmawiajmy.

- Chcę studiować dziennikarstwo - oznajmia.

- Dziennikarstwo? Przecież jesteś taka dobra z nauk przyrodniczych! Co z twoimi planami zostania lekarzem?

- Chciałam być lekarzem, jak miałam siedem lat.

- No dobrze, ale dyplom akademii medycznej dawałby ci lepsze perspektywy...

- Chcę zostać dziennikarką, tato.

Słyszę determinację w jej głosie i uświadamiam sobie, kogo mi przypomina. Taką samą bitwę stoczyłem z matką kilka lat przed śmiercią ojca, gdy odmówiłem pracy w jej agencji, bo chciałem robić - bezużyteczny w jej mniemaniu - doktorat z historii.

- A więc dziennikarstwo - mówię pogodnie. - Nie wiem, jaki uniwersytet byłby najlepszy, ale bez trudu to ustalimy...

- Nie Oksford, tato. Ani Cambridge - dodaje szybko.

- Rozumiem. No cóż, jeśli zostaniesz w Londynie, to przynajmniej będziemy cię często widywać.

- Chcę iść do NYU.

- NYU? Ale to w Nowym Jorku.

- Brawo, Sherlocku - uśmiecha się Cate. - Tato, to najlepszy na świecie wydział dziennikarstwa. Pewnie się nie dostanę, ale chcę chociaż spróbować. Już mam niezłe portfolio, redagowałam szkolną gazetkę i pisałam artykuły do lokalnych pism, a jeśli latem zdobędę jakieś poważniejsze doświadczenie, na przykład w „Mail” czy czymś takim, to może...

- Nowy Jork? Nie, Cate. To wykluczone.

- Benowi byś pozwolił!

- To co innego.

- Dlaczego?

- Ben może się sam o siebie zatroszczyć! To na dziewczyny napadają i gwałcą je albo mordują. Może to niesprawiedliwe, ale tak sprawy wyglądają. Odpowiedź brzmi „nie”, Cate.

- Niedługo skończę osiemnaście lat, tato! Nie powstrzymasz mnie...

Fakt.

- Ponieważ to ja płacę za twoją naukę, mam coś do powiedzenia w tej kwestii. A na Nowy Jork mówię „nie”. W tym kraju nie brak uniwersytetów. Nie musisz jechać przez pół świata...

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że może ja chcę jechać przez pół świata?! - krzyczy Cate. - Nienawidzę życia tutaj! Mam po dziurki w nosie zajmowania się mamą! Co dzień zastanawiam się, czy nie zacznę biegać nago po ogrodzie, bo zapomniała wziąć tabletek! Boję się zapraszać do domu znajomych i prawie nigdzie nie chodzę, a ciebie nigdy nie ma! Wszystko jest na mojej głowie! To ja muszę się wszystkim zajmować i mam tego serdecznie dość!

- To nie wina matki, że...

- Moja też nie. Wzdycham.

- Wiem, kochanie. I przykro mi. Jeśli mogę ci w czymś pomóc...

- Możesz zjawiać się w domu trochę częściej! Jak myślisz, dlaczego mama zachowuje się w ten sposób? To nie tylko choroba. Ona jest samotna! Nigdy cię dla niej nie ma! - Bierze oddech. - Uważasz, że skoro formalnie jej nie rzuciłeś, jesteś w porządku. Nie rozumiesz, tato? Ona cię kocha i wie, że bez wzajemności. Nic dziwnego, że czasem jej odbija.

- Cate, to nie tak...

- Czy ona wie, że bzykasz lekarzkę Sama?

Patrzę na nią z poszarzałą twarzą.

- Widziałam was - mówi ze łzami w oczach. - Parę tygodni temu, w samochodzie na parkingu przy dworcu. Całowałeś ją...

- O Boże. - Wstaję i chcę do niej podejść, ale odpycha mnie. - Tak mi przykro Cate, nie chciałem, żebyś...

- Nie mówmy o tym, tato. - Gdy wyciera oczy, wygląda bardziej na siedem niż siedemnaście lat. - Nie mam ci tego tak bardzo za złe, wiem, że z mamą nie żyje się najłatwiej. Ale to ty się z nią ożeniłeś, nie ja. To nie w porządku, że ja będę musiała zbierać ją do kupy, kiedy odejdiesz.

- Nie odejdę, Cate. Obiecuję.

- Nie jesteś najlepszy w dotrzymywaniu obietnic. Krzywię się.

- Tato, proszę. Naprawdę chcę iść na NYU. I nie chodzi mi tylko o to, żeby się stąd wyrwać. Będę przyjeżdżała na wszystkie wakacje, przecież wiesz...

- Czy to twoja cena, Caitlin? - pytam. - Ja pozwolę ci jechać do Nowego Jorku, a ty nie powiesz mamie o Elli?

Z trudem łapie oddech, jakbym uderzył ją w brzuch.

- Cate, przepraszam, nie chciałem...

- Jadę do Nowego Jorku, tato. Nieważne, czy pomożesz mi finansowo, czy nie. I tak mnie nie zatrzymasz. - Jej twarz przybiera twardy wyraz. - To, że ty spieprzyłeś sobie życie, nie oznacza, że ja też muszę zmarnować swoje. Ożeniłeś się z mamą, więc zatroszcz się o nią. I pamiętaj, co przytrafiło się dziadkowi. Ale nie oczekuj, że dalej będę tu tkwiła i na zmianę z tobą pilnowała ją przed samobójstwem.

Odwraca się i po chwili słyszę tupot jej stóp na schodach. Potem drzwi sypialni na górze się zatrzaskują.

Cate wie o Elli. Jak, u diabła, do tego doszło? Po tylu latach. Zawsze byliśmy tacy ostrożni.

Moja córka to wciąż jeszcze dziecko. Jak mogę ją puścić do Nowego Jorku? Kto się tam o nią zatroszczy?

Gdy trzy minuty później nadal się nad tym zastanawiam, do kuchni wchodzi, przeżuwając kawałek pizzy, Ben.

- Właśnie minąłem wkurzoną Cate - bełkocze z ustami pełnymi sera. - Pokłóciliście się? - Ciska plecak na stół. - Zostaw ją, tato. Poradzi sobie.

- Chce jechać do Nowego Jorku - mówię. - Studiować dziennikarstwo.

- W końcu ci powiedziała? Zuch dziewczyna.
- Wiedziałaś?
- Jasne. Nie martw się, tato. Cate da sobie radę. Jest twardsza, niż ci się

wydaje.

- I tak wygląda na to, że nie mam w tej sprawie dużo do powiedzenia. Chyba podjęła już decyzję. - Stawiam czajnik na płycie. - Ale co ty tutaj robisz?

Spodziewaliśmy się ciebie dopiero jutro.

- Candida mnie zwolniła. Rodzice zabierają ją do Aspen. Pomyślałem, że w takim razie mogę pojechać do domu. To chyba nie problem?

- Szczerze mówiąc, Ben, strasznie się cieszę, że cię widzę. Przyda się trochę testosteronu w pobliżu. Jeśli chcesz, możemy... Cholera, przepraszam, muszę odebrać ten telefon.

Sięgam po komórkę, a Ben podnosi rękę w uspokajającym geście i rusza w stronę schodów. Gdyby tak Cate miała łagodny temperament brata.

- Cześć, Andrew. Co tam?

Mój prawnik od razu przechodzi do sedna.

- Straciłeś Kirklanda. Noble właśnie podpisał z nim umowę; już po ptakach.

- Kurwa! Myślałem, że jest nasz! Jak, u diabła, Nobel się dowiedział? Davy twierdzi, że z nikim nie rozmawiał; obiecał zachować całą sprawę w tajemnicy, dopóki nie powie reszcie kapeli, że odchodzi.

- Cóż, jakiś przeciek. Noble będzie jego agentem za połowę stawki. Ale to nie koniec złych wieści.

- Co jeszcze?

- Noble niucha wokół Equinox. Nie muszę ci mówić, jak by to wpłynęło na nasze wyniki. Jeden Bóg wie, skąd wiedział, że zbliża się termin odnowienia kontraktu, ale, tak czy inaczej, na twoim miejscu wsiałbym w pierwszy samolot do Nowego Jorku i zajął się sprawą, nim będzie za późno.

Aż mnie skręca ze złości. Jeśli stracę tę grupę hotelową, mogę zacząć zwijać interes.

- Słuchaj, William - mówi Andrew z namysłem. - Chyba powinieneś się przyjrzeć bezpieczeństwu wewnętrznemu. Już czwarty raz w ciągu ostatnich dwóch miesięcy poufne informacje wyciekają do Noble'a przed oficjalnym ogłoszeniem. To zaczyna być niebezpieczne.

- Przestań owijać w bawełnę, Andrew.

- Ktoś bliski robi cię w konia.

Kiedy się rozłącza, idę do gabinetu i nalewam sobie szkockiej. To na pewno nie Carolyn: sama przyprowadziła do mnie Kirklanda i nic nie wie o kontrakcie z Equinoksem. Nad umową z Equinoksem pracował Harry Armitage, ale on od trzech tygodni wędruje po Nowej Zelandii, więc nie wie o Kirklandzie, co też go wyklucza. O obu transakcjach wiedzą tylko dwie osoby.

Beth i Ella.

RS

Rozdział 7

Beth

Żadnych lekarstw więcej! Ani jednej pigułki!

Nienawidzę ich, nie cierpię ich łykać. Po nich nie mogę malować, nie mogę myśleć, nie mogę czuć. Czuję jedynie, że mój umysł spowija mgła. Całe wieki zajmuje mi znalezienie właściwego słowa, zapominam twarze przyjaciół, biorę do ręki korkociąg i nie pamiętam, jak się go używa. Ktoś mi mówi, że umarła mu matka, a ja gapię się na niego jak idiotka, bo nie wiem, co wypada powiedzieć w takiej sytuacji. Jakbym była uwięziona w szklanej bańce: nic nie przedostaje się do środka i nic nie wydostaje się na zewnątrz.

Otwieram dłoń. Kolorowe pigułki prostują moje górki i dołki i nie pozwalają popaść w gorszą depresję, ale za jaką cenę! Nie czuję smutku, ale radości też nie. Nie wpadam w rozpacz, ale nigdy nie zaznaję szczęścia. Kto chciałby zrezygnować z miłości, żalu, strachu, namiętności? To przecież nie życie, to egzystencja.

Wrzucam pigułki do zlewu i włączam utylizację odpadów.

Koniec końców i tak będę musiała je łykać, bo inaczej wpadnę w taki stan, że mnie zamkną. Ale ten krótki czas, kiedy jestem sobą - między okresem otępienia a fazą szaleństwa - chcę wykorzystać do końca.

„Ubierz się po swojemu”, powiedziała Eithne, gdy ją spytałam, co dziś włożyć. „Przyjdą do galerii patrzeć na twoją sztukę, nie na buty”.

Jak mogę ubrać się po swojemu, skoro nie mam pojęcia, kim jestem? Nigdy nie miałam szansy się tego dowiedzieć. Córka Clary, żona Williama, matka dzieciom - zawsze byłam definiowana poprzez relacje z innymi ludźmi. A co Beth Ashfield, wschodząca artystka, włożyłaby na najważniejsze spotkanie w jej życiu?

Na pewno nie ten workowaty turkusowy kostium, wybrany jej przez matkę na ślub siostry; nie te buty, które kupił jej mąż, bo lubi wysokie obcasy (i nie obchodzi go, że niemiłosiernie uciskają palce); i nie ten idiotyczny kapelusz z piórami, który

wygląda, jakby na mojej głowie dokonał żywota jakiś bazant. Zdejmuję go i lotem koszącym posyłam na rozgrzebane łóżko.

A naszyjnik? Tak, założyłaby platynowy naszyjnik z wyszlifowanymi przez morze szkiełkami. Doceniłaby ironię: kawałki szkła, nikomu nieprzydatne, umieszczone w drogocennej oprawie i przedstawione jako dzieło sztuki.

Ale nieważne, co wybrałaby Beth Artystka, myślę ze złością, zakładając na ramię ohydną starą torbę i zamykając na klucz frontowe drzwi. Pójdzie albo w tym kostiumie, albo w codziennym uniformie, składającym się z rozwleczonego podkoszulka i dżinsów z supermarketu.

Gdy półtorej godziny później wychodzę ze stacji metra w Green Park, już pamiętam, dlaczego po jednym założeniu odłożyłam go do szafy. Tania spódniczka jeździ po moim sflaczałym brzuchu, a luźny zakiet przekrzywia się to na jedną, to na drugą stronę. I gryzie.

Bryzgi deszczu ochlapują mi twarz. Spoglądam w górę i następna duża kropla wpada mi do oka. Och, Boże, jeszcze i to na dodatek. Zanim dotrę na miejsce, będę wyglądać jak przemoczona tropikalna papuga...

Nagle przechyliłam się prosto na stoisko z prasą. Gdy upadam na ladę ze sklejki, tuziny kolorowych pism zjeżdżają na mokry chodnik. Purpurowa ze wstydu przeproszam wylewnie zdumionego sprzedawcę, zastanawiając się, o co, u diabła, się potknęłam.

Stawiam krok i już wiem - odpadł mi obcas.

Nie ma potrzeby panikować. Na Cork Street muszę być dopiero za godzinę - dzięki Bogu, zostawiłam sobie dużo czasu. Buty. Buty. Gdzie kupić nowe...

Mieszkanie Williama! Bayswater to niecałe pięć minut taksówką stąd; zostawiłam tam kilka par po różnych wyprawach do teatrów i innych takich. Nie ma sensu kupować nowych, skoro nie trzeba. Czarne czółenka będą w sam raz; i są znacznie wygodniejsze, co nie jest bez znaczenia. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć kobiet z obsesją na punkcie butów. Mnie jest wszystko jedno, dopóki niosą mnie z miejsca A do miejsca B, robiąc możliwie najmniej pęcherzy.

Dzwonię do Williama z komórki, żeby uprzedzić o swoim przyjściu. Życie dało mi twardą lekcję: niespodzianki nie służą małżeństwu.

Ale włącza się automatyczna sekretarka, co oznacza, że William jest w pracy; na wszelki wypadek zostawiam wiadomość i wskakuję do taksówki. Czarne pantofle bez pięt znajduję tam, gdzie się spodziewałam. Wsuwam w nie stopy i natychmiast czuję ulgę.

Patrzę na swoje odbicie w lustrze. Pantofle są nieco wymięte, ale to tylko wzmacnia aurę artystyczną. Zerkam na zegarek: pięć po trzeciej. Eithne umówiła mnie z właścicielami galerii na wpół do czwartej, a galeria jest tuż za rogiem. Mam mnóstwo czasu.

Zaczynam odczuwać zdenerwowanie. Wprawdzie Eithne powiedziała, że spodobały im się moje płótna, ale podobać się i zachwycać to dwie różne rzeczy. Samo podobać się nie zapewnia sfinansowania wystawy. A w dzisiejszych czasach artysta musi być komercyjny. Sprzedawalny. Nie jestem urzekającą buntowniczką jak Eithne, z tymi wszystkimi kolczykami, różem na głowie i umiejętnością przyciągania uwagi. Jestem tęgawą gospodynią domową w średnim wieku, taką buntowniczką z przedmieść.

Biorę klucze, otwieram frontowe drzwi i wydaję się z siebie mrozący krew w żyłach okrzyk, gdy widzę stojącego w nich Dana.

- Wszystko w porządku - mówię do młodej kobiety, która dzielnie wybiegła z mieszkania naprzeciwko zobaczyć, kogo mordują. - Znam tego pana, ale po prostu mnie zaskoczył. Przepraszam, że narobiłam hałasu.

- Kiedy przyjechałem, ktoś właśnie wychodził z budynku - tłumaczy Dan - i wpuścił mnie do środka, więc nie dzwoniłem domofonem.

Mija mnie i wchodzi do mieszkania. Zaczynam rozumieć, co widzi w nim moja córka. Jest naprawdę smakowity, ma niebieskie oczy w tym prześlicznym odcieniu, co u Davida Esseksa (durzyłam się w nim, kiedy byłam w wieku Cate; oczywiście w Davidzie, nie w Danie).

- Cate nie ma - mówię speszona.

- Wiem, chciałem zobaczyć się z tobą - odpowiada Dan.

Moje serce przyspiesza. To na pewno dlatego, że się tak przestraszyłam.

- Ale skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

- Śledziłem cię - wyznaje.

- Śledziłeś?

- Już myślałem, że cię zgubię, gdy wsiadłaś do taksówki - dodaje bez śladu skruchy. - A właściwie wskoczyłaś. Co się stało z twoim butem?

- Mniejsza o buty! Czemu mnie śledzisz?

- Już powiedziałem. Chciałem się z tobą zobaczyć.

Zakłada ręce na piersi i patrzy, jak włączam czajnik i usiłuję znaleźć herbatę - pierwszą ucieczkę skonsternowanych. Pachnie dymem tytoniowym i kłopotami. Staram się nie myśleć o tym, jak smakowały jego pocałunki. Nie mam teraz fazy maniakalnej; jestem sobą. Dziś nie będzie striptizu i biegów na golasa. Żadnego całowania chłopaka córki, nawet jeśli jest tak blisko, pachnie tak rozkosznie i sunie palcami w dół mojego kręgosłupa, od czego całkiem się rozklejam, a serce bije mi szybciej niż... niż...

- Dan, przestań - udaje mi się wydyszeć.

Tak długo nikt mnie nie dotykał. Dzieci myślą, że są na to za duże, nawet Sam - wiecie, jakie robią się dzieciaki, kiedy idą do szkoły - a odkąd przestaliśmy z Williamem uprawiać seks, skończyły się też przytulanki. Nie pamiętam, kiedy ostatnio wziął mnie choćby za rękę.

Wargi Dana łaskoczą mnie w szyję.

- Nie lubisz tego? - szepcze.

- Nie... tak... nie o to chodzi!

W okolicy krzyża czuję jego erekcję. A między udami nieoczekiwane pulsowanie. Dawno zapomniane odczucia oszalamiają mnie, więc prawie nieświadomie odwracam się w jego ramionach i przyciągam go bliżej. Nasze usta się spotykają. Pocałunki pobudzają moje zakończenia nerwowe, wprawiają w drżenie całe moje ciało.

Resztkami woli próbuję go powstrzymać.

Chwytam się kurczowo zlewu. To jest chore, to nie powinno się wydarzyć. Nie możemy tego zrobić. On jest ode mnie dwa razy młodszy. I to chłopak mojej córki...

- O Boże, Cate!

- To nie ma z nią nic wspólnego. Bardzo lubię Cate, ale zawsze chodziło mi o ciebie, od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem cię na wystawie Eithne Brompton...

- Nie! Za drzwiami! To Cate!

- Co?!

- Popatrz! To jej plecak, poznałabym go wszędzie. Musi tu przychodzić! O Boże, nie może zastać nas razem! Idź już!

- Nie mogę. Przecież mnie zobaczy.

- Musisz się ukryć! Szybko, do sypialni!

- Beth, to śmieszne...

- Przyszedłeś za mną tutaj, Dan! Jak zamierzasz to wyjaśnić? A może chcesz jej powiedzieć, że umówiliśmy się na potajemne rendez-vous?

Otwieram drzwi garderoby. Pełno w niej pudeł z dokumentami Williama.

Wpadam w panikę. Cate nie odezwała się do mnie przez cały tydzień (teraz, kiedy widzę jaśniej, nie mogę mieć jej tego za złe, gdyby moja matka zrobiła mi coś takiego, też nigdy bym jej nie wybaczyła). Jeśli zastanie mnie tu ze swoim chłopakiem, już nigdy się do mnie nie odezwie, choćbyśmy znaleźli jak najbardziej niewinne tłumaczenie.

- Pod łóżko! - krzyczę do Dana.

Posłusznie chowa się pod łóżkiem. Dziękuję losowi, że mamy to staroświeckie łóżko z brązu, nie jakiś kosztowny nowomodny tapczan, jak w domu. Tam nie dałoby się wsunąć nawet kartki papieru, nie mówiąc już o młodym chłopaku w... hm... raczej widocznym stanie podniecenia.

We frontowych drzwiach szcękają klucze. Dan wystawia głowę spod łóżka.

- Beth, ja naprawdę nie...

Rzucam się na podłogę, wślizguję pod łóżko i dłonią zakrywam mu usta.

Głos Cate niesie się po holu.

- Hej, to tylko ja.

Za późno, myślę z przerażeniem. Widziała nas. Jak zdołam... Dan kręci głową i odgina moje palce.

- Telefon - mówi bezgłośnie.

Ma rację. Wsuwam się głębiej i znikam z pola widzenia.

- Zrobiłam to, Fleur, poszłam się z nią spotkać... Nie, naprawdę, przysięgam...

Dan gładzi mnie po biodrze i wsuwa dłoń pod bluzkę. W takiej chwili!

- Nie uwierzysz, co się stało - mówi Cate. - Jak w prawdziwym dramacie!

Właśnie mówię jej, całkiem grzecznie - a miała takie superbotki, całe w pomarańczowo-purpurowe zakrętasy... No więc rozmawiamy i nagle ona robi się jakaś dziwna, i...

Słyszę, jak Cate krąży po mieszkaniu. Co ona tu właściwie robi? Nawet nie wiedziałam, że ma klucze.

Dan trąca mnie łokciem. Okręcam się i nad moją twarzą zawisa gorset z czarnej koronki.

- To nie moje! - szepczę oburzona.

Paplanina Cate ucicha, a Dan przykłada palec do ust.

- Nie rozłączaj się - mówi Cate. - Chyba coś usłyszałam.

Nie mam odwagi zaczerpnąć powietrza. Przez szparę między krawędzią narzuty a podłogą widzę zbliżające się srebrne adidasy.

- Nie, to chyba w mieszkaniu obok. Słuchaj, muszę lecieć. Przyszłam tylko podebrać ojcu trochę kasy, nawet nie zauważy. Za godzinę mam się spotkać z Danem w Tate...

Kurz dostał mi się do nosa i chyba za chwilę kichnę. Kryję twarz w dłoniach, a Dan trzęsie się w bezgłośnym śmiechu. Co go tak bawi? Czyżby Cate nic dla niego nie znaczyła?

W przeblasku jasności umysłu uświadamiam sobie, że choć sytuacja jest jak żywcem wzięta z *Absolwenta*, ja nie jestem Mrs Robinson. Choćbym szalała za Danem, choćbym nawet mogła zdradzić Williama, na pewno nie zranię swojej córki.

- Jeszcze jej nie pytałam - dobiega mnie głos Cate. - Na pewno się nie zgodzi, jak zwykle. Nienawidzę jej, Fleur. To hipokrytka. Cały czas mówi mi, co będzie dla mnie dobre, i zapewnia, że się o mnie troszczy, a potem przychodzi i rujnuje całe moje życie. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie się od niej uwolnię...

Drzwi frontowe się zatrzasują. Dan szturcha mnie, ale leżę nieruchomo.

Od nastoletnich dzieci nie oczekuje się wdzięczności. Muszą cię nienawidzić; jeśli tak nie jest, to pewnie źle wykonujesz swoje rodzicielskie zadania.

O ileż łatwiej być złym rodzicem i mówić tak: „Jeśli chcesz, noś kolczyk w pępku, pal papierosy, włócz się po nocach, śpij ze swoim chłopakiem, choć masz dopiero piętnaście lat”. Ale ty mówisz „nie”, znosisz napady szału i to „Nienawidzę cię!” - bo kochasz córkę i chcesz ją chronić przed błędami, które sama popełniłaś.

Jasne, że nie wszystko robisz dobrze. Dzieci nie przychodzą na świat z instrukcją obsługi, więc usiłujesz sobie poradzić metodą prób i błędów. W moim przypadku błędów było dużo, ale aż do dziś sądziłam, że jestem dobrą matką. Robiłam im kanapki do szkoły, prasowałam szkolne mundurki, czytałam bajki na dobranoc i całe noce siedziałam przy ich łóżkach, gdy były chore. Zabierałam na balet i mecze piłki nożnej, gotowałam pożywne posiłki, zbierałam z podłogi mokre ręczniki. Nie byłam matką, która całe życie spędza w kuchni i przy desce do prasowania, ale nie opuściłam żadnego szkolnego dnia sportu ani przedstawienia, nawet gdy jedynym moim pragnieniem było zwinąć się w kłębek pod kołdrą i nigdy stamtąd nie wychodzić.

Co za ironia losu, zanim przyszły na świat, tak bardzo chciałam być matką. Nikt głośno nie przyzna, jakie nudne i nużące bywa macierzyństwo (choćaż trzeba oddać Clarze, że próbowała; ale myślałam, że chodziło jej o matkowanie mnie). Jednak robiłam wszystko, co powinnam, i jak tylko umiałam najlepiej.

Usłyszeć z ust własnej córki, że poniosłam porażkę w najważniejszym dziele swego życia, jest zbyt bolesne do zniesienia.

- Chodź, Beth. Ona już wyszła.

Gramolę się spod łóżka i otrzepuję z kurzu. Dan wygląda na bardzo zadowolonego z siebie, jak mały chłopiec, któremu udało się uniknąć kary. Jestem potwornie zawstydzona z powodu tej farsy.

- A więc - pyta z uśmiechem, trzymając gorset na jednym palcu - chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Mówiłam, że to nie mój...

Oboje jednocześnie uświadamiamy sobie, co to oznacza. Wrywam mu gorset i upycham pod poduszkami sofy.

W obliczu konwersacji, której przed chwilą wysłuchałam, dowód niewierności mojego męża prawie nie robi na mnie wrażenia.

- Przepraszam, Eithne - mówię - proszę, nie krzycz już na mnie. Nie chciałam cię wystawić do wiatru. Miałam zamiar tam się pojawić. Naprawdę próbowałam. Wiem, że zadałaś sobie mnóstwo trudu, żeby to wszystko zorganizować, jesteś strasznie kochana, ale myślę, że obie świetnie wiemy, że nie zostałam stworzona na artystkę. Czasem z tego machania pędzlem wychodzi coś zgrabnego, ale tylko tyle. Clara ma rację, usiłuję podskoczyć wyżej nosa, jeśli myślę, że uda mi się zrobić wystawę i sprzedać moje obrazy. Jestem tylko kurą domową. To nie słodki film o Kopciuszku, w którym w małej szarej myszce nagle odkrywają niesłychany geniusz. To życie, nie jestem w nim gwiazdą i nigdy nie będę. Głupotą było myśleć, że mogę stać się kimś innym. Przepraszam, Eithne. Czy możemy zapomnieć o wystawach i obrazach i po prostu dalej być przyjaciółkami?

W fakcie, że William nie wraca na noc, nie ma nic nadzwyczajnego. Często zostaje w Londynie, gdy wieczorami musi zabawiać klientów, a wiem, że bardzo mu zależy na podpisaniu kontraktu z tym chłopcem z boysbandu.

Ale tym razem wiem, że nie jest ze swoim prawnikiem czy jakąś nastoletnią gwiazdą pop, tylko z właścicielką prześlicznego czarnego gorsetu.

Gapię się w sufit. Co innego podejrzewać, że mąż od czasu do czasu skacze sobie w bok. W końcu osiem lat to szmat czasu, trudno oczekiwać, żeby pełnokrwisty mężczyzna obywatel się bez seksu. Musiał jakiś być - może podczas wyjazdów zagranicznych - poza tym ten fatalny incydent na Cyprze, ale nigdy nie miałam na to dowodu...

Była ta urodziwa nauczycielka angielskiego, której dziwnie chciało się omawiać szkolne postępy Bena poza godzinami pracy. I zawsze zastanawiała mnie ta uderzająco ładna lekarka o tycjanowskich włosach, która pomagała nam leczyć małego Sama. William mówił o niej bez końca, a potem nagle przestał i już ani razu o niej nie wspomniał. Wcześniej były inne, sekretarki i asystentki, które przez te wszystkie lata przychodziły i odchodziły. Z uwielbieniem patrzyły na Williama, płonąć rumieńcem, ilekroć którąś mijał, a potem ni z tego, ni z owego nagle znikwały. Mała Carolyn niemal całuje ziemię, po której on stąpa. Byłabym naiwna, gdybym nie podejrzewała, że z tą czy inną czasem do czegoś dochodziło.

Ale co innego podejrzenia, a co innego pewność. Pewność nie pozwala zasnąć przez całą noc, przed pewnością trudno uciec.

- Możesz winić tylko siebie - mówi ostro Clara, gdy nazajutrz zjawia się (nieproszona) na śniadaniu i udaje jej się to ze mnie wyciągnąć.

- Sama go do tego doprowadziłaś swoim egoizmem i tymi humorami. Nie mam pojęcia, czemu ten biedak jeszcze się z tobą męczy. Ten facet jest święty.

Stawiam czajnik na płycie.

- No i nie zapominaj, że gdyby nie wpadka, w życiu by się z tobą nie ożenił. Masz szczęście, że cię nie rzucił. Nie tak jak twój ojciec. Kiedy pomyślę, ile zainwestowałam w tego człowieka i jak mi później odpłacił...

- Grzanek?

- Jesteś taka sama jak on. Słaba. Od razu wiedziałam, jak tylko cię urodziłam. Byłaś trudnym, marudnym dzieckiem. Lekarze mówili, że to kolka, ale ja wiem swoje.

- To marmolada domowej roboty ze sklepu herbacianego - mówię pogodnie. -
Dużo lepsza niż te z supermarketu. Zobacz, ile w niej kawałków owoców.

- Mam nadzieję, Beth, że bierzesz lekarstwa. Biedna Cate. Nigdy ci nie
wybaczy, wiesz czego.

Ostrożnie odkładam na bok nóż do chleba.

Potem wychodzę na dwór, idę do sadu na końcu ogrodu i tak długo ciskam
doniczkami w niski kamienny murek, aż przechodzi mi chęć zamordowania własnej
matki.

Kiedy się uspokajam, zmiotam skorupy i rozsypaną ziemię, zawijam w starą
gazetę i upycham w pojemniku na śmieci. Że jestem szczęściarą, bo mam Williama,
wiem i bez matki. Niewierność to nie powód do zrywania małżeństwa. Seks to nie
miłość.

Mam go, dopóki mnie nie rzuci. Nie mogę do tego dopuścić. - Nie jestem
takim popychadłem, za jakie wszyscy mnie biorą. Umiem na własny sposób
walczyć o swoje. W końcu zdobyłam Williama. Wszelkie dręczące mnie w związku
z tym rozterki zniknęły w chwili, gdy wziął na ręce Bena i zobaczyłam, jak jego
twarz rozjaśnia miłość. Wtedy wiedziałam, że się nie pomyliłam: naszym
przeznaczeniem było założyć rodzinę.

Wcale nie jestem dumna z tego, co zrobiłam, gdy był na Cyprze. Ale nie
miałam wyboru. Myślałam, że mnie wypędzi - to było naprawdę głupie. No, ale w
końcu wszystko jakoś się ułożyło.

Rzecz w tym, że znam Williama lepiej niż ktokolwiek. Wiem, że potrzebuje
mnie nie mniej niż ja jego.

Kiedy w końcu tuż przed szóstą wraca do domu, po sposobie, w jaki cicho
zamyka drzwi, od razu poznaję, że jest wściekły. Wpada jak burza do kuchni i rzuca
coś na stół.

- Wiesz, co to jest? - Na szczęście nie oczekuje odpowiedzi. - Wiesz, gdzie to
znalazłem?

Wstrzymuję oddech.

- Pod oparciem sofy w Londynie!

Patrzy wyczekująco, najwyraźniej licząc na coś więcej niż otwarte w niemym zaskoczeniu usta. Ale ja jeszcze dziesięć sekund temu myślałam, że rzeczony gorset należy do jego kochanki.

- Czyje to? - pytam z trudem. Patrzy na mnie jak na kretynkę.

- No przecież chyba Cate!

Cate? Och, czemu ja na to nie wpadłam.

- Wiesz, co to znaczy? - pyta z naciskiem. - Nasza córka jeździ do Londynu i w moim łóżku uprawia seks z tym pieprzonym cyganem!

Cate! Cate i Dan.

Nie jestem zazdrosna, tylko zatroskana, jak każda matka.

- Chyba w naszym łóżku, Williamie? - mówię łagodnie. - A teraz oni wszyscy noszą długie włosy, kochanie, i nie musisz zaraz nazywać go cyganem.

- Nasza córka wymyka się z domu za naszymi plecami, stroi się jak prostytutka, żeby zaspokoić zboczone fantazje tego hippisa, a ty urządzasz pogadanki o jego fryzurze?

Zaczynam się obawiać, że dostanie piany na ustach.

- Beth, ona ma siedemnaście lat. Siedemnaście!

- Tak, kochanie, wiem. Byłam przy jej urodzinach...

- Kto wie, w co jeszcze on ją wciąga - alkohol, narkotyki... Skończy się tym, że założą jej kartotekę kryminalną! Poszłaby do Oksfordu, została świetnym lekarzem, a tak, nim się obejrzymy, zajdzie w ciążę i wyląduje w jakiejś komunalnej norze, gdzie na schodach będą się walać porzucone strzykawki i będą handlować narkotykami. Ten chłopak nie da jej spokoju, z oczu mu patrzy krętactwo, od pierwszego spojrzenia wiedziałem...

- Przestań się wściekać - mówię krótko. - Pomówię z nią, oczywiście, jak tylko znów zacznie ze mną rozmawiać - dodaję.

William odburkuje coś i idzie do gabinetu. Podnoszę z płyty garnek, dodaję łyżkę masła i zabieram się do tłuczenia ziemniaków na zapiekankę.

Jako matka byłam przygotowana na szeroką paletę uczuć, jakie mogą mną targać, kiedy dowiem się, że córka zaczęła uprawiać seks; ale nie podejrzewałam, że ulga też się wśród nich znajdzie.

- Oczywiście, że to nie moje - prycha Cate, gdy w końcu zbieram się na odwagę i przyszpilam ją kilka dni później.

- Jesteś pewna, kochanie?

- Daj spokój. Jakbym nosiła takie ponuractwa.

- Więc nie byłaś ostatnio w mieszkaniu w Bayswater? Ucieka spojrzeniem.

- Mówiłam ci, nie byłam tam od miesiący. Teraz wiem, że kłamie.

- Cate - ryzykuję - ty i Dan musicie uważać. Nie chciałabym, żebyś...

- Co? Wpadła tak jak wy?

Nie chciała tego powiedzieć. To nastolatka. Nie ma pojęcia, jak takie słowa ranią.

- Straciła szansę, jakie masz przed sobą - kończę spokojnie. Jej ładna buzia się wykrzywia.

- Przykro mi, mamó, że jestem dla ciebie takim kłopotem. Gdybym wiedziała, że odbieram światu nowego Picassa, postarałabym się nie urodzić.

- Cate...

- Daj spokój, mamó. Wszyscy wiemy, że wolałabyś, żeby nas nie było. Ale nie martw się. Już tylko ja zostałam w domu, Sama i Bena już się pozbyliście. Ja też się niedługo usunę. Będziesz miała tatę tylko dla siebie, jak zawsze chciałaś.

- Ale to nie...

- Wiesz, skoro ten gorset nie jest mój ani twój, zastanawiam się, czyj w takim razie jest.

Uświadamiam sobie z niedowierzaniem, że ona chce, bym myślała, że należy do innej kobiety. Cieszy ją to. Aż tak mnie nienawidzi?

- Caitlin, nigdy, nawet przez moment nie żałowałam, że się urodziłaś - mówię z uczuciem. Chwytam ją gwałtownie za ramiona. - Kocham ciebie i twoich braci.

Wniosłaś w moje życie więcej szczęścia, niż potrafisz sobie wyobrazić.

Macierzyństwo jest znacznie trudniejsze, niż ci się wydaje, ale nie żałuję ani sekundy. Żałuję tylko, że nie miałam więcej czasu, by poznać samą siebie, zanim wzięłam odpowiedzialność za inne istoty.

Cate drży. Nie wiem, ze złości czy zniecierpliwienia.

Gdy ją puszczam, ona od razu ucieka w przeciwny kąt kuchni. Opanowuję chęć podejścia do niej i objęcia jej, co często robiłam, kiedy była mała.

- Cate, masz przed sobą całe życie - mówię. - Świat otwiera się przed tobą. Nie spiesz się. Zrób te wszystkie rzeczy, na które ja nie miałam czasu - dodaję, starając się, by nie zabrzmiało to gorzko. - Idź za swoimi marzeniami. Zostań dziennikarką, jeśli chcesz, zdobądź tego Pulitzera... Och, Cate, przecież nie jestem ślepa. Widzę, ile dla ciebie znaczą studia w NYU. Jeśli tak tego pragniesz, będę cię wspierała. To ojca musisz przekonać, nie mnie. Ale nie myśl, że przestanę się o ciebie martwić i tęsknić za tobą w każdej sekundzie twojej nieobecności.

Przez moment na jej bladej twarzy malują się zmieszanie i współczucie. Przez ten moment myślę, że udało mi się nawiązać z nią kontakt. Ale dzwoni telefon i wszystko psuje.

- Cate, zaczekaj, proszę, kochanie...

Drzwi się zatrzasują. Chcę za nią biec, ale uświadamiam sobie, że tylko uciekłyby jeszcze dalej. To ona musi przyjść do mnie. Nieszczęśliwa odbieram telefon.

- Beth, tu Anna.

Och, jeszcze i to. Matka Williama jest ostatnią osobą, z którą mam ochotę teraz rozmawiać. Nigdy nie wiem, co jej powiedzieć. Choć William od dwudziestu lat odmawia rozmowy z nią, wbrew jego woli utrzymuję z teściową sporadyczne kontakty, głównie dla dobra dzieci, ale i ze względu na nią samą. Bo wiem, jak ja bym się czuła, gdyby Ben albo Sam wyrzucili mnie ze swego życia.

Albo Cate.

- Witaj, Anno, jak się miewasz? - mówię, siląc się na swobodny ton.

- Szczerze mówiąc, nie najlepiej - odpowiada. - Właśnie wróciłam od lekarza.

- Ojej, biedactwo, czy wszystko w porządku?
- Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać.

Na szczęście - biorąc pod uwagę, jak okropnie ją potraktowałam - Eithne nie gniewa się na mnie długo.

- Tylko dlatego, że cię kocham - mówi - powiem ci o trzech czerwonych karteczkach z napisem „Sprzedane” na twoich malowidłach. Och, spokojnie, Beth, mówiłam ci, że jesteś dobra.

Wskazuje mi też zabawną stronę incydentu z Danem.

- Czemu miałabyś go nie kręcić? - pyta, przechylając głowę (w tym tygodniu zieloną, na cześć świętego Patryka) na bok. - Jesteś doświadczoną, dojrzałą kobietą, nic dziwnego, że na ciebie leci. A że on jest żywym odbiciem Williama sprzed dwudziestu lat, nic dziwnego, że masz do niego słabość.

Brzmi to tak bezpiecznie, tak normalnie. Od razu się rozpogadzam. Każda niemądra, troszkę zakochana kobieta w średnim wieku powinna mieć taką przyjaciółkę jak Eithne.

Kiedy więc Dan dzwoni na moją komórkę i błaga, żebym mu pozowała na wieczornych zajęciach z rysunku - „Proszę, Beth, chodzi o moje punkty z nauczania, dziewczyna, która zawsze mi pozowała, uciekła z artystą cyrkowym, nie śmieję się, to najprawdziwsza prawda...” - no cóż, nie umiem mu odmówić. Szczerze mówiąc, po tej przygnębiającej rozmowie z matką Williama trochę rozrywki dobrze mi zrobi. Nawet podszytej grzesznym flirtem. Komu to zaszkodzi? I tak przecież do niczego nie dojdzie.

Idę do domu się przebrać. To znaczy nie całkiem przebrać - ubrania raczej nie będę nosić - ale doprowadzić do porządku.

W trzpiotowatym nastroju wpadam do kuchni.

- Och! William! Jesteś w domu. - Płonę rumieńcem po korzonki włosów. - Wpadłam tylko na chwilę coś przekąsić i zaraz pędzę na zajęcia - chyba ci wspominałam, że dziś wychodzę?

Rąbie tłuczkiem w stek z miną starego zrzędy. - - Nie masz nic przeciw temu, prawda, kochanie? - ryzykuję. - Oczywiście nie muszę tam koniecznie iść, ale nie lubią, jak opuszczamy zajęcia, a ja obiecałam...

- Pewnie, że nie mam. Przecież sam niedawno mówiłem, że dobrze ci zrobi, jak trochę pobędziesz wśród ludzi. - Obrzuca mnie podejrzliwym spojrzeniem. - Mam nadzieję, Beth, że zażywasz lekarstwa. Nie chcemy powtórki...

- Tak, tak, daj już spokój - odpowiadam ze złością.

Denerwuję się, usiłując zebrać się na odwagę, by powiedzieć mu o Annę. Muszę mu powiedzieć. No dalej, już. Nie mogę dłużej zwlekać.

Może, myślę w nagłym przypływie optymizmu, nawet się ucieszy, gdy już minie pierwsze zaskoczenie. Słowa płyną pośpiesznie.

- Williamie, zaprosiłam na niedzielny lunch twoją matkę. Gwałtownie blednie. Och, Boże. Będzie trudniej, niż się na pierwszy rzut oka zdawało. Kręcę się nerwowo.

- To niedziela wielkanocna, Williamie, a ona w środę kończy osiemdziesiąt lat. Nie możecie się boczyć na siebie w nieskończoność. Dwadzieścia lat wystarczy. Pomyślałam, że to dobry moment, żebyście wreszcie się pogodzili, a ponieważ Ben i Sam jutro też będą w domu...

- Co zrobiłaś?

- ...i wiedziałam, że jeśli cię zapytam, na pewno się nie zgodzisz - mówię prędko. - Daj spokój, kochanie, wiem, że jej nie znosisz, ale moja matka to też nie sam miód, a mnie się udaje...

Sprawia wrażenie, jakby zamierzał rozłupać mi tłuczkiem głowę.

- To zupełnie co innego!

- To prawda, ale nie rozumiem, jak ty...

- Twoja matka nie zabiła twojego ojca!

Dlaczego on jest taki ograniczony? Wiem, że potrzebuje obarczyć kogoś winą, ale jedyną osobą odpowiedzialną za samobójstwo jego ojca jest jego ojciec. Nie

można doprowadzić kogoś do samobójstwa. Decydują się na to wbrew tobie, na złość. Wiem co nieco na ten temat.

- Twoja też nie, William.

Jego też tam nie było, a dzieci nigdy nie wiedzą wszystkiego o małżeństwie rodziców. Ale oczywiście nie mogę mu tego powiedzieć. Nie śmiałabym.

- To twoja matka - mówię cicho.

Są chwile, kiedy niemal nienawidzę mojego męża.

Ona ma białaczkę! - mam ochotę wykrzyknąć. Nie dożyje osiemdziesiątych pierwszych urodzin i jeżeli się z nią nie pogodzisz, będziesz się potem czuł jeszcze gorzej niż w przypadku ojca!

Ale wiem, że tej bitwy nie wygram. Zarzucam torbę na ramię i spokojnie wychodzę w noc.

- Nie jest ci chłodno? - pyta Dan.

Zaprzeczam nerwowo, wciąż spięta po kłótni z Williamem. Sześcioro siedzących półkolem wokół mnie studentów obdarza nagle zdwojoną uwagą ołówki i kartki papieru. Dan wręcza mi długą czerwoną szatę.

- Może chcesz to tymczasem włożyć. Będzie ci się łatwiej rozebrać, kiedy już będziesz gotowa.

Zamykam się w maleńkiej łazience, żeby się przebrać. Rety, po co ja się na to zgodziłam?

Weź się w garść, Beth. To śmieszne. Wtedy w weekend rozebrałaś się radośnie przed tysiącem ludzi. Trochę za późno, by udawać nieśmiałą.

Szybko, żeby nie stracić resztek odwagi, ściągam ubranie i układam w małą schludną kupkę na sedesie, wtykając zszarzałe majtasy pod dzinsy. Może, jeśli odpowiednio się usadowię, uda mi się ukryć najbardziej sflaczałe obszary brzucha. Poupychać je jakoś pod szenilową narzutą na szezlongu. Piersi przycisnę do siebie ramionami i może nie rozplyną się na boki jak dwa sadzone jajka. A jeśli odchyłę do tyłu głowę, nie powinni zauważyć podwójnego podbródka...

Och, na Boga. Mam czterdzieści jeden lat i jestem matką trojga dzieci. Aby to ukryć, trzeba by albo wyłączyć wszystkie światła, albo wyłupić tym studentom oczy.

Wkładam jedwabną szatę i przepasuję moje (okupowane przez pomarańczową skórę) biodra. O Dana się nie troszczę. On już to wszystko widział.

Sadowię się na szezlongu stojącym pośrodku sali. Dobrze, że to prywatna pracownia Dana, a nie ta wielka w szkole. Chociaż wolałabym, żeby to światło nie było aż tak jasne, wydobywające każdy szczegół...

- Beth, jesteś gotowa?

Przełykam ślinę i kiwam głową.

- Okej, zaczekamy.

Rozpinam pas i pozwalam szacie spłynąć z ramion. Jakoś nie zatyka ich z przerażenia. Nikt nie krzyczy ani nie ucieka z pokoju. Sześć ołówków drapie po sześciu sztalugach i powoli zaczynam się odprężać. Nie będzie tak źle. To tylko jedna lekcja. Wytrzymam.

- Możecie rozmawiać. - Dan krąży po pracowni. Włącza jakąś muzykę.

Rozpoznaję Davy'ego Kirklanda z niemilknącej płyty Cate.

- Odprężmy się i zrobmy miłą atmosferę. Beth, jak tam twoje malowanie? Skończyłaś już ten tryptyk?

- Kończę malować ostatni panel - odpowiadam, niewymownie wdzięczna za zmianę tematu.

- Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę. Wypróbowałaś tę ochrę, o której ci wspomniałem?

Wymieniamy uwagi o świetle i technice fresku, a potem rozmowa schodzi na ogólniejsze tematy: przeczytane książki, obejrzone filmy, logo, które Dan zaprojektował dla firmy Williama. Ani się obejrzałam, a minęła godzina i Dan prosi studentów o odłożenie ołówków.

- Możesz się ubrać, Beth - mówi nieobecny tonem, pochylając się nad jednym ze studentów i przyglądając się jego pracy. - Zrób sobie filiżankę herbaty. Zaraz skończę.

Podnoszę się, zawiązuję suknię i krzywię się, bo zdrętwiały mi nogi. Chętnie wypiję coś ciepłego. Trochę zmarzłam od tego siedzenia w bezruchu.

Kiedy wchodzę do jego mieszkania, drzwi przytrząskują pasek sukni. Okręcam się, próbując go uwolnić, ale tylko wplątuje się jeszcze bardziej.

- Musisz ją zrzucić - woła Dan. - Materiał zahaczył o zawiasy.

Czerwienię się i ściągam suknię. Dan uwalnia przytrzaśnięty pasek i podaje mi go; jego dłonie spoczywają na moich ramionach o ułamek sekundy za długo. Brodawki twardnieją mi momentalnie. Tak przyjemnie byłoby wtulić się w jego ramiona, tak łatwo...

Ale nie.

Odsuwam się i okręcam szczerze szatą.

- Dan, co ty robisz?

- No właśnie, Dan - mówi stojąca w drzwiach moja córka. - Co robisz?

Rozdział 8

Cate

Mamo? Dziś wieczorem zamierzam się przespać z Danem - a w zasadzie stracić cnotę - i zastanawiałam się, czy możemy o tym porozmawiać. Może coś mi doradzisz? Tylko trochę się denerwuję, więc...

Takich rzeczy matce się raczej nie mówi.

Zwłaszcza że moja nie należy do tych, którym można wszystko powiedzieć, a przynajmniej nie wtedy, kiedy chce się dostać jakąś sensowną odpowiedź. W naszym przypadku ta słynna nić matczyno-córczynego porozumienia ledwo się w bólu uprzedzie, zaraz się zrywa.

Clem bez przerwy narzeka, że rodzice wtrącają się w jej życie, ale przynajmniej się o nią troszczą. Angażują. Moi chyba nawet nie zauważają, że połowę czasu spędzam poza domem. A kiedy już się mną zajmują, to jakby zapomnieli, że już dawno skończyłam sześć lat. Zwłaszcza ojciec. Myśli, że wszystko ma pod kontrolą - z tym swoim głupim „W tygodniu masz być w łóżku o dziesiątej, młoda damo” - ale tak naprawdę pojęcia nie ma, co się dzieje w moim życiu.

Dobrze, że chociaż mama łapie co nieco. Wczoraj było naprawdę fajnie. Chyba pierwszy raz w życiu wzięła moją stronę przeciw ojcu. Może pogada z nim o moim wyjeździe do Nowego Jorku i jakoś go przekona.

A cała ta historia z gorsetem. O co w tym biegало?

Niesamowite. Fleur uważa, że mama ma romans z Eithne, a te jej pytania o gorset to podwójny kamuflaż, żeby tata niczego nie wywachał. Ta dziewczyna chyba naprawdę się nudzi.

Fleur zrobiła to po raz pierwszy, kiedy miała piętnaście lat. Zawsze powtarzała, że powinnam mieć to za sobą jak najszybciej, i ma rację - nie ma powodu dłużej zwlekać. Przecież jesteśmy z Danem razem już całe wieki; chyba ze cztery miesiące! No dobra, nie kocham go, nie rozmawiamy o małżeństwie i

dzieciach, ale jest zabawny i w ogóle. Przynajmniej w końcu będę wiedziała, o czym wszyscy tyle gadają... Nagle ktoś puka do drzwi.

- Cate! Telefon.

Nie odzywam się. To pewnie Clem, znów będzie ględzić o tym eseju...

- Cate! To z Paryża. Wyjdiesz i odbierzesz, czy mam... Pospiesznie rzucam kołdrę na leżącą na łóżku błyszczącą torbę DeBenhama i otwieram drzwi.

- Nie musisz wrzeszczeć.

Czekam, aż tata odejdzie. Chyba się nie spodziewa, że szczegóły mojego życia intymnego będę omawiała w jego obecności.

- Przekaż rodzicom Fleur pozdrowienia ode mnie.

Przekażę. Zamykam kopniakiem drzwi i zwijam się na łóżku z telefonem. Muszę pomalować paznokcie u nóg, nie mogę się kochać pierwszy raz z połamanymi paznokciami, Dan pomyśli, że straszna ze mnie fleja. Clem kupiła ostatnio taki odlotowy czerwony kolorek w Hard Candy, na pewno mi pożyczycy.

O rety. Jutro o tej porze nie będę już *virgo intacta*.

- *Enfin!* - krzyczy Fleur prosto w moje ucho. - Dostałam twojego e-maila! Co na siebie włożysz? Gdzie to zrobicie? Kupiłaś kondomy?

- Fleur!

- No co? To ty musisz myśleć o takich sprawach. On jest facetem. To nie jego problem.

Przyciskam telefon do ramienia i zmywam z paznokci stary lakier.

- No cóż, szczerze mówiąc, jeszcze mu nawet nie powiedziałam. Pomyślałam, że wpadnę do niego po tych głupich lekcjach rysunku i zrobię mu niespodziankę...

- *C'est parfait!* Koniecznie włoż trenz, jak Ingrid Bergman w *Casablance*. I nic pod spód. Tylko seksowną bieliznę.

- Fleur, nie mogę się włóczyć po mieście w samych majtkach, zaaresztują mnie.

- Przecież nikt nie będzie widział. To byłoby świetne, takie wyrefinowanie. Zjawiasz się w jego domu, on jest zaskoczony. Nic nie mówisz, uśmiechasz się i

wyglądasz niesłychanie tajemniczo. Potem rozpinasz pasek i zsuwasz płaszcz z ramion... *merde*, ależ to będzie seksowne, zupełnie jak w filmie! Chichoczę.

- Nie mam trencza.

- Ale twoja matka na pewno jakiś ma. Kupiłaś pończochy?

Potwierdzam, odstawiając zmywacz do paznokci i wyciągając torbę spod koldry. Przeszywa mnie dreszcz nerwowego podniecenia.

- Poszłam na zakupy zaraz po szkole. I kupiłam jeszcze fantastyczny balsam do ciała, pachnie jak czekoladowe pomarańcze. - Waham się, gładząc jedwabne figi spoczywające na moich kolanach. Godzinami nie mogłam się zdecydować, jaki kolor wybrać. Czarny wydawał się zbyt oklepany, czerwony zbyt tandetny. W końcu wybrałam jedwabne w kolorze kawy, obramowane staroświecką kremową koronką.

- Fleur - mówię niepewnie. - Słyszałam te wszystkie opowieści o pierwszym razie. O krwi i tak dalej. Czy to bardzo boli?

- Troszkę - przyznaje. - Ale niedługo. Nie martw się, *chérie*. Musisz się tylko odprężyć, a wszystko będzie dobrze.

Odprężyć. Tak, da się zrobić.

Chyba.

Pcham furtkę bliźniaka, w którym mieszka Dan, po czym przystaję, niepewna. Za chwilę nie będzie odwrotu.

Sprawdzam godzinę. Jestem znacznie wcześniej, niż zaplanowałam, wszystko przez tę kłótnię z ojcem. Dan pewnie wciąż prowadzi lekcję. Ale w domu nie mogłam wytrzymać ani minuty dłużej. Następnym razem tata chyba zakuje mnie w pas cnoty. Słowo daję, czasem traktuje mnie jak głupią kozę. A przecież niedługo kończę osiemnaście lat. Kiedy on to w końcu zrozumie?

Jakiś dziadyga prowadzący psa na spacer obrzuca mnie lepkiem spojrzeniem. Zawijam trencz mamy odrobinę ciaśniej. Nie do wiary, co za cuda ona trzyma w czeluściach garderoby. Absolutny *vintage*. Czasem zapominam, że chodziła do szkoły plastycznej. Fleur nieźle to wymyśliła, z Ingrid Jakałam i *Casablancą*. Ale kiedy tak tu stoję, nie jest mi do śmiechu. Po pierwsze, pończochy są diabelnie

niewygodne. Rozumiem teraz, po co wymyślili rajstopy. Dlaczego facetów kręcą takie dziwactwa? Niepojęte...

O kurczę. Mam nadzieję, że kręcą. A jeśli Dan po prostu zacznie się śmiać?

Nie, Fleur wie, co mówi. Jest Francuzką. A wiadomo, że to najszykowniejsze i najbardziej zajefajne kobiety na świecie.

Sprawdzam szybko, czy nikt nie patrzy, i przemykam wzdłuż ściany domu. Wejdę od tyłu - Dan nigdy nie zamyka kuchennych drzwi - i w salonie poczekam, aż skończy lekcję. Usiądę na sofie, założę nogę na nogę i będę huśtać stopą, jak to robią na filmach. Szkoda, że nie palę. To obrzydliwe i niedobrze mi się robi na samą myśl, ale wygląda fajnie.

Nie od razu dociera do mnie to, co widzę.

Mój chłopak trzyma w ramionach moją matkę i pomaga jej ściągnąć jakąś szmatę w kurewsko czerwonym kolorze, pod którą ona nic na sobie nie ma. Jego łapska latają po niej, a jej się to najwyraźniej podoba. Ona wzdycha, on sapie... Nienawidzę jej, nienawidzę! Jak oni mogli...

- Dan - jęczy moja matka - co ty robisz?

Zagryzam wargi i przestaję dopiero, gdy czuję smak krwi.

- No właśnie, Dan co robisz?

Te ich miny - gdyby to nie było takie smutne, byłoby całkiem zabawne.

- Cate! - krzyczy matka, chwytając czerwoną kieckę. - To nie to, co myślisz...

Pozowałam... lekcja Dana...

- To musi wyglądać dość dziwacznie - mówi Dan, obdarzając mnie jednym ze swoich najśłodszych uśmiechów. - Wyobrażam sobie, co myślisz...

- Właśnie skończyła się lekcja... Ubierałam się...

- Twoja mama była znakomita, Cate. Wszystkim świetnie się z nią pracowało.

Szkoda, że nie przyszedłaś wcześniej i nie widziałaś, co oni...

- Odejdź ode mnie! - krzyczę. - Ani się waż mnie dotknąć! Cofa się i podnosi rękę.

- Ależ Cate, chyba nie...

- Jak mogłeś! Z nią! Ona jest taka... taka stara! To obrzydliwe! - Odwracam się do matki. - A tata? Jak mogłaś mu to zrobić? Jak mogłaś zrobić to mnie?

- Nic nie zrobiłam, Cate, nic się nie stało, przysięgam!

- To mój chłopak! Mógłby być twoim synem! Jak mogłaś?

Matka zaczyna płakać. Patrzę na nią i mnie też zaczyna ścisnąć w gardle.

- Dlaczego zawsze wszystko mi psujesz?! Czemu nie pozwalasz mi być szczęśliwą? - wrzeszczę. - Ufałam ci! Cała ta wczorajsza gadka o szansach i pomocy w wyjeździe do Nowego Jorku! Tak naprawdę nie chcesz, żebym miała własne życie! Chcesz, żebym skończyła jak ty - smutna i samotna!

- Oczywiście, że nie. Kocham cię, Cate, przecież wiesz...

Odtrącam jej rękę. Matka opada na sofę i wyciera nos wierzchem dłoni jak małe dziecko. Twarz ma czerwoną i w plamach. Wygląda wstrętnie. Staro.

- Nie! - rzucam z goryczą. - Nigdy mnie nie kochałaś. Wszystko tylko psujesz!

- Cate - mówi Dan - uspokójmy się wszyscy i...

- Jesteś podłą, zbikowaną, zazdrosną starą kobietą. Szkoda, że nie umarłaś, kiedy ojciec był na Cyprze. Żałuję, że wróciłam i cię znalazłam.

Blednie.

- Wiem, że tak nie myślisz.

- Jesteś martwa, jeśli o mnie chodzi. Już nigdy się do ciebie nie odezwę!

Odwracam się do Dana i wymierzam mu policzek z całą siłą i furją, na jaką mnie stać.

Wypadam na zewnątrz i biegnę, potykając się na głupich obcasach. Zdejmuję buty i pędzę przez opustoszałe ulice w samych pończochach, nie zważając na ból. Kłuje mnie w piersiach, ale biegnę dalej. Wszystko jest dziwne i nierzeczywiste, jakbym poruszała się pod wodą. Całe moje życie się rozpada. Wszystko jest jednym wielkim kłamstwem. Nic nie jest prawdziwe. Każdy tylko oszukuje i nikogo nie obchodzi, co się stanie ze mną. Gdybym umarła, nikt nawet by nie zauważył.

Chcę, żeby wszystko wróciło na swoje miejsce. Wcale nie chcę tej dorosłości. Mam dość chronienia innych. Chcę, żeby inni zaczęli chronić mnie.

Wpadam do kuchni i na stole widzę gorset, który matka zostawiła tu po naszej wczorajszej rozmowie. Chwytam go i ciskam na przeciwległą ścianę; spada na kredens z takim impetem, że aż grzechoczą filiżanki.

Podskakuję, bo z gabinetu wynurza się mój brat z dłońmi pełnymi chipsów.

- Super - mówi Ben, podnosząc gorset. - Candida zachodziła w głowę, gdzie też go mogła zostawić. Pewnie był w mieszkaniu taty.

Patrzę na niego z niedowierzaniem i nagle zaczynam się śmiać. Nie mogę przestać.

- A skoro już o mowa o strojach - dodaje Ben, rozsypując na koszulce mgiełkę okruchów - to wyglądasz jak Ingrid Bergman w *Casablance*. Odłotowo.

Stoję pod prysznicem, a łzy płyną razem z wodą. Nawet gdy robi się zimna, nie przestaję płakać. Ścieram z twarzy resztki makijażu, sięgam po gumkę owiniętą puszystą różową włóczką i związuję mokre włosy w koński ogon. Pończochy i bieliznę, razem z trenczem, wpycham do kosza na śmieci.

Schodzę na dół i zaglądam do gabinetu taty.

- Jesteś zajęty?

- Nic pilnego - mówi. - Wchodź, Cate. Możesz mi poprzeszkażać.

Za mną idzie Cynamon. Klękam i ukrywam twarz w jego złotej sierści, a on przymyka oczy i pomrukuje z zadowolenia. Jego najbardziej będzie mi brakowało.

- Ten pies bardziej przypomina kota - zauważam. - Posłuchaj, on prawie mruczy.

Tata zatrzaskuje laptopa.

- Wszystko w porządku, Cate? Wydawało mi się, że dzisiejszy wieczór zamierzałaś spędzić z Danem?

- Jakoś nie mam nastroju.

- Chyba nie martwisz się o ten Nowy Jork? Przykro mi, Cate, ale...

- Zapomnij, tato.

- Denerwujesz się egzaminami?

- Trochę.

Biorę z półki z książkami brązowy posążek Buddy i pocieram machinalnie tłuste brzuszysko - ponoć przynosi to szczęście. Gdy tata przywiózł ten posążek z Tybetu, miałam cztery lata; od tej pory wygłaszałam na jego brzuchu maleńką lśniąca płamkę.

- O co się kłóciliście z mamą wczoraj wieczorem?

Przez chwilę nie odpowiada, tylko przekłada jakieś papiery na biurku. Wygląda na zmęczonego; ma sińce pod oczami i bardzo schudł. To tak, jakby Superman nagle okazał się zwykłym śmiertelnikiem. To okropne widzieć go w takim stanie. Kto zajmie się wszystkim, jeśli nie on?

- O nic, czym musiałabyś się martwić, Kit-Cat - mówi wreszcie.

- Tato...

- To nie to, co myślisz. Rozmawialiśmy o babci Annie. Ssę kciuk.

- Czy ty i mama, czy wy?...

- Wszystko z nami w porządku. Naprawdę. A teraz, Cate, jeśli to już wszystko, chciałbym wrócić do pracy.

- Pomyślałam sobie - wyznaję - że mogłabym pojechać do Fleur. Tylko na tydzień. Niedługo mamy przerwę w szkole i...

Przestaje porządkować papiery.

- Mowy nie ma.

- Ale tato...

- Cate, bądźże rozsądna. Nie możesz opuszczać szkoły w środku semestru.

Wkrótce masz egzaminy i sama mówiłaś, że trzeba zacząć rozsyłać papiery po uczelniach.

- I co z tego? I tak nie pozwolisz mi iść tam, gdzie chcę.

- W Anglii jest mnóstwo doskonałych uczelni, już to omawialiśmy. Najpierw Nowy Jork, teraz Paryż; naprawdę nie rozumiem tej nagłej potrzeby wyjazdu z kraju

- Zerka na komórkę. - Chyba że coś jest nie tak.

Mam ochotę mu powiedzieć, naprawdę. Ale nie wiem, od czego zacząć.

- Zaufaj mi, kochanie - mówi, przeglądając pocztę. - Zawsze możesz do mnie przyjść.

- Myślałam, że w piątek lecisz do Nowego Jorku.

- Tak, ale teraz jestem tutaj. No, chodź, kochanie - wreszcie odkłada telefon i wyciąga ręce. - Powiedz ojcu, co cię trapi?

Waham się chwilę, ale potem siadam mu na kolanach. Tu jestem bezpieczna i wszystkie problemy przestają mieć znaczenie. Jakbym znowu miała cztery lata i tatuś mógł pokolorować mój świat. Chciałabym nadal być dzieckiem. Czemu to się musiało skończyć?

- Hej, Kit-Cat. Co ja widzę w twoich oczach? - Przytula moją głowę i gładzi mnie po plecach. - No, kochanie, powiedz, co jest nie tak?

Nie mogę tu zostać. Nie z nią.

- Zabierz mnie do Nowego Jorku, tatusiu - pociągam nosem. - Proszę cię.

- Wiesz, że nie mogę - mówi z irytacją. - Cate, o co ci chodzi? Jeśli mu powiem, zostawi mamę. On odejdzie, a ja będę musiała zostać. Ale muszę mu powiedzieć, bo inaczej wybuchnę.

Nie mogę. Chcę, ale nie mogę.

- No, kochanie. Powiedz staruszkowi.

Powinnam to z siebie wyrzucić. Tata wiedziałby, co zrobić. Uporządkowałby wszystko.

- Cate, o wszystkim możemy... o kurczę! kochanie, muszę odebrać ten telefon. Przepraszam, to naprawdę ważna sprawa.

- Nie szkodzi. - Schodzę z jego kolan. - To i tak bez znaczenia.

Fleur otwiera ramiona i spowija mnie cudowny zapach jaśminu i jabłek.

- *Chérie!* Jak dobrze cię widzieć! Ależ wyszczuplałaś. Niestety w biuście też troszkę, ale buzia super, wyglądasz tak sztywnie. Chodź, wezwiemy taksówkę. Gdzie twój bagaż?

- Mam tylko to.

- Jedną torbę? To musimy zaraz iść na zakupy. No, może nie zaraz. Ale jak tylko odpoczniesz. Papierosa?

Kręcę głową. Fleur przypala swojego, lekceważąc porozwieszane na Gare du Nord tabliczki z zakazem palenia. Jest taka francuska.

Ledwie za nią nadążam, gdy lekko przecina tłoczny hol dworcowy na dziesięciocentymetrowych obcasach. Czuję się wręcz niechlujna w bojówkach i srebrnych pumach. Fleur wygląda wręcz olśniewająco. Jakim cudem jej długie czarne włosy tak błyszczą? Gdybym ja włożyła taką wąską i krótką spódniczkę, wyglądałabym jak idiotka, ale ona wygląda wspaniale, wcale nie jak siedemnastolatka. A jak te Francuzki potrafią wykorzystać szarfy. Obwiązała dwie wokół klamry paska, co jej klasycznemu ubraniu dodaje lekkości. Ja takim sposobem osiągnęłabym efekt kloszardki.

- Masz superbojówki - wzdycha, kiedy dołączamy do kolejki czekających na taksówkę. - Wyglądasz ekstra.

- To zamieńmy się - rzucam. Fleur chichocze.

- Czemu nie? Ty dasz mi londyński styl, a ja tobie francuski szyk. Uczciwy układ.

Wieki nie byłam w Paryżu. Ostatni raz jakieś pięć lat temu, gdy tata zabrał nas do Eurodisneylandu na specjalne przedstawienie. Wystawiam głowę przez otwarte okno taksówki, nie przejmując się, że wygląda to nieco wieśniacko. Już zapomniałam, jak inaczej człowiek czuje się za granicą. Wszystkie szyldy są po francusku. *Pharmacie. Boulangerie. Tabac.* To takie fajne. Budynki są wysokie i takie eleganckie z tymi okiennicami i w ogóle. Nawet pachnie tu inaczej niż w Londynie. I wszyscy wyglądają po prostu fantastycznie; nawet mężczyźni, z tymi skórzanymi teczkami i w fioletowych koszulach, a nie w tych śmiertelnie nudnych białych. Od razu rozpoznaje się turystów: to te grubasy w podkoszulkach i sportowych butach.

Wysiadamy z taksówki w bardzo ładnej dzielnicy. Fleur ciągnie mnie po schodach z białego kamienia, a kiedy dzwoni do czarnych lśniących drzwi, otwiera nam najprawdziwsza pokojówka w schludnym czarno-białym stroju.

- *Papa!* - krzyczy Fleur, rzucając torbę i klucze na stół w holu. Ześlizgują się na marmurową podłogę, ale nawet tego nie zauważa. - *Cate est arrivee!*

Pokojówka zbiera rzeczy Fleur i sięga po mój olbrzymi worek. Czuję się trochę winna, dopóki nie przechwytyję jej spojrzenia. Ma identyczny wyraz twarzy jak tamta ekspedientka w ekskluzywnym sklepie. Koścista krowa.

Idę za Fleur do olbrzymiego wysokiego salonu pełnego muzealnych krzesel z patykowatymi złożonymi nogami i malutkimi oparciami. Strach usiąść na czymś takim, boję się, że połamię coś, co należało kiedyś do Marii Antoniny i jest warte jakiś milion funtów. Ściany mają barwę głębokiej czerwieni, choć właściwie trudno je dostrzec wśród natłoku złożonych luster i obrazów. Czuję się tu całkiem jak na planie filmowym.

Wchodzi tata Fleur i czuję, jak żołądek podjeżdża mi do gardła. On jest absolutnie fantastyczny: zabójczo przystojny, z domieszką tego zdumiewającego, lekko wymiętego francuskiego seksapilu - no wiecie, trzydniowy zarost i potargane ciemne włosy. Musi mieć co najmniej czterdziestkę, ale durzę się w nim od lat.

- Witaj, Cate - mówi, całując mnie w oba policzki. - Dobrą miałaś podróż?

Potakuję, rumieniąc się wściekle. Cholera! Co za obciach.

- Jak miewają się twoi rodzice? Może chcesz zadzwonić i dać im znać, że dojechałaś?

- Tata w piątek poleciał do Nowego Jorku, monsieur Lavoie - mówię szybko w nadziei, że nie zapyta o mamę. - Ale wie, gdzie jestem.

To z grubsza prawda. Nie uciekłam z domu w pełnym znaczeniu tego słowa. Kiedy mama odkryje, że mnie nie ma, tata od razu będzie wiedział, dokąd pojechałam. Wścieknie się, ale nie przerwie niesłychanie ważnej podróży do Nowego Jorku tylko po to, by mnie stąd zabrać. A mama się ucieszy, że ma mnie z głowy. Będą mieli z Danem trochę swobody.

Ojciec Fleur uśmiecha się i patrzy mi głęboko w oczy, aż dłonie robią mi się mokre.

- Mów mi Hugo - proponuje. - Pan Lavoie sprawia, że czuję się okropnie staro.

- Hugo - mamrocze, purpurowa po koniuszki uszu. Fleur przygląda mi się z zainteresowaniem.

- Podoba ci się - chichocze, kiedy jesteśmy już w jej sypialni.

- Nieprawda. Wzrusza ramionami.

- Ma teraz kochankę, więc jesteś bezpieczna. - Bierze szkarłatną szminkę, zbliża ją do mojej twarzy i patrzy uważnie. - *Mais non*, zbyt jaskrawa. Jego przyjaciółka jest bardzo piękna. I bardzo bystra. Matka jej nienawidzi, ale sama ma przyjaciela, więc jakoś z tym żyje. *C'est la vie*.

- Nie przeszkadza ci to? - pytam.

- Lepsze to niż rozwód. Tak, ten kolor będzie ci bardziej pasował. Nie chcę spędzać czasu na wizytach raz w jednym, raz w drugim domu. A tak oboje są szczęśliwi. - Śmieje się. - Tyle że nie ze sobą.

Na pewno na takich wyglądają, myślę, gdy rozmawiają ze sobą sympatycznie - ze względu na mnie, po angielsku - siedząc po przeciwnych stronach lśniącego mahoniowego stołu, większego niż cała jadalnia w naszym domu. Mnie posadzono po lewej stronie Hugo - co oznacza, że nic nie mogę zjeść - a naprzeciwko siedzi Michel, brat Fleur. Wygląda zupełnie jak ojciec; za parę lat będzie smacznym kąskiem, ale na razie to dzieciak, ma dopiero szesnaście lat.

- Nie lubisz przepiórczych jajek? - pyta Hugo. - Trudno się obierają. Pozwól, że ci pomogę...

Sięga po małe jajeczko, muskając przy tym dłonią moją dłoń. Podskakuje, jakbym się oparzyła. Fleur daje mi kuksańca w bok.

- Chyba straciła apetyt - żartuje.

- Musisz być zmęczona po podróży - mówi pani Lavoie i mierzy mnie chłodnym spojrzeniem. - Przejazdka tunelem to koszmarnie doświadczenie.

Jest bardzo piękna, ale oczy ma zimne. Chociaż się do mnie uśmiecha, czuję, że wcale mnie tu nie pragnie. Jest jak Królowa Śniegu z tymi białymi włosami i jasną cerą. „Zapomnij o Saint Tropez, żadna prawdziwa Francuzka nie lubi słońca - powiedziała mi raz Fleur. - Jest niedobre dla skóry, okropnie postarza”.

Przytakuję i pochylam głowę, żeby pani Lavoie nie dostrzegła wyrazu mojej twarzy. Mogę się założyć, że ta stara wiedźma czyta w myślach.

Pokojówka zbiera talerze, a potem wraca z daniem głównym: ogromną rybą na olbrzymim srebrnym półmisku. Ryba jest podana z głową, której oczy wpatrują się we mnie. Och, ona ma zęby...

Nie patrz na nią. To tylko duży paluszek rybny. Z zębami i oczami.

Gdy bawię się sztuczkami, nie bardzo wiedząc, jak odejść od stołu, nie sprawiając wrażenia niegrzecznej, wraca pokojówka i szepcze coś do Hugo.

- Cate, dzwoni twój tata - mówi pan Lavoie. - Amelie zaprowadzi cię do gabinetu, gdzie będziesz mogła spokojnie porozmawiać.

Cholera! Nie sądziłam, że tak prędko zaczną mnie szukać.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz?! - wrzeszczy tata, gdy tylko podnoszę słuchawkę.

- Tato, pozwól mi wyjaśnić...

- Na miłość boską, Cate! Wymykać się do Paryża bez jednego słowa czy nawet głupiego liściku... Twoja biedna matka rozchorowała się ze zmartwienia i już chciała zawiadamić policję! Albo wsiądziesz w najbliższy pociąg do domu, młoda damo, albo będziesz miała poważne kłopoty!

- Proszę, tato, chcę zostać tylko parę dni. Obiecuję popracować nad francuskim...

- Chrzanię twój francuski. Masz natychmiast wracać do domu!

- Ale ja potrzebuję przerwy! - krzyczę. - Mam po uszy waszych nieustannych kłótni! I już nie chcę zajmować się mamą!

- Uważasz, że to ty masz problemy?! Ja tu próbuję ratować firmę przed zatonięciem, a na telefonie wisi twoja rozhisteryzowana matka i mówi, że cię porwali albo zamordowali! Jak możesz wykręcać takie numery!

- Wiedziałaś, gdzie jestem - mówię nadąsana.

- Masz szczęście, że państwo Lavoie to dobrzy ludzie, ale nie możesz bez uprzedzenia nachodzić ich w domu, Caitlin! Dorośnij! Nie chodzi tylko o ciebie!

- Jakby kiedykolwiek chodziło.

- Nie zachowuj się jak smarkacz! A poza tym chciałbym wiedzieć, skąd wzięłaś pieniądze... O Boże!

- Co?

- Leż spokojnie. Nie ruszaj się - głos ojca dobiega z oddali, jakby odłożył słuchawkę i rozmawiał z kimś innym. - Zostań tam. Zaraz kogoś sprowadzę. Trzymaj się.

Słysząc trzask, gdy ponownie podnosi słuchawkę.

- Cate, muszę kończyć. Zbieraj się do domu. Porozmawiamy, kiedy wrócę.

Przerywa połączenie, a ja gapię się zdumiona na słuchawkę. Diabli wiedzą, co tam się stało, ale cokolwiek to było, zyskałam dzięki temu trochę czasu.

- Cate? Nie wychodzisz z Fleur?

- Nie mam nastroju na tańce.

Hugo zatrzaskuje drzwi małego gabinetu - jedyne, jeśli nie liczyć toalet, pomieszczenia w całym domu mniejszego niż pole golfowe - i przysiadła na oparciu skórzanej sofy naprzeciwko kominka. W jedwabnej koszulce polo i czarnych dżinsach wygląda fantastycznie.

- Piękna młoda dama nie chce iść na tańce? Albo jest chora, albo bardzo smutna. Który to powód, *chérie*?

Nazwał mnie piękną!

- Naprawdę nic mi nie jest...

- Cate. Od trzech dni nie wychodzisz z domu. Kobiety nie przyjeżdżają do Paryża, żeby chować się po kątach i czytać książki!

- Nie bardzo mnie stać na zakupy...

- Jakby to kiedyś powstrzymało jakąś kobietę! - Jego głos łagodnieje. - *Chérie*, nie wiem, czemu tu przyjechałaś. Może rzeczywiście po to, by, jak twierdzisz, odwiedzić swoją drogą przyjaciółkę. - Elegancko wzrusza ramionami. - Ale może masz jakiś kłopot w domu, coś, co czyni cię nieszczęśliwą?

Kładę poduszkę na kolana i zaczynam bawić się frędzlami.

- Nie musisz mi mówić, Cate. To twoje sprawy. Możesz zostać u nas tak długo, jak zechcesz. Trzy dni albo trzy miesiące, dopóki nie będziesz gotowa na powrót do domu.

Do oczu napływają mi łzy. Hugo wzdycha.

- *Ma petite*, twoja matka codziennie dzwoni, ale nie chcesz z nią rozmawiać. Twój ojciec nie dzwoni, ale myślę, że z nim byś porozmawiała. - Pochyliła się i ściska moją dłoń.

- Czasem lepiej jest porozmawiać z kimś, niż dusić wszystko w sobie. Cokolwiek to jest, możesz mi zaufać.

W kominku trzaska polano i podskakuję wystraszona. Hugo wstaje, bierze pogrzebacz i poprawia ogień. Jest kwiecień, ale w tym dużym starym domu ciągle mi zimno, więc cieszę się, że robi się ciepłej.

Hugo otwiera barek, nalewa dwa drinki i jeden wręcza mnie.

- Rozgrzej się odrobinę od środka.

Alkohol pachnie okropnie, ale wlewam go w siebie jednym haustem.

- *Doucement*, Cate! Powoli, to armaniak, nie woda!

Kaszlę, gdy palący płomień spływa mi do żołądka. Hugo śmieje się, a kiedy w końcu odzyskuję oddech, też się śmieję i wydaje mi się, że pierwszy raz od bardzo długiego czasu.

- Proszę - mówi Hugo, nalewając mi kolejną szklaneczkę. - Ale tym razem powoli. Armaniak należy smakować, nie połykać. Jak dobre jedzenie. Albo jak - uśmiecha się - dobrą kobietę.

Siedzimy sobie we dwójkę, wpatrując się w ogień. Lubię obserwować tańczące płomienie. Powoli się uspokajam. Pociągam odrobinę ze szklaneczki.

- Tata ma romans - wypalam.

Hugo kiwa głową, ale nic nie mówi.

- A mamę przyłapałam z moim chłopakiem, kompletnie gołą. Mówili, że nie było, ale przecież widziałam... Chcę studiować w Nowym Jorku, ale ojciec nie chce się zgodzić. Nie chciał nawet mnie wysłuchać...

- Ja cię wysłucham - mówi Hugo.

I przez następnych czterdzieści minut naprawdę słucha. A kiedy zaczynam kichać, podaje mi śliczną chusteczkę z zielonego jedwabiu i pozwala wytrzeć w nią nos. Dolewa mi koniaku, wrzuca do ognia kolejne polano i sprawia wrażenie, jakby naprawdę nie było mu wszystko jedno, jak się czuję. Szkoda, że tata tak nie potrafi. Zawsze myślałam, że jest bardzo zajęty pracą, ale przecież dla Elli znajdował czas.

Gdy nie mam już nic więcej do dodania, Hugo obejmuje mnie i przytula.

Opieram głowę na jego piersi. Rety, ależ on smakowicie pachnie, chyba jabłkami i toffi...

Nagle czuję się nie tylko przytulona, zaczynam odczuwać coś zupełnie innego, jakby całe moje ciało przeszedł prąd. On jest naprawdę seksowny. Serce bije mi coraz szybciej. Odchylam głowę i całuję go w usta.

Hugo natychmiast odsuwa mnie na odległość ramienia.

- Nie, Cate - mówi.

- Dlaczego nie?

- Bo to nie jest rozwiązanie twoich problemów. Nie tego potrzebujesz.

Czułbym się fatalnie, gdybym wykorzystał sytuację. Choć bardzo bym chciał - dodaje.

- Nie podobam ci się?

- Ależ tak. Jesteś piękna i czarująca - zapewnia, patrząc na mnie z żalem. -

Gdybyś była odrobinę starsza, bardziej doświadczona...

- Jestem wystarczająco doświadczona. - Obejmuję go, chwiejąc się lekko. -

Fleur mówiła, że lubisz młode dziewczyny.

Bierze mnie za rękę i znowu odsuwa.

- Fleur ma bujną wyobraźnię, a ty jesteś bardzo zmęczona. Koniak chyba nie był najlepszym pomysłem. Myślę, że powinnaś się położyć...

- Świetny pomysł - podchwytyję.

- Sama, Cate.

Oczy zachodzą mi łzami. Hugo mnie nie chce. Dan też - wolał moją matkę.

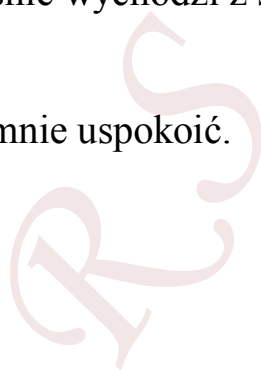
Coś musi być ze mną nie tak.

Nienawidzę się. Nienawidzę swojego życia. Chciałabym umrzeć.

Szlochając, wybiegam z pokoju. Płaczę tak rozpaczliwe, że nic nie widzę, i wpadam na brata Fleur, który właśnie wychodzi z salonu z filiżanką kawy. Kawa oblewa nas oboje.

Michel wyciąga dłoń, żeby mnie uspokoić.

I już ją zostawia.



Rozdział 9

Ella

Anna Shore ostrożnie podnosi maleńką córeczkę i kładzie sobie na kolanach, uważając na rurki i przewody spowijające jej kruche ciało. W instynktownym odruchu zanurza twarz w ciemnych włosach małej Hope i wdycha ich zapach.

Dziewczynka ziewa i wyrzuca przed siebie różową piąstkę. Anna głaszcze ją i miniaturowe paluszki rozchylają się jak ukwiały, a potem zaciskają na palcu matki. Anna podnosi na mnie wzrok i uśmiecha się promiennie.

Też tak chcę.

Ta myśl - nieoczekiwana, płynąca gdzieś z głębi duszy - wytrąca mnie z równowagi. To tylko hormony, tłumaczę sobie. Nie chcę mieć dzieci. Nigdy nie chciałam.

- Ella - mówi Anna z niepokojem - możesz na chwilę podejść?

Patrzę na dziecko. Instynkt matki nie zawiódł. Coś jest nie tak. Czuję to. Niby wszystko w porządku, ale...

- Gina! - wołam dyżurną pielęgniarkę. - Dziecko dzisiaj jadło?

- Niewiele.

- Stolec?

- Raz, z samego rana.

Delikatnie obmacuję brzusek małej. Jest napięty i zaczerwieniony. Temperatura trochę za wysoka. W mojej głowie włącza się alarm. Nie powinna tego mieć; NEC zwykle występuje w dwóch pierwszych tygodniach życia, na ogół po przejściu z kroplówki na karmienie mlekiem, ale...

- Zróbcie analizę krwi, pełny zakres, badanie CHEM-7 i rentgen brzucha - mówię szybko. - I badanie na obecność świeżej krwi w kale.

Pielęgniarka kiwa głową, bierze Hope od matki i ostrożnie wkłada do inkubatora.

- Co się dzieje? - nerwowo pyta Anna.

- Może wszystko jest w porządku...

- Ella, proszę, o co chodzi?

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o zagrożeniach czyhających na takie maleństwa jak Hope? - pytam łagodnie. - Jednym z nich jest choroba przewodu pokarmowego, nazywana martwiczym postępującym zapaleniem jelit, w skrócie NEC...

Jej źrenice się rozszerzają.

- To ten robak jedzący jelita? Och Boże, ona umrze, prawda? To próbujesz mi powiedzieć...

- Anno, uspokój się. Nie o tym mówię. Tamto nazywa się *necroticans fasciitis*, martwicze zapalenie powięzi, i to zupełnie coś innego. NEC to zapalenie jelit, i chociaż to poważna choroba, dość często zdarza się takim maluchom.

- Wyjdzie z tego?

- Jeszcze nie wiemy, czy ją ma, ale jeśli tak, to NEC się bardzo dobrze leczy. Zdecydowana większość dzieci wraca do zdrowia...

- Ale jeśli ona...

Ujmuję dłoń Anny i gładzę ją.

- Ona ma tylko pięć tygodni, kochanie - mówię delikatnie. - Gdyby jeszcze była u ciebie w brzuchu, byłabyś dopiero w dwudziestym ósmym tygodniu ciąży. Wiesz, że niczego nie możemy ci zagwarantować. Ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy, i naprawdę nie masz żadnego powodu do paniki. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.

Kilka godzin później przyglądam się zdjęciu rentgenowskiemu. Miałam nadzieję, że wykaże, że byłam w błędzie, ale ono potwierdza diagnozę NEC, wskazując nienormalny rozkład gazów na ścianach jelit oraz obecność powietrza w jamie brzusznej. To poważna sprawa, ale nie ma powodu wątpić w to, że wyleczymy Hope. Zaczniemy od podania drogą dożylną płynów i antybiotyków i założenia zgłębnika nosowo-żołądkowego. Jej stan powinien się od razu poprawić.

Ale się nie poprawia. Antybiotyki wstrzymują postęp choroby, ale jasno widać, że z Hope jest coraz gorzej. Nie wychodzę ze szpitala przez czterdzieści osiem godzin, drzemiąc w wolnych chwilach na sofie w moim gabinecie. Trzeciego dnia brzuch Hope jest tak wzdęty, że przeszkadza jej oddychać i musimy podłączyć małą do respiratora, czego dotąd starałam się unikać.

- Nie można nic więcej zrobić, żeby jej pomóc? - pyta zapłakana Anna.

- Robimy, co w naszej mocy... Dean chwyta mnie za rękę.

- Wcale jej nie karmicie! Jeśli to potrwa dłużej, zagłodzicie ją na śmierć.

- Nie zagłodzimy, Dean - mówię, delikatnie uwalniając rękę. - Wszystkie składniki odżywcze dostaje przez kroplówkę. Jej brzusek musi odpocząć, żeby mógł wyzdrowieć. Wiem, że brak karmienia musi was strasznie martwić, zwłaszcza że ona jest taka maleńka, ale to dla jej dobra, uwierzcie mi.

- A jeśli nie wyzdrowieje? - dopytuje się Dean. - Jeśli nie zacznie jej się polepszać?

- Jeżeli nie zacznie szybko zdrowieć, nie będzie wyboru, trzeba ją będzie operować - odpowiadam spokojnie.

Czuję się zapędzona w kozi róg. Nie chcę trzymać Hope na kroplówce dłużej niż to bezwzględnie konieczne z uwagi na ryzyko infekcji i innych komplikacji. Nie chcę też poddawać operacji tak maleńkiego dziecka, dopóki nie będę miała innego wyjścia. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie przetrzyma traumy związanej ze znieczuleniem i operacją.

Ale jeśli dojdzie do perforacji i wycieku treści jelita do jamy brzusznej, stan zapalny rozszerzy się bardzo szybko na pozostałe narządy i wtedy Hope na pewno umrze.

- Jak długo będziemy czekać? - pyta Dean.

- Pozwól, że ja się tym będę martwić - odpowiadam z udawaną pewnością siebie.

Wracam do wypełnionego złymi przeczuciami czuwania. Do tej pory nawet w najbardziej stresujących sytuacjach, kiedy ważyło się ludzkie życie, zawsze

instynktownie wiedziałam, co należy zrobić. Kiedy interweniować, a kiedy się powstrzymać. Kiedy postawić na leki, a kiedy pozwolić działać naturze. Kiedy reanimować, a kiedy podjąć najtrudniejszą z możliwych decyzji i pozwolić dziecku odejść. Oczywiście czasami leczenie nie kończyło się sukcesem, ale potrafiłam szybko rozważyć wszystkie za i przeciw i wybrać działania rokujące najlepszy rezultat.

Teraz czuję się zagubiona. Wiem, że w tym przypadku za dużo myślę. Ta pacjentka jest mi zbyt bliska. Mogę się tylko modlić, żeby, kiedy przyjdzie podjąć decyzję, instynkt wziął górę i odpowiedział mi, co mam robić.

Spędzam w szpitalu kolejną bezsenłą noc, doglądając Hope co pół godziny. O szóstej rano wydaje się, że jej stan się ustabilizował, ale oznak poprawy nie ma.

Patrzę, jak klatka piersiowa unosi się i opada w rytm pracy respiratora. Może powoli idzie ku lepszemu? Urodziła się o tyle za wcześnie. Nie ma sensu poddawać jej operacji, jeżeli może jej pomóc antybiotyk.

Ale jeśli jelito zostało nadwątlone przez infekcję i ulegnie perforacji...

Czuję, że ogarnia mnie panika.

O Boże, tylko nie teraz.

Walczę, by nie pozwolić tej bestii sobą zawładnąć. Znam zwiastuny jej nadejścia: przyływ adrenaliny, bolesne mrowienie w rękach i nogach, uczucie duszności w piersiach, skrócenie oddechu. Budzę się przez nią każdej nocy, czasem kilkakrotnie, z walącym sercem, złana potem. Boję się spać; siedzę w fotelu, gapiąc się bezmyślnie w telewizor, aż w końcu zmęczenie bierze górę i zapadam w niespokojny sen.

Czasem udaje mi się nad nią zapanować, zapędzić do klatki siłą woli; ale kiedy indziej to ona przejmuje nade mną kontrolę. Duszę się wtedy, nieprzytomna ze strachu, dopóki mnie nie porzuci - osłabłej z wyczerpania.

Zaczęłam unikać wszystkiego, co może wywołać atak: jazdy metrem, podziemnych parkingów, mostów, tłumu, ciemności, chodzenia do kina. Zaczynam rozumieć, dlaczego niektórzy ludzie przez całe lata nie wychodzą z domów.

Ale jeszcze nigdy nie czułam się źle podczas pracy. Aż do dzisiaj.

Obręcz strachu zaciska mi się na piersi, kiedy patrzę, jak Hope walczy o każdy oddech. Nie wiem, co będzie dla niej najlepsze. Pierwszy raz w życiu sławetna pewność siebie opuściła mnie.

Pielęgniarka z nocnej zmiany sprawdza parametry życiowe Hope.

- Dzielnie walczy - zauważa. - Sądysz, że najgorsze ma już za sobą?

Nie wiem.

- Poczekamy, zobaczymy - odpowiadam wymijająco.

Może Hope poczuje się lepiej i nic nie będę musiała robić. Jeżeli jednak - co nie daj Boże - jej stan się pogorszy, będę musiała wysłać ją na operację.

Może gdy obudzę się jutro, będę wiedziała, co dalej.

Przez resztę dnia obserwujemy i czekamy. Czterdzieści pięć minut przed północą, trzy i pół dnia po tym, jak zaczęłam swoje nieoficjalne czuwanie, temperatura Hope zaczyna rosnać.

Nie potrzebuję chirurga, żeby wbić igłę w jamę brzuszną, pobrać płyn i na jego podstawie określić, czy nastąpiło przebicie jelita. Od razu wiem, że doszło do perforacji. Musimy wyciąć chorą część jak najszybciej, zanim dojdzie do zakażenia całego brzucha i sepsy. W zależności od położenia i długości usuniętego odcinka może potrzebować kolostomii albo powtórnej operacji, a w przyszłości może mieć kłopoty z niedrożnością i złym wchłanianiem. Ale jeśli doszło do zapalenia całego jelita, nic nie będziemy w stanie zrobić. Co oznacza...

Jestem beznadziejnie zaangażowana. To nieprofesjonalne, nieproduktywne i zupełnie nie w moim stylu.

Ale gdy wiozą Hope do sali operacyjnej, czuję się, jakby razem z nią zabrali moje serce.

Następnego dnia rano telefon Williama zastaje mnie przy uzupełnianiu karty Hope.

- Nowy Jork - powtarzam. - Jutro.

- Proszę, Ella. To dla firmy być albo nie być. Potrzebuję cię tam.

Odkładałam pióro. Mija siedem lat, odkąd ostatni raz wyjechaliśmy razem. Musi być strasznie zdesperowany, jeśli chce znów ryzykować.

Widywaliśmy się od ponad roku, kiedy zdobył nowego klienta, prestiżowy międzynarodowy bank z siedzibą na Cyprze. Służbowa podróż Williama wypadła w tym samym czasie, co Święto Dziękczynienia w Stanach; jak co roku Jackson leciał do domu, by świąteczny tydzień spędzić z bratem. Ponieważ Cooper nie uznał za stosowne uwzględnić mnie w zaproszeniu, siedziałam sama jak palec w Londynie, dopóki William nie zaproponował, żebym pojechała z nim na Cypr.

Świadoma, że w ten sposób przenosimy nasz romans z doskoku na nowe - i ryzykowne - pole, powiedziałam Jacksonowi, że jadę z Lucy do Oksfordu, i przełączyłam komórkę na międzynarodowy roaming.

Całe dni wylegiwałam się na basenie, a William szukał zdobyczy w korporacyjnej dżungli. Wieczorami jedliśmy kolacje przy świecach na tarasie pod rozgwieżdżonym niebem albo jechaliśmy taksówką na plażę i spacerowaliśmy w blasku księżyca. Zupełnie jak w tandetnym hollywoodzkim romansie - nawet wypożyczyliśmy rozklekotany rower, ja siadałam na kierownicy, a William jeździł wzdłuż wybrzeża - ale rozkoszowaliśmy się tym pastiszem. Nie wpadło nam do głowy, kiedy tak przedrzeźnialiśmy zakochanych, że nam też może się to przytrafić.

Ostatniego dnia William uznał, że powinniśmy iść na windsurfing. Kiedy wkładaliśmy kombinezony, w moim zaciął się suwak. Próbowałam się uwolnić, ale udało mi się tylko przyciąć plastikowym zębkiem skórę na piersi. Połała się krew, a ja zwijałam się z bólu.

William wyciągnął rękę i wziął kroplę krwi na opuszek palca. Podniosłam na niego wzrok i zobaczyłam to w jego oczach; zmieszanie, jakie przemknęło przez jego twarz, uświadomiło mi, że on to samo dojrzał w moich.

Pozornie bardzo prozaiczny moment. Żadnych fanfar ani fajerwerków. Ułamek czasu, w którym wszystko się zmieniło.

Gdyby wtedy poprosił mnie, żebym zostawiła Jacksona, odeszłabym od męża.

Ale nie poprosił. A gdy wróciliśmy do hotelu, czekała na niego informacja od Eithne, przyjaciółki Beth.

Po tym epizodzie miłość już nie wchodziła w grę. Jeśli kiedykolwiek jakaś częśćka mnie miała nadzieję na hollywoodzki happy end, Cypr to wszystko pogrzebał. Pierwotne, pragmatyczne cele naszego związku ostały się, ale bez możliwości przekroczenia tych barier. Nigdy nie będzie nic więcej, niż jest teraz.

Zdałam sobie sprawę, że zostałam schwyтана w paradoks własnej produkcji. Jeśli chcę zatrzymać Williama w moim życiu, muszę wycinać każdą najmniejszą gałązkę kielkującego do niego uczucia.

Udało mi się. Ale ten rodzaj radykalnej operacji na emocjach nie rozróżnia. Nie tylko uczucia do Williama natykały się na mur nie do przebicia za każdym razem, gdy domagały się realizacji. To, co czułam do Jacksona, powoli również przygasło. Gdzieś po drodze straciłam kontakt z najlepszą częścią siebie.

- Ella? - William domaga się odpowiedzi.

Mój instynkt mówi: „nie”. Konieczność poradzenia sobie z tym, co stało się na Cyprze, zużyła rezerwy mojej siły. A na samą myśl, że miałabym wsiąść do samolotu, serce bije mi jak oszalałe. Poza tym ostatnio wzięłam tyle wolnego. Richard Angel czyha na moją krew; jeśli wezmę kolejne dni wolne, sama dostarczę mu powodu, jakiego potrzebuje, by mnie zwolnić.

Notatki zaczynają pływać mi przed oczyma. Po tym wszystkim, co się stało w ostatnich tygodniach, strata pracy nie wydaje się najgorszym nieszczęściem, a William mnie potrzebuje.

Zamykam notatki.

- Oczywiście, że z tobą pojedę.

Nie mogę przestać myśleć o Hope. Tak bym chciała, żeby była moja.

Kiedy lądujemy na JFK, William budzi mnie ze śpiączki lekowej. Jedziemy żółtą taksówką do małego hoteliku położonego w fortunnej bliskości Piątej Alei, a po drodze usiłuję pozbyć się kaca spowodowanego xanaxem.

Szczupła dziewczyna w typie latynoskim, ze szpecącym trądzikiem, prowadzi nas to dużego, wyłożonego boazerią pokoju z podłogą z czerwonego dębu i ogromnym, zasłanym białą pościelą łóżem z baldachimem. Pokój wypełnia zapach świeżych kwiatów; w łazience stoi staromodna wanna wsparta na nogach w kształcie kocich łap, otoczona pachnącymi świecami i stertą puszystych ręczników. Mogę się tylko domyślać, ile te luksusy w samym sercu Manhattanu muszą kosztować.

- Podoba mi się twój styl - komentuję, wgrzyzając się w dojrzałą brzoskwinę wyjętą z misy stojącej na antycznym kredensie. - Jak tonąć, to w blasku chwały.

- I przy kanonadzie dział - zgadza się William. - A wracając do kwestii tonięcia, to ta biała pościel...

Śmiejąc się, umykam zalotom. Sok z brzoskwini cieknie mi po brodzie.

- Najpierw muszę wziąć prysznic, a później zobaczymy.

- Takie już moje życie. - Ściąga krawat i sprawdza komórkę. - Dobrze, w takim razie wykonam kilka telefonów, będę czekał na ciebie na dole. Masz ochotę na coś włoskiego wieczorem?

- Hm, może francuskiego?

William prycha. Daję mu buziaka i zamykam się w łazience. Przez chwilę opieram się o drzwi, nie mając ochoty się ruszyć. Teraz, gdy jestem sama, nie muszę dłużej udawać.

Puszczam wodę do wanny; jestem zbyt zmęczona na prysznic. Łazienka powoli wypełnia się parą, a ja siadam na płytkach i przyciskam czoło do brzegu wanny. Powinnam być błyskotliwa, na luzie i umieć odciągnąć uwagę Williama od jego kłopotów; powinnam być beztroską i trzpiotową Ellą, jaką zawsze znał. Balansuje na cienkiej linii, kilka następnych dni pokaże, czy jego firma - jego dziecko - przeżyje, czy zostanie połknięta żywcem przez Noble'a. Powinnam zadbać, by się zrelaksował, doładował, był gotowy do bitwy. Choćbym wolą zwinąć się w kłębek i popłakać w poduszkę.

Leżąc w wannie, pozwalam sobie na pięciominutowe rozpamiętywanie swoich żalów, ale gdy wychodzę, ponownie wkładam emocjonalny gorset. Robię staranny makijaż, próbując ukryć ślady zmęczenia i łez, po czym wślizguję się w różowo opalizującą, turkusowo-czarną suknię od Pucciego.

Przysiadam na brzegu łóżka, z całą rewerencją, na jaką zasługuję, wyciągam z pudełka parę nowych butów od Giny i wsuwam stopy w połyskliwe srebrne sandały.

- Blask chwały - mówię do swego odbicia w lustrze.

Kiedy schodzę do hotelowej recepcji, William pogwizduje cicho na mój widok. Gdybyśmy uciekli razem, wtedy na Cyprze, pewnie nie gwizdałby tak teraz. Po tylu latach spoczęlibyśmy na laurach, traktując się wzajemnie jak dobra dawno zdobyte, o które nie trzeba się już starać ani w sypialni, ani gdzie indziej. Tak jak jest, jest znacznie lepiej.

Później, po kolacji, wracamy do pokoju. William rozpina cieniutkie ramiączka mojej sukni, która falując, zsuwa się po biodrach, opada i tworzy połyskujący krąg wokół moich stóp. William całuje moją szyję, obojczyki, pępek, rozpina mi stanik i zdejmuje majteczki. Staję naga - poza srebrnymi sandałkami i wisiorkiem z akwamaryny, który kupiliśmy razem w Londynie. Nigdy wcześniej nie odważyłam się go założyć, bojąc się pytań Jacksona, skąd go mam.

William rozpina mi włosy i głaszcze je, gdy spiralami opadają na ramiona.

- Jesteś taka piękna - wzdycha.

Pomagam mu się rozebrać i podziwiam jego gibkość, kiedy rzuca mnie na białe prześcieradła i pręży się nade mną jak pantera. Ciało ma mocne i opalone; to ciało mężczyzny, który dba o siebie nie z próżności, ale ze względów praktycznych.

Całuje mnie, jego usta smakują zabajone.

Napinam się, oczekując jego dotyku. Jego dłonie muskają moją skórę; czuję odciski, które utworzyły się na jego dłoniach po latach gry w tenisa, i wilgotnieję. Wyginam się w łuk, a on uśmiecha się i trzymając moje nadgarstki ponad moją głową, zanurza twarz między moje piersi. Brodawki twardnieją pod dotykiem jego języka. Pachnie potem, miejskim kurzem i cytryną. Tracę poczucie miejsca i czasu,

kiedy rozkosz rozlewa się po moim ciele. Zakładam nogę za jego biodro i przyciągam go do siebie, chcąc poczuć go w środku, ale on się odsuwa.

Chwyta mnie za pośladki, pociąga na krawędź łóżka, opada na kolana i zanurza usta w mojej muszelce jak w lampce szampana.

Okręcam jego gęste włosy wokół palców i przytrzymuję jego głowę. Mocniej ugniata moje piersi i kiedy dla moich zmysłów to już za dużo, wydaję z siebie jęk. Orgazm nadchodzi i przepływa przeze mnie, w jego rytmie napieram na jego usta, kiedy lekkie drapanie zarostu po łechtaczce porywa mnie głębiej i wyżej.

William odwraca mnie na brzuch i wsuwa we mnie palce. Szoruję brodawkami o chłodne płótno i dochodzę jeszcze raz, zwilżając sokami jego dłoni.

Odwracam się w jego ramionach, całuję go i czuję własny smak na jego wargach. Zlizuje krople potu z zagłębienia w mojej szyi, ocierając się penisem o mój brzuch. Przyciągam go do siebie, czując, jak znów wzbiera we mnie rozkoszne pragnienie. Rozsuwam uda i ruchami bioder naprowadzam go w głąb siebie. Wbija się we mnie i kołyszymy się razem z powiekami zaciśniętymi tak mocno jak dłonie nad naszymi głowami.

W tej chwili coś pęka i załamuje się we mnie.

Bez ostrzeżenia otwieram się na niego, ciałem i duszą, i chociaż wiem, że to najgorsza rzecz, jaką mogłam zrobić, część mnie pragnie tego oddania się bardziej, niż kiedykolwiek skłonna byłabym przypuszczać.

Już po wszystkim przytula się do moich pleców na łyżeczkę - od stuleci klasyczna pozycja kochanków. Splatam swoją dłoń z jego dłonią, oszołomiona poczynionym odkryciem. Dopóki umiałam sobie wmawiać, że to tylko romans, byłam bezpieczna. On wracał do swojego życia, ja do swojego. Ale nie mogę się dłużej oszukiwać. Kocham go. Bez Jacksona, za którym mogłam się ukryć, wcześniej czy później będę chciała więcej. Będę go chciała całego, a to nie może się wydarzyć. Nie mogę zniszczyć jego małżeństwa, rodziny, budować swojego szczęścia na nieszczęściu innej kobiety. A taki byłby koszt zatrzymania Williama dla siebie.

Kocham go.

Muszę mu pozwolić odejść, nie mam wyboru.

Kocham go.

- ...Obleję wodą - mruczy William do mojego ucha.

Chcę go zapytać, co ma na myśli, ale on już śpi.

Kiedy wszystko inne zawodzi, kobietom pozostają jeszcze zakupy.

Z każdym pociągnięciem karty kredytowej czuję się nieco bardziej pozbierana. Siła nabywczą jest lepsza niż brak jakiegokolwiek. Na początek elitarne magazyny: Henri Bendel, Bergdorf, Neiman Marcus, a potem te fajne sklepy vintage: Aloice Underground, Screaming Mimi's. Kupuję zachwycający koralowy naszyjnik od Anthropologic niesamowity płaszcz do kolan w kolorze butelkowej zieleni od Ammy Sui. Nie stać mnie na żadną z tych rzeczy, ale nie przestaję kupować, póki nie jestem tak obładowana, że nie udźwignęłabym nawet najmniejszej torebki więcej. Nic tak nie leczy złamanego serca jak błyszcząca torba z rączką ze skręconej linki, a moje serce rozpadło się na miliony malutkich kawałków.

W hotelowym lobby wpadam na Williama, całkiem dosłownie, gdyż kaskada pakunków ześlizguje się z moich ramion do jego stóp. Bycie singlem ma jedną dobrą stronę: nie trzeba nikogo przeproszać za rozrzutność. Żadnego: „Kochanie, mam to od wieków, kupiłam to za pół darmo na wyprzedży”.

- Jak poszło spotkanie? - pytam.

Zapuszcza wzrok do wnętrza torby od La Petite Coquette.

- Mineło. Czy to dla mnie?

- Tylko jeśli będziesz bardzo niegrzeczny. Co powiedzieli?

- Mają to przemyśleć w weekend - odpowiada zwięźle. - Spotkamy się ponownie w poniedziałek. Jeden z trzech dyrektorów jest spisany na straty, ale sądzę, że dwaj pozostali są niezdecydowani. Uświadomiłem im, że jeśli Noble ucieka się do takich sposobów, żeby ich przyciągnąć, nie powinni oczekiwać, że zaprzestanie ciosów poniżej pasa, kiedy podpiszą z nim kontrakt.

- Jak to przyjęli?

- Nie wiem. Myślę, że uderzyłem w czuły punkt, ale Noble proponuje im fantastyczne warunki. Warunkami finansowymi nie mogę z nim konkurować. Mogę jedynie mieć nadzieję, że przemówi za mną dotychczasowa współpraca.

- Mam do nich pójść i zrobić im kuku?

- Niewykluczone, że będzie trzeba. Czyli - mówi, z wyraźnym wysiłkiem otrząsając się z przygnębienia i przyciągając mnie bliżej - wygląda na to, że utknęliśmy w Nowym Jorku i jutro nie mamy nic do roboty. Czym wypełnimy czas?

Zawartość torby od La Petite Coquette okazuje się bardzo pomocna. Późnym niedzielnym rankiem wstajemy wreszcie z łóżka i wynurzamy w promiennym wiosennym dniu, jednym z tych, co podnoszą na duchu. Chłodna bryza omywa łagodnie ulice Manhattanu, odświeżając to pracowite miasto. Idziemy do kafejki na świeżym powietrzu, gdzie William wcina puszysty omlet grzybowy - morele, shiitake i ostrygi, prosty, lecz pyszny - a ja opycham się sałatką owocową i gorącą, chrupiącą *pain au chocolat*. Między udami nadal odczuwam stłumione, przyjemne pulsowanie.

William co rusz podnosi wzrok znad gazety i uśmiecha się; myśl o pożegnaniu się z nim na zawsze staje się nie do zniesienia.

Przy pobliskim stoliku młoda para usiłuje zapanować nad rozbrykaną czeredką dzieci, dwiema dziewczynkami w wieku około czterech lat i półtorarocznym chłopcem. Cała trójka jest nieźle przeziębiona i bez skrępowania wycierają zasmarkane nosy w co popadnie: własne rękawy, ubranie rodzeństwa, spódnicę matki. Potem chłopczyk chwyta jej kawę i wylewa na głowę bliżej siedzącej siostry. Ona odwzajemnia się, przewracając stolik.

Wreszcie rodzice wstają i zbierają dzieci, wózki, czapki, kurtki, torby i zabawki.

William składa „New York Timesa”.

- Dzięki Bogu, że moje już z tego wyrosły.

Patrząc, jak odchodzą. Byłabym straszną matką. Nawet początkujący psychiatra mógłby wskazać blizny na mojej psychice. Porzucona przez łajdaczącego się ojca pasywna matka, która zrzekła się odpowiedzialności na rzecz swojej dziesięcioletniej córki. Kto wie, jakie szkody ja wyrządziłabym niewinnemu dziecku. To byłoby jak otwarcie lodówki i wrzucanie z zawiązanymi oczyma losowych składników do miski, mieszanie ich przez dwadzieścia lat i oczekiwanie, co z tego wyjdzie.

Stolik po rodzinie z dziećmi zajmuje przystojny mężczyzna około trzydziestki. Siadając, obrzuca mnie taksującym spojrzeniem. Najwyraźniej podoba mu się to, co widzi, bo uśmiecha się i unosi filiżankę z kawą w geście pozdrowienia.

William sztywnieje.

Powiedzenie mu o Cooperze było dobrze skalkulowanym ryzykiem. Czy zdawał sobie z tego sprawę, czy nie, śmierć Jacksona musiała wpłynąć na jego sposób postrzegania mnie; moja dostępność sprawiała, że mogłam robić wrażenie potrzebującej, żądającej, nawet żalostnej. Wiadomość, że spałam z kimś innym, rozproszyła je; tak uważający nie był od lat.

Ale gra w zazdrość bywa niebezpieczna. Uderzyłam tam, gdzie boli najbardziej: w jego dumę. I osiągnęłam, co chciałam, nie ma więc powodu przeciągać struny.

Odwracam się do Williama, nawet nie spojrzawszy w stronę nieznanego.

Później, trzymając się za ręce, spacerujemy po Central Parku, niczym niewyróżniająca się para w niczym niewyróżniającej się niedzielę.

Kwitną pierwsze wiosenne kwiaty, powietrze pachnie czysto i słodko. Opieram się o balustradę Bow Bridge, czerpiąc przyjemność z dotyku gładkiego ciepłego kamienia pod moimi dłońmi. William obejmuje mnie i delikatnie opiera podbródek o moje czoło.

- Cholera! - mówię nagle. - Zostawiłam w kawiarni książkę.

- Daj spokój. Już pewnie dawno jej tam nie ma. Kupisz drugą w hotelowej księgarni.

- To było specjalne wydanie, dostałam ją od Lucy na trzynaste urodziny.

Muszę tam wrócić. Muszę ją odnaleźć.

- Ella, kochanie...

- Wracajmy - upieram się. - Wiesz, jak nie cierpię gubić rzeczy, muszę ją znaleźć...

- Zapomnij o książce - mówi William, przytulając mnie i głaszcząc po plecach, jakbym była dzieckiem. - To dobra pora, żebyś opowiedziała mi o Hope.

Nawet po tym, gdy chirurg potwierdził, że doszło do perforacji jelita, nie straciłam nadziei; byłam pewna, że ją uratują.

Niestety, zakażenie okazało się zbyt rozległe i już nic nie mogli poradzić. Nawet nie opuściła sali operacyjnej. Jej dzielne małe serduszko przestało bić na stole operacyjnym i umarła otoczona monitorami, sprzętem i lekarzami, którzy nie wiedzieli nawet, jak ma na imię. Nie było nikogo, kto by ją przytulił i powiedział, że ją kocha i będzie za nią tęsknić, choć spędziła na tym świecie tylko pięć tygodni i sześć dni.

Sama przekazałam tę wiadomość rodzicom. Dean upadł na krzesło, powalony rozpaczą. Anna uderzyła mnie w twarz.

Kiedy powiedziałam Williamowi, że to mój brak decyzyjności zabił Hope, nie częstował mnie zwykłymi w takich sytuacjach frazesami i nie próbował pocieszać. Wiedział, że cokolwiek powie, i tak nie ukoi mojej rozpaczy ani nie uwolni mnie od poczucia winy. Po prostu przytulił mnie mocno, a to jakoś pomogło.

Następnego dnia William wpada do pokoju z wykrzywioną twarzą. A więc spotkanie nie poszło po jego myśli. Stracił kontrakt z Equinoksem. Stracił firmę.

- Mógłbym ją udusić! - krzyczy. - Co ona sobie, u diabła, myśli?! Jakbym nie miał dość zmartwień!

Patrzę na niego, nic nie rozumiejąc.

- Cate! - wyrzuca z siebie.

- A co ona ma wspólnego z Equinoksem?

- Z Equinoksem? Och, nic, spotkanie poszło dobrze. Dadzą mi odpowiedź jutro, ale myślę, że to łyknęli. To Cate przyprawia mnie o ból głowy! Uciekła do Paryża! Co ona, u diabła, wyprawia! - Osuwa się na łóżko i rozluźnia krawat. - Godzinę temu zadzwoniła rozhisteryzowana Beth. Cate uciekła. Nie zostawiła żadnego listu, ale wzięła te swoje cholerne srebrne buty i ten pieprzony plecak, więc najwyraźniej to nie porwanie. Beth już chciała dzwonić na policję, ale wybiłem jej to z głowy. - Podaję mu burbona z minibaru i wlewa go w siebie jednym haustem. - Wiem, dokąd pojechała. Próbowала mnie namówić, zanim wyjechałem, żebym pozwolił jej pobycć parę dni w Paryżu u jej najlepszej przyjaciółki. Cholerna Fleur. Wiedziałem, że one coś kombinują.

- Co chcesz zrobić?

- Zablokuję jej kartę kredytową! Nie powinienem był się ugiąć przed Beth i pozwalać Cate na kartę. Teraz płacę za jej idiotyczne pomysły.

Przypominam sobie stanowczą, bladą twarz jego córki, która przyszła do mojego gabinetu, próbując jakoś uporządkować bałagan, jaki dorośli wprowadzili w jej życie.

- Nie rób tego. Chyba nie chcesz zostawić jej w obcym kraju bez pieniędzy. Próbowalesz dzwonić na jej komórkę?

- Wyłączyła ją. Dzwoniłem też do rodziców Fleur, ale odebrała ta ich cholerna francuska pokojówka, która albo nie rozumie po angielsku, albo nie chce...

- Daj mi ich numer.

Krótko rozmawiam z pokojówką po francusku i wręczam słuchawkę Williamowi.

- Jest tam. Amelie właśnie po nią poszła.

Próbuję go uspokoić, kiedy wrzeszczy na córkę. Już od jakiegoś czasu boli mnie głowa i, szczerze mówiąc, ogólnie nie czuję się zbyt dobrze. Mam podwyższoną temperaturę i mdli mnie od samego rana. To pewnie świadomość, że muszę znów wsiąść do samolotu, bo ataki paniki osłabły w ostatnich dniach. A może po prostu potrzebowałam jakiegoś rzeczywistego zmartwienia...

Ból, jakiego jeszcze nigdy nie zaznałam, przewraca mnie na bok.

Czuję się, jakby wnętrzości skręcała mi żelazna pięść. Nie mogę złapać tchu. Chwytam się kurczowo oparcia krzesła, aż bieleją mi knykcie. Ból jest za silny jak na zatrucie pokarmowe. To chyba wyrostek - tyle że wycięli mi go, kiedy miałam dwanaście lat...

William nadal wrzeszczy na córkę. Gdybym tylko dostała się do łazienki...

Twarz mam zroszoną potem i czuję, że za chwilę zwymiotuję.

Usiłuję zrobić to nad umywalką, ale nogi odmawiają mi posłuszeństwa i osuwam się na podłogę. William odwraca się i upuszcza słuchawkę.

Wymiotuję gwałtownie tam, gdzie leżę, zbyt chora, by czuć zażenowanie.

- O Boże! - William porywa narzutę z łóżka, owija mnie nią, po czym wyciera mi twarz swoją koszulą. - Leż spokojnie. Nie ruszaj się.

Dygoczę konwulsyjnie, a pokój zaczyna wirować. Nie pomyślałabym, że można czuć taki ból i nie stracić przytomności.

- Zostań tam. Zaraz kogoś sprowadzę. Trzymaj się.

Jak przez mgłę słyszę, że rozłącza się z Cate i każe komuś wezwać karetkę. Potem kładzie moją głowę na swoich kolanach i odgarnia mi mokre włosy z twarzy.

- Zaraz przyjadą. Cokolwiek ci jest, zaraz się tym zajmiemy. Nie bój się kochanie. Jestem przy tobie. Pewnie coś zjadłaś. Nie ma się czego bać.

Mylisz się! - krzyczę w duszy. Jest się czego bać!

William nie byłby tak opiekuńczy, gdyby zdawał sobie sprawę, co jest ze mną nie tak.

25 listopada 2001 roku

Felden Street

Londyn SW6

Anglia

Drogi Cooperze!

To najtrudniejszy list, jaki kiedykolwiek pisałem. Ale musisz poznać prawdę, choćby najgorszą. Wypowiedzenie jej na głos byłoby tysiąc razy gorsze, dlatego nie dzwonię, lecz piszę. Ty przeczytasz i nie będziemy nigdy więcej wracać do tej sprawy.

Ella zrobiła ze mnie głupca. Jakim cudem wiedziałeś, co to za kobieta, chociaż nigdy nie widziałeś jej na oczy? Jak mogłem żyć z nią, jadać z nią, Boże! sypiać z nią przez cztery lata i nic nie zauważyć?

Nadal bym nie uwierzył, gdyby nie to, że widziałem ją na własne oczy. Lolly powiedziałaaby, że to część Bożego planu, że było mi pisane przylecieć do domu dwa dni wcześniej i spotkać ją tam, na lotnisku, całującą jakiegoś faceta w wymyślnym garniturku. No cóż, najwyraźniej Pan Bóg ma specyficzne poczucie humoru. Przez całe dwa tygodnie nie przestawałem Wam opowiadać, jaką wspaniałą mam żonę, i błagałem, byście dali jej szansę. Okazało się, że mieliście rację co do niej.

Wola boska czy nie, gdybym tylko miał przy sobie moją dwunastkę, posłałbym mu kulkę prosto między oczy.

Zamiast tego schowałem się, żeby mnie nie spostrzegli; Ella nie ma pojęcia, że tam byłem. Tatusz prędzej by się zastrzelił, niż pozwolił jakiemuś przybłędzie tak się traktować. Wstyd mi, Coop, ale najgorsze, że nic z tym nie robię. Gdybym mógł cofnąć czas i o niczym nie wiedzieć, przystałbym na to.

Jak ona mogła zrobić mi coś takiego? Dawałem jej wszystko, czego potrzebowała. Do diabła, nie jestem ideałem, wiem o tym, ale myślałem, że daję jej szczęście. Jak mogłem tak się mylić?

To mnie zabija. Za każdym razem, kiedy na nią patrzę, widzę ją w łóżku, rozchylającą uda dla innego mężczyzny. Minęły już trzy dni, a ja wciąż nie mogę

spojrzeć jej w twarz. Nie mogę się zdobyć, by wypowiedzieć jej imię, dotknąć ją. Skręca mnie w środku za każdym razem, kiedy się do mnie uśmiecha. Doszło do tego, że nie mogę wytrzymać z nią w jednym pokoju. Ale jest tak pochłonięta przez własny świat, że chyba nawet niczego nie zauważyła. Co z nas za małżeństwo, skoro możemy mieć przed sobą takie tajemnice?

W głowie kołacze mi się tyle pytań. Nie potrafię jasno myśleć. Czy ona zaprosiła go do naszego domu? Robili to w naszym łóżku? Od kiedy to trwa? Czy on jest lepszy w łóżku ode mnie? Jest mądrzejszy, bogatszy, bardziej zabawny? Ma żonę? Kocha ją? A ona jego?

Tak się boję, Coop. Cały odrętwiałem wewnątrz, zupełnie jak po śmierci mamy i tatusia. To tak, jak kiedy odetną człowiekowi rękę, a on patrzy na zakrwawiony kikut i wie, że będzie bolało bardziej, niż jest sobie w stanie wyobrazić, choć jeszcze nic nie czuje. Nie wiem, co zrobię, gdy przyjdzie ból. Nie wiem, czy jeszcze raz będę w stanie przez to przejść.

A najgorsze w tym wszystkim, gorsze nawet niż wyobrażanie ich sobie w łóżku, gorsze niż wstyd, upokorzenie i złość jest to, że ja wciąż ją kocham.

Boże, miej mnie w opiece.

Jak można kochać kogoś, kto sprawia tyle bólu? Nie jest żoną, jaką chciałem mieć. Kłamie i oszukuje, i nawet nie chce mieć ze mną dzieci. Powinienem ją rzucić. Jeśli z nią zostanę, przysporzy mi tylko więcej bólu. Może skończy się tym, że zacznę jej nienawidzić. To byłaby prawie ulga. Taka miłość to więcej niż mogę znieść.

Nie chcę Twojego współczucia, Coop. Wiem, co powiesz: to samo, co powiedziałby każdy normalnie myślący człowiek. Ale coś we mnie potrzebuje Elli tak bardzo, że zadowolę się nawet kawalkiem, jeśli to pozwoli mi jej nie stracić. Wiem, że to mnie w końcu zabije. Ona złamie mi serce.

Jesteś jedyną osobą, która nigdy mnie zawiodła. Wiem, że mówię Ci to za rzadko, ale kocham Cię, bracie.

Jackson

Rozdział 10

William

Jestem załatwiony. Moja firma się wali i nic, do kurwy nędzy, nie mogę na to poradzić.

- Fantastyczna wiadomość! - wykrzykuję, wyskakując zza biurka. Malinche się rumieni.

- Prawda? Chociaż dziewczynki myślą, że to strasznie wstydliwe, w końcu dowodzi, że rodzice uprawiają seks - ...Zwłaszcza Sophie, ilekroć ktoś wspomni o dziecku, robi się purpurowa. Jak się pewnie domyślasz, Evie to zupełnie inna para kaloszy; nie odstępuje od telefonu, a gdy ktoś zadzwoni, mówi, że mamusia i tatuś nie mogą podejść, bo są zajęci robieniem dzidziusia. Biedna matka Nicholasa była w szoku, kiedy raz zadzwoniła...

- Musi być zachwycony - mówię, gdy udaje mi się wtrącić słówko.

- Och, jest! A już kiedy USG wykazało, że to chłopak, wreszcie... chociaż ostatnio też tak mówili, a potem okazał się naszą kochaną Metheny.

Siada naprzeciw mnie w niewygodnym fotelu z czarnej skóry i promienieje zadowoleniem. Mimo finansowej bomby, którą mi właśnie podrzuciła, uśmiecham się w odpowiedzi. Malinche Lyon to jedna z moich nielicznych klientek, które naprawdę lubię.

Jej kariera gwiazdy kulinarnej przechodzi właśnie zadziwiające odrodzenie. Piętnaście lat temu Mal była cennym okazem w kolekcji, z półką pełną znakomicie sprzedających się książek kucharskich i programem telewizji kablowej, ale potem wyszła za dość nudnego prawnika od rozwodów, przeniosła się na wieś i właściwie z dnia na dzień zniknęła z pola widzenia. Jakiś rok temu ona i Nicholas mieli trochę pod górkę, lecz poradzili sobie. Dowiedziałem się, że Mal otworzyła w Salisbury cieszącą się wielkim powodzeniem restaurację dla smakoszy. Na fali tego

wydarzenia jedna jej książka kucharska otwierała listę bestsellerów, druga była w trakcie pisania, a show w BBC stał się hitem i wyniósł ją z powrotem na szczyt.

Sukcesy Malinche były, rzecz jasna, korzystne dla mojej agencji (właściwie ratowały nam życie), ale tak z ręką na sercu - niewiele znam osób, którym bardziej życzyłbym sukcesu.

- Wiem, że to wprowadzi zamieszanie do nowych serii - mówi przepraszająco - jednak naprawdę nie dam rady niańczyć trójki dziewczynek i maleńkiego dziecka i jeszcze zajmować się pracą, nawet z tą nową nianią... Nicholas był taki dobry, w ogóle nie chciał słuchać o innym rozwiązaniu, sam nalegał, żebyśmy ją zatrudnili...

Chwytam się brzytwy.

- Nie mogliby ci trochę ograniczyć liczby programów?

- Mogliby. Byli strasznie mili, jeśli o to chodzi, ale rzecz w tym, Williamie, że ja chcę wziąć trochę wolnego. W końcu mam już trzydzieści dziewięć lat, a to dziecko to dziecko ostatniej szansy - chcę się cieszyć każdą minutą, bez zamartwiania się o harmonogramy zdjęć, przepisy i całą resztę. Zdaję sobie sprawę, że ta decyzja zdrowo wszystkim namiesza - muszę to chyba uznać za eufemizm dnia - ale obiecuję, że to tylko na rok. Oczywiście, jeśli naprawdę chcesz, żebym...

- Mal, nie martw się. Cieszę się waszym szczęściem, nie mógłbym być szczęśliwszy. Jutro urządę konferencję prasową, żeby was odciążyć, a BBC na pewno chętnie weźmie cię za rok z powrotem. Zajmijcie się sobą, a resztę zostawcie mnie.

Wstaje z krzesła.

- Jesteś kochany, Williamie.

Nie wiem, czy urząd skarbowy też tak pomyśli, gdy nie będę w stanie zapłacić podatku.

- A tak przy okazji - dodaje, ściągając z ramienia wielką czarną torbę i wysypując połowę jej zawartości na podłogę - kim jest ten przystojny blondyn, który przed chwilą gawędził z twoją sekretarką? Wygląda jakoś znajomo, ale nie mogę skojarzyć, skąd go znam.

Pomagam jej zbierać klucze, pastylki miętowe, tampony (najwyraźniej dawno nie korzystała z tej torby) i niemałą kolekcję pluszaków.

- Pewnie masz na myśli chłopaka mojej córki. - Krzywię się z niesmakiem. - Zdołała mnie namówić, żebym mu pozwolił zaprojektować nowe logo firmy. Przyznaję to z bólem, ale ten łajdak jest rzeczywiście niezły.

- No tak. Tatusiowie i córeczki. Mnie czeka to samo. Nicholas już przebąkuje coś o strzelbach i szkołach przyklasztornych...

- W Rumunii jest całkiem niezła. Mogę mu dać numer, jeśli chce.

Malinche wybucha śmiechem i całuje mnie na do widzenia. Proszę Carolyn, żeby nie łączyła żadnych rozmów, i w zamyśleniu gapię się przez okno ponad migoczącym Canary Warf. Strata Mal, nawet czasowa, to potężny cios. Mam jeszcze przyzwoity portfel klientów pozwalających zarobić na chleb z masłem, ale muszę opłacać czterdziestu dwóch pracowników i wysokie koszty administracyjne. Nowe biuro to dobra inwestycja, ale trochę potrwa, zanim zaczniesz przynosić zyski. Przez kłusownictwo Noble'a w ostatnich sześciu miesiącach wyprztykaliśmy się z gotówki i z trudem utrzymujemy się na powierzchni. Jutrzejszy wyjazd do Nowego Jorku ma kluczowe znaczenie. Dzięki Bogu, Ella zgodziła się pojechać. Potrzebuję wsparcia, jakiego tylko ona może mi udzielić.

Bo ponura prawda jest taka, że jeśli nie zdołam przekonać Equinoksa, by zostali z nami, bez Malinche nie przetrwamy nawet do Bożego Narodzenia.

W samolocie Ella śpi, a ja przeglądam notatki dotyczące trzech najważniejszych graczy w Equinoksie. Jestem prawie pewien, że John Torres, prezes zarządu, jest po naszej stronie. Pracowało nam się dobrze przez te lata i powiedział mi przez telefon, że chciałby zostać z Ashfield PR. Ale jemu został tylko rok do emerytury, więc jego głos nie liczy się już tak jak kiedyś. A dyrektor finansowy Drew Merman ostro naciska na dopuszczenie nowej krwi. Ten czarujący krętacz jest ulepiony z tej samej gliny co Noble. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby ta dwójka zawarła na boku jakiś układ.

- Nowa wiceprezeska Mina Gerhardt to wielka niewiadoma. Jest w Equinoxie dopiero od ośmiu miesięcy, więc nie mieliśmy wielu okazji, by zbudować jakieś wzajemne relacje. Kto wie, czyją weźmie stronę?

Cholera, kto sprzedaje mnie Noble'owi? Nie uwierzę, że to Ella. Jaki miałyby powód? Chyba że to Noble jest tym tajemniczym kochankiem jednej nocy... Nie, to idiotyczne.

W takim razie Beth? Jeśli dowiedziała się o Elli, mogła powodować nią chęć zemsty. Ale gdyby posłała nas na dno, podciąłaby gałąź, na której sama siedzi. Dom jest obciążony hipoteką od fundamentów aż po dach; jeżeli firma upadnie, zostaniemy z niczym. Nie będzie lukratywnego rozwodu. Chyba nie o to jej chodzi.

Przecieram twarz dłonią. Mam prawie czterdzieści dziewięć lat, jestem za stary na zaczynanie od nowa. Jeśli firma pójdzie na dno, co ze sobą zrobię?

Dzieciaki mają własne życie, jeszcze trochę, a pójdą w świat, nawet Sam. Tylko Bóg raczy wiedzieć, co się stanie, kiedy po tym wielkim domu będziemy się snuć sami z Beth. Gdyby nie Cate, już teraz skakalibyśmy sobie do gardeł.

Ellę też wkrótce stracę. Teraz, gdy umarł Jackson, znajdzie sobie kogoś innego, wolnego; jest młoda i piękna, niedługo będzie trwać we wdowieństwie.

Wyciągam rękę i starannie okrywam ją kocem. Zabawne, że boi się latać, zwykle jest taka rozsądna. Chociaż właściwie to rozbrajające. Jej pewność siebie momentami bywała kłopotliwa. Ella nie cierpi okazywać słabości, lecz prawda wygląda tak, że jej słabość, zamiast mnie zniechęcać, sprawia, że kocham ją jeszcze mocniej...

Nic w tym dziwnego, że kocha się bliską osobę, to naturalna kolej rzeczy. Ale Ella nie zniosłaby żadnych zagrań w stylu: jesteś moją bratnią duszą i nie mogę bez ciebie żyć. Nie należy do kobiet, które dają się porwać uczuciu. Gdybym wyznał jej, że szaleję z miłości, uciekłaby, gdzie pieprz rośnie.

Otwieram buteleczkę szkockiej i dolewam sobie do szklanki. Była taka chwila, lata temu, kiedy prawie udało mi się doprowadzić do cudu. Podróż na Cypr. Coś się stało podczas tamtego tygodnia. Nie wiem, czy sprawiło to słońce, alkohol

czy romantyczne spacery po plaży. Samo to wystarczało, by mieć głupie pomysły, a wypożyczyłem nawet rower i zupełnie jak w *Butch Cassidy* jeździłem po polach z Ellą na kierownicy. Uśmiecham się na samo wspomnienie. Pierwszy raz spędziliśmy wtedy razem więcej niż jedną noc i musiało mi to uderzyć do głowy, bo zacząłem się zastanawiać, jakby to było, gdybym każdej nocy mógł zasypiać z Ellą u boku, wiedząc, że do końca moich dni będę się obok niej budził.

Ostatniego dnia zabrałem ją na windsurfing i zraniła się tym cholernym suwakiem. Nieprzyjemna sprawa i całkiem nieromantyczna, ale gdy zobaczyłem, jak krwawi, poruszyło mnie to do głębi. Chociaż byłem żonaty i miałem trójkę małych dzieci - Sam miał wtedy zaledwie roczek - w tym momencie nic się nie liczyło. Gdyby Ella dała najmniejszy znak, rzuciłbym Beth w mgnieniu oka.

Kiedy wracaliśmy do hotelu, to pytanie nie dawało mi spokoju. Czy gdybym ją poprosił, zostawiłaby Jacksona?

Byliśmy na hotelowych schodach, kiedy wybiegła konsjerżka i powiedziała, że zostawiono dla mnie pilną wiadomość. To Cate znalazła matkę, wyjaśniła mi Eithne przez telefon. Zapomniała wziąć coś do szkoły i zawróciła. Beth leżała w kuchni w kałuży krwi. Podcięła sobie żyły.

Cate miała wtedy zaledwie dziesięć lat, ale zabandażowała ręce matki paroma ściereczkami do naczyń, wezwała pogotowie i siedziała tam, czekając, aż przyjedzie karetka. Znaleźć matkę w takim stanie - jak to musiało na nią wpłynąć? Gdy zastrzelił się mój ojciec, miałem ponad dwadzieścia lat, a wciąż śnią mi się koszmary i budzę się z krzykiem.

- Nie sądziłam, że to Cate mnie znajdzie - powiedziała Beth, leżąc w szpitalnym łóżku. - Zaraz miała przyjechać Eithne. Myślałam, że Cate będzie już w szkole...

- Ale dlaczego to zrobiłaś, Beth? - spytałem. - Tak dobrze sobie radziłaś, odkąd urodził się Sam.

- Bo myślałam, że chcesz mnie zostawić - odparła. - A tego bym nie zniosła. Nie mogłabym bez ciebie żyć.

- Nie zamierzam cię zostawić...
- Wcale bym cię nie winiła. Musisz mnie nienawidzić.
- Nie nienawidzę cię, Beth.

Przysiadłem na krawędzi wąskiego łóżka i ująłem jej zabandażowany nadgarstek. To nie mogło być tylko wołanie o pomoc; gdyby chciała zwrócić na siebie uwagę, łatwiej i pewniej byłoby przedawkować; ma pod ręką wystarczająco dużo pigułek. Nikt dla żartów nie podcina sobie nadgarstków, i to wzdłuż naczyń krwionośnych.

- Nie zostawię cię - zapewniłem moją żonę.

Ella wierci się niespokojnie na lotniczym siedzeniu. W drodze powrotnej z Cypru, bez śladu uzalania się nad sobą, spytała mnie, czy chcę zakończyć nasz romans. Spokojna i pozbierana, nie robiła żadnych trudności. Oczywiście nie mogłem pozwolić jej odejść. Ani wtedy, ani teraz. Tylko ona trzyma mnie jeszcze przy zdrowych zmysłach.

Kiedy wylądowaliśmy już na JFK i zameldowaliśmy się w hotelu, zostawiłem Elle, żeby wzięła prysznic, i poszedłem do lobby wykonać obowiązkowy telefon do Beth. Odbiera Cate i ku memu zdziwieniu mówi, że Beth jest w Londynie, gdzie zamierza spędzić parę dni z Eithne. Beth nic o tym nie wspomniała. Nie podoba mi się, że Cate została sama w domu. W jej głosie słyszę niepokój. Może to tylko stres związany z egzaminami, ale nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że chodzi o coś więcej. Kiedy napomykam o Danie, od razu zmienia temat. Nie chcę, żeby ten drań się przy niej plątał, ale jeśli ją wykorzystał i porzucił jak zużytą chusteczkę, powieszę sukinsyna za jaja.

Cholera! Czuję, że coś jest nie tak, kiedy przyszła do mojego gabinetu. Powinienem był ją wysłuchać, ale przecież musiałem odebrać ten telefon od Johna Torresa...

Mówię Cate, żeby dzwoniła, jeśli będzie czegoś potrzebować, i następnych dwadzieścia minut spędzam, ustalając z Equinoksem szczegóły spotkania. Boże! Śniadanie na szczycie w sobotni rano. Witajcie w Ameryce, krainie pracoholików.

Gdy Ella wchodzi do lobby, omal nie upuszczam telefonu. Dzisiejszego wieczoru pobila samą siebie: w obcisłej jedwabnej sukni ciasno opinającej biodra i prawie odsłaniającej piersi i srebrnych sandałach na niebotycznych obcasach wygląda olśniewająco. Mam ochotę zapomnieć o kolacji i natychmiast zabrać ją z powrotem na górę.

Jemy w spokojnej restauracji w Little Italy, gdzie podają najlepsze zabajone, jakie kiedykolwiek jadłem. Ella jest błyskotliwa i dowcipna; gdybym jej nie znał, nie zauważyłbym oznak zdradzających napięcie. Czasem jej zdolność do samokontroli niemal mnie przeraża.

Kiedy wracamy do pokoju, na moim maszcie można już zawiesić flagę. Odpinam spinkę i włosy Elli opadają ognistą kaskadą na jej ramiona. Wygląda jak Madonna z renesansowego obrazu.

- Jesteś taka piękna - mruczę.

Popycham ją na ogromne łóżce i powstrzymuję delikatnie, gdy pręży się niecierpliwie. Jeszcze nie, Ella, jeszcze nie.

Rozkosznie zwlekając, sunę ustami po jej ciele. Pieszczę jej piersi i różowe brodawki ciemnieją pod moim dotykiem do koloru morwy. Wsuwam język do pępka, potem delikatnie kreślę nim spiralę w dół brzucha i wreszcie rozsuwam nogi, by zatopić twarz w jej mokrej szparce. Smakuje słodko i świeżo, a kiedy nadchodzą fale orgazmu, napawam się cichym pluskiem, z jakim rozbijają się na mojej twarzy.

Zanim kończy, odwracam ją na brzuch i wsuwam w nią palce, tak jak lubi. Kocham jej pełne pośladki, nie podobają mi się te kościste kobiety pozbawione tyłka. Mężczyzna musi mieć za co złapać.

Ella wbija paznokcie w pościel i zastyga, kiedy dochodzi ponownie. Nie wytrzymam ani chwili dłużej. Wchodzę w nią i poruszamy się w zgodnym rytmie. Technicznie rzecz ujmując, miewałem sprawniejsze kochanki - choćby ta Hiszpanka na trzecim roku Oksfordu, która cipką mogłaby zgniatać orzechy - ale z żadną nie było mi tak dobrze jak z Ellą. Weszła mi w krew; czasem nie potrafię odróżnić, gdzie kończy się ona, a zaczynam ja.

Już po wszystkim biorę ją w ramiona i głaszczę jej wspaniałe włosy. Dziś było jakoś inaczej. Czuję dziwny smutek, jakby żałoba Elli wsączyła się we mnie.

- Szaleję za tobą - mówię cicho, a potem zapadam w sen bez snów.

Kiedy na mojej komórce wyświetla się numer Beth - po raz czwarty w ciągu dziesięciu minut - stwierdzam, że nie mam wyboru. Muszę przerwać najważniejsze spotkanie w moim życiu. Odsuwam krzesło i wstaję.

- Przepraszam, muszę zadzwonić. John Torres także wstaje.

- Sądzę, że wszystkim nam dobrze zrobi dziesięć minut przerwy - mówi. -

Mina, zadzwoń na dół i poproś o świeżą kawę. Powiedz, żeby poszli po nią do Café Dora, mam dość tej lury z maszyny.

- Dzięki, John - mamrocę, gdy prowadzi mnie do pustej sali konferencyjnej. -
Przykro mi, że...

- Daj spokój. Nie spiesz się, nikt nie powinien ci tu przeszkodzić. I nie martw się o kontrakt. Mina była pod wrażeniem twojej prezentacji w sobotę. Jest po naszej stronie. Drew może trochę wierzgać, ale koniec końców, przyłączy się do nas.

Czuję przypływ ulgi.

- Nie zawiedziesz się, John.

- Wiem - klepie mnie po plecach. - Idź i dzwoń, przyjacielu.

Gdy wychodzi i zamyka za sobą drzwi, przez minutę czy dwie gapię się w oszłomieniu przez okno na ulice Nowego Jorku, tonące w deszczu czterdzieści jeden pięter niżej. Dopóki wisiała nade mną ta siekiera, nawet nie zdawałem sobie sprawy z własnego przerażenia. Byliśmy o mały włos od katastrofy...

Naciskam klawisz szybkiego wybierania.

- Beth, co się dzieje?

- Och, William, dzięki Bogu! Odchodziłam już od zmysłów, dzwoniłam i dzwoniłam... Wiem, że trzeba zawiadomić policję, ale chciałam najpierw porozmawiać z tobą. Musisz wracać...

No nie, znów rozbiła ten cholerny samochód.

- Beth, uspokój się! O co, u diabła, chodzi?

- Cate zaginęła. Właśnie wróciłam od Eithne, a jej nie ma w domu. Och, William, co my teraz zrobimy...

- Skąd wiesz, że nie ma jej u Dana albo u przyjaciół?

- Nie jest u Dana, zerwali ze sobą. Och, William! Może ją porwali, może leży teraz w jakimś rowie...

- Beth, opanuj się, na litość boską. Pewnie pojechała z Clem na zakupy i zapomniała zostawić ci wiadomość.

- Ale nie ma jej w domu już od dwóch dni!

- Skąd wiesz?

- W sobotę zostawiła Cynamona u Franków...

- W takim razie nie została porwana! - krzyczę. - Jeśli zostawiła psa u sąsiadów, to najwyraźniej dokądś pojechała. Wzięła coś ze sobą?

- Na przykład co?

- Chociażby swoje srebrne pumy, nigdzie się bez nich nie rusza, i ten cholerny plecak. Sprawdź.

Bębnię palcami w blat konferencyjnego stołu, czekając, aż Beth wróci do telefonu. Co za gówniara z tej Cate! Jak mogła przysporzyć matce tyle zmartwień? Ale Beth nie jest lepsza. Czy ona zawsze musi tak przesadzać?

- Zabrała buty i plecak - mówi Beth chwilę później. - Wzięła też kosmetyczkę i dzinsy Diesla, które kupiłam jej na urodziny...

- No to jesteśmy w domu - przerywam jej. - Cate uciekła i chyba nawet wiem, dokąd. Przed moim wyjazdem marudziła, że chce zobaczyć się z Fleur.

- Ale Fleur jest w Paryżu.

- Otóż to. Daj mi numer do jej rodziców. Zaraz tam zadzwonię i porozmawiam z naszą córeczką. Wróci do domu pierwszym pociągiem.

Rozłączam się z Beth i od razu wystukuję numer. Jakbym nie miał dość zabawy z Equinoksem i biedną Ellą, umierającą z żalu z powodu tego dziecka...

- *Allo?*

- *Bonjour*. Mogę mówić z Cate Ashfield, *s'il vous plaît?*

- *Je ne comprends pas.*

Co za suka. Odłożyła słuchawkę. Wybieram numer ponownie.

- Poproszę z Cate Ashfield.

- *Parlez français.*

- *Je veux parler à Cate Ashfield* - powtarzam przez zaciśnięte zęby.

- *Je ne comprends pas.*

- Proszę się nie rozłączać...

Wracam do hotelu, niemal tocząc pianę uszami. Pieprzona pokojówka!

Pieprzona Cate! Pieprzone baby!

- Mógłbym ją udusić! - krzyczę, wpadając do pokoju. - Co ona sobie, u diabła, myśli?! Jakbym nie miał dość zmartwień!

Ella zdezorientowana spogląda na mnie znad walizek.

- Cate! - krzyczę.

- A co ona ma wspólnego z Equinoksem?

- Z Equinoksem? Och, nic, spotkanie poszło dobrze. Dadzą mi odpowiedź jutro, ale myślę, że to łyknęli. To Cate przyprawia mnie o ból głowy! Uciekła do Paryża! Co ona, u diabła, wyprawia!

- Godzinę temu zadzwoniła rozhisteryzowana Beth - wyjaśniam już nieco spokojniej. - Cate uciekła. Nie zostawiła żadnego listu, ale wzięła te swoje cholerne srebrne buty i ten pieprzony plecak, więc najwyraźniej to nie porwanie. Beth już chciała dzwonić na policję, ale wybiłem jej to z głowy.

Ella podaje mi szklaneczkę burbona z hotelowego minibaru i wypijam ją jednym haustem.

- Wiem, dokąd pojechała. Próbowала mnie namówić, zanim wyjechałem, żebym pozwolił jej pobyć parę dni w Paryżu u jej najlepszej przyjaciółki. Cholerna Fleur. Wiedziałem, że one coś kombinują.

- Co chcesz zrobić?

- Zablokuję jej kartę kredytową! Nie powinienem był ulec Beth i pozwalać Cate na kartę. Teraz płacę za jej idiotyczne pomysły!

- Nie rób tego - mówi szybko Ella. - Chyba nie chcesz zostawić jej w obcym kraju bez pieniędzy. Próbowaleś dzwonić na jej komórkę?

- Wyłączyła ją. Dzwoniłem też do rodziców Fleur, ale odebrała ta ich cholerna francuska pokojówka, która albo nie rozumie po angielsku, albo nie chce...

- Daj mi ich numer.

Zapomniałem, że Ella płynnie mówi po francusku. Rzuca do słuchawki parę szybkich zdań i wręcza ją mnie.

- Jest tam. Amelie właśnie po nią poszła. Jest bezpieczna. Dzięki Bogu.

Ona jest bezpieczna, a my tu biegamy jak kurczaki z ukreconymi łbami...

Gdy Cate podchodzi do telefonu, ładuję w nią z obu magazynków. Mam w nosie, czy widziała mnie z Ellą wijących się nago w księżycowej poświacie. To nie powód, żeby fundowała matce i mnie taką zgryzotę. Nie daję się ugłaskać jej gadką o szlifowaniu języka. Szlifuje sobie francuski o moje nerwy!

- Wiedziałeś, gdzie jestem - mówi Cate potulnie. Mógłbym ją teraz udusić.

- Masz szczęście, że państwo Lavoie to dobrzy ludzie, ale nie możesz bez uprzedzenia nachodzić ich w domu, Caitlin! Dorośnij! Nie chodzi tylko o ciebie!

- Jakby kiedykolwiek chodziło.

- Nie zachowuj się jak smarkula! A poza tym chciałbym wiedzieć, skąd wzięłaś pieniądze...

Za mną rozlega się hałas. Odwracam się i w tej samej chwili Ella pada na podłogę.

Gapię się wstrząśnięty.

- Boże - szepczę, kiedy wymiotuje gwałtownie na dywan. Nagle, jak żaba podłączona do prądu, ruszam do akcji. Zrywam z łóżka narzutę, owijam ją i wycieram jej twarz własną koszulą. - Leż spokojnie. Nie ruszaj się. Zostań tam. Zaraz kogoś sprowadzę. Trzymaj się.

Rozłączam się z Cate, wybieram zero i wrzeszczę na recepcjonistę, by wezwał karetkę. Ella zwija się z bólu, wargi, z których odpłynęła krew, są prawie białe. Kładę jej głowę na kolana i przepływa przeze mnie strach. Nie mogę przestać

myśleć o Jacksonie. A jeśli ten wirus był zaraźliwy, jeżeli ona też go złapała? Nie mogę jej stracić. Tyle dla mnie znaczy.

Kogo ja próbuję oszukać? Jest dla mnie wszystkim.

Kocham ją. Nie w zaplanowany, zorganizowany sposób. Nie raz w miesiącu, kiedy udaje się ją wpasować w układankę mojego uporządkowanego, wygodnego życia. Kocham ją, ponieważ nie umiem inaczej, ponieważ to dla mnie naturalne jak oddychanie, ponieważ to jedyna kobieta na świecie, która o jazzie wie więcej ode mnie.

Nie mogę uwierzyć, że tak długo się oszukiwałem. Oczywiście, że ją kocham; kocham ją nieprzerwanie od momentu poznania.

- Zaraz przyjadą - mówię, odgarniając jej z twarzy wilgotne włosy. Jest ledwie przytomna. - Cokolwiek ci jest, zaraz się tym zajmiemy. Nie bój się kochanie. Jestem przy tobie. Pewnie coś zjadłaś. Nie ma się czego bać.

Mój głos brzmi głucho, nawet dla mnie. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak zemdlał, zupełnie jakby życie z niej uszło. Chwytam kurczowo dłoń Elli, kiedy przychodzą sanitariusze i pakują ją do karetki. Po chwili mkniemy ulicami Nowego Jorku. Czuję się dziwnie nieobecny, jakbym oglądał całe to zdarzenie w telewizji. Niemożliwe, żeby to wszystko działo się naprawdę.

Kiedy docieramy do izby przyjęć, sanitariusze wiozą ją gdzieś. Chcę iść za nimi, ale drogę zastępuje mi ochroniarz i nie zważając na moje protesty, kieruje mnie w stronę przeszklonej recepcji obok drzwi.

- Dowód ubezpieczenia - warczy kobieta za kontuarem.

- Co? Ja chyba nie...

- Karta kredytowa?

W osłupieniu wręczam jej kartę. Popycha w moją stronę plik różnokolorowych formularzy i ruchem ręki każe się przesunąć na bok.

- Następny.

- Dokąd zabrali...

- Zaraz ktoś do pana podejdzie. Następny.

Przechodzącej pielęgniarce chyba robi się mnie żal, bo podaje mi długopis. Nie ma gdzie usiąść, więc opieram się o obłazącą z farby ścianę i wypełniam formularze, improwizując tam, gdzie nie znam odpowiedzi. Przecież Ella nie mówiła mi, czy wycięto jej migdałki. Nawet nie znam jej pełnego adresu.

Kiedy docieram do pytania o najbliższych krewnych, waham się chwilę, a potem wpisuję własne nazwisko.

Cztery godziny później nadal nie mam pojęcia, co się dzieje. Wypiłem już z tuzin kubków kawopodobnego płynu z automatu, zaczepiłem każdą przechodzącą osobę w białym fartuchu, nie wyłączając mężczyzny obsługującego rzeczony automat, i dwa razy zostałem stanowczo odholowany do poczekalni przez groźnego strażnika, który najwyraźniej wyznaje zasadę „Najpierw wal, pytać będziesz potem”. Nikt nie umie mi nic powiedzieć. Wiem tylko, że Ella wciąż żyje, bo inaczej już by mnie wezwali do złowieszczonego pomieszczenia bez okien na końcu długiego korytarza.

Opryskliwa recepcjonistka w ogóle nie chce ze mną gadać. Zagroziła nawet, że wezwie gliny, jeśli ponownie się do niej zbliżę. Nawet ćpun o dzikich po metadonie oczach trzyma się ode mnie z daleka.

Dzwoni moja komórka; wychodzę na zewnątrz i rozmawiam krótko.

- Chryste, Beth. Przepraszam. Cate jest u Fleur. Miałem oddzwonić, ale...

- Dobry Boże, William. Ja tu odchodzę od zmysłów! W końcu musiałam sama zadzwonić do państwa Lavoie i wyciągnęłam ich z łóżka. Gdzie się podziewałeś?

- Przepraszam - rzucam zirytowany - ale coś mi wypadło. - Coś ważniejszego od twojej córki?

- Wszystko z nią w porządku, to najważniejsze. Za dzień lub dwa wróci do domu...

- Dzień lub dwa? Kiedy dokładnie? Na pewno nic jej nie jest?

- Panie Ashfield?

Odwracam się. Lekarz, niewiele starszy od mojego najstarszego syna, zaprasza mnie do środka.

- Słuchaj, Beth. Muszę iść. Pogadamy jutro. Przerwywam połączenie i wracam do szpitala.

- Pańska żona czuje się już lepiej - mówi lekarz, pokazując w uśmiechu aparat ortodontyczny. - Dochodzi do siebie. Przez chwilę było niebezpiecznie, ale wszystko będzie dobrze. Może ją pan teraz odwiedzić.

Nie kłopotuję się prostowaniem, że to nie moja żona. Gdybyż to była prawda. Ella jest bielsza niż szpitalne prześcieradła, ale gdy wpadam do sali pooperacyjnej, zdobywa się na słaby uśmiech.

- Nie polecam ryby - mówi słabym głosem.

- Wezmę to pod uwagę. - Przysiadam na brzegu łóżka, nieprzyjemnie świadomy okoliczności, w jakich ostatnio odwiedzałem kobietę w szpitalu. - Nieźle mnie nastraszyłaś

- Siebie też - krzywi się. - Przepraszam, William. Dość masz kłopotów i bez...

- Nie bądź śmieszna! Chryste, Ella. Już myślałem, że cię stracę.

- Przepraszam. Następnym razem musisz się bardziej postarać.

- To wcale nie jest śmieszne. Nawet nie wiedziałem, czy jeszcze żyjesz. Nikt nie chciał mi nic powiedzieć. Co ci, u diabła, było?

Podnosi się i z grymasem na twarzy opiera o poduszki.

- Powiedzmy, że jeśli twój wyrostek zacznie kiedyś narzekać, lepiej go posłuchaj.

- Lekarzu, ulecz się sam - żartuję.

W normalnych okolicznościach Ella rzuciłaby mnie z hukiem, gdybym ośmielił się choćby zbliżyć do wypowiedzenia słowa na „m”, ale od śmierci Jacksona zmieniła się. Pojawiła się w niej jakaś miękkość, kruchość.

Dodaje mi to odwagi, by wyznać jej prawdę.

- Ella, nie masz pojęcia, jak się czuję, widząc cię w takim stanie - zaczynam ostrożnie. - Dzisiaj uświadomiłem sobie, jak wiele dla mnie znaczysz, jak bardzo...

- Przepraszam, Williamie, czy mógłbyś poprosić pielęgniarkę, żeby dała mi jeszcze jedną tabletkę kodeiny?

Przywołuję pielęgniarkę, a ta przybiega po chwili z jakimiś pigułkami. Ella pije powoli z papierowego kubka, z twarzą ściągniętą bólem. Po raz pierwszy zauważam, jak bardzo ostatnio schudła. Kości policzkowe sterczą jej jak Katharine Hepburn.

- Ella...

Dłonią zakrywa mi usta.

- Nic nie mów.

- Ostatnich osiem lat spędziłem, nie mówiąc tego. Najwyższy czas, żebyśmy...

- Całe to zamieszanie - mówi Ella lekko - każdego mogło wyprowadzić z równowagi i sprowokować do mówienia rzeczy, których później mógłby żałować.

- Ale ja...

- Williamie - woła. - Jesteś żonaty. Nie ma znaczenia, co którekolwiek z nas czuje. Na samym początku ustaliliśmy jasno zasady i musimy się ich trzymać. Beth cię potrzebuje, dzieci też. Takie rozmowy tylko pogarszają sytuację.

- Mniejsza o zasady. Nie mogę dłużej udawać. To wszystko zmierza w stronę jakiejś farsy.

Patrzy mi w oczy. Strach gęstnieje wokół mnie jak mgła.

- Myślę, że oboje wiemy, że to koniec...

- Oczywiście, że nie! Słuchaj, jeśli chcesz, rozwiodę się z Beth. Nic jej nie będzie, zostaną jej dzieci...

- Nie! Nie to miałam na myśli! - Próbuje usiąść prosto. - Nie powinniśmy byli dopuścić, żeby to zaszło tak daleko. Powinniśmy byli to skończyć po Cyprze. Ja powinnam to zakończyć. Pomyśl, co może zrobić Beth, jeśli...

- Mam spędzić resztę życia w charakterze zakładnika?

- Ona jest twoją żoną. Proszę, Williamie, nie komplikujmy tego jeszcze bardziej.

Wstaję.

- Słuchaj, nie wiadomo, jakie leki w ciebie wpakowali. Może wciąż jesteś w szoku. Porozmawiamy, kiedy się uspokoisz.

- Jestem spokojna! - krzyczy Ella.

- Właśnie widzę. Wpadnę jutro rano. Śpij dobrze, kochanie. W zamykające się za mną drzwi uderza poduszka.

Nie myśli tego. To tylko szok pourazowy czy jak to dziś nazywają. Po wszystkim, co przeżyła w ostatnich tygodniach, jeszcze ten dzisiejszy atak i operacja. Pewnie sama dobrze nie wie, co się z nią dzieje. Na pewno tak nie myśli. Nie wierzę.

Wychodzę już ze szpitala, gdy zatrzymuje mnie młody lekarz.

- Chciałem tylko panu powiedzieć, jak mi przykro, panie Ashfield.

- Ale już wraca do zdrowia, a to najważniejsze.

- Oczywiście. Proszę jej to powtarzać. Powinna wiedzieć, że jest dla pana taką samą kobietą jak przedtem. Byłoby dla niej okropnym ciosem, gdyby...

- Proszę mi wybaczyć - przerywam - ale o czym pan, u diabła, mówi?

Sprawia wrażenie przerażonego.

- Nie powiedziała panu?

- O czym mi nie powiedziała?

- Sądzę, że powinien pan porozmawiać z...

- Niech pan posłucha, doktorze. Mam już dosyć tych zgadywanek. Nie chcę być niegrzeczny, ale jeśli pan mi zaraz nie powie, o co tu chodzi, przestanę odpowiadać za swoje czyny. Rozumie pan?

Przełyka ślinę.

- Zapraszam do mojego gabinetu - mówi, otwierając drzwi. Wchodzę przodem.

- Pańska żona, panie Ashfield, była w ciąży pozamaciczej - wyjaśnia i zatrząskuje za nami drzwi. - Dochodzi do niej, gdy embrion zamiast w macicy zagnieżdża się w jajowodzie. Na nieszczęście takie przypadki można rozpoznać dopiero wtedy, gdy dochodzi do pęknięcia jajowodu. W normalnej sytuacji nie byłby to koniec świata, gdyż zostaje jeszcze drugi jajowód. Trochę trudniej zająć w ciążę, ale nie jest to niemożliwe.

Ella? W ciąży?

- Problem w tym - dodaje nerwowo - że w przypadku pańskiej żony drugi jajowód był już niedrożny. Musiała przejść jakąś infekcję, być może lata temu. Mogła nawet nie być tego świadoma. A to znaczy, że nie zajdzie już w ciążę siłami natury, przykro mi.

Opadam na krzesło. Jasne, że to nie moje dziecko; poddałem się podwiązaniu nasieniowodów, gdy Beth zaszła w ciążę z Samem. Kiedy umarł Jackson? Jakies sześć tygodni temu. Chryste, pośmiertne dziecko?

Dlaczego mi nie powiedziała? Czemu udawała, że to wyrostek? Bała się, że wiadomość o ciąży zmieni moje uczucia?

- Zawsze pozostaje sztuczne zapłodnienie - młody lekarz próbuje mi dodać otuchy. - Dobra wiadomość jest taka, że jak na kobietę w jej wieku ma jeszcze mnóstwo jajeczek. Możecie...

- Nigdy nie chcieliśmy mieć dzieci - mówię słabo.

- No cóż, muszę wracać do moich pacjentów...

- Proszę iść. Nic mi nie będzie. Proszę mi dać minutę.

Cicho zamyka za sobą drzwi. Chowam głowę w dłoniach, próbując skupić się na tym, co przed chwilą usłyszałem.

Dziecko Jacksona. Dobry Boże. A teraz straciła nawet to.

Czekam, aż Ella sama mi powie. Przez trzy dni rozmawiamy o pogodzie, pochodzeniu człowieka i ostatnich odcinkach amerykańskiego *Idola*, ale starannie unikamy jakiegokolwiek wzmianki o przyszłości, a Ella nawet słowem nie wspomina, że straciła dziecko Jacksona i że nie będzie już mogła mieć dzieci.

Kiedy jadę do szpitala, żeby ją zabrać i podpisać kartę wypisową, zastanawiam się, czy to już koniec. Nie powinienem był jej mówić, że ją kocham. Nie cierpi przyklejania się. Odstraszyłem ją.

Ale myślałem - czułem - że jest bardziej otwarta. Będę szczęśliwy, jeśli uda się wrócić do tego, co było. Na jej warunkach.

Kiedy płacę za taksówkę, dzwoni moja komórka. Numer zagraniczny.

Odchodzę w stronę parkingu, by odebrać telefon.

- Beth! Gdzie jesteś?

- W Paryżu. Cate nie wróciła do domu, więc po nią przyjechałam.

- Mam nadzieję, że dasz jej popalić! - krzyczę. - Musi dorosnąć i pomyśleć dla odmiany o innych. Nie do wiary, że potrafi być taka nieodpowiedzialna...

- Zamknij się, William! Po prostu się zamknij!

Staję jak wryty. Złość nie jest w stylu Beth. Smutek tak. Smutek, rozczarowanie, depresja.

- Nie musisz...

- Cate tu nie ma! - krzyczy Beth.

- Ależ jest. Rozmawiałem z nią w poniedziałek.

- Wyjechała dziś rano. Nikt nie wie dokąd! Przekładam telefon do drugiego ucha.

- Pewnie jest w drodze do domu. Może minęłyście się w tunelu.

- Nie pojechała do domu, Williamie! Może być wszędzie, ma dopiero siedemnaście lat... - Głos Beth się załamuje. - Musimy ją odnaleźć.

- Jestem pewien, że...

- William! Możesz raz posłuchać, zamiast gadać? Twoja córka zaginęła i nikt nie ma pojęcia, co się z nią dzieje! Nie obchodzi mnie, co teraz robisz i jak to jest ważne. Chociaż raz w życiu postaw Cate na pierwszym miejscu. Oczekuję, że gdy tylko zjawisz się w Londynie, natychmiast złapiesz samolot do Paryża. Odbiorę cię z lotniska, zrozumiałeś?

Rozłącza się z trzaskiem, a ja stoję oniemiały. Nie pamiętam, by Beth kiedykolwiek mówiła do mnie takim tonem. Kto by się spodziewał, że siedzi w niej taka lwica?

Ella czeka na mnie w recepcji szpitala.

- Nie czekaj do jutra - radzi, kiedy mówię jej o Cate. - Na pewno jest jeszcze dzisiaj jakiś lot. Jutro rano będziesz w Paryżu...

Po raz pierwszy dociera do mnie powaga sytuacji. Wyobrażam sobie córkę samą w obcym kraju, zbyt przerażoną, by wrócić do domu. Siedemnaście lat - przecież to jeszcze dziecko. Uważa się za samodzielną i dorosłą, ale przecież nie jest jedną z tych obeznanych z ulicą nastolatek, jakie widuje się w centrach handlowych czy przed nocnymi klubami.

Czuję się kompletnie rozdarty.

- Ale dopiero wyszłaś ze szpitala...

- Nic mi nie będzie - odpowiada Ella. - Na pierwszym miejscu musisz postawić rodzinę. Zadzwoń do mnie, gdy znajdziesz Cate.

Najbliższy samolot do Paryża odlatuje za cztery godziny. Rezerwuję miejsce i odwożę Ellę do hotelu. Całuje mnie na do widzenia. Pytam, kiedy ją znów zobaczę, ale nie odpowiada, co też jest odpowiedzią.

Może ma rację, myślę. Może rzeczywiście powinniśmy to zakończyć. To my doprowadziliśmy Cate do tego, Ella i ja. Jeśli coś się stanie mojej córce, nigdy tego sobie nie wybaczę.

Kiedy rankiem następnego dnia ląduję w Paryżu, jestem wykończony. Beth czeka na mnie na lotnisku de Gaulle'a. Macham do niej i nagle zastygam w szoku.

Za Beth stoi moja matka.

Rozdział 11

Beth

To nie Cate miała mnie znaleźć, lecz Eithne. Wiedziałam, że tego ranka wybiera się do mnie na kawę (zaprawianą, jak zwykle, wódką, nawet o dziesiątej rano). Jej też oczywiście nie byłoby miło, ale była mi to winna.

Eithne zrozumiałaby, że tego nie chciałam, ale musiałam coś zrobić, by przyciągnąć uwagę Williama.

A wszystkiemu była winna Clara. Wiedziała, jak nie znoszę ruszać się z domu, ale William był na Cyprze, a dziecko potrzebowało mleka i pieluszek, więc gdy odmówiła pójścia po zakupy, musiałam sama pojechać do supermarketu. Parking był okropnie zatłoczony, nie mogłam znaleźć miejsca i dostałam jednego z moich ataków paniki. Rąbnęłam tylko w ścianę, nic wielkiego. Ale musiałam znaleźć papiery ubezpieczeniowe, a kiedy wróciłam do domu, uświadomiłam sobie, że pojęcia nie mam, gdzie ich szukać.

Nigdy nawet przez myśl by mi nie przeszło grzebać w biurku Williama, więc musiałam zadzwonić do jego hotelu, choć dobrze wiem, że nie znosi, gdy zawraca mu się głowę przyziemnymi kłopotami, kiedy wyjeżdża w interesach.

Najpierw recepcjonistka nie mogła znaleźć jego rezerwacji.

- Nie ma pana Ashtona - powiedziała łamaną angielszczyzną.

- Chodzi o Ashfielda - poprawiłam ją z ulgą. - Williama Ashfielda.

- A tak! Mam tu. Pan i pani Ashfield, pokój 21. Ale wyszli, wołam im taksówkę sama. Chcesz mnie zostawić wiadomość?

Odkładałam słuchawkę i długo, bardzo długo siedzę nieruchomo i myślę. Dziewczyna mogła się pomylić - jej angielski był okropny - ale skądś wiedziałam, że się nie pomyliła. Pan i pani Ashfield. To nie był skok w bok z jakąś dziwką poderwaną w cypryjskim barze, przygoda na jedną noc. Zameldowali się razem w hotelu, a to oznaczało, że sprawa jest znacznie poważniejsza.

Wiedziałam, co robić. Walczyłam o małżeństwo najlepiej, jak potrafiłam. Niewiele więcej miałam Williamowi do zaoferowania (o czym dość często przypominała mi Clara).

Poczucie winy bywa czasem silniejsze od miłości.

Najłatwiej byłoby przedawkować, ale to takie nieprzewidywalne w skutkach, a poza tym łatwo to potraktować jako wołanie o pomoc i zbyć wzruszeniem ramion. William musiał uwierzyć, że naprawdę tego chciałam. Musiałam wybrać sposób, który nie pozostawiałby żadnych wątpliwości - i oczywiście jednocześnie dopilnować, żeby już po wszystkim jednak sporo ich pozostało.

Byłam bardzo ostrożna. Wiedziałam, gdzie należy naciąć i jak głęboko. Nawet nie bolało; myślałam, że będzie, ale nie. Było w tym nawet coś kojącego: patrzeć na krew płynącą z nadgarstków; chociaż gdy zobaczyłam tę lepka, czerwoną kałużę, przeżyłam chwile strasznego strachu. Gdyby Eithne nie przyszła...

Nie mogłam jednak przewidzieć, że tego ranka Cate zapomni zabrać do szkoły projekt, nad którym pracowała z pomocą Williama od tygodni, że złapie autobus, wpadnie do kuchni i znajdzie mnie na podłodze (tam, gdzie przez okno miała zobaczyć mnie Eithne, gdy nie otworzę jej drzwi). Nie mogłam przewidzieć, że to ona będzie drzeć kuchenne ścierki, by obwiązać moje nadgarstki, dzwonić na pogotowie, opowiadać lekarzom i policjantom - a później zapewne również terapeutom - że kiedy miała dziesięć lat, jej matka próbowała się zabić, i to ona ją znalazła.

- Byłaś chora - po raz nie wiadomo który mówi Eithne. - Nic nie mogłaś na to poradzić.

- Miała dopiero dziesięć lat - odpowiadam gorzko, przemierzając jej pracownię. - Jak mogłam jej zrobić coś takiego? Jestem jej matką! Powinnam ją chronić!

Eithne wyciąga się na wysmarowanej farbami sofie. Przez brudne okienne szyby wpada światło słoneczne i kreśli na podłodze pracowni bladozłote romby. Kiedy po torach biegnącej niżej Northern Lines z terkotem przejeżdża pociąg, całe

studio się trzęsie. Może nie jest tu cicho, ale zazdrozczę Eithne tej przestrzeni. Nie powinnam była mieć dzieci.

- Dlaczego nie przestaniesz się tym dręczyć? - pyta. - Wgryzasz się w to jak pies w kość. Tak, popełniłaś błąd, ale wszystkim się to przytrafia. Beth, to było siedem lat temu. Odpuść sobie wreszcie.

Ogryzam skórki wokół paznokci.

- Cate mi nie odpuszcza. Widzę to w jej oczach za każdym razem, kiedy na mnie patrzy. Nie ufa mi. Nigdy nie ufała. Nawet przed... - urywam.

- Twoim małym in flagranti?

- To nie było... Eithne macha ręką.

- Tak, tak. Wiem. Posłuchaj, dojdzie do siebie. Daj jej parę dni...

- Nie dojdzie, Eithne. Wiesz, że nie. Pomyślałam, że pobędę u ciebie parę dni, dam jej trochę czasu, ale ona nawet nie podnosi słuchawki, gdy dzwonię. Jak mogę jej wyjaśnić, co zaszło, skoro ze mną nie rozmawia?

- Beth, musisz jej pozwolić się z tym uporać. Oboje z Williamem przesadzacie z tym dzieckiem. Nie zaszkodzi, jak trochę wydorosleje.

Już otwieram usta, by zaprotestować.

- Słuchaj, Beth. - Eithne podnosi się z sofy. - Każdemu zdarza się wdepnąć w szambo. Postąpiłaś głupio, ale byłaś chora i Cate o tym wie. Teraz ma siedemnaście lat, nie dziesięć. Jest wystarczająco dorosła, żeby przestać wierzyć w bajeczkę, w której tatuś jest zwycięskim herosem, a ty starą wariatką, którą powinno się zamknąć w wieży.

Wstaje i nalewa sobie kieliszek czystej wódki.

- William, Cate, Clara; żadne z nich nie traktuje cię poważnie. Traktują cię, jakbyś była dziecinniałą staruszką, a ty im na to pozwalasz.

- Przestań, Eithne. To wcale mi nie pomaga.

- Daj spokój, Beth. Jesteś tak cholernie bierna. To przecież twoje życie, a ty zasiadasz w nim w ostatnim rzędzie. Zamierzasz kiedyś wyjść na scenę i wziąć na siebie trochę odpowiedzialności?

- Próbowałam...

- Ani się waż ukrywać za chorobą!

- Przecież sama przed chwilą powiedziałaś, że nic nie mogę na nią poradzić!

- Na samą chorobę nie, ale na to, co z nią robisz, jak najbardziej - rzuca ostro.

- Mnóstwo ludzi choruje na depresję maniackalną i ma wielkie osiągnięcia. Winston Churchill też na nią cierpiał, a uratował ten pieprzony kraj! - Gestykułuje gwałtownie, rozlewając drinka. - Najwięksi artyści, pisarze i naukowcy byli dwubiegunowi: Mozart, William Blake, Izaak Newton, Mark Twain, a nie przeszkodziło im to w rozwoju talentu i życiu pełnią życia.

- To sami faceci - odburkuję. - Z kobietami jest inaczej. Mam trójkę dzieci, nie zapominaj...

- Beth, czasem mam ochotę ci przyłożyć! Mogłabyś tyle zrobić! Mogłabyś być kimś! A ty nawet nie próbujesz!

- Łatwo ci mówić! Nic nie rozumiesz! - krzyczę nagle. - To te lekarstwa wszystko mi zabierają! Mozart i Churchill nie spędzali życia jak odrętwiałe trupy. Nie musieli ciągle pakować w siebie prochów, żeby stwarzać pozory bycia normalną żoną i matką...

Eithne odstawia szklanke, ujmuje w dłonie moją twarz i całuje mnie z taką siłą, że jej zęby niemal wbijają mi się w wargi. Wkłada w ten pocałunek całą namiętność, złość i frustrację, jaką dostrzegam w jej sztuce.

Jestem zbyt wstrząśnięta, by odwzajemnić pocałunek, ale ramiona mi sztywnieją. Czuję coś dziwnego i nieoczekiwanego zarazem. Nie jest to odraza, ale i nie pożądanie, jakie zalewa mnie na myśl o Danie; dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to ciekawość. Nigdy wcześniej nie całowałam kobiety. Zamykam oczy, lecz to wciąż jest... dziwne. Eithne jest znacznie wyższa ode mnie, wysoka jak mężczyzna, i szeroka w ramionach po tylu latach rzeźbienia w kamieniu i metalu; ma płaski biust, krótko obcięte włosy i z daleka można by ją wziąć za faceta. Mimo to jest bardziej kobieca niż wszystkie inne znane mi kobiety, i jej pocałunek też jest kobiecy, na sposób, którego nie podejmę się wyjaśnić.

Robi krok do tyłu, patrzy na mnie wyzywająco i czeka.

- Och - zdobywam się na westchnienie.

- Tylko tyle masz do powiedzenia?

- Trochę mnie zaskoczyłaś. Parska.

- No bo widzisz, Eithne. To jest tak: najpierw Dan, teraz ty. A przecież ja... ja wcale... nigdy nic podobnego... Dlaczego?

Eithne ujmuje mnie za rękę i prowadzi w stronę ogromnego rokokowego lustra w odległym kącie pracowni.

- Co widzisz, Beth? - pyta.

- Jak to co? - mamroczę. - Siebie.

- Nie wiesz, prawda? - Pochyla się, podnosi mój podbródek i nasze spojrzenia spotykają się w lustrze. - Tak przywykłaś do patrzenia na siebie oczami swojej cholernej matki, tej waszej rozpuszczonej córki i tego faceta, z którym dzielisz łóżko, a który od dwudziestu lat uważa cię za swoją własność. - Potrząsa mną lekko. - Spójrz na siebie! Jesteś piękna. I nawet o tym nie wiesz! Właśnie to jest w tobie niesamowite. Nawet nie wiesz, jaka jesteś śliczna!

Przez chwilę prawie to dostrzegam. Kiedyś, lata temu, zobaczyłam własne zdjęcie zrobione z nienacka i pomyślałam, że wyglądam prawie ładnie...

Ale to było dawno.

- Ty mnie kochasz - mówię zdumiona.

- Oczywiście, że tak - odpowiada ze złością.

Odwracam się od lustra i patrzę na jej inteligentną twarz. Eithne Brompton to od dwudziestu lat moja najbliższa przyjaciółka; dzieliłyśmy się wszystkim - radością, szczęściem i nadzieją, smutkiem i rozpaczą. Eithne jest mi bliższa niż ktokolwiek, nie wyłączając Williama. Jak mogłam tego o niej nie wiedzieć?

Wiedziałam.

- Ja też cię kocham - mówię. - Ale nie tak...

- W porządku - odpowiada. - Nie oczekuję tego.

- Wiem - mówię.

I oddaję jej pocałunek.

Nie kocham jej w ten sposób, ale kocham ją wystarczająco. A ona kocha mnie. Miłość - nawet nie od tej osoby i nie w tych okolicznościach - ma swoje prawa. Nie przyjąć jej z wdzięcznością byłoby najgorszą arogancją.

Nigdy nie byłam artystką spod znaku bohemy. Jednak choć raz chciałabym się zobaczyć taką, jaką widzi mnie Eithne. Być taką, za jaką ona mnie uważa.

I to nie będzie się naprawdę liczyć, prawda? Z kobietą. Nie tak, jak liczyłyby się z Danem.

Prowadzę ją więc w stronę niskiego japońskiego łóżka w kącie, a jej palce suną po moich plecach, jak palce zakonnicy przesuwającej paciorki różańca. Pomagam jej odpiąć guziki, bo jej ręce za bardzo się trzęsą, by mogła sobie sama poradzić. Moje dłonie trzepoczą na jej gołych ramionach, kiedy rozpina mi biustonosz i uwalnia ciężkie piersi. Być dotykana przez kogoś z takim uczuciem i samemu nic nie czuć to wręcz niemożliwe.

Ale kiedy popycha mnie na łóżko, zsuwa się między moje uda i pieści mnie, aż osiągam pierwszy orgazm od czasu sprzed narodzin Cate, moja wdzięczność nie jest już czysto teoretyczna.

Całuję ją, czuję swój smak na jej wargach i zastanawiam się, czy jednak nie mogłabym jej kochać w ten sposób.

- Przepraszam - mówię, opierając się na łokciu. - Szkoda, że nie jestem lesbijką, naprawdę chciałabym.

Eithne o mało nie dławi się ze śmiechu.

- Och, Beth. To nie siatkówka. Nie da się wybrać, czy chce się należeć do drużyny czerwonych czy żółtych.

- Ale to takie miłe i w ogóle...

- Oj przestań, jeszcze chwila, a zaczniesz mi dziękować, że cię przeleciałam.

- Tylko... nie wydaje mi się, że bym to była prawdziwa ja.

Siada na łóżku i gasi papierosa. Mimo tego, co wyprawiałyśmy ostatniej nocy

- na samo wspomnienie robi mi się gorąco - odwracam wzrok od jej nagości.

- Beth - mówi - wiem, że nie jesteś lesbijką, którą William bez wątpienia nazywa trochę dosadniej... Wolałabym, żeby było inaczej, ale nie musisz przepraszać, że jesteś tym, kim jesteś. Kocham cię od lat, ale zawsze wiedziałam, że nie mam najmniejszej szansy. Nie zaczynaj znów się obwiniać. Nigdy nie robiłaś mi fałszywych nadziei. Ta noc była dla mnie nieoczekiwanym, wspaniałym darem, ale na nic więcej nie liczę.

Okrywa się prześcieradłem i przysiąda obok mnie na skraju łóżka.

- Nic się nie zmieniło? - pyta cicho, splatając palce swojej dłoni z moimi. - Wszystko między nami w porządku?

Patrzę na nasze splecione dłonie i kiwam głową.

- Ale w przyszłym miesiącu we Włoszech bierzemy oddzielne łóżka - zastrzega. - Nie jestem święta. To był jednorazowy wyskok, wzorze podmiejskich cnót. Nie ma o co drzeć szat, okej? Wrócisz do domu i nie będziesz się nurzała w poczuciu winy, zrozumiano?

- Nie jestem pewna, czy William też by tak to widział...

- William byłby zły, że nie dałyśmy mu popatrzeć. Nie mogę się nie roześmiać.

- Kiedy go nie ma w pobliżu, od razu jesteś szczęśliwsza - wzdycha.

- Nigdy bym cię nie poprosiła, żebyś zostawiła go dla mnie, ale zastanów się, czy nie warto go rzucić dla samej siebie. Zrobiłaś się przy nim taka bezradna. Przejął kontrolę nad twoim życiem w momencie, w którym oddała ją Clara. Na pewno uważa, że wyświadcza ci samo dobro, ale...

- Nie - mówię stanowczo.

Są obszary, do których nawet Eithne nie ma dostępu. Wstaje, wciąż owinięta w prześcieradło, i przytula mnie.

- Wszystko będzie dobrze, Beth. Wracaj do domu i porozmawiaj z Cate. Nawet jeśli ona nie rozmawia z tobą.

Eithne ma rację, myślę, wchodząc tego samego popołudnia do domu. Nie powinnam czekać, aż Cate zrobi pierwszy krok. Muszę wyjść jej naprzeciw, choćby miała napluć na gałązkę oliwną. Jeśli tylko pokażę, że mi na niej zależy...

Hol jest pusty i ciemny. Ogarnia mnie niepokój, ale zaraz przypominam sobie, że to poniedziałek, a w poniedziałki Cate później wraca do domu.

Spodziewam się zwykłej sterty brudnych naczyń w kuchennym zlewie i wysmarowanych masłem noży zostawionych na blacie (dlaczego nastolatki są fizycznie niezdolne pokonać tych dwudziestu centymetrów do zlewu?), ale kuchnia jest tak czysta jak w sobotni ranek, gdy z niej wychodziłam. Uśmiecham się zaskoczona. Może w ten sposób Cate chciała mi dać do zrozumienia, że jej też jest przykro?

Kiedy stawiam czajnik na płycie, ktoś stuka do tylnych drzwi. Chwilę później do kuchni wpada Cynamon, obskakuje mnie z zapalem i częstuje smrodliwym oddechem.

- Gdzie się podziewałeś? - pytam, mierzwiąc jego lśniąca sierść.
- Tęskniłeś za mną, chłopczyku? Cate dobrze się tobą opiekowała?
- Wybacz, że tak wpadam - przeprasza mnie Jane, sąsiadka - ale muszę zawieźć matkę do dentysty na piątą, a zobaczyłam, że wracasz...

- Zajmowałaś się Cynamonem? Dziękuję ci, Jane, ale Cate nie powinna cię o to prosić. Nic mu nie będzie, jak posiedzi parę godzin sam. Wiedziała, że wracam po południu...

Jane jest wyraźnie zaskoczona.

- Cate zostawiła go u mnie w sobotę. Powiedziała, że musi wyjechać na parę dni. Myślałam, że wiesz. Twierdziła, że dzisiaj go odbierzesz.

Słyszę pierwsze dzwonki alarmowe.

- Powiedziała, dokąd jedzie?
- Nie, myślałam, że będziecie razem... Och, Beth, czy coś się stało?
- Nie, skąd - odpowiadam, siląc się na uśmiech. - Wielkie dzięki, Jane. To na pewno jakieś nieporozumienie, nic wielkiego.

Biegnę na górę i sprawdzam pokój Cate. W łóżku nikt nie spał: sterta czystej pościeli, którą położyłam na kołdrze w sobotę, nadal leży tam nietknięta.

Moja panika narasta. Cate nie ma już trzy dni. Wszystko mogło się zdarzyć. Mogli ją porwać, zamordować, a może nigdy się nie dowiemy, co się z nią stało. Jak ta biedna dziewczyna z agencji pośrednictwa nieruchomości; miała dwadzieścia lat i nigdy jej nie znaleziono... Przez co musiała przejść jej biedna matka...

- Na litość boską, Beth! - wykrzykuje William pięć minut później. - Jeśli zostawiła psa u sąsiadów, to najwyraźniej dokądś pojechała. Wzięła coś ze sobą?

- Co na przykład?

- Choćby swoje srebrne pumy, nigdzie się bez nich nie rusza, i ten cholerny plecak.

Biegnę z telefonem na górę, z rozmachem otwieram szafę i czuję ulgę, William ma rację - zniknęła połowa ulubionych rzeczy Cate.

- Zabrała je - potwierdzam. - Wzięła też kosmetyczkę i dzinsy Diesla, które kupiłam jej na urodziny...

- No to jesteśmy w domu. Uciekła, chyba nawet wiem dokąd. Przed moim wyjazdem marudziła, że chce zobaczyć się z Fleur.

- Ale Fleur jest w Paryżu!

- Wyobraź sobie, że wiem. Daj mi ich numer, zaraz tam zadzwonię i nieźle ją podkreć. Wróci do domu pierwszym pociągiem.

Przysiadam na krawędzi łóżka Cate. Dzięki Bogu, że William jest taki rozsądny! Ma rację, przecież porywacz nie pozwoliłby jej zaprowadzić psa do Franków. Po prostu zwała, pojechała do Paryża zobaczyć się z Fleur. Ale William ją stamtąd wykurzy. Wróci do domu najbliższym pociągiem.

William obiecał, że do mnie oddzwoni i potwierdzi, że Cate jest u Fleur.

Gdy dwadzieścia minut później telefon wciąż milczy, znów zaczynam się denerwować. Modlę się, żeby znów mnie nie poniosło. Przecież telefon Lavoie może być zajęty.

Schodzę na dół, karmię Cynamona i podlewam rośliny. Od rozmowy z Williamem minęła prawie godzina. Gdyby Cate nie było u Fleur, na pewno by już zadzwonił. Brak wiadomości to dobra wiadomość. Może wzięli Cate na obiad albo coś w tym stylu. Nie ma powodu się zamartwiać.

Mija następna godzina. Zostawiam wiadomość na komórce Williama i snuję się po ciemnym domu, prostując obrazy i grzbiety książek. To wszystko moja wina. Gdybym spędziła ten weekend w domu, porozmawiała z Cate o Danie...

Rzucam się do dzwoniącego telefonu, ale to tylko Eithne. Obiecuję odezwać się do niej rano i odwieszam słuchawkę, na wypadek gdyby dzwonił William.

O jedenastej niemal szaleję z niepokoju. Czemu on nie dzwoni? Co może robić tyle czasu?

W Paryżu jest dopiero północ, mówię sobie, wybierając numer Lavoie. Muszę się dowiedzieć, czy Cate jest bezpieczna, a wszyscy wiedzą, że w Europie nie chodzi się spać wcześniej.

Pięć minut później miejsce strachu zajmuje furia.

- Chryste, Beth. Przepraszam - mówi William, kiedy w końcu odbiera telefon.

- Cate jest u Fleur. Miałem oddzwonić, ale...

- Dobry Boże, William. Ja tu odchodzę od zmysłów, a ty się nie odzywasz! W końcu musiałam sama zadzwonić do państwa Lavoie i wyciągnęłam ich z łóżka. Gdzie się...

- Przepraszam, coś mi wypadło.

Trawi mnie taka wściekłość, że trwa dobrą chwilę, nim odzyskuję głos.

- Coś ważniejszego od twojej córki?

- Wszystko z nią w porządku, to najważniejsze. Za dzień lub dwa wróci do domu...

- Dzień lub dwa?! - krzyczę. - Kiedy dokładnie? Na pewno nic jej nie jest?

- Słuchaj, Beth. Muszę kończyć. Pogadamy jutro.

Rozłącza się. Patrzą z niedowierzaniem na telefon. Przecież nasza córka uciekła do Paryża. Co z niego za ojciec? Czy jego to w ogóle obchodzi?

Podskakuję na dźwięk otwierających się tylnych drzwi, Cynamon zrywa się i zaczyna szczekać jak oszalały. Do kuchni wchodzi ostatnia osoba, jaką spodziewałabym się zobaczyć.

- Beth, wysłuchaj mnie, zanim mnie wyrzucisz - mówi Dan. - Muszę ci powiedzieć dwie bardzo ważne rzeczy.

Zaciskam dłoń na pigułkach. Garść trucizny. Bóg wie, że nie chcę ich łykać. Wiem, czym to się skończy.

Ale wiem też, co się stanie, jeśli ich nie wezmę.

Cate potrzebuje mojego trzeźwego umysłu. Minęły trzy dni od jej rozmowy z Williamem, a wciąż nie wróciła do domu. Muszę pojechać do Paryża i ją odnaleźć; choć raz okazać się matką, jakiej Cate potrzebuje i na jaką zasługuje.

Już nie przeskakuję ze skrajności w skrajność; jestem nimi wszystkimi naraz. Rozpacz, mania i wirująca, zataczająca się realność. Nimfy wodne w łazience i twarz Jezusa w kawałku sera. Kompletnie nad tym nie panuję.

Łykam pigułki i popijam szklanką wody.

Ale nie mogę przełknąć. Trzymam w ustach pigułki i wodę, nadymając policzki. Znów mam poddać się tej mgle, stracić kontakt ze wszystkim, co sprawia, że warto żyć? Zwłaszcza teraz, gdy Dan...

Może jestem głupia, że mu wierzę. Może to tylko kolejne kłamstwo. Ale muszę przynajmniej powiedzieć Williamowi. Ostrzec go.

Przełknij!

Kaszląc, pochylam się nad kuchennym zlewem i wypluwam wszystko. Czuję smak porażki, bardziej gorzki od smaku lekarstw.

Odkręcam kran i patrzę, jak tabletki wirują w odpływie. Po chwili znikają. Nie ma już odwrotu.

Kiedy podnoszę wzrok, w drzwiach stoi matka Williama.

- Pojadę z tobą - mówi Anna.

- Jesteś pewna, że wystarczająco dobrze się czujesz?

- No cóż - odpowiada, biorąc ode mnie czajnik - w tej sytuacji niewiele mam do stracenia.

Człapię w stronę krzesła, a Anna buszuje po nieznanej sobie kuchni z taką pewnością, jakby była we własnym domu.

- Nie wiem, na jak długo wyjeżdżamy...

- Nie martw się, kochanie. - Wskazuje stojącą przy drzwiach małą niebieską walizkę. - Mam tam wszystko, czego potrzebuję, a jeśli będzie trzeba, przepiorę to i owo.

Krząta się przy herbacie, schludna i przyjemna w wyprasowanej kremowej bluzce i tweedowej spódnicy do pół łydki. Ma za sobą dwie wyczerpujące sesje chemioterapii, lecz jej siwe włosy są nienagannie uczesane i nosi staranny dyskretny makijaż. Jedyne ustępstwo na rzecz choroby to staroświecka hebanowa laska ze srebrną rączką. Jestem pewna, że gdy przyjedziemy do Paryża, wszystkie rzeczy wyłonią się z walizki nietknięte, bez jednej zmarszczki. Ja nawet kiedy jeszcze nie miałam dzieci, nie ruszałam się nigdzie bez co najmniej dwóch wypchanych do niemożliwości walizek, a choćbym pakowała się jak najstaranniej, i tak wszystko wyglądało potem jak wyjęte psu z gardła.

Bez problemu mogłabym zorganizować podróż do Paryża (nawet moja nastoletnia córka poradziła sobie z tym), ale to Anna przejmuje ster: rezerwuje bilety na pociąg, nadzoruje pakowanie. - „Kochanie, w Paryżu pewnie jest już wiosna, ale chyba dwa swetry mogą się przydać?” - i zapewnia Cynamonowi, już drugi raz w ciągu tego tygodnia, opiekę u sąsiadów.

Chociaż nie podejrzewam jej o jakiegokolwiek złe intencje, czuję się bezradna i bezwolna. Dokładnie tak samo zachowuje się William, uświadamiam sobie nagle. Przejmuje dowodzenie, dusząc mnie swoimi zdolnościami.

Chcę powiedzieć Annie, żeby zostawiła mnie samą, pozwoliła żyć własnym życiem, ale oczywiście nie mówię nic.

Jak zawsze.

Sabine Lavoie wzrusza ramionami.

- Gdyby pani najpierw zadzwoniła, oszczędziłaby sobie zbędnej podróży.
- Nie chciałam wystraszyć Cate - mówię.
- Tak czy inaczej, już wyjechała.

Oczy stojącej obok mnie Anny są równie lodowate jak oczy tej Francuzki.

- Może wejdziemy, zamiast rozmawiać o tym na ulicy.

Pani Lavoie waha się, po czym kiwa głową i zaprasza nas do środka. Idziemy za nią do salonu zapchanego złoconymi krzesłami i ozdobnymi meblami.

Wyglądałyby imponująco, gdyby wszystkie meble pochodziły z tego samego okresu lub choćby z tego samego kraju. Potrójne lustro w stylu Ludwika XVI stoi obok hiszpańskiej barokowej serwantki i dwóch foteli z czasów włoskiego renesansu.

Dwie majolikowe wazy z połowy XIX stulecia zwieńczają florencki kredens z XVI wieku. W rezultacie salon przypomina arabski suk z wiejską wyprzedazą.

- Chętnie napijemy się kawy - mówi Anna, jakby pani Lavoie zaproponowała poczęstunek. - Dziękujemy bardzo.

Madame Lavoie wydaje polecenie pokojówce i dziewczyna wybiega z salonu wyraźnie zachwycona wyrazem zakłopotania na twarzy swojej pani. Gdybym nie przejmowała się tak córką, pewnie też byłabym zadowolona, że ktoś utarł nosa tej francuskiej snobce.

- Gdzie jest Cate? - wybucham. - Przecież jeszcze wczoraj tu była? Pani Lavoie, już spokojna, znów wzrusza ramionami.

- Nie wiem - mówi. - Miałam spotkanie. Kiedy wychodziłam o piątej, jeszcze tutaj była.

- Pani córka na pewno coś wie - mówi Anna stanowczo. - Musimy z nią porozmawiać.

- Moja córka też była wczoraj poza domem.

- W takim razie pani mąż.

- Być może. Ale jeszcze jest w pracy. Jeśli wrócą panie po szóstej...

- Madame Lavoie - Anna stuka laską w marmurową podłogę - chyba pani nie rozumie. Zniknęła moja wnuczka. Ma tylko siedemnaście lat, a ostatni raz widziano

ją tutaj, w pani domu. Doceniamy pani gościnność, ale sprawy trochę się skomplikowały. Wolałybyśmy nie angażować w sprawę policji, ale musimy znaleźć Cate jak najszybciej. Przykro mi, jeśli wprawia to panią w zakłopotanie...

Sabine Lavoie wstaje.

- Spróbuję skontaktować się z mężem.

- A ja porozmawiam z pokojówką - mówi Anna. - Służba zawsze najlepiej wie, co się naprawdę dzieje.

- Muszę zadzwonić do Williama - wtrącam. - Moja komórka tu nie działa...

- W holu jest telefon - informuje mnie Anna. - Ale nie pozwól mu się wywinąć - ostrzega. - Czasem trzeba go przywołać do porządku. Staw mu czoło, Beth. Tylko w ten sposób zyskasz jego szacunek, a mężczyźni nie kochają kobiet, których nie szanują.

Zaczynam rozumieć, dlaczego William, dorastając przy takiej kobiecie jak Anna, czuł potrzebę poślubienia takiej kobiety jak ja. I dlaczego tego żałuje.

- Beth! - wykrzykuje William. - Gdzie jesteś?

- W Paryżu. Cate nie wróciła do domu, więc po nią przyjechałam.

- Mam nadzieję, że dasz jej popalić. Musi dorosnąć i pomyśleć dla odmiany o innych. Nie do wiary, że potrafi być taka nieodpowiedzialna...

Nieodpowiedzialna? Mam ochotę krzyczeć. A kto siedzi w Nowym Jorku, robiąc nie wiadomo co z nie wiadomo kim, kiedy jego córka zaginęła? Komu nawet się nie chciało zadzwonić do mnie i powiedzieć, że ją odnalazł, bo coś mu wypadło? Od kogo się nauczyła tej nieodpowiedzialności, jak nie od niego?

Nagle mój gotowany na wolnym ogniu gniew osiąga temperaturę wrzenia.

- Zamknij się, William! Po prostu się zamknij!

Jest chyba zaskoczony nie mniej ode mnie moim tonem.

- Nie musisz...

- Cate tu nie ma! - krzyczę.

- Ależ jest. Rozmawiałem z nią w poniedziałek.

- Wyjechała dziś rano. Nikt nie wie dokąd!

- Pewnie jest w drodze do domu. Może minęłyście się w tunelu.

- Nie pojechała do domu - mówię. - Może być wszędzie, a ma dopiero siedemnaście lat. Musimy ją odnaleźć!

- Jestem pewien, że...

- William! - wrzeszczę znowu. - Możesz raz posłuchać, zamiast gadać? Twoja córka zaginęła i nikt nie ma pojęcia, co się z nią dzieje! Nie obchodzi mnie, co teraz robisz i jak to jest ważne. Chociaż raz w życiu postaw Cate na pierwszym miejscu. Oczekuję, że gdy tylko zjawisz się w Londynie, natychmiast złapiesz samolot do Paryża. Odbiorę cię z lotniska, zrozumiałeś?

Rzucam słuchawkę na widełki.

- Najwyższy czas - słyszę zza pleców głos Anny.

- Rozmawiałeś z pokojówką?

- Odbiliśmy wielce interesującą pogawędkę. Okazuje się, że Meduza kłamała, mówiąc, że widziała Cate ostatnio wczoraj wieczorem. Pokłóciły się dziś rano w kuchni, a potem Cate trzasnęła drzwiami, parę minut po ósmej.

- Dziwka - rzucam.

Ruszam w stronę salonu, ale zawracam.

- Anno - mówię - nie chcę być niegrzeczna, ale jeśli pozwolisz, wolałabym porozmawiać z matką Fleur w cztery oczy.

Zmusza się do uśmiechu.

- Oczywiście.

Madame Lavoie rozmawia przez komórkę. Gdy zatrzasnę za sobą drzwi salonu, podnosi na mnie wzrok, mamrocze coś po francusku i zamyka klapkę telefonu.

- Może wreszcie się dowiem - mówię stanowczo - co wydarzyło się dziś rano między tobą a moją córką?

- Co, u diabła, ona tutaj robi? - warczy William. Anna sztywnieje, ale uśmiech nie opuszcza jej twarzy.

- Witaj, kochanie - mówi spokojnie.

William rusza, pchając przed sobą wózek, ale staje mu na drodze.

- Przyjechała pomóc mi znaleźć naszą córkę - rzucam ostro - ponieważ ty byłeś nieosiągalny. I jeszcze jedno, guzik mnie obchodzi, czy kiedy byłeś dzieckiem, tłukła cię po podszwach bambusową laską albo karmiła na siłę ślimakami w oleju rycynowym. Cate jest najważniejsza i dopóki się nie odnajdzie, nikt więcej się nie liczy.

Zdziwienie, gniew i zmieszanie przebiegają kolejno przez twarz Williama.

- Ciebie to też dotyczy, Anno - dodaję łagodniej. - Cokolwiek chcesz powiedzieć Williamowi, wstrzymaj się z tym do odnalezienia Cate.

- Mogę zapytać, dokąd idziemy? - pyta lodowatym tonem mój mąż, gdy prowadzę go do rzędu taksówek. - Czy może wolisz, żebyśmy najpierw się wyściskali i odśpiewali pieśń pojednania?

- Sabine Lavoie uważa, że Cate mogła pojechać do Marsylii - odpowiadam. - Fleur pokazała jej zdjęcia ich letniego domu. Proponuję, żebyśmy wrócili do hotelu, w którym spędziłyśmy z Anną ostatnią noc, i tam opracowali jakiś plan działania.

Nie wspominam, że madame Lavoie wyrzuciła Cate z domu i dlaczego. William miał dość wstrząsów jak na jeden dzień.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to jak szukanie igły w stogu siana...

- Nie, nie chcę, Williamie. Chyba że masz coś ciekawszego do powiedzenia.

- Doskonale - rzuca.

Pakuje się do taksówki zły jak osa, co można poznać po ułożeniu jego ramion. Nie wzrusza mnie to. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów sprawianie mu przyjemności nie jest moim najważniejszym celem.

- Zamelduj się - mówię, kiedy taksówka zatrzymuje się przed hotelem. - Ja muszę się przejść, odświeżyć umysł. Niedługo wrócę.

Rusza w stronę wejścia. Serce mi drży, gdy na niego patrzę. Mimo wszystkiego, co nas dzieli, nie ma rzeczy, jakiej nie zrobiłabym dla tego mężczyzny.

Zawsze wiedziałam, że nie odwzajemnia moich uczuć, ale w ciągu minionych lat nauczyłam się akceptować tę letnią sympatię; odbierać ją jako mi należną.

Teraz, może dlatego, że od kilku tygodni nie brałam pigułek, a może ucieczka Cate obnażyła wszystko do kości - sympatia już mi nie wystarcza. Nie chcę się zadowalać tym samym niedbałym sentymentem, jakim William obdarza psa. Jestem jego żoną! Chcę, żeby tęsknił za mną tak, jak ja za nim, i pod koniec dnia spieszył się do domu, nie mogąc się doczekać, kiedy mnie zobaczy. Jeśli tego nie mogę mieć, nie chcę być tą drugą.

Przekraczam Sekwanę, kierując się w stronę ogrodu Tuileries. Powietrze pachnie spalinami, skoszoną trawą i wiosną. William i ja powinniśmy spacerować wzdłuż lewego bulwaru trzymając się za ręce, ciesząc się drugim miesiącem miodowym. Zamiast tego, przez moją głupotę, jesteśmy tu, by szukać naszej siedemnastoletniej córki. Dobry Boże, jak do tego doszło?

Już dawno powinnam stawić mu czoło. Eithne miała rację. Pozwoliłam, żeby William traktował mnie jak żalostną idiotkę, i w końcu nią właśnie się stałam.

Opadam na ławkę stojącą pod rzędem lip. A jeśli Cate nie pojechała do Marsylii? A jeśli nigdy jej nie znajdziemy?

Na sąsiedniej ławce siedzi młoda dziewczyna; kolana podciągnęła pod brodę i oparła o nie policzek. Wygląda niechlujnie, jakby spała w ubraniu. To mogłaby być Cate, myślę z rozpaczą. Jest mniej więcej w tym samym wieku. Właściwie jeszcze dziecko.

Dziewczyna prostuje się i podnosi stojący przy ławce plecak.

Żółty plecak, uświadamiam sobie.

Zarzuca go na ramię, zerkając obojętnie w moją stronę. Wstaję jak we śnie i widzę, jak jej źrenice się rozszerzają.

- Cate, proszę... - mówię.

Waha się. Wyciągam rękę, zbyt przerażona, by się poruszyć.

Patrzę, jak biegnie.

Rozdział 12

Cate

Nikt nigdy nie mówi, jaki kłopotliwy bywa seks. Kiedy po raz pierwszy całowałam się z chłopakiem - Patrickiem Corcoranem na przystanku autobusowym przy cmentarzu, miałam wtedy trzynaście i pół roku - nie wiedziałam, w którą stronę odwrócić głowę, żebyśmy się nie zderzyli nosami. Skąd ludzie wiedzą takie rzeczy? Istnieją na to jakieś reguły, jak jazda prawą stroną, czy też ma się to w genach, jak leworęczność?

Oczywiście rozmawiałam z mamą o ptaszkach i pszczołkach i chichotaliśmy wszyscy na biologii nad rysunkami przedstawiającymi robiących to długowłosych hippisów (swoją drogą, mogliby zaktualizować te obrazki). Ale nie pamiętam, by ktoś kiedyś wspominał, że książkę z bajki wsadzi ci paluch w oko, próbując rozpiąć ci stanik, ani że walniesz go kolaniem w jądra, kiedy się na ciebie wdrapie, ani że gdy już przestanie kląć, wasze spocone ciała nie będą do siebie przylegały jak dwa kawałki puzzli, tylko trzeba będzie się przesunąć trochę w górę i trochę w dół, mówić „przepraszam” i „ups, nie chciałem”, zanim w końcu zrobicie to dobrze. Ani że ta jego rzecz będzie majtała na oślep jak zdezorientowana ćma, próbując znaleźć właściwą dziurkę. Bóg bez wątpienia jest facetem. Żadna kobieta nie wpadłaby na tak głupi pomysł. O ile to w ogóle można nazwać pomysłem. Fleur zawsze powtarza, że jeśli to smakuje jak koktajl czekoladowy, zamiast być słone i gorzkie, faceci mogą liczyć na więcej.

Nie obchodzi mnie, czym to smakuje. Nie ma mowy, żebym kiedykolwiek wzięła tę ich różdżkę do ust. Przecież faceci nie myją nawet rąk.

Kończy się tym, że wyciągam rękę i pomagam Michelowi, żeby się jednak nie pomylił. Sprawia wrażenie, jakby nie bardzo wiedział, co robi, podobnie jak ja, ale muszę mu przyznać punkty za entuzjazm. Zresztą myślę, że i tak główną rolę odgrywa w tym instynkt.

Wzdrygam się, kiedy wchodzi we mnie i napotyka opór.

- Wszystko dobrze? - pyta zaniepokojony. Potakuję, spinając się.

Napiera ponownie i czuję ostry, przenikliwy ból - jak wtedy, gdy wkładam tam tampon, a jestem sucha, tylko sto razy gorszy. Potem nagle on porusza się już wewnątrz mnie. Czekam na jakiś moment iluminacji, ale to tylko boli. Bardzo. Jakby ktoś wsadził palec do nosa. Kołyszymy się niezdarnie, zderzając się biodrami i podbródkami, bez ładu i składu. Jakbym tańczyła z kimś, kto ma zerowe poczucie rytmu i dwie lewe nogi. Nieruchomieję więc i pozwalam mu gimnastykować się w pojedynkę. Za każdym pchnięciem tłukę głową o wyściełane oparcie. Usiłuję przesunąć się na dół, ale on przepycha mnie z powrotem. Właściwie już nie boli, ale nie mogę powiedzieć, żeby mnie to kręciło. Mówiąc szczerze, jest o wiele mniej przyjemne od całowania się. Żadnego musującego, mrowiącego oczekiwania. Teraz, kiedy przestało boleć, zrobiło się odrobinę nudno.

Czy to to? Czy do tego zmierza to całe flirtowanie i migdalenie się? Do tego wilgotnego, gubiącego rytm wsuń i wysuń, wsuń i wysuń?

Michel zaczyna poruszać się szybciej. Łokciem ciągnie mnie za włosy. Mam nadzieję, że się spręży i szybko skończy. Podobno młodzi chłopcy dochodzą, ledwie rozepną zamek w spodniach.

Nagle sztywnieje i wydaje z siebie skowyt, zupełnie jak Cynamon, kiedy niechcący nastąpi mu się na ogon. Wreszcie.

Opada ciężko na łóżko obok mnie.

- *Merde.*

Między udami czuję ciekącą lepkość. Zimno mi i jestem cała obolała; mogłabym przysiąc, że od tego tarcia dostałam poparzeń trzeciego stopnia. Nie do wiary, jakie to było beznadziejne. Fleur twierdzi, że następnym razem jest lepiej, ale też trudno sobie wyobrazić, by mogło być gorzej. Jeśli to ma być seks, to ja przepraszam, ale nie bardzo rozumiem, o co tyle szumu.

Michel zapala dwa papierosy i podaje mi jeden. Już chcę mu powiedzieć, że nie palę, ale przecież z domu też na co dzień nie uciekam, nie wlewam w siebie armaniaku ani nie tracę dziewictwa.

- Dobrze, nie? Wydmuchuję dym, krztusząc się.
- Chyba tak.
- Następnym razem będzie lepiej - zapewnia.

Od papierosa robi mi się niedobrze. Pokój zaczyna wirować i czuję, że zaraz zwymiotuję. Zrywam się z łóżka i biegnę do łazienki, po moich udach ścieka nasienie.

Armaniak w drodze powrotnej pali chyba jeszcze bardziej. Gdy żołądek mam już pusty, splukuję toaletę, opuszczam klapę i opieram o nią głowę. Boże, co ja zrobiłam?

Godzinę temu, gdy wpadłam na niego i oblałam nas kawą, wydawało się to niezłym pomysłem. Po tym, jak na mnie patrzył, poznałam, że mu się podobam; i dobrze wiedziałam, co miał na myśli, kiedy spytał, czy chcę pójść do jego pokoju doprowadzić bluzkę do porządku.

Uda mam umazane krwią. Wchodzę pod prysznic. Woda jest lodowata, więc trzeźwieję w ułamku sekundy. Nigdy bym nie pomyślała, że mój pierwszy raz będzie tak wyglądał. Wyobrażałam sobie, że... właściwie sama nie wiem co. Cichą muzykę, świece i pocałunki, w których się rozplwam. Romantyczność, fajerwerki i uczucie, jakby wygrało się na loterii.

Myję się starannie, choć z zimna dostałam gęsiej skórki. Nie ma co się roztkliwiać, dramatyzować. To nie powieść romantyczna.

Kiedy wracam, Michel odrzuca kołdrę i poklepuje wilgotne łóżko.

- Chodź.
- Powinnam wracać do swojego pokoju...
- Później - mówi z promiennym uśmiechem, który uświadamia mi, że niedługo będzie równie zniewalający jak jego ojciec. - *Maintenant*, twoja kolej.

Pierwsze, co czuję po obudzeniu, to ból między udami. On się naprawdę szybko uczy. Następna runda była znacznie lepsza, a trzecia...

Mniam.

Potem zauważam, która jest godzina.

Z niedowierzaniem patrzę na zegar. Siódma piętnaście. Cholera! Musiałam zasnąć po tej ostatniej sesji. Nic dziwnego, ale...

Michel leży na mojej poplamionej kawą bluzce i dżinsach. Klękam i usiłuję je wyciągnąć, nie budząc go przy tym; Trzeba przyznać, że koniec końców nie najgorzej bawiliśmy się tej nocy, ale nie sądzę, bym kiedyś została fanką porannego seksu. No dalej, dalej. Ktoś puka do drzwi. Zamieram.

- *Michel? Es-tu prêt?*

O kurczę. Kurczę, kurczę i jeszcze raz kurczę.

- *C'est sept heures et quart, Michel. Tu seras en retard pour l'école.*

- Michel! - syczę. - Michel, obudź się!

Mruczy i przekręca się na bok, głośno chrapiąc. Uwalnia moje rzeczy, więc szybko je chwytam. Ukryję się w łazience, póki sobie nie pójdzie, a potem prześliznę do swojego pokoju...

Jego matka puka ponownie.

- Michel?

Jestem w połowie drogi do łazienki, kiedy dostrzegam mój różowy stanik leżący bezwstydnie na samym środku podłogi.

Wracam po niego w neandertalskim przykurczu i zgarniam go. Klamka się przekręca. Zastygam z przerażenia.

Nie wiem, co dokładnie znaczy *putain*, ale sądzę, że nic miłego.

Stoję w drzwiach i zastanawiam się, co, u diabła, mam teraz zrobić. Mam zaledwie dwadzieścia euro w gotówce - nie wystarczy nawet na taksówkę na dworzec. Mam też wprawdzie kartę kredytową od taty, ale nie mam pojęcia, gdzie jest najbliższy bankomat. W ogóle nie wiem, gdzie co jest, opuszczam ten dom po raz pierwszy, odkąd tu przyjechałam. Gdyby nie to, że Fleur wyszła już do szkoły, jej matka nie ośmieliłaby się mnie wyrzucić.

Boże, co za dziwka. Przecież sama tego nie robiłam. Michel też tam był. Nie powiedziała mu jednego słowa. Nie do wiary, że mogła mnie tak wywalić.

Kurczę. Nie mogę jechać do domu i nie mogę zostać tutaj. Chyba pojedę na południe do Prowansji, poszukam sobie pracy i zastanowię się, co dalej. Może zbieranie winogron? Czy one dojrzewają w kwietniu?

Gdy drzwi frontowe otwierają się ponownie, rzucam się naprzód, zanim Cruella żywcem obedrze mnie ze skóry.

- Cate, *attend!* - Michel drepcze za mną na bosaka i w samych dżinsach.

Czekam. Boże, ależ z niego przystojniaczek. W porównaniu z nim Dan ma tyle seksapilu co Jaś Fasola.

- *Ma mère* - wzrusza ramionami. - To dziwka. Przepraszam, że ona to robi.

- Jasne, wszystko jedno.

- Proszę, Cate. Martwię się za ciebie. Mamy willę w Marsylii. Napisałem ci *l'adresse*. - Wciska mi kopertę. - Dzwonię do Lauren, pokojówki, i mówię, że okej. W kopercie jest gruby zwitek euro.

- Nie mogę tego wziąć...

- Oddasz mi później, okej? Mówię Fleur, co się stało, kiedy wraca do domu. Przyjedzie do ciebie w weekend. Przepraszam, Cate. Lubię cię *beaucoup*.

- Ja ciebie też *beaucoup* lubię, Michel - uśmiecham się.

Biegnie z powrotem, macha mi ręką i znika w środku.

Wsuwam pieniądze i adres do plecaka i wlokę się w kierunku najbliższej większej ulicy. Okej, mogę tak zrobić. Przywołam taksówkę, pojedę na dworzec i kupię sypialny do Marsylii. Jeśli zapłacę za bilet gotówką, tata nie wyśledzi mnie za pomocą karty. Nie zamierzam tu zostać na zawsze; muszę tylko poukładać sobie wszystko w głowie, zanim poczuję się gotowa wrócić i wypić piwo, które nawarzyłam.

Gdy skręcam za róg, zauważam trzech podpierających ścianę nastolatków. Kiedy oni dostrzegają mnie, ruszają do przodu. Nie zastępują mi co prawda drogi, ale nie odступują mnie na krok.

Spuszczam głowę, próbując stać się niewidoczna. Nie cierpię, kiedy faceci robią coś takiego. Pewnie myślą, że to dobra zabawa, a ja się naprawdę boję.

Nawijają po francusku, śmiejąc się i drwiąc, ale ręce trzymają przy sobie. Kiedy już prawie ich mijam i myślę, że najgorsze mam za sobą, z cienia bramy, prosto na mnie, wychodzi czwarty.

Nawet nie patrząc, czy coś jedzie, przebiegam na drugą stronę ulicy. Wokół mnie gwałtownie skręcają samochody, trąbiąc przeraźliwie. Nie zatrzymuję się, dopóki nie mam pewności, że za mną nie biegną.

W końcu staję, by złapać oddech, i opieram dłonie o kolana. Chwilę później krzyczę, kiedy ktoś klepie mnie w ramię.

- Hej, wszystko w porządku?

Niewiele starsza ode mnie dziewczyna z wyblakłymi od słońca krótko ściętymi włosami i ogromnym, noszącym ślady wielu podróży plecakiem zagląda mi w twarz.

- Płakałaś? - pyta.

- Nic mi nie jest.

- Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć. - Uśmiecha się i wyciąga opaloną dłoń. - Jodi Crane. To z Oz, jak już pewnie zgadłaś. Zwiedzam Europę z paroma kumplami, ale pogubiliśmy się jakiś czas temu. Chcę dotrzeć do Damaszku, spotkać się z siostrą. Jak się nazywasz?

- Cate Ashfield. Zatrzymałam się u przyjaciół, ale... też się pogubiliśmy.

- Napijesz się kawy? Coś mi się wydaje, że odrobina czegoś na pokrzepienie ci nie zaszkodzi.

Waham się. Nawet jej nie znam... Zupełnie jakbym słyszała własną matkę.

- Chętnie - odpowiadam wreszcie.

Jodi prowadzi mnie do małej otwartej kafejki nad rzeką. Tam, nad kawą i rogalikami, wymieniamy się uwagami i wskazówkami: - Wygląda na to, że twoja matka to regularny świr, ale przynajmniej nie ciąga cię do kościoła osiem razy w tygodniu jak moja.

- Nigdy nie ufaj facetowi, który mówi „zaufaj mi”, zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o antykoncepcję.

Jodi jest otwarta i zabawna. Trudno jej nie lubić. Kiedy zamawiamy następną kolejną espresso, czuję się, jakbym ją znała od lat.

- Słuchaj - mówi nagle - jeśli nie masz żadnych planów, to może pojedziesz ze mną do Damaszku? Bezpieczniej podróżować w towarzystwie i będziemy się świetnie bawić. Co ty na to?

Jestem zaskoczona. Syria to niezły kawałek drogi z Paryża. Nie będę mogła wskoczyć do pociągu i wrócić do domu, kiedy będę miała już dość. No i co z egzaminami? Nie miałam zamiaru zniknąć na tak długo.

Ale po co zdawać te egzaminy, skoro tata i tak nie puści mnie do NYU? Chcę być dziennikarką, ale czy muszę mieć na to papiery? Zamiast tego mogę zdobyć trochę doświadczenia życiowego i powoli piąć się w górę. Może nawet uda mi się sprzedać parę kawałków z podróży do „Mail”. Nigdy do niczego nie dojdę, jeśli nie nauczę się ryzykować.

Woodward i Bernstein nie zdobyli Pulitzera, siedząc w domu i grając w scrabble. Nie chcę skończyć jak mama, która boi się przejść na drugą stronę ulicy.

Najwyższa pora wziąć sprawy w swoje ręce.

- Okej, czemu nie?

Jodi uśmiecha się szeroko.

- Super. Będzie odjazdowo. Ruszymy prosto do celu, na południe. Wizę załatwimy w Ambasadzie Brytyjskiej w Rzymie. Pracowałaś kiedyś w barze?

- Jeszcze nie.

- To nie jest trudne, a jak się wygląda tak jak ty - puszcza oko - napiwki bywają bardzo wysokie.

Jej entuzjazm jest zaraźliwy. Może to będzie najlepsze, co mi się do tej pory przytrafiło! Mama i tata za długo mnie niańczyli. Udowodnię im, że potrafię sama dać sobie radę.

Odsuwam krzesło.

- Muszę iść do toalety...

- Jest z tyłu, koło kuchni. Tylko nie używaj tej po lewej, bo spłuczka nie działa.

Zostawiam Jodi z moimi bagażami i przeciskam się obok zatłoczonych stolików na tyły kafejki. Damaszek! Brzmi tak biblijnie i egzotycznie. I wcale nie jest takie ryzykowne. Jodi będzie ze mną, a ona wygląda na dziewczynę, która wie, co robi. Fajnie będzie z nią podróżować. A rodzice i tak wcale nie będą za mną tęsknili.

Toalety nie można nazwać czystą, ale tłumaczę sobie, że trzeba się nauczyć znosić takie nieprzyjemności. Niewiele wiem o Syrii, lecz podejrzewam, że higiena nie jest na liście tamtejszych priorytetów.

Wychodzę z toalety i w pierwszej chwili myślę, że wyszłam po złej stronie kafejki. Jodi musi być z drugiej strony.

Mija dziesięć minut, zanim dociera do mnie prawda.

Zniknęła. A z nią mój plecak, torba, pieniądze, karta kredytowa, paszport i komórka.

Nawet nie zapłaciła za kawę.

Opadam na krzesło, zde gustowana własną głupotą. Jak mogłam powierzyć dziewczynie, którą znam pół godziny, wszystkie swoje rzeczy? A ja chciałam jechać z nią do Syrii! Może tata jednak ma rację. Jak przetrwam w Nowym Jorku, skoro nie radzę sobie w Paryżu?

Kelnerka wsuwa rachunek pod spodeczek. Zostawiam na stoliku ostatnie euro, wychodzę do parku i snuję się bez celu, czując, jak narasta we mnie panika. Co ja teraz zrobię? Nie mam nawet kurtki, była w torbie razem z resztą ubrań. Muszę poczekać, aż zrobi się późno, i wrócić do Fleur. Na pewno pożyczy mi pieniądze na podróż do Marsylii. A potem... Nie bardzo wiem, co potem, ale coś wymyślę.

Kiedy wracam do Lavoie po całym dniu wałęsania się po ogrodzie Tuileries, dom tonie w ciemnościach. Pokojówka w końcu otwiera drzwi, z nieskrywaną satysfakcją informuje mnie, że rodzina wyjechała na weekend do Genewy, a potem zatrzaskuje mi je przed nosem.

Wlokę się z powrotem do parku, nie bardzo wiedząc, co innego mogłabym zrobić. Zaczyna się ściemniać. Myśl, że mam spędzić tu noc, ścina mi krew w żyłach.

Przełażę przez niski murek i ukrywam się w gęstych krzakach. Wolę, żeby mnie tu podgryzały lisy, niż żeby napadł mnie gwałciciel albo i gorzej.

Następuję na coś miękkiego i niemal krzyczę. Nagle dostrzegam żółte futerko. Mój plecak!

Obok znajduję torbę. Wydaję z siebie ni to śmiech, ni łkanie. Jodi musiała porzucić tu moje rzeczy, kiedy już wzięła to, co chciała. Pieniądze, komórkę i kartę zabrała, ale zostawiła paszport i ciuchy. Przynajmniej nie zamrznę w nocy.

Naciągam na siebie bluzę GAP-a i próbuję zasnąć. Bezskutecznie. Każdy dźwięk stawia mnie na nogi. Wreszcie znajduję jakieś drzewo i opieram się o nie plecami. Przynajmniej nikt nie podkradnie się do mnie od tyłu. Boże, ale się boję! Mam ochotę przyznać się do porażki i wracać do domu, jednak na myśl o reakcji rodziców postanawiam mimo wszystko tu zostać. Rano spróbuję się dodzwonić do Bena. Może zdoła przesłać mi w sekrecie trochę pieniędzy. A potem...

Nie ma żadnego potem.

Noc jest pełna przerażających dźwięków, a każdy może oznaczać, że skrada się do mnie szaleniec z siekierą. Od prób wypatrzenia czegoś w ciemnościach bołą mnie oczy. I nie mogę przestać się trząść, nie tyle ze strachu, ile z zimna. W końcu tuż przed świtem zapadam w niespokojny sen.

Budzą mnie promienie słońca przeświecające przez drzewa. Gramolę się na nogi i strzepuję z ubrania liście i ściółkę. Jodi zostawiła mi kosmetyczkę. Wyciskam trochę pasty na palec i smaruję nią zęby, a potem czuję się głupio, że zadaję sobie taki trud.

Jestem zmarznięta, zeszywniała i potwornie głodna. Jedynym moim posiłkiem w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin był rogalik w nadrzecznej kafejce. Muszę coś zjeść. Może jeśli dobrze poszukam, na chodniku koło kafejki znajdę trochę drobnych.

Uzbieranie na małą bagietkę z serem zajmuje mi trzy godziny. Połykam ją zachłannie, po czym kulę się na parkowej ławce. To beznadziejne. Nie dam rady. Sama już nie wiem, czemu właściwie uciekłam.

Mama mówiła prawdę o Danie. Jasne, że tak. Przecież nie zrobiłaby mi czegoś takiego. Kocha mnie. Wiem o tym. To nie jej wina, że jest chora i przez to robi czasem dziwne rzeczy.

Pewnie się o mnie zamartwia na śmierć. Pamiętam, jak odchodziła od zmysłów, ilekroć spóźniał się szkolny autobus. Jak wysiadywała pod salą baletową, by nie zostawić mnie samej ani na godzinę. Ciągłe urzędzała mi pogadanki o nieprzyjmowaniu słodyczy od obcych i niechodzeniu po zmroku parkowymi alejkami. Fakt, czasami nieźle jej odbija. Ale przecież jest chora. Nic na to nie poradzi. Mówiłam to sobie tysiące razy, ale dopiero teraz pierwszy raz w to wierzę.

Jak w ogóle mogłam pomyśleć, że jej na mnie nie zależy?

Jeśli znajdę telefon, zadzwonię do niej, na pewno, na pewno.

Chwytam torbę i wstaję, cała zapłakana. Chcę do mamy.

I nagle ona tu jest.

Jak fatamorgana. Naprawdę jest tutaj.

Wyciąga rękę.

- Cate, proszę...

Przez chwilę nie jestem w stanie się ruszyć. A potem biegnę prosto w jej ramiona i szlocham, powtarzając „mamo, mamo”.

- Tak bardzo cię przepraszam - mówię, kiedy w końcu przestaję płakać.

- Uspokój się już, kochanie. Nie mogę patrzeć, jak rozpaczasz.

- Ale to wszystko, co zrobiłam! Nie gniewasz się?

- Oczywiście, że nie! - Przytula mnie mocniej. - Jak mogłabym się gniewać?

Odchodziłam od zmysłów, martwiąc się o ciebie.

- Ale dlaczego? Byłam taka podła...

- Bo jesteś już bezpieczna - odpowiada po prostu.

Pochyliłam głowę, zawstydzona do bólu. Co ja zafundowałam matce? Oczy ma czerwone od płaczu i podkrążone. Nie sypiała całymi nocami. Mama podnosi mój plecak.

- Musisz być głodna - mówi. - Chodźmy coś przekąsić, zanim stawimy czoło sytuacji.

- Rozmawiałaś z tatą? - pytam, gdy idziemy do kafejki.

- Oczywiście. Kiedy mu powiedziałam, że nie ma cię u Fleur, przyleciał z Nowego Jorku pierwszym samolotem. Właśnie przed chwilą przywiozłam go z lotniska.

- Tata przyleciał?

Mama rzuca mój plecak na stół i przywołuje kelnerkę.

- Owszem - potwierdza. - Sprowadziłam też babcię Annę. Pewnie właśnie serdecznie gawędzą.

- Mamo! Nie zrobiłaś tego!

- I od tej pory wszystko będzie trochę inaczej, kochanie. Kelnerka odbiera zamówienie, a kilka minut później wraca, niosąc dwie kawy i *croque monsieur*. Chwytam zapiekaną kanapkę i pochłaniam łapczywie, nie zwracając uwagi na to, że gorący ser parzy mi usta.

- Cate - mówi mama - jestem ci winna przeprosiny.

- Jak to? To przecież ja...

- Proszę, kochanie, pozwól mi dokończyć. - Podnosi torebkę z cukrem i stukając nerwowo o filiżankę. - Nie mam ci za złe, że pomyślałaś najgorsze o mnie i o Danie. Nie miałaś zbyt wielu powodów, żeby mi zaufać, prawda? Między mną i Danem do niczego nie doszło, lecz czemu miałabyś mi wierzyć?

- Wierzę ci, mamo - mówię szybko. - Po prostu byłam głupią krową...

- Nigdy celowo nie zrobiłabym czegoś, co mogłoby cię zranić, Cate. Ale nie byłam w stosunku do ciebie w porządku i nie mogę tłumaczyć tego tylko chorobą. - Przełyka z trudem. - Wycierpiałaś więcej niż chłopcy wyłącznie z mojej winy. Traktowałam cię tak, jak mnie traktowała moja matka, choć przysięgałam sobie, że

nigdy nie będę traktowała mojej córki jak człowieka gorszego gatunku. Nie chciałam tego, Cate, uwierz mi. Zawsze kochałam cię tak samo jak Bena i Sama. Tylko że...

Odkłada cukier i splata palce. Wstrzymuję oddech; nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek odbyły taką szczerą rozmowę.

- Byłam o ciebie zazdrosna - wyznaje cicho. - Nie dlatego, że jesteś młoda i piękna, choć oczywiście jesteś. Ale ja też kiedyś byłam młoda i piękna, choć teraz trudno w to uwierzyć. Byłam zazdrosna, bo masz energię, optymizm i ogromną zdolność odczuwania szczęścia. Potrafisz cieszyć się z życia. Pokazałaś mi, kim ja mogłam być, gdybym nie urodziła się z tą... tą...

- Mamo, jesteś wspaniałą artystką - mówię z przekonaniem. - Nie mam nawet połowy twojego talentu.

- Ale nic z nim nie zrobiłam, prawda? - odpowiada.

Po raz pierwszy w życiu naprawdę ją rozumiem. Ma dopiero czterdzieści jeden lat - zaledwie pięć więcej od Elli - i wciąż jest śliczna z tymi ciepłymi oczami w kolorze nieba i jasną cerą bez zmarszczek. Nagle widzę w niej nie tylko nudną kurę domową w średnim wieku, która przez całe moje życie sprzątała, gotowała i dbała o mnie, ale piękną i wciąż młodą kobietę z własnymi marzeniami i lękami. Na pewno nie tak wyobrażała sobie własne życie, kiedy miała siedemnaście lat. Obie wiemy, że tata poświęca jej niewiele uwagi - traktuje ją prawie jak mebel. Ale to po części także moja wina, uświadamiam sobie nagle. To ja chciałam być najważniejszą kobietą jego życia. Zepchnęłam mamę na boczny tor.

Pamiętam, jak kiedyś wymyśliła - miałam wtedy sześć albo siedem lat - że urządzimy sobie kemping na tyłach ogrodu. Kupiła mały namiot, śpiwory i nawet małą kempingową kuchenkę. Musiał jej się podobać ten pomysł, bo urządziła wszystko kilka tygodni. Gdy zobaczyłam namiot, byłam zachwycona.

- Chcę biwakować z tatusiem - krzyknęłam, podbiegłam do niego i wdrapałam mu się na kolana.

Widziałam, jak zmienił się wyraz jej twarzy, nie powiedziała jednak ani słowa. Zapakowała nam kanapki, zrolowała śpiwory i pomachała nam radośnie na do widzenia, gdy ruszaliśmy ku wielkiej przygodzie.

- Mamo, jeszcze nie jest za późno - przekonuję. - Przecież Eithne mówiła, że możesz mieć wystawę. Mogłabyś...

- Cate, kochanie, obie wiemy, że nic z tego nie będzie. - Ściska moją dłoń. - Muszę zacząć brać tabletki, bo inaczej wcześniej lub później znowu mi odbije. A kiedy je biorę, nie mogę malować. Sprawiałabym tylko wszystkim zawód.

- Czy ty kiedyś naprawdę spróbowałaś? - pytam.

Podnosi do ust filiżankę z kawą, ale odstawia ją nietkniętą. Jej oczy zachodzą łzami.

- Cate, przepraszam cię za wszystko - mówi. - Za dużo zrzuciłam na twoje barki. Kiedy ojciec był na Cyprze...

Zawsze starałam się nie wracać myślami do tego dnia. Tak się wtedy bałam, Boże! Tak strasznie się bałam. Musiałam potem udawać, że to nigdy się naprawdę nie zdarzyło, że to był tylko film, więc w każdej chwili mogę nacisnąć „stop” i obraz zniknie. Ale przecież wciąż pamiętam każdą sekundę. Podarłam kilka ścierek - babcia Clara podarowała je mamie na gwiazdkę - i okręciłam nimi nadgarstki mamy, a potem zadzwoniłam na pogotowie. Kiedy przyjechała karetka, myślałam, że mama wstanie i powie, że to wszystko było głupim żartem, że ona wcale nie próbowała się zabić, żeby już dłużej nie być moją matką.

Potem byłam zła. I ciągle przestraszona. Lekarze powiedzieli, że dali mamie lekarstwo, żeby się lepiej poczuła, i tata przywiózł ją do domu, ale ja wciąż się bałam, że ona może znów to zrobić. Może to zrobić, a mnie nie będzie akurat w domu, żeby ją uratować.

Musiałam być czujna. Nie spuszczałam jej z oka nawet na moment. Ukryłam wszystkie ostre noże w schowku pod schodami, opróżniłam fiołki z aspiryną i paracetamolem. Wyrzucałam środki chwastobójcze i wybielające, choć mama oczywiście nie przestawała ich kupować. Kiedy tata był w domu - w weekendy albo

wieczorami - wiedziałam, że niczego nie będzie próbowała, ale gdy zostawałyśmy tylko we dwie...

Nigdy nie wiedziałam, co zastanę po powrocie ze szkoły. Wlokłam się noga za nogą, bojąc się otworzyć kuchenne drzwi.

- Tak się bałam, mamó! - wołam, niezdolna dłużej to ukrywać. - Nie miałam odwagi cię kochać, nie chciałam podejmować takiego ryzyka! Ale nie dlatego, że mnie nie obchodziłaś...

Mama patrzy na mnie z pobladłą twarzą.

- Musiałam cię nienawidzić, nie rozumiesz? - tłumaczę. - Musiałam uwierzyć, że nic się nie stanie, jeśli ciebie... już tu nie będzie. Myślałam - wyznaję, a po mojej twarzy płyną łzy - że zrobiłaś to przeze mnie. Nie wiedziałam, jak cię powstrzymać, żebyś nie spróbowała jeszcze raz. Tak bardzo się bałam, że cię stracę, że musiałam cię przestać kochać, musiałam się bronić...

Wstaje gwałtownie z krzesła i chwyta mnie w ramiona.

- Cate! Och, Cate. To nie przez ciebie, to nie miało z tobą nic wspólnego - szepcze w moje włosy. Ujmuje w dłonie moją załzawioną twarz. - Cate, posłuchaj mnie. Nigdy nie chciałam się zabić. Nigdy bym cię nie zostawiła, rozumiesz? Kocham cię i chłopców bardziej niż kogokolwiek. Byłam chora. Nie wiedziałam, co robię.

- Ale jeśli znów będziesz chora?

- Nieważne, jak bardzo będę chora, nigdy już tego nie zrobię. Wtedy nie rozumiałam, na co cię narażam. Myślałam, że to sprawa tylko między mną a tatą, ale myliłam się.

- Kocham cię, mamó - chlipię. - Przepraszam, że uciekłam.

- Ja też cię kocham, Cate - mówi. - I od teraz wszystko się zmieni. Już nie będziemy się bały, kochanie. Ani ja, ani ty, obiecuję ci.

Nie wiem, co mama powiedziała tacie po powrocie do hotelu, ale kiedy przyszedł się ze mną przywitać, nie krzyczał ani nie robił żadnej z tych rzeczy, których się obawiałam, tylko przytulił mnie mocno.

Kładę się do łóżka i śpię osiemnaście godzin, a gdy się budzę, czuję ogromną ulgę, jak człowiek, który po okropnym koszmarze uświadamia sobie, że był to tylko sen. Odrzucam kołdrę i ze szczęścia aż kręci mi się w głowie. Wszystko będzie dobrze, myślę.

Kiedy biorę prysznic, zauważam na wewnętrznej stronie ud mnóstwo drobnutkich zadrapań, jakby od paznokci. Ale nie chcę myśleć o tym, co zrobiliśmy z Michelem. Cóż, co się stało, to się nie odstanie.

Widzę, że coś się zmieniło między mamą a tatą. Oboje zachowują się jakoś dziwnie. Mama chce, żebyśmy wszyscy razem wrócili do domu pociągiem, i mówi, że nie pozwoli zostać mu w Paryżu na jakimś spotkaniu w interesach, a on, o dziwo, się zgadza. Kiedy byłam na zakupach z babcią Anną, wyszedł i kupił mamie piękną bładoniebieską chustkę od Hermesa. Nigdy wcześniej nie robił jej takich prezentów.

Początkowo myślałam, że to z powodu tej opery mydlanej, jaką przeżywamy po mojej ucieczce do Paryża, ale to nie minęło, nawet gdy już wróciliśmy do normalnego życia (czy jak to w naszym przypadku nazwać). Ojciec codziennie wraca do domu przed siódmą i jeszcze ani razu nie został w Londynie. Mama też się uspokoiła; oczywiście znów bierze swoje tabletki, ale jest naprawdę inna. Nie podskakuje z radości i nie rzuca się wszystkim na szyję; przypomina raczej kogoś, kto miał poważny wypadek i już myślał, że został okaleczony na całe życie, a potem okazało się, że nic takiego się nie stało.

W rezultacie mogę chodzić do szkoły i panikować z powodu egzaminów tak jak wszyscy. Nie wiem, jak długo ten algorytm będzie działał, ale wreszcie czuję, że mogę oddychać.

Trzy tygodnie po powrocie z Paryża zdaję ostatni egzamin, idę do łóżka i śpię chyba z tydzień.

Kiedy wreszcie budzę się w porze lunchu, schodzę na dół w starych bokserkach Bena i starym podkoszulku. Mama od wielu dni maluje w swojej pracowni, więc nie dziwię się, że nie zastaję nikogo w kuchni.

Robię sobie grzanki, przysiadam na kuchennym stole i przerzucam „Maila”, czekając, aż zagotuje się woda w czajniku. Do kuchni wchodzi mama i tata i siadają naprzeciwko, niczym skład sędziowski.

Patrzę raz na jedno, raz na drugie,

- Co się dzieje? - pytam.

- Myślałam, że nie lubisz grzanek - zaczyna mama.

- Bo nie lubię, tylko dzisiaj naszła mnie chęćka - odpowiadam i zwracam się do ojca. - Dlaczego nie jesteś w pracy? Czy coś się stało?

- Nic strasznego - zapewnia. Jest blady i zmęczony: - Ale musimy ci powiedzieć coś ważnego i czekaliśmy, aż skończysz egzaminy...

- Wiedziałam. Rozwodzicie się. To dlatego...

- Chodzi o ciebie, Cate - przerywa mi tata. - Chcemy porozmawiać o twoich studiach.

Odwracam się do mamy.

- O co chodzi? - pytam.

- Daj ojcu skończyć - odpowiada ostro.

Czasem nie jestem pewna, czy ta nowa mama to rzeczywiście taka dobra sprawa.

- Omówiliśmy wszystko z twoją matką i doszliśmy do wniosku - ja doszedłem do wniosku - że to twoja decyzja. Nie mamy prawa zabraniać ci tego, co uznajesz za słuszne. Ale - dodaje szybko - chcemy, żebyś była bezpieczna. Cate, jesteś jeszcze taka młoda. Przenosiny do Nowego Jorku to duża zmiana. To coś zupełnie innego niż wypad do Paryża. Będziesz bardzo daleko od domu, jeśli coś pójdzie nie tak.

- Już to słyszałam - mówię, starając się, by w moim głosie nie było słychać goryczy. - Więc po co teraz te podchody?

- Ben za dwa lata kończy Oksford - włącza się mama. - Chce się doktoryzować na Columbii, a jego opiekun uważa, że dostanie się tam bez problemu.

Wzruszam ramionami.

- No i? Co to ma wspólnego ze mną?

- Columbia jest w Nowym Jorku...

- Ona to wie, Beth - mówi tata. - Widzisz, Cate, usiłujemy ci powiedzieć, że skoro naprawdę chcesz iść do NYU, poprzemy cię, jeśli zaczekasz rok i pojedziesz z Benem. Nic musicie tam razem mieszkać - każde z was będzie się zajmowało sobą - ale będziemy z mamą spokojniejsi, wiedząc, że on jest blisko ciebie.

- Więc sugerujesz przerwę po college'u?

- Mnóstwo studentów tak robi. A mnie przydałaby się para uczynnych rąk i bystrych oczu w agencji. Chciałabyś dla mnie popracować?

- Mówisz poważnie?

- Może nawet uda mi się załatwić ci robotę w jakiejś gazecie, jeśli pociągnę za odpowiednie sznurki...

Rzucam mu się na szyję.

- Tatusiu, fantastycznie! Mogę poczekać, będę miała czas na zbudowanie portfolio. Nie do wiary! Och, dziękuję ci! Obiecuję, że będę się starać.

Ściskam mamę.

- Wiem, że to ty go namówiłaś. Będę naprawdę ostrożna. Boże, ale mnie zaskoczyliście...

- Słuchajcie, muszę iść - mówi tata i wstaje. - Mam spotkanie.

Wychodząc, całuje mamę w policzek; jeszcze miesiąc temu nie zrobiłby tego. Uśmiecha się do mnie, ale oczy nie biorą w tym udziału. Pierwszy raz zaczynam się zastanawiać, jaką cenę płaci za tę rodzinną harmonię.

Mama też wstaje, żeby zrobić herbatę.

- Czasami zapominam, jak ciężko pracuje twój ojciec - mówi, patrząc za nim przez kuchenne okno. - Miał ostatnio tyle stresów. James Noble poluje na niego, odkąd ojciec odrzucił jego ofertę przejęcia. Ale jeszcze go nie dopadł i...

- James Noble? - przerywam.

- Tak, kochanie, to ten facet sprawia ojcu kłopoty. - Zdejmuje pokrywkę z czajnika i zagląda do środka. - Nieboraczek gotował się na sucho. Chciałabym, żeby tata w końcu zgodził się na elektryczny.

Robi mi się niedobrze.

- Mamo - mówię szybko.

- Cate, kochanie, dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha...

Wymiotuję na kredens, opryskując talerze, ale nawet tego nie zauważam.

- Znam Jamesa Noble'a - udaje mi się wydusić. - To ojczym Dana.

Rozdział 13

Ella

Pozywają mnie?

- Tak mi przykro, kochanie - mówi bezradnie Lucy. - Wiem, jak o nią walczyłaś. Oni po prostu muszą na kogoś zwalić winę, a ty jesteś najłatwiejszym celem. Nie ma w tym nic osobistego...

- Myślałam, że zabiłam ich dziecko! I to nie ma być osobiste? Wstaję z krzesła i podchodzę do okna, kompletnie oszołomiona.

Sprawa w sądzie! Jak Anna i Dean mogą myśleć, że śmierć Hope to moja wina? Przecież wychodziłam ze skóry, żeby ją uratować! Gdy zachorowała, ani na chwilę nie opuściłam szpitala. Nawet gdyby była moim dzieckiem, niewiele więcej mogłabym zrobić. No tak, ale swojego też nie uratowałam.

- Naprawdę myślę, że to moja wina? - wołam, szukając wśród papierów na biurku karty Hope. - Że coś zaniedbałam, przeoczyłam...

- Przestań to roztrząsać, Ella. Rzuć te papiery, idź do domu i odpocznij. - Wyjmuje mi z rąk teczkę. - Shore'owie sami nie wiedzą, co zrobią. Są w szoku. I ty też - dodaje łagodnie. - Niecałe dwa tygodnie temu straciłaś własne dziecko. Pracujesz dniami i nocami, jesteś wykończona. Musisz dać sobie czas na żalobę.

Oczywiście myśli, że to było dziecko Jacksona. W pierwszej chwili, gdy leżąc na podłodze hotelowego pokoju w Nowym Jorku, zaczęłam sobie zdawać sprawę, co się ze mną dzieje, też tak pomyślałam; ale potem przypomniał mi się ranek tego dnia, w którym umarł Jackson, jak stałam w łazience Williama i grzebałam w torbie w poszukiwaniu tamponu, zła, że okres zaczął się za wcześnie.

Jęczałam z bólu, a mój umysł pracował gorączkowo. Czyżbym zaszła w ciążę z Williamem?

Wazektomia nie zawsze jest w stu procentach skuteczna, więc nie było to wykluczone. Ale przecież w ogóle nie powinnam być w ciąży; nie jestem głupią, zdającą się na szczęście nastolatką. Regularnie brałam pigułki, nie ominęłam ani jednej...

I wtedy sobie przypomniałam - noc, gdy do mojej sypialni przyszedł Cooper.

To nie dziecko Jacksona straciłam, lecz jego brata.

Otwierają się drzwi mojego gabinetu.

- Myślę, że powinna pani to zobaczyć, doktor Stuart - mówi dyżurna pielęgniarka, bierze z biurka pilota i włącza wiszący na ścianie płaski telewizor. - Sky pokazuje to już od pół godziny.

Zaciskam dłonie na blacie.

- O Boże...

Anna Shore mówi prosto do kamery, jakby wiedziała, że na nią patrzę.

- Mieliśmy pełne zaufanie do lekarzy z Princess Eugenie. Powierzyliśmy im naszą córkę, bo obiecano nam, że zostanie otoczona najlepszą opieką. Ale lekarze pozwolili jej umrzeć, bo nie opłacało się jej ratować. Była dla nich tylko numerem, kosztami, których mogli uniknąć.

Nerwowo zaciskam dłonie. Ona chyba nie myśli... niemożliwe, żeby myślała...

Podchodzi Dean i obejmuje żonę. W ręku trzyma kartkę i czyta z niej:

- Mamy nadzieję, że Naczelna Rada Lekarska podejmie w stosunku do personelu winnego zaniedbań odpowiednie środki dyscyplinujące oraz uszczelni procedury szpitalne, by w przyszłości nie dochodziło do takich sytuacji - padają

twarde zdania. - O stopniu ucywilizowania społeczeństwa świadczy jego podejście do osób najsłabszych, najmłodszych, najstarszych i niepełnosprawnych. Już żadni rodzice nie powinni przechodzić przez to, co w ostatnich tygodniach stało się naszym udziałem.

Następne ujęcie przedstawia Richarda Angela, który pojawia się w drzwiach szpitala i podchodzi do gąszczu mikrofonów.

- Zarząd Princess Eugenie pragnie wyrazić współczucie państwu Shore i obiecuje przeprowadzić wewnętrzne dochodzenie w tej sprawie.

Pragnę z tego miejsca przeprosić pana i panią Shore za doznane przykrości - mówi Angel. - Wprawdzie nie otrzymaliśmy formalnej skargi, ale śledztwo zostało wdrożone natychmiast, gdy dowiedziałem się o tym przypadku. Będziemy państwa na bieżąco informować o dalszym rozwoju wypadków.

- To wszystko, co ma do powiedzenia? - wołam, kiedy Angel obraca się na pięcie i strzela palcami. - Ani słowa o zaufaniu do własnego personelu?

- To tylko formalne oświadczenie - mówi zmartwiona Lucy. - Na pewno zapewni ci wszelką pomoc prawną...

- Masz rację - przerywam jej. - Powinnam iść do domu i odpocząć.

- Ella...

Gdy z furią zatrzasnę za sobą drzwi, dociera do mnie, że ten pozew zagrozi nie tylko mojej karierze, ale i przyjaźni z Lucy. Ani razu nie powiedziała, że we mnie wierzy. Czy też myśli, że to moja wina? Że nie potrafiłam oddzielić pracy od życia osobistego, wskutek czego popełniłam błąd, który kosztował życie moją maleńką pacjentkę?

W sobotę wstaję wczesnym rankiem, wkładam stare dżinsy i podkoszulek i opuszczam schodki prowadzące na strych. Waham się chwilę, wpatrzona w duszną ciemność. Żałuję, że nie przełknęłam dumy i nie poprosiłam Lucy o pomoc.

Tylko teraz nie stchórz, mówię sobie i ostrożnie wspinam się po stopniach. Gojące się szwy rozciągają się boleśnie, nieprzywykłe do takiej gimnastyki.

Oświetlam latarką krokwie. Strych pełen jest kartonów i czarnych worków, bezładnie rzuconych jeden na drugi. Zawierają ubrania i książki Jacksona, jego kolekcję staromodnych noży na polowanie, drogocenny komplet szachów z kości słoniowej, oprawione w ramki zdjęcia z naszego ślubu, płyty CD, siatki na ryby, nagrody zdobyte w strzelaniu do rzutków, rakiety tenisowe, buty narciarskie, różne stare bebechy komputerowe, płyty DVD, kasety, katalogi sprzętu sportowego, zwiniętą porządnie w trójkątnym pudełku amerykańską flagę, metrową wyrzeźbioną w drewnie rybę - wszystko, co zostało po czterdziestu jeden, a właściwie czterdziestu dwu latach jego pobytu na tej planecie.

Znoszę worki i kartony na dół i taszcę do sypialni. Po śmierci Jacksona nie mogłam znieść widoku niczego, co mi o nim przypominało. Ale jeśli mam się z nią uporać, muszę coś z tym wszystkim zrobić. Nie mogę dłużej zwlekać.

Zaczynam sortować rzeczy. Powracają wspomnienia i po chwili policzki mam mokre od łez. Ale jeszcze większy smutek wywołują pamiątki, które zupełnie nic mi nie mówią: wysuszona gałązka jaśminu, para znoszonych rękawiczek, małe pudełeczko od Tiffany'ego ze srebrną dziecięcą grzechotką w środku. Czym te przedmioty były dla Jacksona? Jakie opowieści kryją?

Otwieram stojący w nogach łóżka podniszczony skórzany kufer - jedno z niewielu rzeczy, jakie Jackson odziedziczył po rodzicach - wyjmuję przechowywane w nim zapasowe koce i wkładam do środka rzeczy, których nie potrafię ani nikomu oddać, ani wyrzucić: zdjęcia ślubne, notatniki i noże oraz błękitną bawełnianą koszulę, w której tak go lubiłam, i podkoszulek w barwach szkoły, który wkładał do biegania. Resztę ubrań oddam do sklepu One World na Kings Road, razem z większością książek i płyt CD.

Pod wpływem impulsu dokładam gałązkę jaśminu, rękawiczki i grzechotkę od Tiffany'ego. Może wyślę je Cooperowi. Skoro zabrał te rzeczy do Londynu, są zbyt ważne, by je wyrzucić.

Pod koniec dnia jestem wykończona fizycznie i psychicznie. Resztkami sił ładuję kartonowe pudła do ekologicznej toyoty Jacksona, siadam za kierownicą i

przysuwam fotel, by sięgać do pedałów. Żartowaliśmy zawsze, że Jackson ma tak długie nogi, że mógłby prowadzić z tylnego siedzenia. Kiedy przekręcam kluczyk w stacyjce - ku mojemu zdziwieniu silnik zaskakuje od razu, mimo dwóch miesięcy stania w garażu - automatycznie włącza się jego ulubiona płyta z *Feels Like Today* grupy Rascal Flatts. Wyjmuję ją, wkładam do opakowania i wrzucam do najbliższego stojącego kartonu.

Parkuję na chodniku przed sklepem. Kobieta w średnim wieku w drukowanej w kratki spranej sukience wychodzi pomóc mi się wyładować.

- Dziękuję, kochanie - mówi, kiedy stawiam ostatni karton obok lady. - Możesz tu chwilę popilnować, zaniósłabym trochę rzeczy na zaplecze?

Znika, nie czekając na odpowiedź. Krążę w pobliżu okna, by mieć na oku samochód i nie dać się zablokować. Od razu widać, że to Chelsea, myślę, rozglądając się po sklepie: większość torebek od Louis'a Vuittona, a kostiumy z ostatniej kolekcji Chanel.

Na wystawie leży biała lniana wyprawka. Pochylam się, podziwiając maleńkie ubranka. Są takie piękne. Całkowicie niepraktyczne, ale piękne. Rzadko widuję dzieci ubrane inaczej niż w szpitalne koszulki lub wszechobecne śpioszki.

Na półce obok mnie stoi para różowych skórzanych bucików, ozdobionych maleńkimi złotymi słoneczkami. Podnoszę je i kładę na dłoni.

Znienacka ogarnia mnie żal i przetacza się przeze mnie jak tsunami. Stoję w oknie wystawowym, zanosząc się szlochem. Opłakuję Jacksona, moje biedne utracone dziecko i wszystkie te dzieci, których nigdy nie będę miała. Poddaję się rozpacz, bo nic innego nie mogę zrobić, rozmiar mojej straty wręcz mnie poraża.

Prawie nie zauważam, jak sprzedawczyni obejmuje mnie i prowadzi na zaplecze. Tam przytula mnie do swego kwiecistego łona i głaszcze po głowie jak małą dziewczynkę.

- Płacz, kochanie - mówi miękko. - To pomaga. Tak trzeba. Wypłacz się.

Szlocham wtulona w jej piersi tak długo, aż brakuje mi łez. Jeszcze dwa miesiące temu takie publiczne załamanie przeraziłoby mnie i zawstydziło. Zawsze

byłam dumna ze swojego opanowania. Ale rozpacz przeniosła mnie w inny świat, gdzie samodyscyplina i sukcesy zawodowe w ogóle się nie liczą. Kiedyś ja byłam tą niosącą nadzieję i otuchę. Teraz nie potrafię przetrwać jednego dnia bez życzliwości innych ludzi.

- Zaledwie parę minut temu żal mi było tej kobiety w tandetnej sukience. Teraz przyklejam się do niej, jakby tylko ona oddzielała mnie od końca świata.

Podatność na zranienie zawsze uważałam za słabość. Jak mogłam być taką arogantką?

- Trzy lata temu straciłam syna - mówi kobieta, gdy przestaję w końcu płakać i opadam wyczerpana na drewniany stółek. - Zginął w Iraku od wybuchu bomby podłożonej na szosie. Przez pierwsze miesiące jakoś sobie radziłam, wyobrażałam sobie, że wciąż jest na służbie. Dopadło mnie dopiero, gdy poszłam po bożonarodzeniowe ozdoby. Tylko on dosięgał do najwyższej półki w kredensie.

Wydmuchuję głośno nos.

- Mój mąż zmarł dwa miesiące temu - mówię. - Złapał wirusa i po prostu zmarł. Nawet nie miałam szansy się pożegnać. - Biorę głęboki oddech i patrzę jej w oczy. - Nie kochałam go. Był moim najlepszym przyjacielem, ale nie kochałam go tak, jak żona powinna kochać męża.

- Biedactwo - odpowiada cicho. - Tak mi przykro.

Nie dlatego jej przykro, że zmarł. Tylko mi współczuje, bo nie umiałam go pokochać.

Siedzę na sofie z rękami wokół kolan i stopami podwinętymi pod siebie. Dochodzi druga w nocy, ale nie mogę spać. Jestem kompletnie wytrącona z równowagi. Najpierw rzeczy Jacksona, a potem te dziecięce ubranka. Co za ironia.

W szpitalu spotkałam tuziny kobiet, które całe lata goniły za marzeniem o własnym dziecku; sztuczne zapłodnienie znacznie zwiększa ryzyko przedwczesnego porodu, zwłaszcza że tak często zdarzają się ciążę mnogie. Dla takich matek jak Anna Shore leżąca w inkubatorze pomarszczona istotka to ukoronowanie lat badań, zabiegów, porażek i rozczarowań, a zarazem na ogół ich ostatnia szansa.

Opowiadały mi, jak potrafiły rozkleić się w dziale artykułów dziecięcych w supermarkecie czy przechodzić na drugą stronę ulicy, żeby ominąć wystawę sklepu z ubrankami dziecięcymi, a słysząc płacz dziecka w samolocie, snuły fantazje o jego porwaniu, gdy zostanie na chwilę bez opieki. Słuchałam ich cierpliwie, ale potem nie mogłam się nadziwić, jak puste musi być ich życie, skoro tak bardzo potrzebują dziecka, by je czymś zapełnić.

Pragnienie posiadania dziecka było mi dotąd kompletnie obce. Nie rozumiałam, jak bolesna jest ta wewnętrzna pustka, której nic poza dzieckiem nie może wypełnić.

Uśmiecham się gorzko w ciemności. Choć większość dorosłego życia spędziłam z dziećmi, ani razu nie zapaliła się we mnie choćby iskierka instynktu macierzyńskiego. Nie chciałam dać dziecka Jacksonowi, co zrujnowało nasze małżeństwo. A teraz, gdy jestem bezpłodną wdową, moje hormony w końcu się obudziły. Jeśli gdzieś tam w górze jest Bóg, to ma doprawdy specyficzne poczucie humoru.

Wstaję i nalewam sobie duży kieliszek białego wina. Myślałam, że ułożyłam sobie życie. Dobra pozycja zawodowa, żadnych zobowiązań, kochający mąż i - niczym wisienka na torcie - namiętny starszy kochanek, kiedy potrzebowałam szybkiej podniety. Myślałam, że mogę mieć to wszystko; że uda mi się zonglować tymi szklanymi bańkami ze szczęściem, nie upuszczając żadnej z nich. Arogancja - to określenie wymyślono chyba specjalnie dla mnie.

Jackson wierzył w prawo karmy, zgodnie z którym za każdy dobry uczynek zdobywa się punkty dodatnie, a za zły - ujemne. A wcześniej czy później trzeba dokonać bilansu.

Mój bilans wygląda żałośnie. Mąż, kochanek, kariera, dziecko - wszystko straciłam.

Wypijam wino jednym haustem i nalewam sobie następny kieliszek. Myśl, że mogę skończyć jak jedna z tych kobiet, które zostały porzucone dla młodszej i ładniejszej, napawała mnie przerażeniem. Uważałam, że wychodząc za mężczyznę,

którego tak naprawdę nie kochałam, odgradzę się od cierpienia. Tymczasem odgradziłam się od wszystkiego, co nadaje życiu wartość.

Musiałam się zdrzemnąć, bo budzę się gwałtownie na dźwięk telefonu. Siadam z mocno bijącym sercem i zerkam na zegarek - wpół do szóstej. Próbuję się opanować. To tylko telefon.

Włącza się automatyczna sekretarka i słyszę własny głos proszący o zostawienie wiadomości.

- Ella? Jesteś tam?

Na dźwięk jego głosu przeszywa mnie dreszcz. Od naszej ostatniej rozmowy minęły dwa tygodnie; powiedział mi wtedy, że Beth znalazła Cate śpiącą na ławce w parku. Wiem, że nieodbieranie telefonów to tchórzostwo, ale nie ufam sobie na tyle, by się nie bać, że ulegnę, gdy zaczniemy rozmawiać.

- Wiem, że jest środek nocy, i przepraszam, jeśli cię obudziłem. Ja nie mogę spać. Nie wiem, czy jesteś zajęta, czy po prostu nie chcesz ze mną rozmawiać, ale nie mogę tego tak zostawić. Ella, jeśli tam jesteś, proszę, odbierz.

Odsuwam się ostrożnie od telefonu, jakbym się bała, że William mnie usłyszy.

- Ella, musimy porozmawiać. Mam ci do powiedzenia coś ważnego. Jeśli to koniec, pogodzę się z tym, ale chciałbym usłyszeć, co się stało, myślę, że jesteś mi to winna.

Boże, to takie trudne. Czemu musiałam zakochać się w mężczyźnie, którego nie mogę mieć?

- Wiem o dziecku Jacksona - mówi William. Wszystko wokół zaczyna wirować.

- Zdaję sobie sprawę, jak ci ciężko, a przynajmniej staram się to sobie wyobrazić. - Wzdycha. - Ale wiedz, że to w niczym nie zmienia moich uczuć do ciebie. Nic ich nie zmieni. Możesz nie chcieć tego słuchać, ale kocham cię. Nie musisz nic z tym robić, nie oczekuję tego. Chcę tylko, żebyś wiedziała.

Zapada długa cisza i już myślę, że William się rozłączył. Podskakuję, gdy znów się odzywa.

- Zawsze obiecywaliśmy sobie, że nawet w czasie rozstania zostaniemy przyjaciółmi. Nigdy bym nie podejrzewał, że nie dotrzymasz słowa.

Przyznanie się przed sobą, że kocham tego człowieka, zajęło mi osiem lat. A teraz muszę go porzucić, ponieważ w końcu zrozumiałam, że tylko zachowując się przyzwoicie - nareszcie - mogę jakoś poskładać swoje życie.

Ma rację, winna jestem mu wyjaśnienie, chociaż tyle.

Podnoszę słuchawkę.

- Ja zawsze dotrzymuję słowa.

- Boże, wyglądasz koszmarnie - mówi William.

- Dziękuję. Od razu mi lepiej.

Uśmiecha się i odsuwa mi krzesło. Cieszę się, że na miejsce spotkania wybrał tę zatłoczoną knajpkę w Chelsea. To wiele ułatwi.

Czy aby na pewno? Przeżywam prawdziwe katusze i chyba nic na świecie nie jest w stanie tego zmienić.

Przesuwam krzesło w cień. Angielska pogoda jak zwykle stroi sobie żarty, uwodząc pod koniec kwietnia prażącym sierpniowym słońcem, pewnie po to, by w maju poczęstować nas listopadową mgłą. Po trzydziestu sześciu latach w końcu zrozumiałam, że będąc rudzielcem, nie mam żadnych szans na opaleniznę.

- Sandały? - dziwi się William, zerkając na moje buty.

- Ze złotej skóry. Metaliczne odcienie to hit tego lata - wyjaśniam.

- Nie miałem pojęcia, że sytuacja jest tak poważna. Gdybym wiedział, że zaczęłaś nosić sandały i worki pokutne, już dawno bym wkroczył do akcji.

William zamówił już wino, drogie Montrachet. Sączę je powoli, bawiąc się w zakłopotaniu nóżką kieliszka. Żadne z nas nie ma ani chęci, ani odwagi zacząć poważną rozmowę.

Zamawiamy lunch - pieczoną kuropatkę dla Williama i sałatkę z *foie gras* dla mnie - i obserwujemy uliczny ruch wokół Sloane Square.

Nieopodal przechodzi grupka ustawionych w pary uczniów pobliskiej szkoły. Ubrani w schludne mundurki o cynamonowych dołach i beżowych górach,

chichoczą i przepychają się. Mój wzrok przyciąga pięcioletnia dziewczynka z rudymi warkoczami i twarzą usianą piegami. Wygląda tak, jak ja wyglądałam w jej wieku.

Czy gdybym miała córkę, zastanawiam się, właśnie tak by wyglądała?

Łamię bagietkę i układam kawałki rzędkiem na stole.

- Jak się miewa Cate? - pytam.

- Dobrze - odpowiada lekko zdziwiony William. - Nie mam pojęcia, co dokładnie zaszło w Paryżu, chyba nie chcę wiedzieć, ale od tamtego czasu wydaje się bardziej zadowolona z życia. Oczywiście nie bez znaczenia jest fakt, że Beth ostatnio się polepszyło.

- Nie przegapiła egzaminów?

- Wróciła w samą porę. Jutro ma ostatni. Wiesz, jaka jest skryta, niewiele z niej można wyciągnąć. Ale dała kosza temu cholernemu hipisowi, co bardzo mnie cieszy. - Przerywa na chwilę. - Ona o nas wie, Ella. Widziała nas wtedy przy stacji.

Bawię się serwetką, usiłując zyskać na czasie.

- Wiedziałaś - mówi nagle, patrząc mi w oczy.

- Tak - potwierdzam. - Parę tygodni temu przyszła się ze mną zobaczyć.

Prosiła, żebym ci nic nie mówiła.

William dolewa nam wina i wpatruje się w swój kieliszek, jakby na jego dnie zapisano odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania.

- Czy to dlatego zaczęłaś mnie unikać? - pyta w końcu.

- Częściowo - przyznaję. - Ale nie tylko dlatego. Zaczynaliśmy to nie po to, żeby się ranić, ale żeby dobrze się bawić. - Odsuwam nietkniętą sałatkę, bo nagle tracę apetyt. - Wydawało mi się, że to tylko sprawa nas dwojga, ale przecież tak nie jest. Nasz romans krzywdził wiele osób. Beth, Jacksona - nawet o tobie nie wiedział, ale i tak zepsuło to nasze relacje - a teraz Cate. To przez nas uciekła. Mogła zostać zgwałcona albo zamordowana. Nie możemy udawać, że nic się nie stało.

- Oczywiście, że nie, Ella. Ale Cate rozumie. Zna swoją matkę i...

- Ona ma dopiero siedemnaście lat - przerywam mu. - To jeszcze dziecko.

- Przeżyła całe życie przy Beth - mówi gorzko William. - Ona naprawdę rozumie.

- Nie chodzi tylko o Cate, ale i o Bena, Sama...

- Ben spędza większość czasu na uczelni, ma własne życie. Za rok kończy Oksford i jedzie do Stanów. Już nie potrzebuje rodziców. A Sam jest w szkole z internatem. Cokolwiek się stanie, zawsze będzie miał dom, do którego może wrócić, ale jego codzienne życie skupia się na szkole, nie na nas. - Marszczy czoło. - Ella, to nie moje dzieci stanowią problem. Wiesz o nich od ośmiu lat. Co naprawdę dzieje się w twojej głowie?

- Jesteś żonaty. To zaczęło mieć dla mnie znaczenie. Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Przecież ci powiedziałem, że rozwiodę się z Beth.

- Wiesz, że nie o to...

- Już o z nią o tym rozmawiałem.

Krztuszę się winem, rozpryskując je po całym stole.

- No, prawie - przyznaje, unikając mojego wzroku. - To dziwne, ale ucieczka Cate postawiła wszystko na głowie. Beth nie wie o tobie, ale chyba podejrzewa, że kogoś mam. Prosiła, żebym nie odchodził, dopóki Cate nie zda egzaminów latem przyszłego roku. - Chce wziąć mnie za rękę, ale cofam dłoń. - Ella, proszę. Zaczekaj na mnie. To już niedługo. Czekaliśmy osiem lat, na pewno...

- Nigdy cię o to nie prosiłam! - krzyczę przerażona. - Nie chcę, żebyś ją zostawiał dla mnie!

- To po co to wszystko było?

- Nigdy nie chciałam zniszczyć twojego małżeństwa.

- Na litość boską, Ella! Weź na siebie choć trochę odpowiedzialności! - woła, waląc pięścią w stół. - Sypiałaś ze mną przez osiem lat, rozkochalaś mnie w sobie, a teraz chcesz umyć ręce i po prostu odejść, mówiąc, że to nie twoja sprawa?! Otóż to jest twoja sprawa, od chwili gdy pocałowałaś mnie wtedy w parku! Po co miałbym odchodzić od Beth, jeśli nie dla ciebie?

Wpatruję się w niego przerażona. Ja to zrobiłam. Ja wprawiłam w ruch tę maszynę. Stoję u początków tej reakcji łańcuchowej, która niszczy życie wszystkich powiązanych ze mną ludzi.

Williamowi udaje się opanować, zdobywa się nawet na słaby uśmiech.

- Czy możemy zamknąć przeszłość i pomyśleć o przyszłości? - pyta. - Za kilka tygodni Beth jedzie z Eithne na plener malarski do Włoch. Moglibyśmy...

- Nie kocham cię, Williamie - mówię stanowczo. Krzywi się, jakbym go uderzyła.

- Przykro mi - dodaję bez drgnienia powieki. - Naprawdę bardzo cię lubię i świetnie się z tobą bawiłam, ale nie kocham cię. Nie chcę, żebyś dla mnie zostawiał żonę. Nie ma takiej potrzeby.

- Nie wierzę ci - rzuca chrapliwie. Ukrywam drżące dłonie pod stolikiem.

- Obiecaliśmy sobie, że jeśli jedno z nas zechce zakończyć ten związek, drugie nie będzie zadawać żadnych pytań. Postanowiłam zakończyć nasz romans, Williamie. Potrzebuję kogoś z mniejszym bagażem...

- Nie wierzysz, że ją zostawię? O to ci chodzi? - Pochyliła się do mnie gwałtownie. - Ale ja naprawdę od niej odejdę. Daj mi szansę, Ella. Wiem, że mnie kochasz...

- To nie było dziecko Jacksona - mówię cicho. Patrzy na mnie zdumiony.

- Nie byłeś jedyny, Williamie, przecież wiesz. W końcu nie jesteśmy małżeństwem, prawda?

W jego oczach pojawia się taki ból, że nie mogę znieść ich widoku. Wyciągam instynktownie dłoń i kładę mu na ramieniu, ale patrzy na nią, jakby niosła truciznę.

- Dziwka - rzuca i wstaje tak gwałtownie, że przewraca krzesło. Wyjmuje z portfela garść banknotów i rzuca na stół. - Masz swoją zapłatę, powinno wystarczyć.

- William...

Patrzy na mnie z odrazą.

- Jackson miał szczęście - rzuca lodowatym tonem i odchodzi, nie oglądając się i za siebie.

- Ty idiotko - wzdycha Lucy, kiedy szlochając, rzucam się w jej ramiona. - Nie możesz go zwracać żonie, jakby był zabawką, którą się znudziłaś. Wiem, że chcesz dobrze, ale to zaszło za daleko. Życie w kłamstwie bywa bardziej nieuczciwe niż odejście. Gdy Lawrence mnie rzucił, myślałam, że to najgorsze, co mogło mi się przytrafić, ale kiedy szok minął, zrozumiałam, że dobrze zrobił. Od lat tylko udawaliśmy małżeństwo. Odchodząc, dał mi szansę na ułożenie sobie życia z kimś innym. Ty i William kochacie się. Nie chcę ci prawić kazań, ale miłość to cenna rzecz. Nie masz prawa jej odrzucać.

- O Boże! - łkam rozpaczliwie. - Co ja najlepszego zrobiłam?

William nie odbiera moich telefonów, więc po dziesięciu dniach przestaję dzwonić. Chciałam, żeby rozstanie było ostateczne, i udało mi się.

Ponieważ nie bardzo wiem, co ze sobą zrobić, wracam do szpitala, ale praca nie przynosi mi już wytchnienia. Boję się popełnić kolejny błąd. To, co kiedyś przychodziło intuicyjnie, teraz, spętana strachem, bezsensownie rozważam całymi godzinami. Jestem drobiazgową do bólu, sprawdzam po kilka razy najprostsze procedury. Hope nie jest pierwszym dzieckiem, którego z powodu błędnej decyzji nie udało mi się uratować. Każdy lekarz żyje ze świadomością, że kiedyś może popełnić błąd lub zaniechanie, które zabije pacjenta. To nie śmierć Hope zrujnowała moją pewność siebie - jeśli o nią chodzi, nie jestem pewna tylko co do przyczyny śmierci. Ale jak mogę ufać swojemu osądowi w pracy, skoro tak mnie zawodzi w innych obszarach życia?

Biorę dyżur po dyżurze, bo nie mogę znieść myśli o pozostaniu w domu. W pierwszą majową niedzielę właśnie siedzę w swoim gabinecie i wpatruję się w raport z autopsji Hope, nawet go nie czytając - nie muszę, znam każde słowo na pamięć - gdy do pokoju wchodzi bez pukania Richard Angel.

- Mogę na słówko, doktor Stuart?

Przysuwa sobie krzesło stojące najdalej od biurka, jakbym wydzielala toksyczne opary, i siada. To chyba niegłupie, jeśli uwzględnić moje ostatnie perypetie.

- Przyszedłem tu na prośbę doktor Nicholson - zaczyna Angel. Jasne; chce mi dać do zrozumienia, że jego obecność nawet nie zahacza o solidarność zawodową. - Lucy nakłoniła mnie, żebym poprosił radę szpitala o przedyskutowanie sprawy Shore'ów przed rozpoczęciem oficjalnego postępowania. - Krzywi się, jakby ssał cytrynę. - To spotkanie będzie dla pani jedyną szansą na przedstawienie własnego punktu widzenia, nim szpital zdecyduje, jakiego rodzaju pomocy pani udzielić. Nie muszę chyba mówić, że od wyniku tego spotkania zależy pani przyszłość.

- Nie będzie ugody z Shore'ami? - pytam zdziwiona.

- Poinformowali o oskarżeniu - bardzo poważnym oskarżeniu, jak pani zapewne wie - opinię publiczną. W tej sytuacji szybkie i dyskretne rozwiązanie sprawy nie wchodzi w grę.

Oznacza to, że zarząd szpitala nie może po prostu zapłacić Shore'om, i w ten sposób przyznaje się poniekąd do winy, wydając mnie na pożarcie.

Nie łykam jego gadki o bezstronnym postępowaniu. Angel zrobi wszystko, żebym została sama, zdana na łaskę nagłówków w gazetach, którym nic tak nie zwiększa nakładu, jak historie o tragicznie zmarłych dzieciach. Mogę utrzymać się na powierzchni albo utonąć - szpitala to nie obchodzi.

- Pan mnie nie lubi, prawda? - pytam lekkim tonem. Sztywnieje.

- Moje osobiste preferencje nie mają tu nic do rzeczy.

- Daj spokój, Richard - szydę. - Nie kryjesz się ze swoimi „osobistymi preferencjami”. Od początku tylko czekałeś na coś takiego.

- Jeśli chodzi pani o moją niechęć do jej intuicyjnego podejścia do pracy, to tak, ma pani rację. Właśnie takiego rozwoju wypadków się obawiałem. Posługuje się pani w pracy intuicją i emocjami i jest pani rozmyślnie współczująca.

- Rozmyślnie współczująca?

- To nie instytucja dobroczynna, doktor Stuart. Nasi pacjenci oczekują najlepszego...

- Nasi pacjenci chcą być traktowani jak istoty ludzkie, nie jak brojlery na medycznym taśmociągu. W trzech czwartych przypadków trafną diagnozę można

postawić na podstawie samej historii choroby, nie trzeba nawet zakładać stetoskopu. Ale do tego trzeba wiedzieć, kim jest pacjent i dlaczego do nas trafił. I to oczywiście, że trzeba okazywać pacjentowi współczucie...

Angel wstaje.

- Ta rozmowa nie ma sensu. Widzę, że w podejściu do opieki nad pacjentem różnimy się zasadniczo. Niezależnie od wyników postępowania może zechce pani rozważyć swoje podejście do pacjenta w kontekście oficjalnej polityki szpitala. - Przystaje w progu. - Rada zbiera się dwudziestego trzeciego. Nie muszę chyba podkreślać, jak ważna będzie pani obecność.

Gdy tylko zamykają się za nim drzwi, łąduje na nich przycisk do papieru, roztrzaskując się w drobny mak.

Łajdak! Cholerny łajdak! Jak Lucy może mieć z nim coś wspólnego?

Oczywiście znam odpowiedź na to pytanie. Richard Angel ma wszystkie cechy, których brakowało Nicholasowi: przewidywalny, zorganizowany i na swój sposób wręcz zatrważająco uczciwy. Naprawdę wierzy, że jego przepis na prowadzenie szpitala jest w najlepszym interesie „klientów”. Gdyby był patologiem sądowym, jego oddanie i dbałość o szczegóły byłyby godne najwyższego uznania. Niestety tak się niefortunnie składa, zwłaszcza gdy pomyśleć o jego niechętnym podejściu do obłożnie chorych, że nasi pacjenci mają jeszcze puls.

W drodze do domu mój gniew przeradza się w rozpacz. Bez poparcia zarządu szpitala szanse na wygraną mam nikłe. A jeśli stracę jeszcze pracę...

W teorii wszyscy lekarze są objęci ubezpieczeniem przez Naczelną Izbę Lekarską, ale w praktyce ta polisa nie jest warta papieru, na którym ją spisano. Jak większość specjalistów zajmujących się dziedzinami obciążonymi wysokim ryzykiem, mam dodatkowe ubezpieczenie, za które płacę sama. Albo płaciłam. Przy wszystkim, co mnie spotkało w ciągu ostatnich miesięcy, taki drobiazg mógł mi umknąć.

Grzebię w torebce w poszukiwaniu kluczy do mieszkania i myślę o tym, że mogę stracić nie tylko pracę, ale nawet prawo do wykonywania zawodu.

Taka perspektywa powinna mnie przerażać, ale jestem dziwnie spokojna. W porównaniu z tym, co już straciłam, kariera wydaje się tylko mało znaczącym dodatkiem.

Nagle z cienia ktoś wychodzi. Gdy na jego twarz pada smuga światła, wydaję z siebie krzyk.

Jackson.

- Nie chciałem cię przestraszyć - mówi.

- A czego się spodziewałeś, wyskakując na mnie tak zniecka? Co tu, u diabła, robisz?

- Czekałem, aż przyjdiesz do domu.

- Lepiej wejdźmy, nim ktoś wezwie policję.

Trzęsę się z przerażenia. Zostawiam w holu torbę, ale zamiast iść do kuchni, żeby zrobić kawę, kieruje się do salonu i otwieram barek. Potrzebuję czegoś mocniejszego.

Nalewam dwie solidne porcje szkockiej i podaję Cooperowi szklaneczkę.

- Wystraszyłeś mnie na śmierć. Czemu nie dałeś znać, że przyjeżdżasz?

- Poszczuła byś mnie psami. Ma rację.

Osuszam szklanekę i nalewam sobie następną porcję.

- Jest późno, a ja jestem naprawdę zmęczona. Miałam okropny dzień i muszę się wyspać. Nie wiem, czego ode mnie chcesz, ale dziś i tak nie mam na nic siły. Jeśli nie masz gdzie się podziać, tam jest wolny pokój...

- Przyjechałem dać ci to.

Rzuca na stół paczkę listów. Odstawiam szklanekę, ale nie sięgam po nie.

Patrzę na tego pięknego, zgorzkniałego mężczyznę - tak podobnego z wyglądu do mojego męża i tak podobnego do Williama w swojej aroganckiej pewności siebie, a jednak całkiem różnego od nich obu. Ledwie go znam i zdecydowanie nie lubię, ale pociąga mnie w sposób, którego nie potrafię wytłumaczyć. Ma w sobie jakąś złowieszczą charyzmę, niemal hipnotyczną. Podnieca mnie.

Gdy wreszcie podnoszę listy, ręce mi się trzęsą. Nie wiem - ze strachu czy z pożądania. Jest ich około trzydziestu, a sądząc ze znaczków, najstarsze mają prawie dziesięć lat. Na kopertach rozpoznaję pismo Jacksona. Wszystkie są zaadresowane do Coopera.

- Czemu mi je dajesz? - pytam.

- Bo ja ich nie chcę - odpowiada Cooper.

- Ale przecież mogłeś je wysłać. Nie musiałeś sam przyjeżdżać. Milczy.

Dotykam jego ramienia.

- Cooper?

- Gdybym je wysłał - mówi z błyskiem w kobaltowych oczach - nie mógłbym zrobić tego.

Jego pocałunek jest gorący i namiętny. Przyciska mnie tak mocno, że aż bolą mnie piersi.

- Nienawidzę cię od chwili, w której cię ujrzałem - szepcze. - Boże, jak ja cię nienawidzę.

Delikatnie całuję go w usta.

- Ja ciebie też nienawidzę - odpowiadam cicho.

14 lutego 2008 roku

Felden Street

Londyn SW6

Drogi Cooperze!

Szcześliwych walentynek, bracie! I dzięki za kartkę urodzinową. Ella jak zwykle zapomniała. Chyba w tym roku sam kupię sobie prezent. Kiedy ten list do Ciebie dotrze, będę już dumnym właścicielem Indian Cub z 1972 roku! Kupa forsy, mimo że to okazja na eBayu. Może jakoś ugłaskam Ellę, spróbuję zagrać na poczuciu winy.

Jeszcze nic o tym nie wie, ale zamierzam jej wreszcie odplacić. Od lat się o to prosiła. Wracam do domu, Coop. Na dobre.

Mam nadzieję, że Ty i Lolly jakoś ze mną wytrzymacie, bo przez jakiś czas będę potrzebował gdzieś się przytulić. Przepraszam, że tak Cię zaskakuję, ale nie chciałem nic mówić, dopóki wszystkiego sobie nie poukładałem. One World otwiera nowe biuro niedaleko Charlotte i przeniosę się tam, gdy tylko tutaj znajdę kogoś na zastępstwo. Dali mi podwyżkę, ale i to tak chwilę potrwa, zanim zdołam uzbierać na własny kawałek podłogi. Od Elli nie chcę niczego. A w tym londyńskim domu nigdy nie czułem się u siebie. Zabiorę tylko motor, książki i indiańskie szachy dziadka. Resztę zostawię. Nie chcę żadnych pamiątek.

Siedem lat to dość czasu, żeby kobieta pokochała mężczyznę. I myślę nie tylko o sobie, ale i o Williamie Ashfieldzie. Kiedyś miałem ochotę poderżnąć mu gardło, ale teraz nie czuję już złości. Nawet trochę mi szkoda tego żalospnego sukinsyna. Chyba złagodniałem na starość. Parę lat temu poszedłem pod jego dom. Stałem na deszczu i patrzyłem, jak smaży z córką naleśniki.

Ella nie należy do mnie, nigdy nie należała. A ty wiedziałeś o tym od początku, prawda? Próbowaleś mnie ostrzec, ale nie chciałem Cię słuchać. Cały czas oszukiwałem się, że mojej miłości wystarczy za dwoje. Nie powinienem był się z nią żenić. Wiem, że nie jestem dla niej stworzony, ale wiem też, że ona nie jest

stworzona dla mnie. Czasem tak bywa z miłością. Myślimy, że gdzieś po świecie krąży nasza bratnia dusza, która tylko czeka, żebyśmy ją znaleźli. Nie możemy jednak oczekiwać, że odplaci nam miłością.

Pamiętasz, jak znalazłem tego kundla ze złamaną nogą? Ależ kochałem to psisko. Wydawałem całe kieszonkowe na lekarstwa dla niego i chodziłem na wagary, żeby móc go doglądać. A on, gdy tylko wyzdrowiał, od razu uciekł. Nigdy do mnie nie należał, tylko ja nie chciałem tego dostrzec.

Mama mówiła, że gdy się kogoś kocha, trzeba pozwolić mu być wolnym. Jeśli do nas wróci, znaczy, że do nas należy. A jeśli nie, to nie.

Tak więc zwrócę Elli wolność. Powinienem był to zrobić lata temu.

Zwlekałem tak długo, bo chyba nie byłem gotowy. A wiem, że sama by mnie nie zostawiła. Jest na to zbyt uparta. Zupełnie jak Ty, Coop. Teraz widzę, że za łatwo się poddałem, ulegając jej we wszystkim. Kobieta nie szanuje mężczyzny, jeśli zawsze może postawić na swoim.

Mądry po szkodzie, co?

Gdy tylko dowiedziałem się o Williamie, powinienem był zareagować i kazać jej wybierać. Może wtedy wybrałaby mnie, ale już się tego nie dowiem. Byłem za słaby, bracie. Wszystko, co mam na swoje usprawiedliwienie, to to, że miłość ze wszystkich nas robi głupców. Przekonasz się o tym w swoim czasie.

Pewnie się zastanawiasz, czemu właśnie teraz postanowiłem odejść od Elli. Nie potrafię na to odpowiedzieć; Tata powiedziałby, że w końcu zmęźniałem, i pewnie miałby rację, ale to nie tylko to. Mam marzenia. Chciałbym poczuć, jak to jest być kochanym przez kobietę, naprawdę kochanym. Jak to jest widzieć miłość w jej oczach i mieć z nią dzieci. Ella nigdy mi tego nie da. Ale dopóki kocham ją, na nikogo innego nie ma miejsca. Czuję się jak pnącze owijające się wokół tego, co napotka, zanim znajdzie glebę, w której może zapuścić korzenie. Nie wiem, czy mi się uda, ale muszę przynajmniej spróbować, nim będzie za późno.

Prosta prawda jest taka, że kocham Ellę za bardzo, by móc z nią zostać. Wiem, że nie jest ze mną szczęśliwa. Próbowałem wszystkiego, ale nie potrafię dać jej tego,

czego potrzebuje. Muszę więc się odsunąć i dać jej szansę na życie z kimś, kto będzie to umiał zrobić.

Jeśli zobaczę, że ona jest szczęśliwa, będzie to pierwszy krok na drodze do mojego szczęścia. Wiesz, co mam na myśli, Coop. To samo Ty zrobiłeś dla mnie.

Byłeś najlepszym bratem pod słońcem. Jeśli coś się nie udało, to nie dlatego, że Ty coś zrobiłeś nie tak. Mam nadzieję, że nie rozczarowałem Cię zbyt.

Powiem Elli o wszystkim w któryś weekend, a potem wracam do domu. Dam Ci znać. Nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę na myśl o tym, że wreszcie ucieknę od tej ciągłej angielskiej mgły. Nigdy nie podejrzewałem, że istnieje tyle odcieni szarości.

Ostatnio ciągle jestem podziębiony. Ale Lolly pokarmi mnie parę tygodni i będę jak nowo narodzony.

Szykuj podpałkę na grilla, bracie. Niedługo się spotkamy.

Jackson

Rozdział 14

William

Boże! Czemu tak mnie doświadczasz?

Moja córka zaginęła, kochanka właśnie straciła dziecko, z trudem utrzymuję firmę na powierzchni, a żona wybrała sobie akurat ten moment na odstawienie leków i przesiadanie się z nastroju w nastrój jak na karuzeli. I na dodatek moja cholerna matka postanowiła wyściubić nos z tej dziury, w której ukrywała się przez ostatnie dwadzieścia lat.

Gdy matka daje napiwek portierowi i zamyka za nim drzwi, pytam:

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?
- Umieram - odpowiada zwięźle.

Skoro zaczyna grę od podstępu, muszę przerwać ten cyrk. Otwieram minibar zamaszystym gestem.

- Twoje zdrowie - mówię, osuszając jednym łykiem miniaturową butelkę bella i sięgając po następną.

Matka zabiera mi ją i kręci głową.

- Uspokój się, synu. Nie po tojechałam taki kawał drogi, żeby patrzeć, jak się upijasz. Skoro ja jakoś sobie radzę z tą świadomością, ty też możesz. Nic dziwnego, że twoja córka uciekła, jeśli takie rzeczy dzieją się w domu.

- Nie martw się, to nie z twojego powodu się upijam. Powiedziałbym nawet, że to pierwsza dobra wiadomość od tygodni.

- Siadaj, Williamie.

Zapomniałem, jaki jestem wysoki. W mojej pamięci matka wciąż nade mną góruje.

- Powiedziałam: siadaj! Opadam na fotel.

- No dobrze, a teraz proszę o dalszy ciąg bajki - mówię. - Tylko popraw tę cholerną perukę.

- Jesteś spostrzegawczy. Mogłam sprawić sobie modniejszą, ale nie chciałam przyciągać uwagi. Chemioterapia - wyjaśnia, kiedy patrzę na nią zdumiony. - Zapamiętaj, bo wolałabym nie powtarzać tego dwa razy. Mam ostrą białaczkę limfatyczną. To choroba śmiertelna. - Wygladza spódnice na kolanach, zdejmując nieistniejący pyłek. - Diagnozę postawili jedenaście miesięcy temu; miałam już dwie sesje chemio- i radioterapii, ale jest nawrót. Gdybym była młodsza, kwalifikowałabym się do przeszczepu szpiku, ale nie martw się, jestem o wiele za stara. Nie będziesz musiał udawać synowskiego przywiązania i zostawać dawcą. - Uśmiecha się krzywo. - Swoją drogą, miałbyś niezły dylemat moralny.

Nie cierpię tej jędzy, ale trzeba przyznać, że ma jaja. Nie bawi się w czcze pogawędki.

- Rokowania nie są najlepsze, przynajmniej z mojego punktu widzenia. -
Kolejny cierpki uśmieszek. - Lekarze mówią o tygodniach. Ciekawe, prawda,
mierzyć początek i koniec życia nie w latach, a w cennych dniach.

W końcu odzyskuję głos.

- No i co teraz, matko? Na łożu śmierci szukasz pojednania?

- Och, nie przyjechałam z twojego powodu, kochany. Chciałam zobaczyć
wnuki, a muszę przyznać, że ogromną sympatią darzę Cate. Dziewczyny mają w
naszej rodzinie większe jaja niż wszyscy faceci razem wzięci.

Krzywię się na ironiczne echo własnych myśli.

- Nie, Williamie. Przyjechałam, bo muszę ci coś powiedzieć.

- Przykro mi cię rozczarowywać, ale guzik mnie obchodzi, co masz do
powiedzenia, nim wydasz ostatnie tchnienie - oznajmiam zimno, wstając. - Zaginęła
moja córka. Wybrałaś sobie najgorszy moment na ratowanie sumienia. Jakikolwiek
bzdury chciałaś mi zaserwować, zachowaj je dla siebie. Jeśli o mnie chodzi,
następnym razem zobaczę cię już w drewnianej skrzynce.

Nawet nie mrugnie okiem.

- Nie jestem tu, by ratować swoje sumienie, kochany. To ty masz kłopoty.

Wzruszam lekceważąco ramionami i czekam na dalszy ciąg.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, jakie masz o mnie zdanie, William. Nie
można powiedzieć, żebyś je ukrywał. Przyglądałam się, jak ojca wynosisz pod
niebiosa, a mnie w kierunku dokładnie odwrotnym. Trzymałam się z daleka i nic nie
mówiłam, kiedy robiłeś ze swojego życia kompletny bałagan, bo i tak byś nie
słuchał. - Macha lekceważąco ręką. - Nie mówię o Ashfield PR: popełniłeś
dokładnie ten sam błąd, co ja i całą energię poświęciłeś spółce, oczywiście z
sukcesem. Mówię o twoim małżeństwie. Jesteś do mnie bardziej podobny, niż ci się
zdaje.

Nie wiem, jak wcześniej, ale teraz już na pewno jestem wkurzony.

- Przez ostatnich siedem lat usiłuję odwieść żonę od zamiaru popełnienia
samobójstwa. Ty ojca do niego pchnęłaś!

- Lubisz tak myśleć, Williamie. I może jest w tym ziarno prawdy. Ale twój prawdziwy problem polega na tym, że w głębi duszy nie mnie obwiniasz, a siebie.

Czuje, jak uchodzi ze mnie powietrze. Ciężko opadam na krawędź łóżka.

- Łatwo ci mnie oskarżać, że wpędziłam ojca do grobu, prawda? Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, by sam siebie przekonać, że tak się rzeczy mają. Kłopot polega na tym, że to nie takie proste. Wciąż wierzysz, że to twoja wina. Dlatego ożeniłeś się z Beth.

- Och, proszę, oszczędź mi tych psychologicznych bzdur - rzucam bez przekonania. - Nie masz bladego pojęcia...

- Williamie, to, co się stało z ojcem, nie jest twoją winą.

- Wiem o tym, do cholery! To ty go wpędziłeś do grobu, nie ja! Powtarzając mi, że jest beznadziejny, bezużyteczny i żaloszny...

- Kiedy?

- Co kiedy?

- Kiedy słyszałeś, że tak do niego mówię?

- Chryste, co to ma teraz za znaczenie? - Pochyliłam się gwałtownie i ukrywam twarz w dłoniach. - Cokolwiek usłyszał, nie usłyszał tego ode mnie. To nie po moich słowach strzelił sobie w głowę. Koniec, kropka. A Beth zaszła ze mną w ciążę, więc ją poślubiłem. Nie doszukuj się w tym żadnego gównianego odkupienia win. Po prostu zachowałem się tak, jak należało. Nie miałem pojęcia, że ze mnie taki pieprzony magnes na samobójców, dopóki nie było za późno.

- Nigdy nie słyszałam czegoś równie idiotycznego. Magnes na samobójców, dobre sobie. To przecież choroba, wiesz o tym...

- Jaka choroba? O czym ty mówisz?

- Twój ojciec cierpiał na psychozę depresyjną. Podnoszę gwałtownie głowę.

- Nie, przecież bym... nie, to niemożliwe, przecież bym wiedział!

- Myślałam, że się połapałeś. Cierpiało na nią kilka osób w jego rodzinie, choć oczywiście, dopóki żył, o niczym nie wiedziałam. Dopiero gdy sortowałam na strychu jego rzeczy, znalazłam starą rodzinną fotografię. Niezbyt zdrowo

wyglądający chłopczyk w drugim rzędzie; była też ciotka, którą zamknęli i która młodo umarła. - Uśmiecha się. - Sądziłam, że uda mi się go uratować. Nie różnimy się aż tak bardzo, jak widzisz.

Wiedziałbym. Na pewno.

Nie mogłem aż tak się pomylić.

Próbuję przed tym uciec.

- Chcesz, żebym uwierzył w te bujdy?

- Różne rzeczy można mi zarzucić, Williamie, ale chyba nie kłamstwo.

Wracam myślami do dzieciństwa, patrząc na nie przez pryzmat mojego życia z Beth. Niezwykłe przyływy energii taty; niekończące się i nigdy niekończone naprawy czy różne ulepszenia. Niewyjaśnione ponure nastroje: „Tatuś ma zły dzień. Pozwól mu się wyspać”. Dwa razy zniknął gdzieś całkiem na kilka miesięcy; pewnie był w klinice, uświadamiam sobie. - Dobry Boże. Jeśli moja matka zaznała choć połowy tego, co ja przeżywam z Beth...

Cisza się przedłuża.

- Twój ojciec nie był głupcem - odzywa się wreszcie. - Wiedział, że czasem mówię coś, czego nie myślę; rozumiał, że jestem zła na chorobę, nie na niego. Ale i tak nie powinnam była mówić różnych rzeczy. W tym sensie jego śmierć jest w jakimś stopniu moją winą. Ale na pewno nie twoją. Kiedy stracił pracę, przestał brać lekarstwa. Wystarczająco długo jesteś z Beth, żeby wiedzieć, co to oznacza.

Lekarstwa? Nie moja wina?

To nie była moja wina.

- Williamie, spędziłam trzydzieści lat, próbując naprawić coś, co nie dawało się naprawić - mówi matka, chwytając mnie za rękaw. - Zmieniło mnie to w kogoś, kogo sama nie poznawałam, w kogoś zżeranego złością i goryczą. Doszło do tego, że napadałam na twego ojca nie dlatego, że go nienawidziłam, ale dlatego że nienawidziłam tego, co jego choroba zrobiła ze mną. Nie chcę, synu, żebyś popełnił ten sam błąd. Nie chcę, byś stał się zgorzkniały i rozżalony. Wiem, że musisz mieć

na uwadze dzieci, ale nie powtarzaj moich błędów. Nie stań się kimś, kim będą pogardzać.

Strząsam jej rękę, ale bez złości. Dobry Boże, jakiś pieprzony lekarz od czubków przez tydzień by się cieszył z takiego odkrycia. A myślałem, że to kobiety mają tendencję do poślubiania mężczyzn podobnych do swoich ojców.

Matka ma oczywiście rację, ale nie zdaje sobie sprawy, że jest za późno. Już się nienawidzę. Jestem monogamistą; wierzę w zaufanie, lojalność i miłość. A oszukuję żonę prawie od początku małżeństwa.

Matka wstaje z wysiłkiem, opierając się ciężko na lasce ze srebrną gałką. Nagle uderza mnie, jak bardzo stała się krucha.

- Beth to dobra kobieta - mówi z przekonaniem. - Ale to nie jest kobieta dobra dla ciebie.

Śmieję się z niedowierzaniem.

- Niezłe z ciebie ziółko. Przez te wszystkie lata była wobec ciebie w porządku, pozwalała ci widywać dzieci, zabrała cię do Paryża, a teraz mówisz, żebym ją zostawił!

- Tylko ostrzegam, co się z tobą stanie, jeśli tego nie zrobisz.

Mierzę się wzrokiem z kobietą, która mnie urodziła, po której odziedziczyłem podbródek, karnację i bezwzględną ambicję - i nic nie czuję. Co jest pewnego rodzaju postępem, jeśli wziąć pod uwagę uczucia, jakie żywiłem do niej przez ostatnich dwadzieścia lat.

Tyle niedopowiedzeń.

- To niczego nie zmienia - stwierdzam. - Nie oczekuj, że po tym, jak tu wparowałaś i powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia, wszystko między nami wróci do normy.

- Jasne, że nie - mówi bez emocji. - Jesteś moim synem. Niełatwo dajesz się przekonać. Niczego innego się nie spodziewałam.

- Ona jest także moją córką, Beth! Chcę się z nią zobaczyć.

- Jeszcze nie jest na to gotowa - odpowiada moja żona z irytującym spokojem.
- Musi najpierw sama sobie wszystko poukładać. Nie mówiąc już o prysznicu; jest w takim stanie, że bardziej niż mydło przydałby się chyba papier ścierny. Tak czy owak - dodaje - musimy porozmawiać, zanim zachowasz się z gracją słonia w sklepie z porcelaną i znów zwieje.

Jak na jeden dzień mam powyżej dziurek w nosie kobiet i pogawędek.

- Nie po to leciałem pół świata, żeby leżeć i gapić się w sufit w kolejnym cholernym pokoju hotelowym! - rzucam, idąc do drzwi. - Nie ma nic takiego, co nie mogłoby poczekać.

- A twój romans?

No tak, o tym zapomniałem.

- A raczej romanse - poprawia się moja żona. - Na pewno był niejeden. W końcu nie uprawialiśmy seksu od ośmiu lat. Musiałbyś być z kamienia, żeby w ogóle tego nie potrzebować, a o zdejmowanie panienek z ulicy raczej cię nie podejrzewam. - Odsuwa zasłony i spogląda w dół na paryskie ulice. - Cate uciekła, ponieważ ją opuściliśmy. To w dużym stopniu moja wina, wiem. Zrobiłam jej wielką krzywdę i będę musiała z tym żyć. Ale dużo jest też naszej wspólnej winy. Twojej i mojej. Cate to jeszcze dziecko, Williamie, potrzebuje nas.

- Beth - zaczynam ostrożnie. - Nigdy nie chciałem cię zranić...

- Nie winię cię, Williamie. Nie o to chodzi. Pocieram grzbiet nosa.

- Dziś był koszmary dzień. Musimy o tym rozmawiać teraz?

- Cate się boi, że wszystko się rozpadnie - ciągnie, jakby mnie nie słyszała. - Ucieka, żeby nie musieć na to patrzeć. Ty jesteś zajęty pracą. Ja jestem zajęta moimi problemami. Oboje ją porzuciliśmy. Pieprzony minibarek. Wiele bym dał za porządnego drinka.

- Czego ode mnie oczekujesz? - pytam żonę.

- Mamy dwie możliwości. Zaklejać pęknięcia papierem, udając, że nic się nie stało, i patrzeć, jak Cate z kryzysu wpada w kryzys i marnuje sobie życie. Albo coś z tym zrobić.

- Dobrze. Będę więcej czasu spędzał w domu...

- Nie mówię o pracy. - W końcu odwraca się od okna i patrzy mi w twarz. - To my stanowimy problem, Williamie. Ta żalosna namiastka małżeństwa nikomu nie przynosi nic dobrego, a już najmniej Cate. Musimy zacząć być uczciwi. Albo spróbujemy je naprawić, albo się poddamy i uznajmy, że już po wszystkim.

Jest błada, ale spokojna. Żadnych łez. Żadnej hysterii.

Nie mogę uwierzyć, że to właśnie Beth w końcu odważyła się nazwać rzeczy po imieniu.

- Mówisz o rozwodzie?

- Jeśli tego chcesz, nie będę cię zatrzymywać - odpowiada. - Nie będę z tobą walczyć ani robić głupstw. Ben już praktycznie jest poza domem, Sam w szkole z internatem; będzie im ciężko, ale przeżyją.

- Czy tego właśnie chcesz?

- Nie! Oczywiście, że nie tego chcę, Williamie! Kocham cię teraz bardziej niż tego dnia, gdy pomagałeś mi zawiesić obraz - woła żarliwie. - Ale nawet ja widzę, że tak dłużej być nie może. Wcześniej czy później znajdziesz kogoś, kto nie będzie taki dobry, żeby się tobą dzielić. Jeśli nie chcesz być ze mną, wolę skończyć wszystko teraz, kiedy jeszcze możemy być przyjaciółmi. - Bierze głęboki oddech. - Chcę tylko jednego.

A więc doszliśmy do tego punktu. Domu? Połowy firmy?

- Jednego roku - mówi Beth i pośpiesznie ciągnie dalej. - Jeśli nie dla mnie, zrób to dla Cate. W przyszłym roku wybiera się na uniwersytet i zacznie własne życie. Przeprowadźmy ją w spokoju przez college. Dajmy naszemu małżeństwu ostatnią szansę. Jeśli za rok dalej będziesz chciał odejść, nie będę stawała ci na drodze.

Daje mi wolność. Wolność bez poczucia winy i wzajemnych oskarżeń. Obietnicę nowego początku z Ellą, bez konieczności zamartwiania się, że znów podetnie sobie żyły albo skoczy z mostu.

Nie mogę jej zostawić...

To nie moja wina, że ojciec się zabił.

Beth daje mi wybór. Małżeństwo jako forma pokuty krzywdzi nas oboje.

Ella na pewno zaczeka na mnie dwanaście miesięcy.

- Rok?

- I żadnych kłamstw więcej, Williamie - mówi Beth. - Jeśli mamy spróbować, musimy naprawdę tego chcieć. Musisz zacząć mnie zauważać, Williamie.

- I będziesz brała lekarstwa? Milczy.

- Jeśli nie będziesz, to się nie uda. Przecież wiesz, Beth, co się z tobą dzieje.

- Dobrze. Będę brała lekarstwa.

- Rok - powtarzam.

Nawet nie jestem sobie w stanie wyobrazić, że mógłbym chcieć zostać dłużej.

- Jeszcze jedno - mówi, podchodząc do mnie.

Powoli, nerwowo, rozpina bluzkę. Potem rozpina spódnicę i pozwala jej opaść na podłogę. Ma na sobie bieliznę, jakiej nigdy wcześniej nie nosiła: z różowo-kremowej koronki. Cała drży.

Gdy sięga, by odpiąć biustonosz, jasne włosy opadają do przodu, zasłaniając jej twarz. Nagle przypominam sobie pierwszy raz, gdy się dla mnie rozbierała, ponad dwadzieścia lat temu. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że upuściła zegarek, a gdy pochyliła się, by go podnieść, przewróciła kieliszek pełen wina.

Mój ptak się budzi. Ona jest piękna. Na myśl, że tak mnie to dziwi, czuję wstyd.

Pochyliła się, by zdjąć majtki, i jej piersi kołyszą się swobodnie. Grawitacja i trójka dzieci odebrały swoją daninę, ale nadały jej kształty, jakich wcześniej nie miała, jej linie nabrały niesłychanej lubieżności. Pasuje jej to. I jeszcze coś się zmieniło. Chwilę trwa, nim to zauważam, ale Beth drży nie z nerwów, lecz z podniecenia. Chce tego.

Osuwa się na kolana i sięga do moich spodni. Promienieje seksem. Skąd, u diabła, jej się to wzięło?

Bierze mnie do ust.

Nie mogę... wykorzystywać... to mania, to nie jej... normalny... Och, co za uczucie...

- Beth... jesteś pewna? Patrzy w górę.

- Żadnego klejenia skorup, Williamie. Jeśli ma nam się udać - wraca do przerwanej zajęcia - musimy się przyłożyć.

Nie mam nic przeciwko temu, by tym razem miała ostatnie słowo.

- Na litość boską, Ella, odbierz - mamrocze, bębniąc palcami w blat.

Spoglądam z obawą na zamknięte drzwi gabinetu. Jest piąta trzydzieści, jeśli Beth się obudzi, zacznie się zastanawiać, czemu nie leżę przy niej.

No, odbierzże! Minęły już dwa tygodnie od powrotu z Paryża, a jeszcze nie miałem okazji przekazać jej nowin. Mój początkowy entuzjazm zaczął powoli ustępować miejsca trosce. Czy aby na pewno to, co mówiła w Nowym Jorku, to tylko słowa? Gdybym tylko mógł jej o wszystkim opowiedzieć. Uświadamiam sobie, że mnie unika, ale zaczynam być zdesperowany. Już dzwoniłem do szpitala, ale powiedzieli mi, że dziś nie pracuje. Musi być w domu. Gdzie miałyby być o tej porze?

Klnę pod nosem, kiedy włącza się automatyczna sekretarka.

- Posłuchaj, wiem, że jest środek nocy, i przepraszam, jeśli cię obudziłem. Nie wiem, czy jesteś zajęta, czy tylko nie chcesz ze mną rozmawiać, ale nie mogę tego tak zostawić, Ella. Jeśli tam jesteś, proszę, odbierz.

Nic, tylko trzaski.

- Ella, musimy porozmawiać - mówię szybko. - Mam ci do powiedzenia coś ważnego. Jeśli to koniec, pogodzę się z tym, ale chciałbym usłyszeć, co się stało, myślę, że jesteś mi to winna.

Nad moją głową trzeszczy podłoga. Cholera!

- Ella, wiem o dziecku Jacksona. Zdaję sobie sprawę, jak ci ciężko, a przynajmniej staram się to sobie wyobrazić - poprawiam się. Wzdycham. - Ale wiedz, że to w niczym nie zmienia moich uczuć do ciebie. Nic ich nie zmieni.

Możesz nie chcieć tego słuchać, ale kocham cię. Nie musisz nic z tym robić, nie oczekuję tego. Chcę tylko, żebyś wiedziała.

Wyobrażam ją sobie, jak leży w łóżku i nie chce podnieść słuchawki.

Nie mogę tego tak zostawić. Muszę przynajmniej wiedzieć, że wszystko z nią w porządku. Rzucam na stół ostatnią kartę, celując w jej dumę.

- Zawsze obiecywaliśmy sobie, że nawet w razie rozstania pozostaniemy przyjaciółmi. Nigdy bym nie podejrzewał, że nie dotrzymasz słowa.

- Ja zawsze dotrzymuję słowa.

- Ella! Dzięki Bogu! Szalałem z...

- Przepraszam. Byłam... byłam zajęta...

Jej głos brzmi chrapliwie, jakby go długo nie używała.

- Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

- Nie całkiem. Co mi chcesz powiedzieć?

- Nie przez telefon. Westchnięcie. A potem:

- Gdzie?

- Co powiesz na knajpkę w Chelsea? Czwartek, powiedzmy o wpół do ósmej...

- W czwartek może być. Ale nie kolacja. Lunch.

- Ale...

- Lunch, Williamie.

Nie ułatwia mi zadania. Ale ją podejść. Kiedy usłyszy nowiny, zmieni zdanie.

Przynajmniej mam taką nadzieję.

Ella patrzy na mnie z przerażeniem.

- Nigdy cię o to nie prosiłam! Nie chcę, żebyś ją zostawiał dla mnie!

Kelner dopełnia nam kieliszki. Niecierpliwie czekam, aż sobie pójdzie.

- To po co to wszystko było? - syczę przez zaciśnięte zęby.

- Nigdy nie chciałam zniszczyć twojego małżeństwa. Dopada mnie gorzkie rozczarowanie. Nie tak miała zareagować.

- Na litość boską, Ella! Weź na siebie trochę odpowiedzialności! - Uderzam pięścią w stół i przechodząca obok kafejki starsza para pochyla się, jakby ktoś

wystrzelił. - Sypiałaś ze mną przez osiem lat, rozkochałaś mnie w sobie, a teraz chcesz umyć ręce i po prostu odejść, mówiąc, że to nie twoja sprawa?! Otóż to jest twoja sprawa, od chwili, gdy pocałowałaś mnie wtedy w parku! Po co miałbym odchodzić od Beth, jeśli nie dla ciebie?

Zachowuje się, jakbym to ją uderzył. Ostre kwietniowe słońce wyraźnie wydobywa zmarszczki wokół jej oczu i ust. Oczy ma podkrążone, spojrzenie zaszczutego zwierzęcia. Mówię sobie, że minęło dopiero kilka miesięcy od śmierci jej męża i niecałe cztery tygodnie od śmierci dziecka. Nic dziwnego, że wygląda koszmarnie.

Jak na ironię, Beth kwitnie. Właściwie chyba nigdy nie wyglądała lepiej.

Odchylam się na krzesło i z najwyższym wysiłkiem zdobywam na uśmiech.

- Czy możemy zamknąć przeszłość i pomyśleć o przyszłości? Unika mojego wzroku. Pokonuję przyływ odradzającego się gniewu. Czy ona nie rozumie? Chcę zostawić dla niej żonę.

- Za kilka tygodni Beth jedzie z Eithne na plener malarski do Włoch.

Moglibyśmy...

- Nie kocham cię, Williamie. Żołądek podchodzi mi do gardła.

- Przykro mi. Naprawdę bardzo cię lubię i świetnie się z tobą bawiłam, ale nie kocham cię. Nie chcę, żebyś dla mnie zostawiał żonę. Nie ma takiej potrzeby.

Czy to jakiś żart? Śmieję się niepewnie.

- Nie wierzę ci.

Składa ręce na kolanach i patrzy na mnie chłodno.

- Obiecaliśmy sobie, że jeśli jedno z nas zechce zakończyć ten związek, drugie nie będzie zadawać żadnych pytań. Postanowiłam zakończyć nasz romans, Williamie. Potrzebuję kogoś z mniejszym bagażem...

- Nie wierzysz, że ją zostawię? O to ci chodzi? - Głuptas, mogła po prostu powiedzieć. - Ale ja naprawdę od niej odejdę. Daj mi szansę, Ella. Wiem, że mnie kochasz.

- To nie było dziecko Jacksona - mówi spokojnie. Nie wierzę własnym uszom.

- Nie byłeś jedyny, Williamie, przecież wiesz. W końcu nie jesteśmy małżeństwem, prawda?

Zbiera mi się na wymioty. Nie dość, że z kimś się pieprzyła, to jeszcze zaszła w ciążę, w ciążę...

Boże miłosiwy. Trzymałem ją w karetce za rękę. Całą noc krążyłem po korytarzu!

Wściekłość przelewa się przeze mnie jak wezbrana rzeka. Mam ochotę mordować. Co za podstępna, oszukańcza, zdradliwa suka! Powinienem się tego spodziewać. Przede mną też szybko rozłożyła nogi. Co ze mnie za idiota. Myślałem, że jestem jedyny.

- Dziewka - rzucam, strząsając jej dłoń z ramienia i wstając tak gwałtownie, że przewraca się krzesło. Rzucam na stół garść banknotów. - Masz swoją zapłatę, powinno wystarczyć.

- William...

- Jackson miał szczęście.

Idę przed siebie, nie wiedząc dokąd. Nie mogę uwierzyć, że zostałem tak wykorzystany. Wszystko źle zrozumiałem. Nic dziwnego, że firma się wali. Moja zdolność oceny rzeczywistości nadaje się na śmietnik.

Wykołowała mnie. Wszystko było pięknie, dopóki mogła się chować za Jacksonem, ale teraz już nie ma gdzie. Nigdy mnie nie chciała. Szukała tylko podniety, smaku zakazanego owocu. Pewnie, że nie chciała, żebym zostawiał Beth. Byłem jej słodkim kąskiem na boku. Pewnie już znalazła sobie innego żonatego frajera.

Jak mogłem być tak cholernie naiwny?

Przez parę następnych tygodni chodzę jak otepiały. Teraz ja ignoruję jej telefony; usunąłem jej numer z komórki i założyłem blokadę na e-maila. Gdyby tak jeszcze móc założyć blokadę na ból.

Hoduję w sobie złość tak długo, jak się daje, ale w końcu do głosu dochodzi żal. Czuję się, jakby serce przepuszczono mi przez niszczarkę. Fakt, że zrobiła ze mnie frajera, boli jak worek soli wtarty w śmiertelną ranę.

Śmieszne, gdyby to się stało w dowolnym momencie podczas tych ośmiu lat, nie bolałoby tak. Jeszcze trzy miesiące temu nasz związek sprowadzał się do beztróskiego romansu. Poza wspólnymi nocami raz w miesiącu tak naprawdę nie istniał. Pilnowałem się, by nie wiedzieć za wiele o jej życiu ani o tym, co jej chodzi po głowie, a ona nie pytała o moje sprawy.

Śmierć Jacksona wszystko zmieniła. Dopiero wtedy poznałem prawdziwą Ellę: wrażliwą, kruchą kobietę pod świetnie dopasowaną maską. Zakochałem się w niej tak, jak nigdy nie zakochałbym się w dawnej, pewnej siebie Elli. Zakochałem się w jej strachu przed lataniem. W jej śmiesznych butach, w tym, jak nie cierpi gubić rzeczy, zwłaszcza od kompletu - rękawiczek, książek, kolczyków - w tym, jak cieknie jej z nosa, kiedy płacze, w jej nieprzewidywalnych, zmiennych nastrojach.

Tylko że to też nie była prawdziwa Ella. Kolejna maska.

Podnoszę z biurka skórzane pudełeczko i wkładam do kieszeni. Złota bransoletka od Cartiera; może nie spodoba się Beth, ale Cate na pewno doceni ten styl. Kazałem na niej wygrawerować imię żony.

Trzeba przyznać, że naprawdę się stara. Seks nie przyprawia mnie wprawdzie o zawroty głowy, ale jest regularny, a czasem nawet z jej inicjatywy.

Wybrały się też z Cate na zakupy i po raz pierwszy od dwudziestu lat Beth zmieniła uczesanie - ładnie jej w tej fryzurze na podlotka. Ale chodzi nie tylko o jej wygląd. We właściwy sobie, spokojny sposób dała wszystkim do zrozumienia, że nie da sobie już wciskać żadnego gówna. Wybiła mi z głowy nowego hummera i wymogła hybrydę (litości! widzę w tym rękę Cate). Trzeba się nieco z tym oswoić, ale muszę przyznać, że podoba mi się to jej nowe, odważne podejście do życia. Nawet sobie nie uświadamiałem, jak bardzo zmęczyło mnie dźwiganie tego małżeństwa w pojedynkę. Po raz pierwszy od wielu lat mam poczucie, że robimy coś wspólnie.

To Beth wystąpiła z inicjatywą kompromisowego rozwiązania kwestii Nowego Jorku. Wciąż wolałbym, żeby Cate wcale tam nie jechała, ale jeśli będzie z Benem, to zawsze trochę mniejsze zmartwienie.

Kiedy Beth poprosiła, żebyśmy dali sobie rok, widziałem w tym jedynie drogę do wolności po jego upływie. Ale kto wie, może jednak będzie to droga do wspólnej przyszłości.

Jestem prawie przy drzwiach, gdy dzwoni telefon. Rozglądam się za Carolyn, ale najwyraźniej już wyszła.

- William? Mówi Malinche Lyon. Długo mnie to męczyło, ale w końcu sobie przypominałam... Wyobraź sobie, że w supermarkecie mają teraz fantastyczny wybór ziół, nie zapomnę, jak musiałam prosić Kita, żeby mi przywoził kminek z Dubaju, bo tu nigdzie nie można było dostać świeżego... Zresztą nieważne... No więc przypominałam sobie, skąd znam tego ślicznego chłoptasia, którego widziałam w twoim biurze. Pewnie to bez znaczenia, ale Nicholas powiedział, że doszły go pocztą pantoflową jakieś wieści, że miałeś kłopoty z próbą wrogiego przejęcia, i wtedy mi zaświtało...

- Mal - pytam cierpliwie - o czym ty mówisz?

Chichocze.

- Tak, tak, znów zdziecinniałam. Nicholas mówi, że nie pamiętałabym nawet własnego imienia, gdybym nie miała go wydrukowanego na majtkach. O Danie, oczywiście. Tuż przed Wielkanocą był ze swoim prawdziwym ojcem w mojej restauracji. Znam Simona od lat. Dan jest przyszywanym synem Noble'a, pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

- To nie Dan szpiegował - oświadcza Beth.

- Co ty mówisz?! Jasne, że to on! - Miotam się po kuchni, mało nic rozdeptując psa. - A ja, pieprzony dureń, go zatrudniłem! Dałem mu robotę w mojej firmie!

Beth wkłada do zmywarki kolejny brudny talerz.

- To nie Dan - powtarza z uporem.

- Czy ty nie słyszysz, co mówię? To od początku musiało być ukartowane. Pamiętasz, jak ni stąd, ni zowąd nagle się tutaj pojawił! Cate nie miała pojęcia, że posłużył się nią, żeby się dostać do mnie, ale...

- Williamie, czy możesz się na chwilę przymknąć?

Bywają momenty, kiedy jej nowa asertywność traci na atrakcyjności.

Zatrząskuje zmywarke i odwraca się w moją stronę.

- To nie Dan! Chyba nie pójdziesz teraz do jego domu, żeby mu zarzucić szpiegostwo przemysłowe! Co chcesz zrobić? Wyciągnąć go z łóżka w środku nocy i powiesić na najbliższej jabłonce?

- Nie bądź melodramatyczna. - Przystając krążyć po kuchni i spoglądam na nią podejrzliwie. - A właściwie czemu jesteś go taka pewna?

- To również nie ja, jeśli to sugerujesz - rzuca.

W pokoju obok Cate ogląda telewizję. Ściszam głos.

- Zastanów się, Beth. Wszystko pasuje jak ulał. Przez ostatnie pół roku James Noble zawsze był o krok do przodu, podbierał moich najlepszych ludzi i wykradał mi klientów. Musi mieć kogoś w firmie, kogoś, kto ma dostęp do najbardziej poufnych informacji. To, że się do nich dostał, wyrządziło nam mnóstwo kłopotów. A Dan pojawił się na scenie właśnie przed Gwiazdką. Dodaj dwa do dwóch. Kto inny tutaj pasuje?

Beth krząta się, wycierając kuchenny blat. Przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie odzywa.

- Jest taka osoba - mówi wreszcie moja żona.

Siedzę w ciemnym samochodzie i patrzę na jej dom. Na dole pali się światło; przez drewniane okiennice widzę jej cień poruszający się po salonie. Nie mam pojęcia, jak długo tu jestem ani po co właściwie przyjechałem. W gałęziach drzewa ponad moją głowę buszuje łagodny wietrzyk. Majowe kwiecie spływa na maskę samochodu jak confetti.

Boże, chroń mnie od przyjaciół. Z wrogami poradzę sobie sam.

W oddali zegar kościelny wybija jedenastą. Gdzieś miauczy kot, chwilę później na ziemię spada pokrywka pojemnika na śmieci.

Nieoczekiwanie frontowe drzwi domu Elli się otwierają. Odruchowo pochylam się niżej, choć i tak nie może mnie zobaczyć. W jasnej jedwabnej koszuli nocnej lekko powiewającej na wietrze wygląda jak bogini: piękna i zdradliwa.

Za nią pojawia się druga sylwetka - wysoki mężczyzna o szerokich ramionach. Gdy staje w kręgu światła, rzucam ciche przekleństwo. Jest tak podobny do Jacksona, jak podobna może być tylko jedna osoba na świecie.

Ella się odwraca. Unosi głowę i całuje go, a on odwzajemnia pocałunek. Nawet z oddali czuję namiętność i pasję zawartą w tym pocałunku.

Zapalam silnik i ze złością wrzucam bieg. Pora przestać się oszukiwać. Ella i ja - to od początku była tylko bajka. Cieplarniany romans niezdolny do przetrwania w rzeczywistym świecie. Podniecała mnie i stanowiła trudne do opisanego wyzwanie, ale to nie są solidne podstawy małżeństwa. Była doskonałą kochanką. I tylko kochanką.

A Beth mnie kocha. Może nie jest to idealny związek, ale to moja żona. Łączą nas trójka dzieci i dwadzieścia lat wspólnego życia. Beth ma rację. Warto o to walczyć.

Kiedy wchodzę do domu, jest już po północy. Rzucam kluczyki do samochodu na stolik w holu. Cynamon śpi w koszyku w ciepłej kuchni; skomli cichutko, gdy głaszczę jego złocisty łeb.

Nalewam pół szklaneczki whisky i zamykam się w gabinecie. Pora dorosnąć, Will, stary chłopie. Ciesz się, że nie zrobiłeś z siebie durnia i nie zamieniłeś żony na tanią laskę.

Sypiając ze mną, oszukiwała Jacksona, a teraz mnie przyprawia rogi z jego bratem. Prawie jak w biblijnej przypowieści.

Boli jak diabli, ale dam sobie radę. Nie jestem nieopierzonym młodzieniaszkiem rzuconym przez pierwszą miłość. Wystarczająco długo żyję na tym świecie, by wiedzieć, że choćby nawet człowiek bardzo chciał, od złamanego serca

się nie umiera. Mam jeszcze Beth. Uwielbia mnie i jest nam razem dobrze. Więzi przyjaźni powstałe podczas wspólnych lat są nie do przecenienia. Beth wciąż się śmieje z moich dowcipów, nieważne, że już je słyszała.

Dopijam drinka i wyłączam światło. Nadeszła pora bardziej się postarać z Beth. Przez ostatni miesiąc to głównie ona stawiała na głowie; ja niewiele z siebie dawałem, jeśli mam być szczery. Poza seksem, oczywiście. Tutaj raczej nie może narzekać.

Ku memu zdziwieniu Beth siedzi w ubraniu na łóżku i czyta. Gdy mnie dostrzega, odkłada książkę i zdejmuje okulary.

- Nie musiałaś czekać, kochanie. Powiedziałem, że późno wrócę.
- Ściągam krawat i siadam na krawędzi łóżka, żeby rozsznurować buty.
- Coś nie tak?
- Tak, Williamie, przykro mi. Podnoszę wzrok.
- Czemu ci przykro?
- Zdecydowałam się - odpowiada Beth. - Odchodzę od ciebie.

Rozdział 15

Beth

Każdy by doszedł do wniosku, że coś jest nie tak, gdyby w kukurydzianych płatkach zaczął dostrzegać twarz księżnej Diany.

Dostałam od Cate drugą szansę. Trzeciej nie dostanę.

Zawsze wiedziałam, że wcześniej czy później znów będę musiała zacząć brać pigułki. Inaczej nie zabierałabym ich ze sobą do Paryża, schowanych głęboko pod poszewką torby, żebym mogła udawać, że ich tam w ogóle nie ma. Dziś rano wydałam dziewięćset euro na piękną fajkę dla Williama. A przecież on nie pali.

Nie mogę sobie pozwolić na kolejny okres manii. Łykam lekarstwa. Teraz muszę tylko dopilnować, żeby tego nie zmarnować.

William usiłuje mnie minąć w drzwiach. Zbieram w sobie odwagę, by zacząć najważniejszą grę mojego życia, grę, w której mogę stracić wszystko.

- A twój romans?

Krew odpływa z jego twarzy. Trafiony, zatopiony. Uświadamiam sobie, że wciąż miałam nadzieję, że to nieprawda.

Odwracam się do okna, by nie widział mojej twarzy.

- A raczej romanse - dodaję lekko. - Na pewno był niejeden. W końcu nie uprawialiśmy seksu od ośmiu lat. Musiałbyś być z kamienia, żeby w ogóle tego nie potrzebować, a o zdejmowanie panienek z ulicy raczej cię nie podejrzewam. - Dziwię się, że mój głos brzmi tak spokojnie. - Cate uciekła, ponieważ ją opuściliśmy. To w dużym stopniu moja wina, wiem. Zrobiłam jej wielką krzywdę i będę musiała z tym żyć.

Ale dużo jest też naszej wspólnej winy. Twojej i mojej. Cate to jeszcze dziecko, Williamie, potrzebuje nas.

Wyczuwam wahanie Williama. Chyba nie wie, jak zareagować. Nienawidzi scen.

- Nigdy nie chciałem cię zranić.

- Nie winię cię, Williamie. Nie o to chodzi.

Kiedy mówię mu, czego oczekuję, jestem przygotowana na ripostę, że przecież wcale nie zamierza mnie zostawiać. Może w pewnym sensie to prawda. W końcu jest mężczyzną, przyzwyczał się do wygody, do domowej rutyny. Nie będzie chciał odejść - chyba że ma do kogo.

Zaskakuje mnie jednak ten rozpaczliwy głód w jego oczach.

Widzę, jak w jego umyśle waży się moja przyszłość. Wiem, że nie traktuje poważnie mojej oferty - nie w takim sensie, jak chciałam. Jeśli się zgodzi, to nie dlatego, by dać szansę naszemu małżeństwu, ale dlatego, że szuka drogi wyjścia z niego, wolnej od poczucia winy i zobowiązań.

- Rok? - powtarza powoli.

Teraz albo nigdy, mówię sobie. Dan mnie pragnął. Eithne mnie pragnęła. Jeśli mam zatrzymać męża, muszę sprawić, by też mnie pragnął. Istnieje kobieta, która mi go ukradła, która wie, jak zadowolić mojego męża, kobieta o długich nogach, chętnym ciele i powłóczystym spojrzeniu. Jeśli mam go odzyskać, muszę sprawić, by znów zaczął mnie pragnąć.

To, czy ja pragnę jego, nie jest w tej chwili istotne.

- Jeszcze jedno - mówię i podchodzę do niego.

Rozbieram się, nie spuszczać z niego wzroku. Nie potrafię opanować drżenia rąk. Nie widział mnie tak naprawdę od bardzo dawna. Mam czterdzieści jeden lat (ile ma ona?); moje piersi wiszą, brzuch pokrywa siateczka rozstępów (czy ona ma dzieci?). Może myśl o kochaniu się ze mną napełni go odrazą. Może się roześmieje.

Nie jestem w stanie dłużej patrzeć mu w oczy. Rozpinając stanik, pochylam głowę i przyłapuję się na spojrzeniu na jego krocze. Pojawiła się tam niebudząca wątpliwości wypukłość.

„Jesteś piękna i nawet o tym nie wiesz! Właśnie to jest w tobie niesamowite. Nie wiesz, jaka jesteś śliczna!” Jeśli jestem piękna w oczach Eithne, to może także w oczach Williama.

Podchodzę do niego i odpinam mu spodnie. Jego penis wyskakuje na moją dłoń, przeżąc się pod jej dotykiem. Co teraz zrobiłaby jedna z tych kipiących seksem bohaterek tandetnych romansidel? Coś, czego dawna Beth nigdy by nie spróbowała. Opadam na kolana i biorę go do ust. Nie takie to straszne. William drży gwałtownie i ściska boleśnie moje ramiona. Chyba nie jestem w tym najlepsza, ale robię, co mogę; liżę jego penisa, jakby to były rozpuszczające się na słońcu lody na patyku. Jęczy, więc najwyraźniej nie idzie mi tak źle.

- Beth... jesteś pewna?

- Żadnego klejenia skorup, Williamie - odpowiadam zdecydowanie. - Jeśli ma nam się udać, musimy się przyłożyć.

Otwieram szeroko usta, prosząc los, bym nie zaczęła się dławić. Tytułem eksperymentu głaszczę jego jądra. W odpowiedzi podnosi mnie, niesie i niemal rzuca na łóżko.

Po raz pierwszy od początku tej zabawy zaczynam odczuwać podniecenie. William rozchyła moje uda i zanurza między nie głowę. Siadam, by zaprotestować - „Nie myłam się! Nie jestem gotowa!” - ale przypominają mi się romansidla. Niewykluczone, że słowa mężczyzny o brudnym seksie należy traktować nie tylko w kategoriach figury stylistycznej.

Nigdy nie byłam zbyt śmiała w łóżku. Niektóre wynalazki wydają mi się mało higieniczne. Kajdanki też nie były moim mrocznym przedmiotem pożądania.

Ale w ostatnich miesiącach podrywał mnie facet w wieku mojej córki i przespałam się ze swoją najlepszą przyjaciółką. Chyba więc mogę pozwolić mężowi na małą minetę.

- Troszkę szybciej - proszę.

Nie jest tak uzdolniony jak Eithne, myślę, by za chwilę z dużą przyjemnością stwierdzić, że już nie myślę wcale.

- Oczywiście, on zupełnie się nie stara - mówię - jeśli pominąć kwestię sypialni, rzecz jasna.

Eithne pociąga kolejny łyk wódki ze swojej flaszki.

- Nie nazwałabym tego staraniem - odpowiada.

- Cóż, kochanie, obie wiemy, że nie jestem jedną z tych nienasyconych bestii, i raczej już nie będę. William naprawdę bardzo się przykłada, tylko niestety dobrze widzę, że myślami jest zupełnie gdzie indziej.

- Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o sobie - wzdycha Eithne.

Biorę się do marchewek.

- Przez pierwsze tygodnie po naszym powrocie z Paryża wszystko było dobrze, właściwe aż za dobrze - mówię z bólem. - Był grzeczny jak dziecko czekające na Świętego Mikołaja. Ale parę dni temu wrócił do domu w okropnym humorze i od tego czasu zachowuje się dziwnie. Nie wiem, co się dzieje, bo niczego mi nie mówi. Godzinami siedzi w swoim gabinecie i rozmyśla. Szczerze mówiąc, Eithne, zaczynam podejrzewać, że firma się sypie i William boi się, że zostanie goły jak święty turecki. Co gorsza, kupuje mi śmiesznie drogie prezenty, pewnie w ramach przeprosin za swoje zachowanie, a potem zapomina, co mi kupił, i daje mi drugi raz to samo. - Przestaję skrobać marchewkę i przesuwam pieczeń poza zasięg zębów Cynamona. - Musiałam już oddać dwie bransoletki od Cartiera, zresztą ku wielkiemu niezadowoleniu Cate. Chciała je sprzedać na eBayu i kupić sobie samochód.

- Sprytna dziewczyna. Muszę przyznać, że Cate coraz bardziej mi się podoba.

- Hm, nie jestem pewna, czy to mnie cieszy - rzucam.

- A nie płacze za chłopakiem?

- Za Danem? - Nagle całą uwagę skupiam na warzywach.

- Tak, za Danem - uśmiecha się Eithne. - Ależ z ciebie kłamczucha, Beth.

- Przecież nic nie powiedziałam...

- Nie musiałaś.

Kończę skrobanie marchewek i sięgam po torbę z brukselką.

- Wciąż do mnie wydzwania - wyznaję. - Od powrotu z Francji zostawił mi już chyba z tysiąc wiadomości na sekretarce. Oczywiście na żadną nie odpowiedziałam...

- Dlaczego to takie oczywiste?

- Dlaczego? Eithne, no przecież... Oczywiście i już!

- Jasne, teraz rozumiem, czemu wolisz tracić czas z nic niewartym mężem zamiast zabawić się z fantastycznym młodym chłopakiem, który kompletnie oszalał na twoim punkcie i na pewno chętnie by się tobą należycie zajął. Daję słowo, Beth, z wdzięczności całowałabyś go po rękach. I to mówię ja, najmniej tym zainteresowana - dodaje z sarkazmem.

- Nie oszalał...

- Kłamstwo naprawdę nie jest twoją mocną stroną - przerywa mi Eithne. - Jesteś czerwona jak burak.

- Podaj mi garnek - mówię. Podaje mi go i zapala papierosa.

- To z powodu Cate?

- Nie! To znaczy oczywiście też. Już z nim skończyła, ale nie byłoby jej przyjemnie, gdyby jej matka i on... Tak czy owak, nie o to chodzi!

- Więc o co?

- Zrozum, Eithne - wołam - jestem mężatką. To wciąż coś dla mnie znaczy, nawet jeśli w dzisiejszych czasach jestem osamotniona w swoich poglądach. A poza tym jestem od niego dwa razy starsza! Co mamy ze sobą wspólnego? Gdy on stawiał pierwsze wieże z klocków, ja studiowałam w St. Martins!

Wrzucam marchewki do wody i stawiam garnek na płycie.

- Urodziłam pierwsze dziecko, kiedy on dopiero przestał sikać w pieluchy! Przecież to by było bez szans. I to raczej ja wyszłabym z tego pokiereszowana, nie on - dodaję rozsądnie. - Wiesz, że jak już coś robię, to na całego.

- Przykładasz do tego zbyt dużą wagę - odpowiada Eithne. - To tylko seks. Czy nie?

Moja przyjaciółka zawsze chętnie służy kubłem zimnej wody. Wiem, że Dan emabluje mnie, żeby dostać to, czego chce, ale wydaje się naprawdę taki...

Nagle czuję się jak kompletna idiotka. Ta zimna woda bardzo się przydała. Pozwoliłam temu chłopakowi wodzić się za nos. Ale gdy spojrzeć chłodnym okiem,

od razu wszystko wygląda inaczej. Już dawno powinnam powiedzieć Williamowi, zaraz jak Dan się przyznał. Jeśli William straci firmę, to będzie tylko moja wina.

- Proszę, Beth, pozwól mi coś powiedzieć, zanim mnie wyrzucisz - rzekł Dan, kiedy pojawił się tego wieczoru, gdy zniknęła Cate. - Dwie bardzo ważne rzeczy. Wysłuchasz mnie?

Myślałam, że chce mi powiedzieć coś o Cate, więc wpuściłam go do środka.

Dan podniósł doniczkę z tymiankiem i ją odstawił, potem wziął z półki nóż do obierania warzyw, sprawdził kciukiem jego ostrość i odłożył na deskę. Był tak zmieszany, że aż musiałam się uśmiechnąć. Gdy Cynamon uniósł łeb, Dan pochylił się i dał mu parę psich przysmaków, które zawsze nosi w kieszeni plecaka.

Pies mu ufa, pomyślałam wtedy. Nie może być złym człowiekiem.

- Dan, proszę, nie mam wiele czasu...

Wyprostował się i popatrzył na mnie tymi niesamowicie zielonymi oczami.

- Myślę, że się w tobie zakochałem - powiedział po prostu. - Próbowałem się odkochać. Nie obrażaj się, ale w końcu nie mogę się z tego cieszyć. Mężatka dwa razy starsza ode mnie, z dorastającymi dziećmi i tak dalej...

- Jasne - odpowiadam słabo.

- Nie bawiłem się Cate - dodaje szybko. - Nie chciałem jej zranić. Ale ona jest tak podobna do ciebie. Miałem nadzieję, że odnajdę w niej to, co czuję do ciebie, ale...

Naprawdę nie mogłam tego słuchać. Obchodziła mnie tylko moja córka.

- A ta druga sprawa? Co to takiego, Dan?

- Musisz mi uwierzyć - błaga. - Nie wiedziałem, co robi James. To nie ma nic wspólnego ze mną, nie brałem w tym udziału, przysięgam...

- I wierzysz mu? - pyta Eithne, gdy skończyłam jej wszystko relacjonować.

- Nie powinnam była - odpowiadam gorzko. - Ale pozwoliłam sobie wmówić, że Dan nie ma nic wspólnego z Jamesem Noble'em, bo chciałam wierzyć, że jedno i drugie jest prawdą. Po prostu oszukiwałam samą siebie. Jasne, że on mnie nie kocha! To przecież śmieszne, nawet dla mnie...

- Co jest śmieszne? To, że ktoś mógł się w tobie zakochać?

- On tylko próbuje zyskać na czasie, żebym nie powiedziała wszystkiego Williamowi. Wykorzystuje mnie, tak jak wcześniej wykorzystywał Cate...

Eithne patrzy na mnie dziwnie.

- A gdyby nie był pasierbem Noble'a?

Już chcę zaprzeczyć, ale Eithne ma rację: jestem kiepską kłamczuchą. Coś ciągnie mnie do Dana od chwili, gdy spotkaliśmy się na wystawie malarstwa. Tylko wcześniej nie przyznawałam się do tego.

Nie pozwolę na rozpad rodziny z powodu romansu z chłopakiem, który zabawi się z Mrs. Robinson, a potem ją rzuci. Nie jestem aż tak głupia. Ale jego względy znaczą dla mnie więcej, niż chcę przed sobą przyznać. Sprawił, że zaczęłam w siebie wierzyć. Świadomość, że to tylko kolejne kłamstwo, jest bardzo bolesna.

Wzruszam ramionami z oczyma błyszczącymi od łez.

- Dan cię kocha - mówi Eithne.

- Nie. Najwyższa pora, żebym przestała...

- To nie Dan szpiegował dla Noble'a, to ja.

- Zawsze ci mówiłam, że ta dziewczyna to jeden wielki kłopot - rzędzi Clara.

- Te wszystkie kolczyki i tatuaże.

- Nie ma tatuażu, mamó. A poza tym nigdy nie mówiłaś...

- Beth, wcale się nie cieszę, że wyszło na moje. Znasz mnie przecież. Żyj i pozwól żyć innym, to moje motto.

Wrywam chwasty z klombu z nieco większą siłą niż to konieczne.

- Nie dziwota, że William prawie z tobą nie rozmawia - mówi Clara. - To nie są chwasty, kochana, powyrywasz wszystkie kwiaty, jak tak dalej pójdzie. Ten biedny człowiek harował dnie, a ty mu psułaś szyki, hodując zmię na swoim łonie.

No właśnie, myślę ponuro, posyłając jej mordercze spojrzenie. Liczę do dziesięciu i modlę się o cierpliwość.

- Nie powinnaś się dziwić, że teraz się wścieka. Nie znasz się na ludziach, Beth. Musisz mieć to po ojcu. On też zawsze się mylił co do ludzi...

Śmieję się w duchu i grzbietem dłoni ocieram brud z czoła.

- Zobacz, mam, jak w tym roku pięknie zakwitły róże. Pamiętasz, jak tata co tydzień ci je wysyłał, kiedy się do ciebie zalecał? Szalał za tobą. Zupełnie stracił głowę - dodaje znacząco.

Matka się krzywi jak po szklance soku z cytryny. Punkt dla mnie.

- Niepotrzebnie obciąłaś włosy - mówi nadąsana. - Nie mogę się przyzwyczać do tej nowej fryzury.

- Mam wielką ochotę na tatuaż. Myślałam o delfinku na prawym ramieniu...

- Doprawdy, Beth, zdumiewa mnie twoja ochota do żartów. - Owija pnącze powojnika wokół kuchennego okna. Od razu je uwalniam. - Rozumiem, że jej płacił? Znaczy się Eithne. Trzydzieści srebrników, czy ile tam dziś się daje za zdradę przyjaciół.

- Tak naprawdę ona starała się pomóc. - Wzdycham.

- Nie rozumiem, jak możesz jej bronić - warczy Clara. - Jeszcze moment, a byłabyś przez nią goła i wesola.

- To skomplikowana sprawa, mam. Posłuchaj, naprawdę muszę zabrać się do...

- Przynajmniej przestaniesz nalegać na ten nonsensowny wyjazd do Włoch - przerywa mi. - Ta kobieta wreszcie pokazała swoje prawdziwe oblicze. Choć i bez tego ten pomysł był absurdalny. W twoim wieku jechać na kontynent, żeby się zabawiać w odkrywanie sztuki. Żalotne. No i co się stanie z twoją rodziną, kiedy ty będziesz się szwendać po Europie.

Usiłuję powstrzymać gniew.

- Nic im nie będzie. Cate doskonale potrafi...

- Doskonale potrafi! Toż to prawie dziecko specjalnej troski. Od małości powinnaś ją trzymać twardszą ręką. Przykro mi o tym mówić, ale...

Biorę kosz i prostuję się.

- Cate nie jest dzieckiem specjalnej troski. Jest piękna, urocza, bystra i jestem z niej bardzo dumna! - Nie potrafię już panować nad gniewem. - Moja córka ma wytrwałość, talent i ambicję, a my obie możemy co najwyżej pomarzyć, żeby choć w połowie jej dorównać. Nie życzę sobie, żebyś przychodziła do mojego domu i zatruwała swoim jadem moją rodzinę! Wystarczy, że z mojego życia zrobiłaś koszmar. Nie chcę, żebyś teraz pastwiła się nad Cate!

Cała się trzęsę. Nigdy nie mówiłam takim tonem do mojej matki.

- No cóż, nic dziwnego, że ta dziewczyna jest wykolejona, skoro w domu ma taki przykład! - Clara marszczy brwi. - Nie pozwolę się tak traktować przez kość z moich gości i krew z mojej krwi. Kiedy będziesz chciała mnie przeprosić, wiesz, gdzie mnie szukać.

Kiedy wpada do domu, siadam na kamiennych schodkach w różanym ogrodzie, na wpół płacząc, na wpół się śmiejąc. Czterdzieści jeden lat zbierałam się na odwagę, by przeciwstawić się matce, ale już wiem, że to na nic. Będę ją musiała teraz przeproszać, a ona przeciągnie mnie przez wszystkie kręgi piekieł, nim da się w końcu udobruchać.

Och, Eithne. Co cię opętało?

Nigdy nie zaakceptowała Williama, to wiem od dawna, ale nie miałam pojęcia, że posunie się do sabotażu. Naprawdę wierzyła, że zniszczenie firmy zmusi mnie do stanięcia na własnych nogach? - „Gdyby nie to, że cały czas cię niańczy, zrobiłabyś coś ze sobą; proszę, musisz mi uwierzyć. Nie chciałam cię skrzywdzić. Chciałam ci tylko pomóc” - czy to tylko zwykła zemsta?

Choć to okropne, w pewnym sensie Eithne ma rację. Gdy William zaczął walczyć o utrzymanie firmy, jego pewność siebie trochę zmalała. Po raz pierwszy od początku naszego małżeństwa nie czuję się przez niego przytłoczona.

Podnoszę wzrok na odgłos kroków.

- Mamusiu? Wszystko w porządku? Uśmiecham się do córki.

- Sama nie wiem.

Cate przysiada obok mnie. Jest trochę blada, wczoraj została na noc u Clem i chyba za późno się położyła.

- Czy to prawda? - pyta. - To Eithne szpiegowała? Kiwam głową.

- Ale dlaczego? Myślałam, że jest twoją przyjaciółką.

- Tak naprawdę nigdy nie wybaczyła mi małżeństwa z twoim tatą - wzdycham. - To jego obarcza winą za to, że nie maluję.

- Poniekąd ma rację. Patrę na nią zdumiona.

- Daj spokój, mamó. Przecież wiesz, że tata ma hopla na punkcie dyrygowania życiem innych. Zawsze robiłaś wszystko tak, jak chciał.

- Zawsze mnie zachęcał do malowania...

- Tak, ale hobbystycznego. Wyobrażasz sobie, co by powiedział, gdybyś nagle zechciała robić karierę albo coś w tym stylu? - Podnosi delikatną pnącą różę i wącha. - Niewiarygodny zapach. Są w tym roku przepiękne.

- Cate, to nie jest wina ojca - mówię. Nagle bardzo mi zależy, żeby to wyjaśnić. - To ja pozwoliłam mu przejąć kontrolę nad moim życiem. Obwinałam jego, obwinałam chorobę, ale prawda wygląda tak, że to tylko moja wina, że nie maluję.

Nawet sama przed sobą nigdy się do tego wcześniej nie przyznałam.

- Bałam się porażki - wyznaję. - Więc łatwiej było nie próbować wcale.

Cate bierze sekator, ścina tuzin białych róż i wypełnia nimi kosz. Ich słodki zapach płynie w moją stronę.

- Jedziesz w sobotę do Włoch? - pyta.

- Nie. Zresztą i tak nie mogłam się zdecydować, żeby cię zostawić. Pewnie z Eithne jakoś się w końcu ułoży, ale to trochę potrwa. Nie powinna była tego robić bez względu na to, co nią kierowało. Ufałam jej, Cate. To ona zawsze mi powtarzała, że bym przestała być popychadłem i nie dawała innym sobą rządzić. - Uśmiecham się smutno. - Długo będzie się musiała kajać, zanim znów będziemy przyjaciółkami. I chociaż rozumiem jej intencje, nie sędzę, żeby jeszcze kiedyś było tak jak dawniej.

- Nie potrzebujesz jej, mamó. Głaszczę ją po głowie.
- Nie teraz, kiedy mam ciebie. Cate odsuwa moją rękę.
- Mamó, ja mówię o wyjeździe do Włoch. Powinnaś jechać sama.
- Nie mogę.
- Dlaczego nie? To tylko trzy tygodnie. Pani Ghedini może przychodzić i

pomagać nam w domu. Poradzimy sobie z tatą.

Już chcę jej powiedzieć, żeby nie była głuptasem, ale powstrzymuję się. Tak czekałam na ten wyjazd do Włoch. Pieta, kaplica Sykstyńska, katakumby Kaliksta - długie godziny chodzenia, patrzenia, może nawet malowania. Eithne byłaby świetną towarzyszką, to jasne, ale także nieco... hm, wymagającą. Nigdy nie wyjeżdżałam sama, choćby tylko na weekend. A dzieciom przecież nic się nie stanie...

- A tata? Nie mogę go zostawić. To nie byłoby w porządku.
- Mamó, dla odmiany pomyśl raz o sobie.

Patrzę w jej oczy koloru morza i nagle uświadamiam sobie, że ma na myśli nie tylko te trzy tygodnie we Włoszech.

- Nie musisz zostawać dla mnie - mówi cicho. - Ja niedługo też wyjadę. Jeśli nie spróbujesz teraz, możesz się na to już nigdy nie zdobyć. Chcę żebyś była szczęśliwa, mamó. Kiedy mówiliśmy w szkole o tragedii „Titanica” - dodaje, spuszczając wzrok i bawiąc się sekatorem - pani Buchanan powiedziała, że więcej osób mogłoby się uratować, gdyby jedni nie czepiali się tak kurczowo drugich. Czasami trzeba... po prostu trzeba odejść.

Przetacza się przeze mnie fala miłości do tej wspaniałej, jedynej w swoim rodzaju dziewczyny.

- Od kiedy jesteś taka mądra? - szepczę.
- Wszystko będzie dobrze, mamó - mówi Cate. - Jedź. Nic mi się nie stanie.

Tacie też. Poradzimy sobie.

- Bardzo kocham twojego ojca.

Kiwa głową, a jej oczy podejrzenie błyszczą.

- Ale to nie zawsze wystarcza, prawda?

- Tak. - Przytulam ją, zasmucona, że tak wcześnie musiała odebrać tę naukę.

Co było punktem zwrotnym? - zastanawiam się. Ten krótki moment w Paryżu, kiedy wcale nie szminka na kołnierzyku, ale jego oczy powiedziały mi, że ma romans? Wypisana na jego twarzy tęsknota za nią, gdy zaoferowałam mu szansę ucieczki? A może ta chwila, gdy stał nade mną i pilnował, żebym połknęła pigułki? Jak strażnik nie kochanek.

Na moich kolanach leży zamknięta powieść Wirginii Woolf. Może stało się to wtedy, gdy Cate swoją ucieczką uprzytomniła nam, że ponieśliśmy porażkę jako rodzice? A może wtedy, kiedy błagałam Williama, żeby nie odsyłał Sama do szkoły z internatem, a on i tak postawił na swoim?

Albo wtedy, gdy zabrał dzieci na narty, ale mnie zostawił w domu, bo uznał, że moja obecność odbiera im odwagę? Albo wtedy, kiedy wyśmiał mój pomysł otwarcia małego sklepiku z dziełami sztuki. Albo gdy w wietnamskiej restauracji wybierał potrawy za mnie, bo uznał, że sama sobie nie poradzę?

A może wtedy, kiedy poszłam do łóżka z Eithne i przez chwilę patrzyłam na siebie jej oczyma, nie jego? Albo wtedy, kiedy Dan powiedział, że mnie kocha, i uświadomiłam sobie, że czuję się opuszczona przez Williama?

Nie, to zaczęło się znacznie wcześniej. Wtedy, gdy na Cyprze William zameldował się w hotelowym pokoju z inną kobietą, podając ją za swoją żonę.

Albo jeszcze wcześniej, w tym okropnym miejscu, w którym trzymali mnie przymocowaną do stołu skórzanymi kajdankami i przykładali elektrody do mojej głowy.

A może na samym początku, kiedy zbudowałam małżeństwo na kłamstwie, największym kłamstwie ze wszystkich.

To nie na Williama jestem zła.

Przez lata akceptowałam miłość z drugiej ręki i drugiego gatunku, bo nie miałam odwagi zażądać dla siebie lepszej. Oszukiwałam nas oboje. Użyłam kłamstwa, by usidlić Williama, a żalu i poczucia winy, by go do siebie przywiązać.

Uzyskałam tyle, że oboje jesteśmy nieszczęśliwi. Cate ma rację. Muszę nas uwolnić, nim będzie za późno.

Na podjeździe skrzypią koła samochodu Williama. Spoglądam na zegar na nocnej szafce. Już prawie północ. Gdzie on się podziewał?

Nieważne. Jakie to ma teraz znaczenie?

Mija kolejnych dwadzieścia minut, zanim w końcu wchodzi na górę, pachnąc goryczą i whisky. Zdejmuję okulary do czytania i odkładam książkę.

- Nie musiałaś czekać, kochanie - mówi znużony. - Powiedziałem, że późno wrócę.

Zdejmuje krawat i rzuca na podłogę, żebym jutro mogła go podnieść i odłożyć na miejsce, po czym siada ciężko na łóżku, by rozwiązać buty.

- Coś nie tak?

- Tak Williamie, przykro mi.

- Czemu ci przykro?

Nagle wszystko staje się takie proste.

- Zdecydowałam się. Odchodzę od ciebie.

Przez chwilę nie reaguje. A potem wybucha śmiechem.

Ogarnia mnie taka wściekłość, że nie mogę się nadziwić, czemu pościel nie stanęła w ogniu. Podrywam się łóżka i staję na wprost niego. Teraz nie może mnie zignorować ani pogłaskać po główce i odprawić.

- Czy myślisz, że moje życie z tobą jest tak cudowne, że nie mogę chcieć odejść?! Myślisz, że jestem zachwycona, kiedy patrzysz na mnie jak na psie gówna, które przykleiło ci się do buta?!

Jest zaskoczony.

- Nie z tego... Trzęsę się ze złości.

- Przez dwadzieścia dwa lata traktowałeś mnie jak ubogą krewną, a ja byłam taka głupia, że ci na to pozwalałam! Tobie, Clarze, nawet dzieciom - wszyscy traktowaliście mnie jak wioskowego głupka, niezdolnego do samodzielnego

myślenia i własnych uczuć! Przez czterdzieści lat nie śmiałam nawet zmienić fryzury! Czy zdajesz sobie sprawę, jak trudno się z tobą żyje?

Odsuwa mnie, idzie do łazienki i obmywa twarz zimną wodą.

- O co ci naprawdę chodzi, Beth? Nie wzięłaś leków? Miałem koszmary dzień i ostatnia rzecz, jakiej teraz pragnę, to pieprzona harpia, która chce sobie na mnie poćwiczyć chwytanie za jaja.

- Tym razem nie chodzi ani o leki, ani twoje romanse, ani o godziny, które spędzasz, cackając się ze swoją firmą, zamiast być tam, gdzie twoje miejsce, czyli przy rodzinie. Tym razem chodzi o mnie.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, że może to z twojego powodu unikam rodziny?

- A tobie nigdy nie przyszło do głowy, że to cholerne kłamstwo? Wpatrujemy się w siebie. Jemu pulsuje żyłka na czole; ja ledwie łapię oddech.

Nagle mój gniew wyparowuje.

- Oboje zdecydowanie za długo używaliśmy mojej choroby jako wymówki - mówię, przysiadając na krawędzi wanny. - Choć raz bądźmy wobec siebie uczciwi. Gdybym nie zaszła w ciążę, nie ożeniłbyś się ze mną. Nigdy mnie nie kochałeś, i wiedziałam o tym. Moja choroba dla nas obojga była wymówką; dla ciebie, żeby szukać innych możliwości, dla mnie, żeby nie próbować niczego zmieniać. Przestańmy się czarować. Nasze małżeństwo skończyło się, jeszcze zanim się zaczęło.

- A czyja to wina?

- Moja - przetykam z trudem ślinę. - Ben to nie była wpadka.

Patrzy na mnie długą chwilę, po czym odwraca się na pięcie i odchodzi. Idę za nim do jego gabinetu i cicho zamykam za sobą drzwi. Cate nie powinna tego słyszeć.

- Nie jesteś zły? - pytam.

- A w czymś by to pomogło?

- Wyrzuciłam nam ogromną krzywdę - mówię.

Nalewa whisky do dwóch kryształowych szklanek i podaje mi jedną. Alkohol pali mnie w przełyku, ale nie rozpuszcza lodowego głazu tkwiącego gdzieś w moim brzuchu.

William siada w fotelu, trzymając szklankę w obu dłoniach. Porażka jest wpisana w każdy mięsień jego ciała. Wygląda, jakby nawet na kłótnię nie miał już siły. Tylko pewność, że postępuję właściwie, powstrzymuje mnie przed wzięciem go w ramiona i błaganiem o wybaczenie.

- Jesteś pewna? - pyta, nie podnosząc wzroku. - Moglibyśmy spróbować jeszcze raz...

- Myślę, że oboje zdajemy sobie sprawę, że już zaszliśmy za daleko.

- A rok czekania na Cate?

- Dla Cate będzie lepiej, jeśli będę szczęśliwa, niż jeśli będę tutaj - odpowiadam spokojnie.

William kiwa głową.

- Co chcesz, żebym zrobił? - pyta głosem pełnym rezygnacji.

- Chcę, żebyś był ze mną szczerzy. Kochasz mnie, Williamie?

Zamyka oczy i odchyła się do tyłu. Gdzieś na zewnątrz pohukuje sowa.

Stojący w holu zegar po dziadku odmierza czas w rytmie mojego serca.

- Nie, nie w sposób, na jaki zasługujesz.

- Dziękuję - mówię cicho.

- I co teraz?

Siadam na krześle przy oknie i opieram głowę o chłodną szybę. Jest pełnia, ogród jest skapany w białym blasku. Na trawnik wbiega lis, węszy chwilę i znika.

- W sobotę pojedę do Włoch - mówię. - To da nam obojgu czas, jakiego potrzebujemy, żeby postanowić, co dalej. Kiedy wrócę, porozmawiamy o szczegółach i o kwestiach praktycznych. Nie chcę dużo...

- Powinnaś zatrzymać dom. Mnie wystarczy mieszkanie w Londynie. Co mam powiedzieć dzieciom?

- Samowi na razie nic nie trzeba mówić. Możemy powiedzieć mu o wszystkim podczas wakacji. Ale Ben i Cate powinni od razu poznać prawdę.

- A jak ona brzmi? - pyta, patrząc mi w oczy.

- Że oboje ich kochamy i zawsze będziemy kochać. Że są naszą najlepszą częścią i jesteśmy z nich dumni. I że zawsze będziemy, ilekroć będą nas potrzebowali.

- Nie poślubiłem cię z powodu Bena - mówi William. - Zrobiłbym to tak czy inaczej.

- Mam nadzieję, że ona uczyni cię szczęśliwym, Williamie. Kimkolwiek jest.

- Nikogo nie mam - mówi zrezygnowany. - Naprawdę nikogo.

Tydzień później pływam w morzu różowości, niemal pijana od zapachu azalii pokrywających każdy centymetr Hiszpańskich Schodów. Nie miałam pojęcia, że co roku w maju rzymianie robią coś takiego. Kwietny dywan pnie się w górę ku stojącemu na szczycie kościołowi Trinite del Monte, do którego w XVIII wieku przychodzili najpiękniejsi mężczyźni i najpiękniejsze kobiety w nadziei, że jakiś artysta wybierze ich do pozowania. Przypominam sobie swoją przygodę z pozowaniem i przez chwilę myślę o Danie.

Przesuwam okulary na czoło, przeciskam się obok par, które obsiadły gęsto schody, i włączam się w tłum turystów sunących po placu. Robią zdjęcia i wrzucają monety do stojącej pośrodku fontanny w kształcie łodzi.

Mój wzrok przyciąga para dobiegająca pięćdziesiątki. Zagięcia na ich ubraniach, jakby właśnie wyjętych z celofanowych opakowań, wskazują, że to ich pierwszy wspólny wyjazd od lat. Pewnie ich dzieci właśnie opuściły gniazdo i przyjechali tu na drugi miesiąc miodowy. Odchodzą, trzymając się za ręce.

Wciąż tęsknię za Williamem, każdego ranka budzę się i zadaję sobie pytanie, czy słusznie postąpiłam.

Dobrze, że jestem daleko, inaczej chyba nie zdołałabym wytrwać w swoim postanowieniu.

Odsuwam myśli o Williamie i uskakując przed brzęczącymi jak moskity motorowerami, idę Via Bocca di Leone do taniego mieszkania na piątym piętrze, które wynajęłam. Ciasną, okupowaną przez pająki łazienkę dzielę z lokatorami pięciu pozostałych mieszkań, w kamienicy nie ma windy, za to śmierdzi wyziewami kuchennymi, ale światło w mojej maleńkiej sypialni jest niezwykle. Namalowałam już trzy płótna i żeby się dostać do łóżka, muszę teraz przez nie przeskakiwać.

Wiem, że nie zrobię kariery jako malarka. Na dzień przed wyjazdem do Włoch Eithne oddała mi moje obrazy. Tylko cztery zdołała sprzedać, a pewnie sama je kupiła, choć prędzej umrze, niż się do tego przyzna.

To nie hollywoodzki film, nie zostanę „odkryta”. Ale to bez znaczenia. Okres manii mija i niczym gęsta mgła znad morza napływa depresja. Czuję, jak jej chłodne macki owijają się wokół mnie. Niedługo nie będę w stanie dojrzeć nawet własnej ręki trzymanej tuż przed nosem.

Docieram do kamienicy i pcham małe drzwi wycięte w wysokiej na sześć metrów podwójnej bramie. Gdy wspinam się po schodach na piąte piętro, zza drzwi mijanych mieszkań słyszę dziecięce krzyki i kłótnie małżeńskie. Obawiałam się, że podróżując w pojedynkę, będę się czuła osamotniona, ale okazało się, że lubię swoje towarzystwo. Jestem pogodzona ze sobą. Po raz pierwszy w życiu.

Wchodzę do mieszkania i lekko zdyszana po wspinaczce kieruję się prosto do otwartego okna. Z balkonu widać masy różowych kwiatów zaścielających Hiszpańskie Schody. Odwracam się po kamerę i podskakuję zaskoczona.

Życie jest pełne niespodzianek.

Rozdział 16

Cate

Te fikołki z galaretką to straszne świństwo.

Czołgam się do łazienki i przywieram do sedesu. To wszystko wina Clem. Mówiła, że robi słabe. Chyba nigdy nie upiłam się tak, jak wczoraj wieczorem. Wykopiłam też z pół paczki papierosów i teraz czuję ohydny smak w ustach.

Rety, to chyba niemożliwe, znów mnie mdli?

Wymiotuję do sedesu i wycieram twarz mokrym ręcznikiem. Tym razem to chyba koniec, nic więcej tam nie ma. Już nigdy, ale to nigdy nawet nie przejdę obok wódki z galaretką truskawkową.

Już mi trochę lepiej. Chyba wreszcie pozbyłam się tego świństwa z organizmu.

Wrzucam na siebie jakieś stare ciuchy i związuję włosy w koński ogon. Gdzie ta rodzicielska troska, kiedy człowiek jej potrzebuje? Tata nie powinien był mi pozwolić iść do Clem, skoro wiedział, że jej rodziców nie ma w domu. Czy on nie ma za grosz poczucia odpowiedzialności?

Słyszę dobiegające z zewnątrz podniesione głosy i wyglądam przez okno sypialni.

Mama, zgięta w pół wyrywa chwasty, a babcia Clara gania za nią wokół klombów, wymachując rękami niczym lady Makbet. Pewnie peroruje na temat tej historii z Eithne. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie będzie mogła powiedzieć to swoje: A nie mówiłam? Cholerna hiena.

Tata dostał kompletnego bzika, kiedy się dowiedział, co nawyprawiała Eithne. Strasznie się pokłócił z mamą i teraz prawie się do siebie nie odzywają. Coś mi się zdaje, że ta ugoda wysmażona w Paryżu wzięła w łeb. Ale i tak nic by z tego nie wyszło. Kupował jej te odjechane prezenty i przez parę tygodni wracał wcześniej do domu, ale wyglądał, jakby ktoś mu wykroił z pół serca. W ubiegłym semestrze

przerabialiśmy w szkole *Fausta*. Można by pomyśleć, że i tacie sam Mefistofeles złożył ostatnio wizytę.

Otwieram okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Razem z nim napływa głos babci Clary.

- ...Choć i bez tego ten pomysł był absurdalny. W twoim wieku jechać na kontynent, żeby się zabawiać w odkrywanie sztuki. Żałosne. No i co się stanie z twoją rodziną, kiedy ty będziesz się szwendać po Europie.

- Nic im nie będzie - mówi moja mama. Sądząc po głosie, ma już trochę dość.

- Cate doskonale potrafi...

- Doskonale potrafi! Toż to prawie dziecko specjalnej troski. Od małości powinnaś ją trzymać twardszą ręką. Przykro mi o tym mówić, ale...

- Cate nie jest żadnym dzieckiem specjalnej troski - krzyczy nagle mama. - Jest piękna, urocza, bystra i jestem z niej bardzo dumna! Moja córka ma wytrwałość, talent i ambicję, a my obie możemy co najwyżej pomarzyć, żeby choć w połowie jej dorównać. Nie życzę sobie, żebyś przychodziła do mojego domu i zatrzuwała swoim jadem moją rodzinę! Wystarczy, że z mojego życia zrobiłaś koszmar. Nie chcę, żebyś teraz pastwiła się nad Cate!

Rumienię się, choć nikt mnie nie widzi. Nigdy nie słyszałam, żeby mama odszczeknęła się babci Clarze, nie mówiąc już o tym, żeby tak ujęła się za mną.

To dziwne. Wiem, że mama naprawdę kocha tatę, ale zupełnie jakby ona była Supermanem, a on kryptonitem. Na ogół to on wszystkim rządzi, ona usuwa się cień. Ale w ostatnich tygodniach on staje się coraz bardziej zakręcony i padnięty, a ona przeciwnie - z każdym dniem jest coraz silniejsza, gdy wreszcie przestał jej bez przerwy mówić, co ma robić. Nawet zaczęła trochę nim rządzić. Powstrzymała go przed kupnem tego obrzydliwego hummera (czy tata chce, żeby jego wnuki żyły na gołej skale?) i tupnęła nogą w sprawie wyjazdu do Włoch, chociaż po tej zadymie z Eithne pewnie i tak nic z tego nie wyjdzie.

Nowa fryzura mamy jest naprawdę odjazdowa i udało mi się wyciągnąć ją na zakupy. Tym razem olałyśmy nieśmiertelnego Marksa i Spencera i kupiłyśmy

wspaniałą czerwoną sukienkę od Bodena i dzinsy z wąskimi nogawkami. Wreszcie! Jak to fajnie widzieć mamę taką odmienioną.

To wszystko jest takie poplątane. Chciałabym, żeby mama była szczęśliwa. I tata. Podejrzewam, że ten jego beznadziejny humor ma coś wspólnego z Ellą. Pewnie się rozstali albo coś. Nie chcę, żeby mama i tata byli razem tylko z mojego powodu. Przecież i tak niedługo wyjeżdżam.

Wstaję i schodzę na dół. Chwilę później do kuchni wpada babcia.

- Twoja matka całkiem postradała zmysły! - woła. - Jaka matka, taka córka! - dodaje, gdy ignoruję ją i wychodzę na zewnątrz.

Mama siedzi na ogrodowych schodkach i wygląda, jakby nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- Mamusiu? Wszystko w porządku? Uśmiecham się lekko.

- Sama nie wiem.

- Czy to prawda? To Eithne szpiegowała?

Kiwa głową, wyraźnie nieszczęśliwa. Przysiadam obok niej.

- Ale dlaczego? Myślałam, że jest twoją przyjaciółką. Mama przygryza wargi.

- Tak naprawdę nigdy nie wybaczyła mi małżeństwa z twoim tatą. To jego obarcza winą za to, że nie maluję.

- Poniekąd ma rację - mówię, a gdy mama patrzy na mnie zdumiona, dodaję: - Daj spokój mamó. Przecież wiesz, że tata ma hopla na punkcie dyrygowania życiem innych. Zawsze robiłaś wszystko tak, jak chciał.

- Zawsze mnie zachęcał do malowania...

- Tak, ale hobbystycznego. Wyobrażasz sobie, co by powiedział, gdybyś nagle zechciała robić karierę albo coś w tym stylu? - Wyjmuję z koszyka jedną różę i wącham ją. - Niewiarygodny zapach. Są w tym roku przepiękne.

- Cate, to nie jest wina ojca - mówi mama. - To ja pozwoliłam mu przejąć kontrolę nad moim życiem. Obwinałam jego, obwinałam chorobę, ale prawda wygląda tak, że to tylko moja wina, że nie maluję. - Przerzywa na chwilę. - Bałam się porażki - wyznaje, więc łatwiej było nie próbować wcale.

- Jedziesz w sobotę do Włoch?

- Nie.

Zaczyna usprawiedliwiać tę starą lesbijkę, ale prawie jej nie słucham. Ścinam jeszcze kilka róż i wrzucam do koszyka. Próbuję zebrać się na odwagę i powiedzieć jej, co czuję. Nie chcę, żeby rodzice się rozstawali, ale chcę, żeby mama wiedziała, że nie musi o mnie martwić. Wolę, żeby oboje byli szczęśliwi, żyjąc po swojemu, niż dalej znosić te parodię szczęśliwej rodziny. Mam powyżej uszu kłamstw i udawania. Potrzebuję wreszcie trochę prawdy.

- ...nie sędzę, żeby jeszcze kiedyś było tak jak dawniej.

- Nie potrzebujesz jej, mamo.

- Nie teraz, kiedy mam ciebie.

Głaszcz mnie po włosach, ale odsuwam jej rękę.

- Mamo, ja mówię o wyjeździe do Włoch. Powinnaś jechać sama.

- Nie mogę.

- Dlaczego nie? To tylko trzy tygodnie. Pani Ghedini może przychodzić i pomagać nam w domu. Poradzimy sobie z tatą.

Wiem, że ta perspektywa ją kusi. Nigdy wcześniej nie wyjeżdżała sama. Mogę się założyć, że będzie się świetnie bawić. W razie potrzeby pojedę z nią.

- A tata? Nie mogę go zostawić. To nie byłoby w porządku.

- Mamo, dla odmiany pomyśl raz o sobie - przekonuję ją. - Nie musisz zostawać dla mnie - brnę na oślep. - Ja niedługo też wyjadę. Jeśli nie spróbujesz teraz, możesz się na to już nigdy nie zdobyć. Chcę, żebyś była szczęśliwa, mamo.

Spuszczam wzrok, żeby nie widziała, że płaczę.

- Kiedy mówiliśmy w szkole o tragedii „Titanica”, pani Buchanan powiedziała, że więcej ludzi mogłoby się uratować, gdyby jedni nie czepiali się tak kurczowo drugich. Czasami trzeba... po prostu trzeba odejść.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówi. Cholera. Nie powinnam była się wtrącać, to nie moja sprawa...

Wreszcie mama wydaje z siebie słabe westchnienie i pyta:

- Od kiedy jesteś taka mądra?

- Wszystko będzie dobrze, mamó - mówię. - Jedź. Nic mi się nie stanie. Tacie też. Poradzimy sobie.

- Bardzo kocham twojego ojca.

- Ale to nie zawsze wystarcza, prawda?

- Tak - przyznaje.

Daje mi buziaka i biegnę na górę do swojej sypialni. Wpada mi do głowy szalony pomysł, ale najpierw muszę doprowadzić się do porządku. W takim stanie nie mogę się nigdzie pokazać.

Gorący prysznic, pół słoika żelu do włosów i chyba tona podkładu, ale godzinę później znów przypominam istotę ludzką. Nikt by nie zgadł, że ta dziewczyna całkiem niedawno wlała w siebie siedem wódek z galaretką.

Staję przed lustrem. Nie bardzo mi się podoba ta bluzka z podwyższonym stanem. Kupiłam ją w sobotę, gdy byłyśmy z mamą na zakupach. Jest odjechana na maksa z tymi haftami, paciorkami i całą resztą, ale wyglądam w niej, jakbym była w ciąży...

Sięgam po torbę. Co za różnica, jak wyglądam? Nie chodzi o mnie.

Kiedy staję przed nim, żałuję, że nie włożyłam koszulki w różowe świnki.

- Cate!

Wchodzę do środka, bo boję się, że za chwilę stracę odwagę.

- Można?

- A gdybym powiedział, że nie?

Uśmiecham się. Dan odpowiada niepewnym uśmiechem. Przez chwilę oboje stoimy na środku salonu, nie bardzo wiedząc, co dalej. Staram się nie wspominać mojej ostatniej wizyty w tym miejscu.

- Może masz ochotę na kawę? - pyta wreszcie Dan.

- Jasne - mówię, choć nie znoszę kawy.

Idę za nim do maleńkiej kuchni. Jest zawałona brudnymi talerzami i pudełkami po pizzy, a na parapecie stoi rząd słoików z mętną cieczą i pędzlami, zupełnie jak u mamy.

Dan walczy z ekspresem. Ziarenka kawy rozsypują się po brudnym blacie z formiki. Kiedy wyrzuca stary filtr, z pojemnika na śmieci niemal wysypują się puszki po piwie i zatechłe torebki po herbacie.

- Co u ciebie? - pyta odwrócony tyłem. - Jak ci poszły egzaminy?
- Świetnie, dzięki. Francuski był dość trudny, ale jakoś sobie poradziłam.
- No myślę. Przecież ostatnio miałaś okazję go podszlifować.
- Słyszałeś?

Odwraca się i szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Podmiejskie tam-tamy, wiesz, jak to działa.
- Poznałam kogoś w Paryżu - mówię i rumienię się. - Zamierza przyjechać w wakacje do Bath, w ramach studenckiej wymiany. Może się spotkamy.

- Świetnie.

Bawię się nerwowo frędzlami bluzki.

- Słuchaj, przepraszam za...
- Przepraszam, że musiałaś...

Oboje śmiejemy się nerwowo. Kiwam głową, żeby mówił pierwszy.

- Powinienem był przyjść do ciebie i ci wyjaśnić. Nic się nie stało, przysięgam...

- Wierzę ci.
- Wierzysz?

Ekspres do kawy gwizdże i bulgocze. Z pęknięcia w jego ściance wypływa strużka wody i ścieka kroplami na brudną podłogę.

- W sobotę mama jedzie na trzy tygodnie do Włoch. Sama - dodaje.

Dan kiwa głową, ale nic nie mówi.

- Ona i tata chyba się rozstają. Po jej powrocie tata wyniesie się do Londynu, ma tam mieszkanie. Mama ostatnio dużo malowała. Chyba zajmie się tym na poważnie i wcześniej czy później pogodzi się z rozstaniem z ojcem.

- A ty?

- Poradzę sobie, nie jestem już dzieckiem - mówię i uświadamiam sobie, że to prawda. - Dan, przyszedł cię przeprosić i dać ci coś.

Podaję mu małą karteczkę.

- To adres mamy w Rzymie. Wynajmie mieszkanie u znajomych Eithne. Będzie się tam czuła odrobinę samotna. Na pewno się ucieszy, jeśli niespodziewanie odwiedzi ją przyjaciel. - Uśmiecham się. - Pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć.

To chyba jednak nie drinki. Ani nerwy z powodu wyjazdu mamy.

Siedzę na brzegu wanny z rękami na brzuchu i kołyszę się w przód i w tył. Jestem tak przerażona, że cała się trzęsę.

Zrobiłam to tylko raz! Nie mogę być w ciąży! To niemożliwe!

Od tygodnia codziennie rano mam mdłości, ale może to z nerwów albo zjadłam coś niedobrego. Dżinsy mi się nie dopinają, ale przecież obzerałam się pączkami i czekoladą. Jestem bez przerwy zmęczona, ale moi rodzice właśnie się rozstają, więc nie śpiam dobrze. Bolą mnie piersi, ale to mogą być hormony, bo przed każdym okresem...

Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam okres.

Zrobiliśmy to tylko raz - no dobrze, trzy razy, ale w ciągu jednej nocy!

Kobiety całymi latami próbują zajść w ciążę. Czy to możliwe, że mnie się udało za pierwszym razem?

Fleur mówi, że gdy uprawia się seks, prawdopodobieństwo ciąży zawsze wynosi jedną drugą. Albo się zajdzie, albo nie.

Zadzwoiłabym do niej, ale nie chcę, żeby Michel się dowiedział. Nie chcę, żeby dowiedział się ktokolwiek.

Chyba już minęło pięć minut. Zerkam na zegarek. Dopiero dwie.

Czemu nie pomyślałam o antykoncepcji? Wiem, że byłam trochę pijana - no dobrze, bardziej niż trochę - ale od kiedy skończyłam czternaście lat, noszę w torebce prezerwatywy, tak na wszelki wypadek. Jak mogłam być taka głupia?

Nie chcę dziecka. Chcę zdać egzaminy i zostać dziennikarką. W moim życiu nie ma miejsca na dziecko.

Podnoszę małą szpatułkę.

Boże!

W klinice wszyscy są mili. Wcale mnie nie traktują jak głupią uczennicę, która totalnie spieprzyła sobie życie. Konsultantka wypełnia wszystkie formularze, wpisuje datę ostatniego okresu (dziewiętnastego marca, a mamy koniec maja, jak mogłam tego nie zauważyć?) i nawet jej nie drgnie powieka, kiedy mówię, że to była jednorazowa przygoda we Francji i że nie znam nazwiska ojca.

Podaję jej próbkę moczu, którą kazali przynieść na konsultację, i przeprowadza test. Do tej pory tak naprawdę nie mogłam uwierzyć, że jestem w ciąży. W głębi duszy wciąż miałam nadzieję, że te wszystkie szpatułki dają błędny wynik. Ale ona niestety go potwierdza.

Grzecznie wyjaśnia, że to ósmy tydzień (dziecko jest nie większe od włoskiego orzecha, ale wiem z lekcji biologii, że ma rączki, nóżki, małe dłonie i stópki), i pyta mnie, czy na pewno chcę przerwać ciążę. Pyta o to tak bezpośrednio, jakbym przyszła zrezygnować z umowy leasingu. Co poniekąd jest prawdą.

Jest o wiele za późno na pigułkę dzień po (dziecko ma też oczy, małe paznokietki, może nawet ssie już kciuk), więc przedstawia inne możliwości.

Próżnia, wysysanie. Rozszerzanie i łyżeczkowanie.

Zaczyna mi się kręcić w głowie. To wszystko brzmi jak średniowieczne tortury. Wyobrażam sobie Sama, gdy był w brzuchu mamy, jak wciąga go odkurzacz, a jego rączki i nóżki się odrywają.

- Jesteś pewna, że tego chcesz, Cate?

- Nie mogę mieć dziecka - mówię cicho.

- Przerwanie ciąży to niejedyna możliwość. Zastanowiłaś się nad adopcją? A jeśli zdecydujesz się zatrzymać dziecko, istnieją różne grupy wsparcia i...

- Nie - dławię się. - Nie mogę.

- Cate - mówi doradczyni. - Wiem, że nazwy brzmią przerażająco, ale te zabiegi nie są takie bolesne, jak się może wydawać...

- Dla mnie czy dla dziecka?

- Płód - poprawia łagodnie - nic nie poczuje. Cate, myślę, że powinnaś pójść do domu i porozmawiać o tym z mamą. Bardzo często rodzice najpierw się martwią, ale kiedy już przywykną do tej myśli, prawie zawsze wszystko jest w porządku. Niektórzy nawet potem nie mogą się doczekać, kiedy zostaną dziadkami.

Nie mogę powiedzieć mamie. Wróci naładowana z Włoch, a ja wszystko zrujnuję. Uznałaby, że to jej wina, a przecież sama się w to wpakowałam. I teraz sama muszę z tego wybrnąć.

- Czy nie mogę wziąć jakiejś pigułki albo czegoś takiego? - pytam zdesperowana.

Doradczyni wzdycha.

- Aborcja to nie ból głowy. Najpierw musimy się upewnić, że naprawdę rozumiesz, co chcesz zrobić, i poradzisz sobie z konsekwencjami. To poważna decyzja, Cate. Przez resztę życia będziesz musiała z nią żyć.

Kiwam głową, starając się nie rozpląkać. Nie pozwoli mi tego zrobić, jeśli się rozplączę.

- Jeżeli się na to zdecydujesz, dostaniesz środki farmakologiczne - można je podać do dziewiątego tygodnia ciąży. Spowodują poronienie. Nie będzie potrzebny zabieg ani znieczulenie.

- Zrobię to - mówię szybko. - Czy mogę wziąć je już teraz? Uśmiecha się.

- Obawiam się, że to nie takie proste. Jeśli naprawdę jesteś pewna, że chcesz to zrobić, umówię cię na wizytę u lekarza. Uzupełni formularze, a ponieważ jesteś blisko granicy dziewięciu tygodni, pewnie będzie chciał potwierdzić ciążę badaniem

USG. Potem musi zrobić badania krwi i omówić z tobą możliwe ryzyko i komplikacje...

- Ryzyko? Jakie ryzyko?

- Lekarz ci wszystko wyjaśni. To jest bezpieczny zabieg. Na ogół powoduje tylko mdłości i wymioty.

- Jak długo muszę czekać?

- Możesz iść zaraz. - Waha się. - Zakładam, że nie byłaś jeszcze u swojego lekarza rodzinnego. Jeśli wolisz zabieg refundowany przez NHS, będziesz musiała postarać się o skierowanie. W innym przypadku potraktujemy cię jak prywatnego pacjenta.

- Będę musiała zapłacić?

- Tak będzie szybciej. Możemy cię zapisać na zabieg na początku przyszłego tygodnia, więc jeszcze w granicy dziewięciu tygodni. W innym wypadku będziemy musieli poczekać na skierowanie...

- Zapłacę - mówię szybko.

- Jeśli chcesz, możesz przyjść z przyjacielem albo kimś z rodziny.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział - zaprzeczam gwałtownie, kręcąc głową.
- Nikt nie może się dowiedzieć.

W noc poprzedzającą zabieg nie mogę zasnąć. Przewracam się w łóżku, ścigana obrazami porozrywanych dzieci i wielkimi niebieskimi oczami patrzącymi na mnie z wyrzutem z plastikowych worków. To tylko zlepek komórek, mówię sobie, to nie dziecko.

Dwa lata temu przyszli do naszej szkoły ludzie z organizacji antyaborcyjnej i pokazywali nam zdjęcia dzieci w łonie matki. Jedne ssały kciuk, inne biegały w miejscu, jak małe chomiki, niektóre nawet miały czkawkę. Trochę dziwnie wyglądały z tymi wielkimi głowami i w ogóle, ale już przypominały prawdziwe maleńkie dzieci: można było powiedzieć, które będą miały duży nos albo będą potrzebowały aparatu na zęby.

Pokazali nam też na wideo nienarodzone dzieci słuchające Vivaldiego; widać było, jak machają rączkami, zupełnie jak do taktu. A podczas kawałków metalowych wierciły się i kopały na oślep.

Na koniec pokazali nam dzieci wyssane ze swych bezpiecznych ciepłych kryjówek. Niektórym wstrzyknięto truciznę do serca. Inne jeszcze żyły, leżały w zimnych metalowych miskach w oczekiwaniu na śmierć.

Wstaję z łóżka i zwijam się w kłębek na okiennym parapecie, instynktownie splatając dłonie na brzuchu. Jest taki płaski; jak w środku może być dziecko?

Lekarka, u której byłam po wizycie u doradczyni, zrobiła mi USG i zobaczyłam swoje dziecko na ekranie. Słyszałam, jak bije jego serce.

Ale pigułka to coś innego, prawda? Pigułki nie rozrywają dzieci ani nic takiego. Czytałam ulotkę. Pisali w niej, że ten środek powoduje odcięcie dopływu ważnych hormonów, dzięki którym płód zagnieżdża się w wyściółce ściany macicy. W rezultacie płód po prostu się odrywa. To tak, jakby się dostało okres.

Policzki mam mokre od łez. Nie mogę urodzić dziecka. Mam siedemnaście lat. Nie mam pieniędzy, nie mam pracy. Jak mogłabym opiekować się dzieckiem, skoro sama jeszcze potrzebuję opieki?

Rano ubieram się na czarno, pod kolor humoru, i splatam włosy we francuski warkocz. Nakładam odrobinę makijażu, tylko tyle, by zakryć czarne kręgi pod oczami. Od wyjazdu mamy do Włoch tata niemal wychodzi ze skóry, żeby zapewnić mi właściwą opiekę; więc chociaż ostatnio jest strasznie zabiegany, wolę nie ryzykować. Gdy w zeszłym tygodniu powiedziałam mu, że boli mnie głowa, cały dzień spędził w domu; naprawdę nie chciałabym, żeby dziś wpadł na podobny pomysł.

Nie mogę nic przełknąć. Gdy tata odwraca się na chwilę, jajka na bekonie lądują w pysku Cynamona. Jeszcze trochę, a ten pies przestanie się mieścić w swoim koszyku.

- Nie idziesz dziś do szkoły?

Całe szczęście, że nie muszę wymyślać jakiegoś kłamstwa.

- Nie. Mamy dzień wolny.

- Jeśli chcesz, możesz pojechać ze mną do Londynu - proponuje tata. -

Pójdiesz na zakupy, a potem spotkamy się na lunchu...

- Obiecałam Clem, że do niej wpadnę - mówię. - Przykro mi. Tata wygląda na rozczarowanego. Musi czuć się samotny, uświadamiam sobie, odkąd mama odeszła.

- Może następnym razem?

Potakuję. Tata całuje mnie w czubek głowy i jedzie do pracy.

Snuję się po domu, próbując jakoś zabić czas pozostały do wyjścia. Nigdy bym nie przypuszczała, że kiedyś będę zmuszona podjąć taką decyzję; zawsze byłam raczej przeciwna aborcji. Ale ja naprawdę nie mogę teraz mieć dziecka. Nie jestem gotowa zrezygnować ze wszystkiego z powodu jednego błędu. Inne błędy można naprawić. Dlaczego nie ten?

Kiedy się zjawiam w klinice, nie ma konsultantki, z którą rozmawiałam poprzednio. Personel recepcji jest miły, ale bardzo rzeczowy. Siedzę w poczekalni wśród niewiele starszych ode mnie dziewczyn; unikamy wzajemnie swoich spojrzeń.

Wreszcie mnie wywołują. Mierzą mi ciśnienie, a potem podają małą tabletkę i szklankę wody. Siedzę na krawędzi stołu zabiegowego z tabletką w dłoni i czuję się, jakby to wszystko dotyczyło kogoś innego.

- Za trzy dni musisz przyjść po następną dawkę - mówi lekarz. - Możesz mieć krwawienia i lekkie bóle, ale to zupełnie normalne.

To dziecko jest częścią mnie. Ma moje geny, przy życiu utrzymuje je moja krew. Jeszcze co prawda tego nie czuję, ale jego wpływ na moje ciało już teraz jest ogromny. Czy wie, że matka właśnie zamierza je zabić?

Nie jestem gotowa, by zostać matką.

Połykam tabletkę.

Nigdy się nawet nie dowiem, czy to był chłopiec, czy dziewczynka.

Stoję na stacji Waterloo i czekam na swój pociąg. Wtedy zaczynają się skurcze. Po chwili zwijam się z bólu. Idę chwiejnym krokiem do toalety, ale

wymiotuję, zanim docieram do kabiny. Nikt nie pyta, jak się czuję ani nie oferuje pomocy.

Udaje mi się wyjść na zewnątrz i złapać taksówkę. Mówię kierowcy, żeby mnie zawiózł do kliniki.

Zasłużyłam sobie na to. Zabiłam swoje dziecko, teraz ono zabije mnie.

To reakcja alergiczna, mówi lekarka. Mój organizm odrzucił tabletkę, a że zwymiotowałam, nie została wchłonięta. Po tym wszystkim, co przeszłam, nadal jestem w ciąży.

Nie mogę wziąć następnej pigułki, nie mam innego wyboru, niż dać z siebie wysssać dziecko w kawałkach.

Można by pomyśleć, że po tym, co się stało, dojdę do wniosku, że skoro dziecko tak kurczowo trzyma się życia, dam mu tę szansę, ale cała ta historia spowodowała, że tylko umocniłam się w swoim przekonaniu. Nie nadaję się na matkę. Nawet tego nie umiem porządnie zrobić.

Trzy dni później wracam do kliniki. Dwie pielęgniarki pomagają mi się przebrać w jedną z tych koszul rozciętych z tyłu prawie po pośladki, prowadzą do gabinetu i układają na fotelu ginekologicznym. Mają okropnie zimne ręce. Wchodzi lekarka i gawędząc z pielęgniarkami o pogodzie, wkłada mi palce do pochwy, żeby sprawdzić położenie macicy. Potem pokazuje mi wziernik i mówi, że musi go tam włożyć, i że to może trochę boleć. Po chwili wsuwa się we mnie zimny metal i rozpycha mnie w środku. To uczucie jest tak nieprzyjemne, że przez moment myślę, że dziecko samo zaraz wypadnie. Lekarka bierze długą, groźnie wyglądającą igłę, wsuwa ją do pochwy i wbija w szyjkę macicy; trochę boli, ale nie jest tak źle. Potem pokazuje mi coś, co nazywa rozwieraczem, mówi, że musi go włożyć do szyjki, żeby ją rozszerzyć, i sięga między moje uda...

- Przestań! - krzyczę.

- Boli? Możemy podać silniejsze znieczulenie...

- Zmieniłam zdanie - mówię, próbując usiąść.

- Cate, właśnie znieczuliliśmy szyjkę macicy - tłumaczy lekarka, marszcząc brwi. - Jeśli teraz przerwiemy, i tak poronisz, bo szyjka otworzy się sama z siebie.

- Wszystko mi jedno - chlipię. - Nie mogę tego zrobić. Przepraszam. Zapłacę i tak dalej, ale nie mogę tego zrobić.

Lekarka przywołuje gestem pielęgniarki i ściąga rękawiczki. Pomagają mi się wydostać ze strzemion, a jedna zostaje ze mną przy stole i głaszcze mnie po plecach, gdy wybucham niekontrolowanym płaczem.

- Może chcesz, żebyśmy po kogoś zadzwonili? - pyta łagodnie. Już zaczynam kręcić głową, ale zaraz chwytam ją za rękę.

- Tak. Jest ktoś taki.

- Na pewno nie przeszkadzam ci w czymś ważnym? - pytam.

- Nie ma problemu, Cate. - Zwraca się do pielęgniarki. - Mogę ją stąd zabrać?

- Zostanie pani z nią, doktor Stuart? Ella kiwa głową.

- Zatrzymam ją na noc u siebie. Dostała jakieś leki?

- Tylko kodeinę na skurcze. Obawiam się, że trochę za długo zwlekała ze zmianą decyzji. Prawdopodobnie dojdzie do rozwarcia szyjki macicy. Po poronieniu powinna tu wrócić, musimy sprawdzić, czy w macicy nic nie zostało. Największym niebezpieczeństwem jest teraz infekcja...

- Rozumiem - mówi Ella chłodno.

Odwraca się i przytula mnie.

- Tak mi przykro - szlocham w jej ramię. - Byłam taka głupia. Wszystko popsułam. Nie wiedziałam, do kogo zadzwonić. Nie mogłam powiedzieć tacie, zacząłby winić mamę i musiałyby przerwać wakacje...

- Ciii, Cate, nie martw się. Jestem przy tobie. Wszystko będzie dobrze.

Poradzimy sobie. - Wypuszcza mnie z objęć i bierze mój plecak. - Dasz radę przejść kawałek do samochodu?

Kiwam głową.

- Ale nie powiesz tacie?

- Jestem lekarzem, pamiętasz? Jesteśmy jak księża. Nic nikomu nie możemy mówić.

- Teraz stracę to dziecko, prawda?

- Tak, kochanie - mówi Ella cicho.

Pomaga mi zejść po schodach, bierze mnie pod rękę i idziemy na podziemny parking. Nogi mam jak z waty, znieczulenie przestaje już działać i czuję się, jakby ktoś włożył we mnie rozżarzony pogrzebacz.

- Będę mogła jeszcze mieć dzieci?

Przez jej twarz przebiega cień. Wzdryga się, jakby zobaczyła ducha. Potem zbiera się w sobie i odwraca do mnie z pokrzepiającym uśmiechem.

- Oczywiście, musimy tylko zadbać, żebyś nie złapała infekcji. Ale potem pomyślimy o antykoncepcji, Cate. Twoi rodzice nie muszą wiedzieć, ale nie możesz ryzykować swojego zdrowia.

Parę ulic dalej wyje policyjna syrena. Ella zerka na zegarek.

- Mogę ci zadać pytanie osobiste? - pytam po chwili.

- Chyba wystarczająco dobrze się znamy, nie uważasz?

- Dlaczego nie masz dzieci?

- Och, Cate.

- Przepraszam - gryzę się w język. - Nie mów, jeśli nie chcesz. Wzdycha.

- W zasadzie mogę ci powiedzieć. To chyba właściwy dzień na wymianę sekretów. Musimy tu przejść przez ulicę. - Wciska guzik i czekamy na zmianę świateł. - Nie chciałam mieć dzieci z moim mężem. Pewnie przez rok z okładem mogłabym chodzić do psychoanalityka, a i tak nie dotarłabym do podłoża tej decyzji, ale podejrzewam, że to po części z powodu moich rodziców, którzy nigdy nie wydawali się gotowi na moje przyjście, a po części z powodu Jacksona. Zawsze wiedziałam, że nie kocham go tak, by mieć z nim dzieci. A sądzę, że powoływanie dziecka na świat ot tak sobie albo z fałszywych pobudek, nie jest słuszne. Światło zmienia się na zielone. Żadna z nas się nie rusza.

- A tata? Czy jego tak kochasz? Przełyka ślinę.

- Dla nas jest na to za późno, Cate. Stałam na drodze twoim rodzicom, czego nie powinnam była robić. Teraz mają szansę...

- Mama go zostawiła - mówię wprost. Ella wzdryga się, jakbym ją uderzyła.

- Z mojego powodu?

- Nie - zaprzeczam. - Tak naprawdę to z niczyjego powodu. Przegapiłyśmy światła. Ella ponownie wciska guzik

- Czy teraz ty i tata wróćcie do siebie?

- Nie mogę mieć dzieci. Miałam infekcję, kiedy byłam młoda - mówi Ella, jakby nie słyszała mojego pytania. - Dlatego musimy być bardzo ostrożne w twoim przypadku. Nie chcę, żebyś kiedykolwiek znalazła się w podobnej sytuacji. - Uśmiecha się smutno. - Czyż to nie ironia losu? W całym moim życiu nie było mniej odpowiedniego momentu na dziecko niż teraz, a nigdy bardziej nie pragnęłam go mieć.

- Oddałabym ci swoje - mówię pod wpływem impulsu. - Gdybym nie...

- Och, Cate...

Odzywa się dzwonek sygnalizujący, że możemy przechodzić. Jego dźwięk niemal tonie w wyciu syren parę ulic dalej. Już chcę postawić stopę na jezdni, gdy mimo czerwonych świateł mija nas pędzący samochód. Bucha z niego głośna muzyka. Wyrzucona przez okno puszka piwa turla się po ulicy i w końcu ląduje u moich stóp.

- Ale rzut - śmieję się, patrząc w dziwnie przerażone oczy Elli. - Myślisz, że mogłybyśmy...

Nie dane mi było dokończyć tego zdania.

Rozdział 17

Ella

Przez ostatnie pół godziny padało. Nocne powietrze pachnie mokrą trawą i spalinami: zapach Londynu. Gdzieś w oddali zegar wybija jedenastą. Lekki wietrzyk porusza gałązkami głogu rosnącego przy furtce, obsypując mnie mokrymi płatkami. Ciśniej owijam się kimonem. Słyszę odgłos zapalnego silnika i po chwili samochód znika w ciemnościach.

Cooper bierze mnie w ramiona i całuje na do widzenia. Chyba nigdy nie spotkałam człowieka, który tak wiele potrafi wyrazić za pomocą tak niewielu słów.

- Na pewno nie chcesz, żebym wezwała taksówkę? - pytam cicho.

Kręci przecząco głową i zarzuca na ramię plecak.

- Czy przynajmniej dasz mi znać, że wszystko z tobą w porządku?

- Wszystko ze mną w porządku - odpowiada po prostu.

Patrzę za nim, dopóki nie znika za rogiem. Nie odwraca się. Czego się spodziewałaś, Ella? Kwiatów i deklaracji dozgonnej miłości?

Biorę prysznic, przebieram się w starą piżamę, nalewam sobie szkockiej i siadam na sofie, podwijając pod siebie nogi. Na moich kolanach piętrzą się listy Jacksona. Już trzy dni minęły od przyjazdu Coopera, a jeszcze do nich nie zajrzałam. Po części z powodu Coopera; ale przede wszystkim dlatego, że śmiertelnie boję się tego, co mogę w nich znaleźć.

Teraz już wiem, że Cooper przywiózł mi je nie po to, by mnie zranić. I że muszę je przeczytać, jeśli chcę jakoś poskładać swoje życie.

Ściągam przytrzymującą je gumkę i układam koperty w wachlarz. Jest ich co najmniej trzydzieści. Nie miałam pojęcia, że Jackson pisze listy; e-maile były bardziej w jego stylu. Ale Cooper oczywiście nie ma komputera. Uśmiecham się z przekąsem. Ten człowiek urodził się sto lat za późno, w tamtej epoce lepiej by się odnalazł.

Pierwszy list jest z marca 1997, kiedy się poznaliśmy, a ostatni z czternastego lutego tego roku.

Wzdrygam się. Jackson napisał go w dniu śmierci.

Biorę łyk szkockiej i wyjmuję z koperty pierwszy list.

Kilkanaście minut później czuję tak palący wstyd, że nie potrafię sobie wyobrazić, jak zdołam z nim dalej żyć. Jackson przez cały czas o wszystkim wiedział. Siedem lat. Za każdym razem, gdy patrzyłam mu w oczy i serwowałam kolejne kłamstwo, wiedział, a mimo to nie powiedział ani słowa.

Moje oszustwo było tysiąc razy gorsze, niż myślałam.

Odkładam listy i wstaję, czując mrowienie w nogach, gdy napływa do nich krew. Prawie świta; w pobliskim kiosku z gazetami stukają żaluzje, gdy właściciel podciąga je, by przyjąć dostawę prasy. Myślałam, że znam Jacksona na wylot. Wiedziałam, że mnie kocha, ale myślałam, że to miłość na kształt chłopięcej: zachłanna, pozbawiona namysłu i pełna żądań. Uznałam, że zasługuję na więcej.

Prawda wygląda tak, że kochał mnie o wiele mocniej, niż na to zasługiwałam. Jak przez te wszystkie lata zdołał zachować milczenie? Jak udało mu się mnie nie znienawidzić?

Robię sobie kawę i siadam przy kuchennym stole. W mojej głowie kotłują się sprzeczne uczucia. Śmierć przyznaje tym, których zabiera, swoistą nietykalność: nie mówi się źle o zmarłych. Przez ostatnie trzy miesiące nie pozwalałam sobie na najmniejszą krytyczną myśl o Jacksonie. To ja byłam cudzołożnicą, która zdradziła dobrego i kochającego męża. To ja ponosiłam całą winę. Nie zasłużyłam na szczęście ani z Williamem, ani z kimkolwiek innym. Nie zasłużyłam na dziecko. Karierę postawiłam ponad małżeństwo, będzie więc sprawiedliwie, jeśli skończę z niczym.

Jackson miał rację. Powinien był mnie przywołać do porządku.

Po raz pierwszy od jego śmierci czuję przypływ złości na mojego męża. Wiedział, że jestem z nim tylko z uporu i poczucia winy, i wykorzystał tę wiedzę, by mnie więzić. Dlaczego nie miał odwagi stawić mi czoło?

Oboje tkwiliśmy w martwym związku. Tyle żalu i bólu po obu stronach i po co?

Jasne, że nie powinnam mieć romansu, nic mnie nie tłumaczy; ale milcząc przez tak długi czas, Jackson stał się jego cichym współnikiem.

Miałam rację, że nie chciałam mieć z nim dziecka.

Dziecko nie jest lekiem na rozpad małżeństwa. Gdybyśmy się na nie zdecydowali, byłaby to najgorsza, najbardziej egoistyczna rzecz, jaką byśmy zrobili; Jackson wiedział o tym równie dobrze jak ja. A mimo to przez lata używał mojej odmowy jako broni przeciw mnie.

Na moją dłoń wylewa się kawa; uświadamiam sobie, że trzęsę się ze złości. A niech cię, Jackson! Popatrz, co nam zrobiłeś!

Dlaczego nic nie powiedział?

Zerkam na rozjaśniające się niebo. Powinnam zbierać się do pracy; zbliża się spotkanie zarządu i nie chcę dawać Richardowi Angelowi dodatkowych argumentów przeciwko sobie.

Ubieram się jak automat. Oboje pokpiłiśmy sprawę. Jackson wiedział. I wybaczył mi. Chciał, żebym była szczęśliwa.

To odkrycie jest tak zaskakujące, że upuszczam słoiček z podkładem na podłogę łazienki.

Udowodnił swoją miłość do mnie nie poprzez to, że był ze mną przez te wszystkie lata, ale podejmując decyzję o odejściu, na którą się ostatecznie zdobył.

Zmywam podkład z podłogi. Cooper dał mi te listy po to, żeby Jackson mógł doprowadzić swój zamiar do końca: po to, by mnie uwolnić. Nie chcę już tonąć w poczuciu winy. Pora zrobić coś z własnym życiem.

Jestem to winna mojemu mężowi.

Lucy pomaga mi wybrać ubranie na spotkanie zarządu. Pół godziny buszuje po mojej garderobie, by w końcu stwierdzić, że nic się nie nadaje.

- Na miłość boską, Ella, nie masz niczego, co by nie było czerwone, z dekoltem do pasa, frędzlami, koralikami albo ze wszystkim naraz? Gdyby nie to, że

w pracy nosisz biały fartuch, już dawno by cię wywalili - mówi i prowadzi mnie do kręgu piekieł, o którym Dante zapomniał napisać: do ekskluzywnego butik.

- Masz nie wyglądać seksownie, o to właśnie chodzi - wzdycha, kiedy odmawiam zgody na ostatnią z długiego szeregu przyzwoitych czarnych garsonek ze sztucznego włókna.

- Wyobraź sobie, co by się stało, gdybym tak wpadła pod autobus - kontruje. - Ludzie mogliby pomyśleć, że celowo się tak ubrałam.

W końcu obie godzimy się na grafitowy jedwabny kostium ze spodniami od Emporio Armaniego. Co prawda wcięty żakiet jest za obcisły jak na gust Lucy, ale przynajmniej jest czarny (no, prawie) i przygnębiająco konserwatywny. Włożę do niego szare botki z krokodylej skóry. Może wtedy całość jakoś ujdzie.

Lucy ciągnie mnie do fryzjera.

- Postaraj się - prosi i dwie godziny później wylaniam się salonu naprawdę dobrze ostrzyżona. Muszę przyznać, że całkiem ładnie mi w tej fryzurze. Krótko przycięte włosy lekkimi loczkami okalają moją twarz zamiast sterczeć we wszystkie strony jak zardzewiałe sprężyny.

- Naprawdę uważasz, że to mi w czymkolwiek pomoże? - pytam Lucy po powrocie do domu.

- Jesteś dobrym lekarzem - mówi wymijająco. - Wszyscy to wiedzą. Zrobiłaś, co mogłaś.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Podaje mi szminkę w nowym kolorze, ponurym odcieniu zbliżonym do naturalnego koloru warg.

- Mimo tego, co pewnie sobie myślisz, Ella, Richard też uważa, że dobry z ciebie lekarz, jeden z najlepszych. Spróbuj się nie spóźnić, odegraj należycie swoją rolę, a wszystko będzie dobrze.

Czuję, jak do oczu napływają mi łzy, nawet nie staram się ich ukryć.

- Tęsknię za nim, Lucy - szepczę. Ściska moją dłoń.

- Wiem - mówi, wiedząc, kogo mam na myśli.

W nocy przed posiedzeniem rady nie mogę zasnąć. Chodzę po sypialni, odtwarzając w myśli przebieg zdarzeń. Nie ma potrzeby kajać się przed tą zgrają gryziopiórków. Zrobiłam dla Hope, co w mojej mocy. W końcu jestem tylko lekarzem, nie cudotwórcą. Czasem nie udaje się oszukać przeznaczenia.

Patrzę na wielki bukiet białych lilii na stoliku do kawy. Swoim zapachem napełniają cały pokój. Cooper przysłał mi je dziś rano, życząc powodzenia na przesłuchaniu. Nie mam pojęcia, czy to przypadek, czy Jackson powiedział mu, że to moje ulubione kwiaty.

Jestem gotowa na długo przed planowaną porą wyjścia. Zapinam botki i sprawdzam odbicie w lustrze. Nawet w makijażu wyglądam, jakbym od tygodnia nie spała. Może to i dobrze: Angel będzie miał dowód, że zamartwiałam się całą noc. Okażę należyty szacunek temu małpiemu cyrkowi.

Gdy podchodzę do drzwi, dzwoni telefon. Sprawdzam godzinę. Nie muszę się śpieszyć.

Po chwili włącza się sekretarka; wysoki głos niesie się po salonie.

- Mówi Linda Bliss z poradni planowania rodziny. Dzwonię w imieniu pani Caitlin Ashfield...

Podnoszę słuchawkę.

- Halo?

- Doktor Stuart?

- Przepraszam, właśnie wychodziłam. Może pani powtórzyć?

- Dzwonię ze śródmiejskiej poradni rodzinnej, doktor Stuart. Mamy pacjentkę...

Poprawiam kołnierzyk.

- Przepraszam, musiano pani podać zły numer. Jestem konsultantem pediatrycznym...

Moment. Powiedziała „Cate Ashfield”? Cate w ciąży?

- Proszę mi ją dać - mówię szybko.

- Ella, tak mi przykro, myślałam, że dam radę to zrobić, ale jednak nie, a ty jesteś jedyną osobą, do której mogę zadzwonić...

Za niecałą godzinę muszę być na najważniejszym spotkaniu w moim życiu, będzie się ważyć moja kariera. Richard Angel nie należy do osób, które dają drugą szansę. Nie ma mowy, żebym pojechała do śródmieścia, odebrała Cate i zdążyła na przesłuchanie.

To nie moja córka, nawet nie pasierbica, tylko córka mojego byłego kochanka. Ma dwoje własnych rodziców. Nie jestem jej przyjaciółką, właściwie ma wszelkie powody, by mnie nienawidzić.

Zabija dziecko, a ja mogłabym zabić dla dziecka.

Kompletny nonsens.

- Proszę mi podać adres poradni - mówię.

- Ale nie powiesz tacie?

Wygląda tak dziecinnie. Uśmiecham się i przytulam ją.

- Jestem lekarzem, pamiętasz? Jesteśmy jak księża. Nic nikomu nie możemy mówić.

- Teraz stracę to dziecko, prawda?

- Tak, kochanie - mówię cicho.

Podnoszę jej plecak i pomagam jej zejść po schodach. Cate zawsze wydawała mi się taka rozsądna. Jak coś takiego mogło się jej przytrafić?

Przywołuję się do porządku. W jej wieku byłam dwa razy bardziej zwariowana. Kto wie, gdzie złapałam tę infekcję, która pozbawiła mnie szansy na macierzyństwo.

- Będę mogła jeszcze mieć dzieci? - pyta Cate, dziwnie włączając się w tok moich własnych bolesnych myśli.

Z niejakim wysiłkiem odsuwam je, teraz nie chodzi o mnie.

- Oczywiście, musimy tylko zadbać o to, żebyś nie złapała infekcji - uspokajam ją. - Ale potem pomyślimy o antykoncepcji, Cate. Twój rodzice nie muszą wiedzieć, ale nie możesz ryzykować swojego zdrowia.

- Mogę ci zadać pytanie osobiste?
- Chyba wystarczająco dobrze się znamy, nie uważasz?
- Dlaczego nie masz dzieci?
- Och, Cate.
- Przepraszam. Nie mów, jeśli nie chcesz.

- W zasadzie mogę ci powiedzieć - wzdycham. Dochodzimy do przejścia dla pieszych. - To chyba właściwy dzień na wymianę sekretów. Musimy tu przejść przez ulicę.

Odgarnia włosy z czoła. Zawsze wydawała mi się taka podobna do Beth, ale teraz nagle dostrzegam w niej Williama.

Szukam właściwych słów. - Nie chciałam mieć dzieci z moim mężem. Pewnie przez rok z okładem mogłabym chodzić do psychoanalityka, a i tak nie dotarłabym do podłoża tej decyzji, ale podejrzewam, że to po części z powodu moich rodziców, którzy nigdy nie wydawali się gotowi na moje przyjście, a po części z powodu Jacksona.

Rozmowa o tym nie boli tak bardzo, jak bym się spodziewała. Chyba wreszcie zaczynam godzić się z tym wszystkim, co się stało, i pewnie nie miały wpływ na to miały listy Jacksona.

- Zawsze wiedziałam, że nie kocham go tak, by mieć z nim dzieci. A sądzę, że powoływanie dziecka na świat ot tak sobie albo z fałszywych pobudek, nie jest słuszne.

Światło zmienia się na zielone.

- A tata? Czy jego tak kochasz?

- Dla nas jest na to za późno, Cate - mówię z bólem. - Stałam na drodze twoim rodzicom, czego nie powinnam była robić. Teraz mają szansę...

- Mama go zostawiła.

- To z mojego powodu? - szepczę przestraszona.

- Tak naprawdę to z niczyjego powodu.

Kręci mi się w głowie. William jest wolny? Beth go zostawiła?

Tylko że już jest za późno. Przepaści, jaką stworzyłam między nami, nie zepnie już żaden most.

Nie ma co się nad sobą uzalać. Nie mogę zmienić przeszłości. Puściłam w ruch ten łańcuszek zdarzeń w chwili, gdy pierwszy raz pocałowałam Williama. Gra dobiega końca, a na karty, które mi zostały w rękę, w pełni zasłużyłam. Ponownie wciskam guzik zmiany światła.

- Nie mogę mieć dzieci. Miałam infekcję, kiedy byłam młoda - mówię. - Dlatego musimy być bardzo ostrożne w twoim przypadku. Nie chcę, żebyś kiedykolwiek znalazła się w podobnej sytuacji. Czyż to nie ironia losu? W całym moim życiu nie było mniej odpowiedniego momentu na dziecko niż teraz, a nigdy bardziej nie pragnęłam go mieć.

- Oddałabym ci swoje. Gdybym nie...

Ściska mi się serce.

- Och, Cate...

Jakiś młody chłopak mija nas na czerwonych światłach, pędząc przerobionym na terenowy samochodem. Cate coś mówi, ale wszystko ginie w wyciu policyjnych syren, które są coraz bliżej. Śmieje się i wchodzi na przejście.

Nie widzi prującego w pogoni za fordem radiowozu. Nie widzi też, że młody policjant za kierownicą traci kontrolę nad samochodem. Wciąż się śmieje, kiedy policjant z paniką w oczach wjeżdża na chodnik, desperacko próbując odzyskać panowanie nad wozem.

Lilie.

Przez chwilę myślę, że wciąż jestem w domu i ucinam sobie drzemkę na sofie.

Próbuję otworzyć oczy, ale powieki są za ciężkie. Przerazona próbuję ponownie. Tym razem się udaje i w nagrodę zostaję oślepią jaskrawym światłem. Próbuję się przed nim uchylić; ruch powoduje palący ból w karku i wzdłuż kręgosłupa. Czekam, aż minie, usiłując zdusić w sobie krzyk. Nie mogę jasno myśleć. Po głowie snują się oderwane słowa i obrazy. Skoncentruj się. Leżę płasko na plecach; ból i przygnębiające kafelki na suficie uświadamiają mi, że jestem w

szpitalu. Otaczają mnie kwiaty, więc to na pewno nie jest oddział wypadkowy. I muszę tu leżeć co najmniej jeden dzień.

W lewą, przywiązaną do łóżka rękę mam wklutą kroplówkę. Prawa znika pod ciężkim bandażem, a prawa stopa wisi na temblaku jakieś ćwierć metra nad łóżkiem. Złamałam kostkę. Poruszam lekko lewą nogą, marszcząc pościel. Nie jestem sparaliżowana i wygląda na to, że kończyny mam w komplecie.

Mój umysł znów zaczyna spowijać mgła. Staram się ją odgonić. Coś jeszcze... zapomniałam o czymś... o czymś ważnym...

Zasypiam.

- Jak się czujesz?

Otwieram oczy. Tym razem bez kłopotu.

Lucy odgarnia mi włosy z czoła. Ma taką chłodną rękę.

- Podać ci wodę?

Poi mnie z kubka z dzióbkiem jak małe dziecko. Chcę coś powiedzieć, ale bardzo boli mnie gardło. Intubowano mnie, uświadamiam sobie.

- Miałaś wypadek - mówi Lucy. - Potracił cię samochód. Pamiętasz?

Gmatwanina postrzępionych obrazów rozmazuje się w mojej głowie. Mały zielony człowieczek oznaczający zielone światło. Tocząca się ulicą puszcza piwo. Muzyka, głośna i zniekształcona... Jeśli to naprawdę miłość, pokaż mi, jak silna... Syreny policyjne... Uderzenie ciężkiej torby w mój bark... Miłość bywa też jałmużną... Śmiech Cate.

- Cate - szepczę. Lucy mnie nie słyszy.

- Zdrzemnij się - mówi, poprawiając kołdrę. - Przyjdę później.

- Cate! - krzyczę, ale głos niesie się tylko w mojej głowie. Ponownie zasypiam.

Kiedy znów się budzę, umysł mam jasny. Wszystko mnie boli, ale spowodowane lekami zaćmienie umysłu zniknęło. W duchu dokonuję przeglądu odniesionych szkód. Bandaż na moim ramieniu okazuje się gipsem. Wciąż boli mnie

gardło, gdy przelykam, ale głowa już nie. Stożące obok kwiaty wędną. Jestem tu co najmniej od paru dni. Może nawet od tygodnia.

Naciskam guzik.

Po chwili szybkim krokiem wchodzi pielęgniarka.

- O, obudziliśmy się i czujemy się lepiej?

- Gdzie... - odkasłuję i próbuję jeszcze raz. - Gdzie jest Cate?

- Proszę nic nie mówić. Była pani bardzo chora. O mało pani nie straciliśmy...

Bez większego powodzenia próbuję usiąść.

- Gdzie Cate? Pielęgniarka milczy.

- Przyrowadź doktor Nicholson - mówię. Wychodzi sztywnym krokiem.

Opadam na poduszki, usiłując sobie przypomnieć, co się stało. Pamiętam jadący na nas policyjny wóz, nad którym kierowca stracił panowanie, przerażoną twarz policjanta, a potem nic, dopiero przebudzenie w szpitalu. Ze złości walę ręką w łóżko. Co się stało z Cate? Czemu nic nie pamiętam?

- Jak to Ella - mówi głos od drzwi. - Wciąż tylko przysparza ludziom zmartwień.

William wygląda dwadzieścia lat starzej niż kiedy go ostatnio widziałam.

- Lekarze to zawsze najgorsi pacjenci - mówię chrapliwie. Przyciąga sobie krzesło i siada, nie patrząc mi w oczy.

- Wygląda na to, że zawdzięczam pani życie już dwójki moich dzieci, doktor Stuart.

Chwilę trwa, nim dociera do mnie sens jego słów.

- Cate ma się dobrze?

- Nie powiedzieli ci? Boże, Ella. Tak, nic jej nie jest...

- Dzięki Bogu! - zamykam z ulgą oczy. - Dzięki Bogu.

- Tak, i dzięki tobie.

Na mojej twarzy musi malować się zdumienie.

- Zepchnęłaś ją z drogi samochodu - wyjaśnia William. - Nie pamiętasz?

Nawet jej nie drasnął. Uratowałaś jej życie. Skreśliła sobie nadgarstek, kiedy upadła

na chodnik, ale nic więcej. To ty wzięłaś na siebie całe uderzenie - przetyka ślinę. -
Uratowałaś jej życie - powtarza.

- Nic nie pamiętam...

- Nic dziwnego. Leżałaś nieprzytomna przez dziewięć dni. Cate mówiła, że odrzuciło cię na cztery metry. Z centrum planowania rodziny wybiegła pielęgniarka i zrobiła ci resuscytację, inaczej nie doczekałabyś nawet przyjazdu karetki.

Wszystko wiem - dodaje na widok wyrazu mojej twarzy. - Cate powiedziała mi, po co tam byłaś. Powiedziała mi o wszystkim.

- Przepraszam, William...

- Za co, na Boga?

- Nie miałam zamiaru się wtrącać...

Łzy dławią mnie w gardle. William ściska moją dłoń i uświadamiam sobie, że też nie może mówić.

Patrzemy na siebie poprzez krajobraz bólu i zdrady. Po raz pierwszy od ośmiu lat oboje jesteśmy wolni; a mimo to oddaleni od siebie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Tyle chciałabym powiedzieć, ale nie wiem, od którego miejsca zacząć.

- Wiem - mówi William, jakby czytał w moich myślach. Podskakujemy oboje, gdy w drzwiach pojawia się Lucy.

- Co jest takie pilne, że musiałam... Och, William...

- Nie szkodzi. Już wychodziłem. Przyszedłem podziękować Elli. - Wstaje i składa na moim czole krótki pocałunek. - Będziemy w kontakcie. Daj mi znać, jak się czujesz.

Nie! Nie odchodź! - błagam go w duchu.

- Ładne kwiaty. Od Coopera? Sztywnieję.

Uśmiecha się smutno.

- Trzymaj się, Ella - mówi i już go nie ma.

Serce mi pęka. Odwracam głowę, żeby Lucy nie widziała moich łez.

Poprawia mi pościel.

- Codziennie tu przychodził - mówi lekkim tonem. - Czekał, aż odzyskasz przytomność. Całe godziny rozmawiał z tobą i czytał na głos. Głównie Szekspira. Przez pierwszych parę nocy spał tu na krześle, nie chciał cię zostawiać. Kiedy musiał jechać do domu, żeby wziąć prysznic, musieliśmy mu obiecać, że zadzwonimy do niego, jak tylko się obudzisz.

*Nie wierz w bieg słońca przez firmament,
Nie wierz w żar gwiazd, co w niebie stoją;
Nie wierz w prawdziwość prawdy samej;
Lecz wierz bez reszty w miłość moją*.*

* Tłumaczenie S. Barańczak

- Pamiętam - mówię cicho.
- Ella...
- Nie, Lucy, nie mów tego, proszę.

Przez chwilę wczytuje się w moją kartę. Nie jest moim lekarzem i pewnie w ogóle nie powinno jej tu być. Ale jestem pewna, że w ostatnim tygodniu spędziła przy moim łóżku nie mniej czasu od Williama.

- Jest tu ekipa telewizyjna - odzywa się po kilku minutach. - Chcą zrobić z tobą wywiad. Dzwonią codziennie. Ktoś sfilmował komórką wypadek i umieścił film na YouTube...

- Nie chcę z nikim rozmawiać.

- Richard był pod wrażeniem - dodaje sucho. - Zwłaszcza gdy on i szpital byli we wszystkich wiadomościach telewizyjnych. Udało mu się przekonać Shore'ów, że lepsza będzie prywatna ugoda niż rozgrzebywanie wszystkiego w sądzie. Zapewne uświadomił im, że oskarżanie rannej bohaterki o mordowanie dzieci nie wyglądałoby najlepiej.

Taka łatwowierna to ja nie jestem. Zdaję sobie sprawę, że musiała stanąć na głowie, żeby go do tego przekonać. Wiesza kartę na łóżku.

- Przepraszam, Ella - mówi nagle. - Wiem, że nie chcesz o tym rozmawiać, ale William przez dziewięć dni siedział tu, modląc się, żebyś nie umarła. Czeka tylko na jakiś znak od ciebie. Dlaczego nie możesz się na to zdobyć?

- Był tu z powodu Cate...

- Wie, co dla niej zrobiłaś - przerywa Lucy. - Nie tylko uratowałaś jej życie, ale byłaś gotowa postawić Cate ponad swoją karierę. Nie sądzisz, że to mu dało do myślenia? Dostałaś drugą szansę. Nie odrzucaj jej. On wciąż tu jest - dodaje, wskazując ręką okno. - Porozmawiaj z nim. Jeśli pozwolisz mu teraz odejść...

- I tak odejdzie! - wołam nagle. - Wcześniej czy później! Odejdzie! Rozkocha mnie w sobie, a potem odejdzie! Złamię mi serce i zostanę z niczym! Nie rozumiesz? Nie mogę! Nie chcę!

Lucy patrzy na mnie przez dobrą chwilę. Nie mogę znieść współczucia odbijającego się w jej oczach. Odwracam się, ale ona przysiada ostrożnie na brzegu łóżka, więc nie mam wyboru, muszę na nią patrzeć.

- Ella, do miłości nie jest dołączona karta gwarancyjna. Nie można kochać bezpiecznie. Miłość bierze w niewolę, otwiera nasze serca i tracimy nad sobą kontrolę. - Wzdycha. - Budujesz wokół siebie mur, i myślisz, że nikt się nie przedrze, ale któregoś dnia komuś się to udaje i twoje życie nie należy już tylko do ciebie. Miłość to ryzyko - dodaje pospiesznie. - Kochać kogoś oznacza ryzyko porażki, ale nie kochać wcale to ryzyko jeszcze większe. Nie rozumiesz?

- On mi nigdy nie wybaczy - mówię cicho. Patrzy na mnie nieporuszona.

- Może i nie - przyznaje - ale czy chcesz spędzić resztę życia, nie przekonawszy się o tym?

Trzęsę się ze strachu. A potem, zupełnie bez ostrzeżenia, dostaję najgorszego ataku paniki w moim życiu. Adrenalina płynie przeze mnie, gasząc wszystkie uczucia, zostawiając tylko instynkt walki lub ucieczki. W uszach słyszę bicie swego serca, a w głowie mi kręci się tak, że aż mi niedobrze. Obraz przed oczyma

zamazuje się, usta mam suche. Nie mogę oddychać, brakuje mi powietrza. Zaraz stracę kontrolę nad sobą, nie mam już siły walczyć...

Czy utrata panowania nad sobą jest taka straszna?

Ta myśl przecina mój uporządkowany umysł niczym laserowa wiązka.

A dokąd zaprowadziło mnie panowanie nad sobą? - Samotna. Owdowiała, porzucona przez kochanka, nawet najbliższa przyjaciółka patrzy na mnie z litością. Odcięta od wszystkiego, co nadaje życiu sens. Im bardziej próbowałam zapanować nad moim życiem, tym większy chaos się w nie wkładał.

No dobrze. Niech będzie po twojemu.

Przestaję się bronić. I w tym samym momencie panika ustępuje.

Ucisk w piersiach zelżał, mogę oddychać. Puls powoli wraca do normy. Już nie kręci mi się w głowie.

Ostrożnie badam swoje ciało, jak wtedy, gdy językiem dotyka się bolącego zęba. Owszem, boli, ale panika rozpuściła się jak sól w wodzie.

Takie proste. Czy na pewno?

Może i nie. Ale co masz do stracenia?

- Jest jeszcze tutaj? - pytam Lucy. Zerka przez okno i potakuje.

- Pomóż mi wstać - proszę.

- Nie możesz wychodzić z łóżka...

- Dlaczego? Za duże ryzyko?

- Nie możesz po prostu do niego zadzwonić i...

- Nie odbierze. Teraz albo nigdy! - chwytam ją za rękę. - Proszę cię, Lucy.

Obniża temblak, w którym spoczywa moja kostka, i pomaga mi wstać. Pokój wiruje w mojej głowie jak karuzela. Biorę kilka głębokich wdechów i karuzela się zatrzymuje.

Od łóżka do okna są tylko cztery kroki, ale mam wrażenie, że to co najmniej kilometr. Kiedy tam wreszcie docieram, jestem spocona i chwieję się z wysiłku.

Chwytam się kurczowo parapetu. Cztery piętra niżej William idzie do samochodu.

Łomoczę w szybę, ale oczywiście nie może mnie usłyszeć.

- Pomóż mi je otworzyć!

- Jesteś szalona - mówi Lucy, ale pcha jedno skrzydło, a ja robię to samo z drugim.

Okno uchyla się trochę, lecz wciąż jest zamknięte. William szuka w kieszeniach kluczy.

Próbujemy ponownie. William otwiera samochód.

Okno w końcu się otwiera. Wychylam się i wołam go z całą siłą, na jaką mnie stać.

William otwiera drzwi samochodu. Lucy krzyczy ze mną. Ale zagłusza nas hałas przelatującego samolotu.

Łapię, co mam pod ręką, i rzucam w niego.

Potem opadam na krzesło i czekam.

Nie trwa to długo.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - krzyczy William, wpadając do pokoju. Lucy dyskretnie zostawia nas samych, ale on nawet jej nie zauważył. - Mogłaś mnie zabić!

- Musiałam zwrócić twoją uwagę - mówię.

- No to ci się udało.

- Czemu nie odpowiadasz na moje telefony?

- A jak myślisz?

- William - mówię z rozpaczą - wtedy w Chelsea popełniłam błąd.

Powiedziałam coś okropnego, coś, czego nie powinnam mówić i co nie jest prawdą. Chciałam cię przeprosić i wyjaśnić...

- Nie ma potrzeby. Wypowiedziałaś się dość jasno.

- Ale nie rozumiesz...

- Ella, ocaliłaś moją córkę. Nigdy ci tego nie zapomnę. - Odwraca się i nie widzę jego twarzy. - Ale oboje zraniliśmy się wzajemnie zbyt wiele razy. Jak mogłabyś mi ufać, wiedząc, że przez osiem lat oszukiwałem żonę? Jak ja mógłbym ufać tobie po tym, jak zaszłaś w ciążę z innym?

To pytanie będzie sobie już zadawał zawsze. Chyba że jakoś go przekonam.

Mam tylko jedną szansę. Szukam słów, którymi mogę skłonić go, by został. Jackson właśnie umarł, bałam się być sama. Cooper tam po prostu był. Wypiłam za dużo burbona. To już się nie powtórzy. To przeszłość.

Biorę głęboki oddech i wypowiadam jedyne słowa, które naprawdę się liczą.

- Kocham cię. Jego plecy drżą.

- Czemu miałbym ci wierzyć? - pyta w końcu cicho.

- A czemu miałabym kłamać?

- A co - macha ręką w stronę kwiatów - co z Cooperem?

- Cooper przyjechał zabrać rzeczy brata i przywieźć mi listy. Pocałował mnie - przyznaję, wiedząc, że teraz muszę być bezwzględnie szczerą. - I ja pocałowałam jego. Ale potem powiedziałam mu, że kocham ciebie.

W końcu się odwraca. Twarz ma bladą i wykrzywioną bólem.

- Widziałem, jak go całowałaś!

- Widziałeś, jak go całuję na pożegnanie!

- Byłaś z nim w ciąży!

- Jeden błąd, Williamie. Nigdy nie zdarzyło ci się popełnić błędu?

- Jak mam ci znów zaufać?! - woła z furją.

- Tak jak ja zaufam tobie! Tak jak inni ufają tym, których kochają! Bo wybieramy zaufanie! Chwytny się wiary, William! Co innego nam pozostaje?

- Nie chcę już tego powtarzać, Ella - mówi ochryple. - Nie chcę miłości na pół etatu. Chcę zasypiać przy kochanej kobiecie, oddychać tym samym powietrzem co ona i widzieć jej twarz, gdy będę się budził. Chcę być najważniejszy w jej życiu, chcę ją poznać na wylot, móc o wszystko zapytać i uzyskać odpowiedź. To nie ty, Ella. Ty nigdy taka nie będziesz. Jesteś zbyt niezależna, zbyt samodzielna...

- Czy wyglądam na niezależną i samodzielną? - Zmuszam się, by wstać, ignorując palący ból promieniujący z kostki. - Tyle w moim życiu oparcia, że nawet nie jestem pewna, czy jeszcze widzę grunt pod nogami! Jestem przerażona, William! Tak bardzo cię kocham i mogę cię stracić!

Policzki mam mokre od łez.

- Nie rozumiesz? Zakochałam się w tobie, gdy tylko cię zobaczyłam, a teraz pierwszy raz nie uciekam przed przyznaniem się do tego!

- Na miłość boską, Ella! Usiądź, bo zaraz upadniesz!

- William, proszę...

- Już dobrze, Ella, rozumiem - mówi zmęczonym głosem. I w tym momencie wiem, że przegrałam.

Padam na krawędź łóżka. Brak mi już słów i pomysłów. Kostka pulsuje, głowa mnie boli, właściwie boli mnie wszystko. Nawet opuszki palców.

- Cate nie straciła dziecka - mówi William. - Oboje mają się dobrze.

Jestem tak zdumiona, że przez chwilę nie mogę wydusić z siebie słowa.

- Nie do wiary - mówię w końcu. - To niesamowite... to cud.

- To samo mówi Lucy.

Nasze oczy się spotykają. Rzucone w sam środek bólu i udręki, jaką nawzajem sobie sprawiliśmy, to maleńkie nowe życie niesie ze sobą nadzieję.

- Co zamierza Cate? - pytam. - Zatrzyma je?

Siada obok mnie, tak blisko, że mogę wyciągnąć rękę i go dotknąć.

- Ona wie, że nie jest gotowa na macierzyństwo. Ma tyle planów i marzeń - uniwersytet, Nowy Jork, dziennikarstwo. Tyle chce zrobić. Postanowiła oddać dziecko do adopcji.

- Och, William. Musi być jej ciężko. I tobie też...

- Cate chce oddać swoje dziecko nam, Ella. - Odwraca się do mnie. -

Powiedziałem jej, że żadne „my” już nie istnieje.

Jego oczy błyszczą. Serce podchodzi mi do gardła.

- Ella? Czyżbym się pomylił?

Dłuższą chwilę zajmuje mi zrozumienie jego słów. Bierze mnie w ramiona i kryje twarz w moich włosach.

- Boże, Ella, oboje byliśmy tacy głupi - mówi żarliwie. - Mogliśmy się stracić na zawsze. Tak bardzo cię kocham. Nigdy więcej nie chcę już ryzykować.

Czuję puls pod ciepłą skórą, słyszę, jak tlen wpływa i wypływa z jego płuc, wdycham jego zapach i czuję jego istotę, i wiem, że już nigdy nie będę bezpieczna.

Podnoszę twarz ku jego twarzy.

- Dlaczego... dlaczego wróciłeś?

Nie puszczając mnie, kładzie na łóżku szary but z krokodylej skóry.

- Po pierwsze, rzuciłaś nim we mnie, a wiem, jak nie cierpisz gubić rzeczy od pary.

- A po drugie?

- Po drugie... - Przyciąga mnie do siebie i jego usta zatrzymują się tuż nad moimi. - Po drugie ja też tego nie cierpię.

RS